

SERIA  Z KILEREM

MARTA OBUCH

# MiŁOŚĆ, SZKIELET i SPAGHETTI



lesiojot

MARTA OBUCH



# MiŁOŚĆ, SZKIELET i SPAGHETTI

---

Wydawnictwo SOL



*Niniejsze kryminalne dziełko dedykuję mojej siostrze,  
Ewelinie, w której mam zawsze wierną czytelniczkę i  
przyjaciółkę.  
Te kuchenne pogaduszki...*

*Panu Zbigniewowi Czarneckiemu, właścicielowi  
wydawnictwa Bellona, należą się podziękowania za to  
że zechciał wydobyć dla mnie z zasobów redakcyjnych  
książkę, na której bardzo mi zależało.*

*Nadkomisarzowi Michałowi Gruszczyńskiemu, mojemu  
serdecznemu koledze jeszcze z czasów szkoły wojskowej,  
dziękuję za konsultacje merytoryczne.*

*Pani Monice Kosiolak i Panu Janowi Wewiórowi jestem  
wdzięczna za pomoc i okazaną życzliwość, a w szczególności  
za przekazanie materiałów dotyczących historii Olsztyna pod  
Częstochową. Moim zapleczem archeologicznym były panie:  
Justyna Szymonik-Polak i Ludwika Sawicka. Dziękuję im za  
obszerne maile i zaangażowanie.*

*Dobrymi duchami książki byli:  
redaktor Artur Wiśniewski i Filip Modrzejewski.  
Serdeczności dla obu panów.*

Korpulentna blondynka smarknęła energicznie w chusteczkę dla dodania sobie animuszu, wytarła czerwony zapuchnięty nos i podjęła decyzję:

- Otworzyć trumnę!

Okrzyk zelektryzował stadko żałobników z mimowolną fascynacją wpatrzonych w grabarza, który wywijał łopatą tak sprawnie, jakby przekopywał grządkę kapusty. Kiedy w zapyłonej ciszy cmentarza św. Rocha rozległ się sopran pani Smolikowej, grabarz dosłownie zamarł. Po chwili jednak poprawił beret z nieśmiertelną antenką, obrzucił kobietę spojrzeniem wyrażającym obrzydzenie i jak gdyby nigdy nic wrócił do przerwanej czynności. Nie omieszkał przy tym wymownie splunąć, aż hortensja, na którą padło, płochliwie się zagibała. Jednocześnie od bramy odgradzającej cmentarzysko od miasta doleciało tak nagłe i świdrujące wycie erki, że wszyscy naraz drgnęli.

- Karetka... - Kobieta popatrzyła z przejęciem po twarzach zebranych. - Słyszycie? To znak!

Pan Smolik starał się uspokoić małżonkę i tym samym nie dopuścić do skandalu.

- Kasiu, co ty mówisz, kochanie...

- Otwórzcie trumnę! - Żona jednak dopiero się rozkręcała.

- Kasięńko...

- Słyszycie?! Otwórzcie tę cholerną trumnę!

Strumień łez znowu rozlał się pani Smolikowej od oczu aż po falujące popiersie, do którego przywarła bluzka mokra od wcześniej szych ataków rozpacz. Nieszczęsna żałobnica wyglądała teraz jak wściekła furia. Smarkała, wyła i przewieszała się przez ramię zdezorientowanego małżonka, który już ledwie zipał pod naporem jej pulchnego ciała.

- Dlaczego nie chcecie mi pomóc? Ja muszę sprawdzić!

Z odsieczą ruszono w samą porę. Gdyby nie pomoc rodziny, wąły jak rabarbar pan Smolik wziąłby się i złamał w pół, a nie

dałby rady. Widać było, że pani Kasia była gotowa wskoczyć do grobu choćby po jego trupie.

- Synku! - krzyknęła w ostatnim akcie desperacji, wyrzucając przed siebie rękę. Wieko trumny powoli przestawało być widoczne. Łopata szurała o kamienie, a chmura pyłu otoczyła zgromadzonych tak szczelnie, że niektórzy zaczęli pokasływać.

Pani Smolikowa przytrzymywana teraz dla odmiany przez hoźych i rosłych bratanków w końcu pojęła, że jej wysiłki są raczej daremne. Nie da nura do dołu, nie rozgrzebie ziemi i nie rozwali sosnowej dechy pięściami. Już się poddała, oklapła, choć nadal żałośnie pochlipywała.

Dlaczego czuła się tak niespokojna?

Coś jej kazało ostatni raz spojrzeć na syna.

Upewnić się.

Tymczasem grabarz napiął mięśnie. Przyspieszył. Nie będzie żadnego otwierania. Nie dopuści do tego, zresztą fanaberie baby tamci wzięli za histerię. I dobrze. Zamienił się w spocony automat do zasypywania grobów. Miał wrażenie, jakby ręce niemal przyrosły mu do łopaty. Tak jeszcze chyba nigdy nie zasował, choć robił tu już kilka lat.

Trzeba zamknąć tę paskudną sprawę.

Zamknąć.

Zasypać.

Zapić.

Że też dał się namówić...

\*

Julka jeszcze raz spróbowała zniechęcić siedzącego naprzeciwko mężczyznę:

- Będzie pan moim niewolnikiem. - Zajrzała mu w oczy, ale wyczytała w nich takie błaganie, że nieco się zmieszała.

Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że olbrzymi facet przypominał wyglądem dorodnego niedźwiedzia, ale spojrzenie miał raczej sarenki. Ewentualnie łosia. Łagodnego. Pożywiającego się leśną jagodą i grzybkami (jeśli łosie biorą coś takiego do gęby) i stąpającego delikatnie po runie. W każdym

razie z lica patrzyły panu Piotrusiowi dobro, łagodność i inne takie pluszowe rzeczy. I nie udawał, Julka potrafiłaby to przecież odkryć. Chociaż wyraźnie się czymś denerwował, bo ciągle zerkał w okno. Wiercił się, nachylał nad wiklinowym koszem przy witrynie i wyglądał na ulicę. Ciekawe, co go tak niepokoiło. Może burza?

Na zewnątrz trwał wściekle upalny poranek, po alei dreptały pojedyncze jednostki ludzkie wpatrujące się to w jasnogórską wieżę, to w niebo, które groziło spacerowiczom nastroszonymi granatowymi chmurami. Bezruch i zaduch wręcz porażały.

- Jestem do pani dyspozycji. - Piotruś uśmiechnął się w końcu nieznacznie i znów poprawił na miejscu, ale jego postawa nadal wyrażała tę samą... desperację.

Tak, nie wiedzieć czemu, wyglądał na zaciętego w swoim postanowieniu. Wręcz uparcie pchał się pod nóż. Zadziwiający. Julka chrząknęła i dalej badała grunt. Była ciekawa, ile facet zniesie. Ciekawa? A może to ta legendarna w jej rodzinie złośliwość?

- W zasadzie to się do pana wprowadzę - palnęła.

- Nic nie szkodzi.

- A przemeblowanie? Całkowite i zupełne. Przemebluję panu mieszkanie. Co pan na to? Od kibelka po balkon. Wszędzie rokoko. - Z fantazją sypnęła sobie cukru do kawy, bacznie obserwując reakcję rozmówcy. - Nawet pana własna mydelniczka będzie mieć więcej z Ludwika XV niż on sam. A swoją drogą fascynujące, jak to działa. Ludwik żył sobie spokojnie i nie miał zielonego pojęcia, że pod nosem rozkwita mu takie wynaturzone coś. Rokoko... No dobrze... - szczęśliwie dla pana Piotra zreflektowała się i wróciła do głównego wątku: - Prze-me-blo-wa-nie. Człowiek w zasadzie potrzebuje zmian. Chyba że ma pan jakieś obawy.

- Nie mam żadnych obaw - Piotruś zaprzeczył gorliwie, patrząc przy tym na Julkę z prawdziwym oddaniem. - A z Ludwikiem to była bardzo interesująca dygresja.

Ależ się głupio poczuła.

Ten poczciwiec zwyczajnie potrzebuje pomocy, a ona stroi sobie żarty. Przecież gdyby sama zwróciła się do psychologa z

prośbą o terapię i usłyszała podobny stek bzdur, odwróciłyby się na pięcie i rozpaczliwie szukała pomocy choćby w przychodni państwowej. Ma facet samozaparcie, pogratulować. Ale z drugiej strony, odmówiła mu już kulturalnie i wprost i nawet uprzejmie podała przyczynę decyzji: wreszcie zamierzała odpocząć. Rzetelnie się pobyczyć. Wziąć wolne, zrobić sobie pod pępkiem tatuaż, złopać szklankami pina coladę i czytać, czytać i czytać. No, no, bez przesady, tatuaż mogła sobie ewentualnie darować, ale spokojuuu! Chce świętego spokoju!

- Widzimy się trzy, cztery razy w tygodniu. Możliwe, że wkroczę nawet w pana jadłospis - zaznaczyła groźnie, usiłując nie pokazać po sobie złości. - Dieta wpływa na nasze samopoczucie. Tak samo jak sen i ruch. Każę panu też codziennie... hm... biegać.

Tu jej rozmówca chrząknął niemrawo znad sporego brzuszka, pomyślał chwilę, ale znowu się zgodził.

- W porządku.

- Panie Piotrze. - Julka opadła nagle z sił. Toczona dyskusja stawała się co najmniej nieetyczna, dodatkowo w powietrzu zaczynało drastycznie brakować tlenu. - Będę z panem szczerą. Muszę wyznać, że na co dzień jestem wredna. Nawet sobie pan nie wyobraża, jak bardzo. Trudno ze mną wytrzymać. Straszna ze mnie... - szukała jakiś paskudnych słów, ale jedyne, co przychodziło jej do głowy, to małpa, krowa i wydra.

- Pani? Wredna? Nie wierzę - Piotruś stanowczo zaprzeczył.

Co miała robić, straciła cierpliwość.

- Człowieku, ja nie byłam na urlopie od roku! - wyjęczała przejmująco. - Już nawet przestałam o tym marzyć. Niedługo znienawidzę swoją pracę. Praca ma sens, jeśli można od niej odpocząć.

- Ale ze mną nie będzie żadnego kłopotu. Obiecuję.

- Akurat.

- Naprawdę. Żadnego kłopotu! - Piotruś złapał się za włochatą pierś i tym samym prawie dokonał miejscowej autodepilacji.

- Tylko miesiąc. Proszę!

- Yhm. Godzić się na takie kretynstwa, jakie wygaduję? To ma nie zwiastować kłopotów?

- Bardzo mi zależy...

- Ale na rokoko pan się zgodził? - Julka załamała rękę. - Przecież ja żartowałam. W życiu bym na takie coś nie wpadła, żeby się szarogęsić w cudzym domu! I poza tym rokoko odpada. Okropność.

- Uff, trochę mi ulżyło. - Piotruś nieznacznie potarł czoło, a następnie wykonał taki ruch, jak gdyby zamierzał paść na kolana. - Pani Julianno, ja pani potrzebuję, pani jest najlepsza! - wyartykułował z prawdziwą rozpaczą. - Czy jest coś, co by mogło panią przekonać?

Julka miała dość.

Tak, pozostawało jej przybrać postawę kategorię, zapłacić rachunek i grzecznie się pożegnać.

Tylko co dalej?

Podrepcze umęczona na przystanek i wsiądzie do autobusu, gdzie aromat kilkunastu spoconych ciał pozbawi ją wężu na resztę dnia. Wywalczy miejsce siedzące, powachluje się gazetą, a następnie ze wszystkich swoich sił postara się w tym upale nie skonać. Na samą myśl, że wieczorem znowu musi wrócić do centrum, aż się wzdygnęła.

- Jest coś - wypaliła z głupia frant. - Poproszę o samochód. Ewentualnie o dorożkę. Z klimatyzacją i bacikiem. Obowiązkowo. Bez klimatyzacji i bacika odpada.

- Z dorożką byłby kłopot, ale... może być alfa romeo? - W oczach Piotrusia rozszalała się nadzieja.

- Nie jestem wybredna - łaskawie wyraziła zgodę. - Może być. Czy aby sprawna?

- Przecież nie dałbym pani jakiegoś gruchota.

Zbystrzała. Dotarło do niej, że znowu ktoś tu nie zrozumiał żartu.

- Momencik. - Odsunęła filizankę. - Nie chcę ani gruchota, ani...

- O, przepraszam, to cudowny samochód. Mam go od dwóch tygodni. Będzie pani bardzo zadowolona.



- Panie Piotrze...

- Pani Julianno!

O rany. Czy ten uroczy mężczyzna nie postradał czasem zmysłów? A może to z nią jest coś nie tak. Zdecydowanie upały jej nie służą.

- Przecież z tą dorożką i samochodem nie mówiłam poważnie!

- Ale dlaczego? Pieniądze to nie jest problem - zapewnił rozbijającą. - Naprawdę. Proszę to potraktować jako miesięczną zapłatę za ciężką pracę. Poza tym - dodał z ociąganiem - ja nawet miałbym interes w tym, żeby pani to auto przyjęła, bo... tego jeszcze nie mówiłem. Chciałem prosić, żeby przyjeżdżała pani do mnie. Do Katowic.

- Słucham? - Uniosła w zdziwieniu brwi.

- Wiem, pewnie to brzmi mało zachęcająco. Katowice, Częstochowa, odległości, ale... - Zaczął się kręcić, postękiwać i ogólnie czynić rozmaite krygujące sztuki. Aż żal było patrzeć. Przy zwiniętej w rulonik serwetce Julka westchnęła, ale zawzięła się. Nie pomoże mu, poczeka na dalszy rozwój wypadków. - Nie znoszę tego miasta - padło wreszcie spod okna tonem usprawiedliwienia.

- Częstochowy? O, nie ma pan przecież obowiązku. Ja dla odmiany nie znoszę Katowic.

- Ale pani Julianno... Może alfa romeo... Czerwona... Może by pani polubiła?

- Czerwonym jeżdżą strażacy.

- To przemaalujemy! - Pan Piotruś rozłożył uradowany ręce i Julka zgłupiała do reszty. - Białym jeździ pogotowie, niebieskim... policja, to może zielony? Kolor nadziei. Proszę, jak pięknie. Może być zielony?

\*

Musi ją przekonać.

Ta kobieta to j ego jedyna nadzieja.

Wiele o niej słyszał. Julianna Rzepka. Młoda, ale już znana psychoterapeutka. Stypendia zagraniczne, własna praktyka i, co najważniejsze, nowatorska terapia polegająca na ścisłym

kontakcie z pacjentem. Żadnych klinicznych dystansów. Przyjaźń. Na tym mu właśnie zależało - żeby spędzała z nim jak najwięcej czasu. Na razie nie szło najlepiej, ale auto mogło przechylić szalę. Przyda się jej samochód. Z tym rzeczywiście nie było żadnego problemu.

On sam w obecnej sytuacji już go nie potrzebował.

- Pani Julianno, mam pomysł. Chodźmy na parking. Wtedy zadecydujesz... To jest, przepraszam, wtedy pani zadecyduje.

Zamrugła niepewnie rzęsami, które chyba przyciemniała jakimś kosmetycznym mazidłem, bo nie przypominały w słońcu płynnego miodu tak jak włosy. Zauważył, że pod wpływem rozmowy albo panującego w kawiarni skwaru zaróżowiły się jej policzki. Ładna. I wzbudzała zaufanie.

- Proszę mi tu nie paniować. Julka jestem. - Wyciągnęła energicznie rękę i dopiero wtedy odetchnął.

Coś zaczynało się w tym impasie przełamywać. Dobra nasza.

- Piotr. - Tak się ucieszył, że chciał tę kształtną kobietą rękę ucałować, ale pani psycholog ofuknęła go jak rozeźlona kotka.

- Nie znoszę cmokania. Cmoknij coś innego, jeśli musisz, Piotrusiu. Nie wiem, stolik, lampę... Ale mnie oszczędź, ja cię proszę.

Zabawna osóbką.

- Oczywiście, zapamiętam. Żadnego cmokania. Julianno, zapraszam. - Wstał, ukłonił się z galanterią i wskazał wyjście. - Zaparkowałem na sąsiedniej ulicy.

Nareszcie. Siedział tu jak na szpilkach. To Julka wybrała Bliklego, nie wypadalo kręcić nosem. I to jak wybrała. Aleja! Samo serce Częstochowy. Wręcz główna arteria tętniąca ciekawskim, natrętnym tłumem. Na szczęście dzisiaj ziało tu pustką, pewnie ze względu na pogodę - już rankiem każdy szukał choćby skrawka cienia, spacer po zalanej słonecznym żarem ulicy nie wydawał się najlepszym pomysłem.

- I nie myśl, że skoro przechodzę z tobą na ty, to oznacza, że się zgodziłam - pospiesznie zastrzegła.

- Nic podobnego nie myślę.

- Autobusy to jest generalnie bardzo wyyygodne

rozwiązanie - szczebiotą. - Nie muszę się martwić o parking, o benzynę i takie tam. Yyy... Radio oczywiście ma? Ten twój wóz?

Piotr właśnie zastanawiał się, czy on aby nie jest zbyt radosny jak na kogoś mającego problemy emocjonalne. Szczerzył zęby, a powinien wyglądać na człowieka zagubionego i potrzebującego wsparcia. Jeszcze Julka pomyśli, że udaje.

A otóż nie udawał.

Od miesięcy trawił go tak nieznośny niepokój, że jedynym skutecznym sposobem odzyskania równowagi okazywało się odpalenie komputera, choć próbował spotykać się ze znajomymi, a nawet zapisał się na jogę. Nic z tych rzeczy. Najlepiej pomagała jego ukochana gra. Heros V. W tym świecie rządziły zupełnie inne prawa. Wszystko proste jak drut. Dobro i zło. Włócznie mokre od krwi wroga zabitego w uczciwej walce. Miecze, maczugi, artefakty i czary. Sam miód i łopot rycerskich szat. Żadnych Włochów. Tylko ile można siedzieć przed komputerem? Terapia. Tak. Najlepszy z możliwych pomysłów.

A jeśli i to nie pomoże, strzeli sobie w łeb.

Albo skoczy z mostu.

Ewentualnie z wieży.

\*

Cezary Trębacz przejeżdżał trasę z Katowic do Częstochowy w godzinę. Czasem pokonywał ją dwa razy dziennie, jeśli akurat musiał coś skonsultować na uniwersytecie. I tak przez cały ostatni tydzień. Katowice-Częstochowa, Częstochowa-Katowice.

Ale nie narzekał.

W ogóle nieźle to sobie w życiu wykombinował. Ma pracę, która daje mu satysfakcję i zapewnia przygodę. Nie siedzi zmartwiały za biurkiem, nie obsługuje rozchimeryzowanych klientów i nie wyczekuje osiemnastej jak zbawienia. Grzebie sobie w ziemi, a co! Znaleźć fragment szkieletu i na jego podstawie określić choćby przyczynę śmierci, to dopiero frajda. Oczywiście, byli i tacy, dla których frajda wiązała się z

przewidywaniem hossy czy bessy, ale on nie zamieniłby swojej genetyki i paleoantropologii na żadne pieniądze. Zresztą, po wyprawie do Kenii i odnalezieniu kości gnykowej homo erectus stał się w Polsce... hm, bez fałszywej skromności, stał się po prostu sławny! Znaleźzisko nad Logipi otworzyło mu już niejedne drzwi. Jak choćby te w Częstochowie. Kiedy podczas prac ogrodniczych na klasztornych wałach odkryto wiekowy szkielet człowieka, kogo wezwano na miejsce?

Cezarego Trębacza, rzecz jasna.

To on wraz z profesorem Lesiakiem z Wrocławia zajął się organizacją prac. A ponieważ profesor, a zarazem jego serdeczny kolega, nie mógł codziennie bywać w klasztorze, właściwą pieczę nad przedsięwzięciem trzymał on. Aż do dzisiaj.

O ósmej rano pewnie już wszyscy byli na swoich stanowiskach. Wszyscy z wyjątkiem Cezarego. Tak bladym świtem uaktywniała mu się dopiero prawa półkula mózgowa. Lewa trwała w umysłowym odrętwieniu i miała ochotę podrapać się po tyłku, ewentualnie zakurzyć papierosa. Obie zaczynały współpracować w miarę kompatybilnie znacznie później. Dlatego dla zastępcy kierownika wykopalisk odpowiednią godziną do rozpoczęcia pracy była jedenasta. Postanowił, że powrót Lesiaka tego nie zmieni.

Przed pracą zawsze można przecież tyle zrobić. Teraz na przykład objeżdżał miasto w poszukiwaniu skrótów, a za chwilę sobie elegancko zaparkuje i skoczy na śniadanko do Skrzynki. Rozpustnie wrzuci do żołądka dwa naleśniki mediolańskie (słowo naleśnik za bardzo nie oddawało rozmiaru potrawy) i popije je kawą.

Z głównej ulicy skręcił w Szymanowskiego, gdzie koła turkotały, uderzając o kocie łby. Z architektury budynków wciąż spozierał ponury duch komunizmu, za to bełkot miasta prawie tu milkł, betonowe kolosy po obu stronach drogi działały jak stopery. Ucinały dźwięki, pozwalały słyszeć własne myśli.

A Cezary myślał o swojej byłej dziewczynie.

I o tym, jaki był głupi. Wiedział, że Lutka chce się rozmnażać

i marzy o rodzinie. To nie! Władował się w ten związek, mimo że przewidział finał. Kłapa. Od początku powinien był omijać Lutkę szerokim kołem i szukać jakiejś babeczki, która nie domagałaby się cyrografu w postaci wspólnego kredytu. Już się rozpędził.

O nie, nie, nie.

Żadnych formalnych deklaracji i dobrowolnych podpisów pod pismami odbierającymi wolność. Kiedy wyraził swój sprzeciw, do Lutki wreszcie dotarło. Nie będzie żadnego: „Żyli długo i szczęśliwie”. Poszukała więc sobie jakiegoś safanduly z mniejszym stężeniem testosteronu, który ją jednak należycie zapłodnił. Oczywiście to ostatnie odbyło się w tajemnicy. Cezary został postawiony przed brzemieniem faktem. I dobrze.

Świat jest pełen kobiet. Pełen chętnych i słodkich niewiast.

Przy tym niektóre dziewczęta (Cezary zaryzykowałby nawet stwierdzenie, że jest ich zastanawiająca większość) mają wypisane na czole mieniącymi się literami: PRO VAGINAS IN CORDIS. Z wyraźną przykrością stwierdzał, że podboje przestały być jakby aktualne. Dawniej to człowiek przynajmniej się rozwijał, układał programy artystyczne: wiersze, gitara, kwiaty... A teraz nastąpiła cielesna jednomyślność. Ale znowu do czasu. Baby jak to baby. Po wszystkim prawie każda rozładowana kobiecość dostaje romantycznego kociokwiku i ma nadzieję na wspólne śniadanie, potem na wspólne mieszkanie, a w końcu na dorodny owoc miłości w postaci rozdartego oseska w różowym beciku. W mordę! Jakoś nie czuł potrzeby przedłużania linii Trębaczów i gmerania w ciepłych kupkach. Miał w życiu ważniejsze rzeczy do zrobienia. O!

Jak na zawołanie na chodniku dostrzegł jędrnego rudzielca o krągłych kształtach. Miedziane włosy tworzyły wokół jej głowy płomienną aureolę i przy każdym ruchu leciutko muskały ramiona. Skóra biała, perłowa. Piersi pełne, nogi pierwsza klasa. Buzię miała drobną, błąkał się po niej rozbrajający grymas, jakby się nad czymś mocno zastanawiała. Znaczy się: rozumna bestia. Mniem, mniem. Ogólnie biorąc - potężny ładunek zmysłowej energii i tryskający okaz zdrowia w jednym

ciele. Chyba dlatego dziewczyna skojarzyła mu się naraz z kubkiem parującego mleka. Aż go coś w środku oparzyło. Zagapił się i... Ciach!

Wjechał cofającemu właśnie facetowi w zderzak i, jak nic, rozwalil mu światło. Co za pacan! Nie widział go? Na moment wszyscy zamarli. Cezary, ruda (zdażyła strzelić w niego zielonym okiem) i wielkolud z alfy romeo, który kurczył się za kierownicą, zamiast w amoku wyprysnąć z auta i co najmniej rozdyżdać sprawcy mózg na masce samochodu.

Nie do wiary. Cezary już szykował się, żeby wyjaśnić sprawę, ale w tej samej chwili nastąpiło kolejne nieoczekiwane zdarzenie: rozległ się potężny grzmot, a budynki załśniły w blasku pioruna, jak podczas ulicznego przedstawienia. Jednocześnie miliony deszczowych pocisków posypały się na świat z taką siłą, że ruda w ciągu paru sekund zupełnie przemokła. Sukienka zrobiła się na niej wymownie przezroczysta i nie trzeba się było zbytnio przyglądać, żeby ocenić rodzaj bielizny, która, ku radości Cezarego, nie przypominała pseudobikini pamiętającego szóste życie pralki. Wizualnie doznał ukojenia. Jednak szczęście nie trwało długo. Przemoczona rusalka zadygotała z zimna, posłała mu ostatnie spojrzenie, po czym dała nura do auta. Trzasnęły drzwi, alfa romeo zapierdziała pospiesznie i pognąła przed siebie.

Cezary nie rozumiał.

Skasował facetowi lampę.

Gdzie furia, policja i całe zamieszanie?

I gdzie rudzielec?

I czemu, do cholery, właśnie teraz przyszło mu do głowy, że w deszczu można powyczyniać we dwójkę rozmaite sprytne sztuczki? Jak to dwa miesiące dotkliwej samotności potrafią mężczyźnie zmasakrować psychikę... Westchnął z głębi sprawnego układu płciowego, uruchomił samochód i zaparkował. Na takie rozważania nie ma nic lepszego niż kufelek zimnego piwa. A wieczorem skoczy na balety.

Może tam przytuli się do jakiegoś współczującego, kobiecego ciała.

\*

Złamanie kości łódeczkowatej nadgarstka.

W prawej ręce!

W lewej poważne stłuczenie.

Alessandro, znany w gronie przyjaciół jako Aldente, czułby się z pewnością tym faktem zdruzgotany, gdyby nie był tak okrutnie zły. Na siebie. Początkowo nic go nie bolało. Zresztą trudno, żeby bolało, skoro znieczulił się skutecznie grappą. Tak skutecznie, że dopiero następnego dnia zaczęło do niego docierać, że oprócz ciała astralnego został wyposażony także w ciało fizyczne. I to ciało, a konkretnie kończyny górne, odmówiły mu posłuszeństwa. Na pewno miało z tym związek zdarzenie, do którego doszło w nocy. Musiał chyba pomylić balustradę balkonu z ogrodzeniem. Chciał przeskoczyć przez płot, tymczasem okazało się, że po skoku, na marginesie bardzo efektownym, zbyt długo leciał, a lądując, spadł na cztery litery i podparł się rękami. No i masz. Nazajutrz nie był w stanie podnieść ze stołu głupiej szklanki z sokiem.

Prześwietlenie nie pozostawiło żadnych złudzeń.

- Rękawiczka balowa dla pana. - Zaproszono go do gipsowni, gdzie jego masywna dłoń została wbita w białe truchło aż po łokieć. - Proszę się przyzwyczajać, bo to może potrwać nawet dwanaście tygodni. Łódeczkowata to jest upierdliwa kostka, źle się zrasta. Palce ma pan na wierzchu, ale nie wolno ich nadwyreżać.

Życie bez ręki, a zasadzie bez dwóch rąk, bo lewą też nie potrafił niczego mocniej chwycić, zaczynało być nieznośne. Męczył się tak od tygodnia.

Tyle właśnie czasu zajmował się nim Rico, jego najbliższy współpracownik i kumpel. Już to wystarczyło, żeby strzelić sobie w łeb. Jednak najgorzej Aldente znosił wyprawy do łazienki. Owszem, chwil intymności nikt mu nie mącił, zapinanie rozporka też jakoś szło, choć trwało wieki i kosztowało wiele bólu, ale czynności pielęgnacyjne, które były nieodzowne, żeby wyglądać atrakcyjnie, ktoś musiał za niego wykonać. Nigdy nie był zbyt manualnie

- w wyjątkiem oczywiście posługiwania się bronią i brylantyną - a teraz szampony, mydła czy choćby pasta do zębów zaczęły go wręcz przerażać. Wolał pochłaniać gумы do zucia, niż pokornie prosić Rica o przygotowanie szczoteczki. Był przez to bardzo, ale to bardzo sfrustrowany.

Postanowił ratować twarz.

Oczywiście żaden z kumpli nie odważyłby się niczego po sobie pokazać, ale znał ich.

Za jego plecami na pewno pękali ze śmiechu, zresztą najlepszy dowód, że mina Rica rzedła coraz bardziej. Nie odmówił pomocy, ale patrzeć na tę jego cierpiącą gębę Aldente nie miał więcej ochoty.

Rozesłał więc po mieście wici, że poszukuje pielęgniarki.

I kucharki. A najlepiej dwóch w jednej. Pielęgniarko-kucharki. Z opcją biurową, bo przydałaby się też pomoc przy załatwianiu interesów, jeśli Rica nie będzie w pobliżu. Co do komunikacji, najlepszy byłby jego język ojczysty, czyli włoski. Angielski też ewentualnie ujdzie, nie będzie się upierał. Teraz dizajn. Jeśli już ktoś ma się znaleźć tak blisko, najlepsza byłaby klasa A. Najchętniej wersja limitowana z dodatkowymi gadżetami, choćby w postaci apetycznie rozkwitających poduszek powietrznych.

Żeby kumplom żał tyłki ściszał.

I wtedy będzie miał problem z głowy.

Skończą się uśmieški po kątach.

Tak, złamana ręka nie przeszkodzi mu też dopiąć innych ważnych spraw.

- Rico! - wrzasnął w głąb domu. - Przynieś mi z gabinetu starą mapę klasztoru. Ale szybko!

\*

Dorota szczerze nie znosiła swojej pracy.

Ale pracować musiała, pieniądze jakoś z nieba kapać nie chciały, a ona, studentka i pełnokrwista kobieta, miała swoje potrzeby. I tak od końca sesji ćwiczyła spacerować między stolikami jako kelnerka w Cafe Skrzyńka. Bardzo inspirujące zajęcie. Zwłaszcza kiedy ma się poprawkę i złośliwy stary cap z



językoznawstwa pragmatycznego chce człowiekowi obrzydzić życie i udowodnić, że piękne i zadbane studentki mają w głowie jedynie sieczkę.

Czy to sprawiedliwe?

Ładne mają lepiej? Taką brednię musiała chyba wymyślić jakaś niezorientowana w temacie brzydula. A szykany ze strony koleżanek? Dorota zawsze miała problem ze znalezieniem bratniej duszy, która nie czułaby się przy niej gorsza. Dystans. Z taką postawą ze strony kobiet spotykała się najczęściej, jeśli nie liczyć podszytej zazdrością niechęci. Mężczyźni dla odmiany widzieli w niej laleczkę, tylko niektórzy traktowali ją jak istotę ludzką. A ta istota trochę się w życiu nacierpiła i choć może nie była zbyt komunikatywna, może nawet zachowywała się nieco wyniośle, nie był to jednak powód, żeby podziwiać ją przez szybę i traktować jak manekina na wystawie.

Na szczęście miała rodzinę. Na myśl o matce poczuła zwykłą irytację, ale zostały jeszcze siostry. A, właśnie. Musi się upewnić, czy pamiętają o zaplanowanej na dziś akcji. Żegnajcie żylaki, żegnaj kelnerski fartuchu i fuchy na zmywaku! Może już niedługo dostanie pracę swoich marzeń. Siostry obiecały jej przecież w tym pomóc. Sięgnęła po komórkę, ale ta jak na złość pisnęła żałośnie i wydała przy dźwiękach muzyki ostatnie tchnienie. No tak, zapomniała ją naładować. W sumie żaden problem. Obok Skrzynki, na ścianie łączącej Świat Książki z letnim ogródkiem, wisiał aparat telefoniczny. Skoczy tam szybciotko, nikt nie zauważy.

Dorota wymknęła się z lokalu, dopadła budki i wystukała numer.

- Cześć, siostra. Pamiętasz, że masz dla mnie coś dzisiaj zrobić? - zapytała już na wstępie.

- Cześć młodzieży! - w słuchawce zabrzmiał pełen radości głos, który teraz nieco zmarkotniał, ale nadal słyhać w nim było dziwną ekscytację. Czyżby siostra aż tak paliła się do pomocy? - Pamiętam, ale wystąpiły... eee... nieprzewidziane komplikacje. Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

Słowo „komplikacje” bardzo się Dorocie nie spodobało, co

jednak nie przeszkodziło jej w odnotowaniu, że z restauracji wyszedł klient i ze znużoną miną podparł ścianę obok. To chyba ten brunet ze stolika przy drzwiach. Wydawał się całkiem interesujący, ale poprzednie dobre wrażenie rozwiało się jak papierosowy dym, który przystojniak właśnie niedbale wypuścił kącikiem ust. Chyba również zamierzał skorzystać z telefonu, co najwyraźniej oznaczało, że była zmuszona brodzić w jego nikotynowych wyziewach. Za grosz wyobraźni! W dodatku stał zaledwie dwa metry dalej i nawet nie starał się ukrywać, że podsłuchuje.

- Jakie komplikacje? - Chrząknęła, po czym ostentacyjnie odwróciła się tyłem do bezczelnego intruza.

- Powiem ci wieczorem, jak się spotkamy.

- Czy ty mnie właśnie wystawiasz? - Aż nie chciało się jej wierzyć. Przecież siostra wiedziała, ile znaczy dla niej nowa praca. I jeszcze to irytujące zadowolenie, które ciągle błąkało się po złączach.

- Dorota, oprócz mnie masz Ewelinę. Ona uwielbia takie szopki, a ja byłabym mało przekonywu...

- Przekonująca się mówi - Dorota nie wytrzymała i pozwoliła sobie na zawodową poprawkę, choć w obecnej sytuacji czuła się opuszczona i pozostawiona na pastwę losu. Pastwa losu, czyli najmłodsza latorośl w rodzinie, była zupełnie nieprzewidywalna, co całe przedsięwzięcie stawiało pod wielkim znakiem zapytania.

- Wiesz w co mnie polonistycznie ugryź? - zaburczała siostra. - Mam teraz rozdygotany umysł, a muszę go zewrzeć. Sprawy urzędowe mi wyskoczyły, jestem uwięziona przez parę godzin w wydziale komunikacji. Dlatego ci nie pomogę, wybacz. Siła wyższa.

- W wydziale komunikacji? A co się stało? - Dorota zapomniała, że powinna się wściekać.

- Coś się stało, ale samo dobre - sapnęła jej rozmówczyni. - I tyle tego dobrego, że nie wiem, co robić. Ale to nie na telefon.

- Aaa, szkoda, bo mnie zaciekawiałaś. Czyli widzimy się na Sportowej? - zakończyła już nieco spokojniejsza. Z Eweliną

postanowiła po prostu poważnie porozmawiać.

- PRZYJADĘ - nie wiedzieć czemu, siostra zaakcentowała ostatnie słowo. - Chcę wam coś pokazać, pewnie się zdziwicie. Niech młoda zrobi jakąś smaczną kolacyjkę.

- A nie wolimy zjeść kolacyjki, a potem iść do Don Kichota potańczyć? - zasugerowała Dorota, której wizje egzaminu i czekającej ją rozmowy kwalifikacyjnej bynajmniej nie uszczęśliwiały.

- Zobaczymy.

- Pomyśl, bo ja bym się zrelaksowała. A do młodej wydzwaniam od bladego świtu i nic. Chyba spytam mamy, czy nie wie, gdzie jest - postanowiła, słysząc za sobą pomruk niezadowolenia - bo zaczynam się martwić. To pa, pa. Buźka. Do wieczora.

\*

Owszem, kumple z uczelni mówili mu, że w Częstochowie mieszkają ładne kobiety. Do tej pory Cezary kojarzył z występowaniem piękności na kilometr kwadratowy raczej Wrocław i Kraków, ale musiał zmienić zdanie. Widział w tej świętej mieścinie naprawdę wiele urodziwych dziewczyn, ale dwie dzisiejsze przebiły całą resztę.

Ta kelnerka... Musiał przyznać, że robiła wrażenie. Innego rodzaju niż rudzielec, który miał w sobie coś miłego, miękkiego, ale i obok tej nie można było przejść obojętnie. Nawet w firmowym, niezbyt gustownym zgrzeble wyglądała jak w specjalnie zaprojektowanym fartuszk. Zawodowe modelki mogły się przy niej schować w gospodarstwie rolnym i w gumofilcach doglądać trzody chlewnej.

Tylko, cholera, ile można głądzić do słuchawki?

Obiecał Lesiakowi, że zadzwoni, a wolał nie ryzykować prób z własnej komórki, ponieważ profesor był okropnym gadułą i wejście mu w słowo graniczyło z cudem, nie mówiąc już o cudownym rachunku za połączenie. Przy czym nie liczyło się, że za godzinę uściska sobie dłonie i nagadają się do woli.

Cezary od razu wyczuł, że blondynka przymierza się raczej do konferencji telefonicznej na szczycie niż do zwykłej

rozmowy, więc stwierdził, że przynajmniej sobie zapali.

I nie pomylił się. Paplała jak najęta.

Tak jakby telefon służył do wywlekania wnętrzości.

A już pożegnania uważał w kobiecych teledyskultacjach za szczególnie fascynujące. Ileż można wylać z siebie słów na zakończenie rozmowy, chłop nigdy nie pojmie. „W takim razie będę kończyć. Pa, pa. Hejka. No to do zobaczenia, pa. Buziak”.

Cezary uwielbiał przyglądać się ludziom, zawsze szczerze go interesowali, a już za obserwowaniem kobiet wprost przepadał, więc teraz również sobie nie żałował i dosłownie nie odrywał od blondynki oczu. Zwłaszcza ciekawiły go aspekty wskazujące na odmienności między płciami.

To, co w chwilę potem nastąpiło, było odmienne bardzo.

Kiedy dziewczę wreszcie odłożyło słuchawkę, ze zwykłej ciekawości chciał sprawdzić, ile czasu zajęły jej te słowotoki, i zerknął na zegarek. Tu czekała go niemiła niespodzianka.

- O! - spontanicznie wyraził na głos zdziwienie. - Stał mi...

Blondynka odwróciła się i chlasnęła go miażdżącym spojrzeniem.

Słowo „świnia” nie padło.

Ale w powietrzu coś tak jednoznacznie zaczęło chrumczeć i zalatywać słońcą, że dał spokój tłumaczeniom.

\*

Jasna Góra majaczyła pośród parkowych drzew i habazi i dźgała rozpozgodzone po ulewie niebo.

Wybornie.

Cezary miał wreszcie wolną chwilę. Powietrze stało się chłodne, zerwał się nawet wiatr, z lubością więc urządził sobie spacer po klasztornym wzgórzu, myśląc o pątnikach, którzy dawnymi wieki docierali tu na kolanach. Jeśli o niego chodziło, do religii miał raczej stosunek umiarkowany, choć na pewno nieobojętny. Szanował przekonania innych, doceniał autorytet wiary, ale nie ufał żadnym organizacjom, nawet kościelnym. I obojętne, czy byli to muzułmanie, buddyści czy chrześcijanie. Wolał wytyczać sobie drogę sam. Oczywiście wybrana przez

Cezarego ścieżka nie wiodła przez cuchnące grzechem bagna i wądoły, a chociaż i tak się zdarzało, jego założenie było jednak jak najbardziej zacne: kroczyć jasnym szlakiem mocy. A jeśli nie pomagać bliźnim, to przynajmniej im nie szkodzić.

I gdzie go rzucił przekorny los?

A otóż rzucił go do chrześcijańskiej stolicy Polski.

O dziwo, nawet się Cezaremu tutaj podobało.

Szybko znalazł wśród braciszków kilku dobrych znajomych i z ich pomocą poznawał klasztor od podszewki. Zaglądał w takie miejsca, gdzie nie wpuszcza się ani turystów, ani wiernych. Nie była to wprawdzie Kenia, ale spędzać lato na wykopkach i w chłodnych klasztornych murach, w których każda cegła szeptała o historii, to również niezła gratka.

Czuł się więc usatysfakcjonowany.

Jego poobiedni obchód po wałach z wolna stawał się rytuałem podsumowującym dzień pracy, który około szesnastej kończył się herbatką u przeora. Zwykle herbatka aż pienila się Cezaremu w ustach, ponieważ dyskutował ze świętym mężem na tematy ewolucyjne, a ojciec przełożony był diabelnie cięty na Darwina, choć rozumiał znaczenie jego myśli dla nauki. Od ewolucji do teologii był więc krok, mimo że teoretycznie dziedziny nawzajem się wykluczały. Wczoraj do kompanii dołączył profesor Lesiak, który nazywał siebie buddystą, i działały się rzeczy arcyciekawe. Poglądy krzyżowały się w refektarzu jak szpady, emocje pęczniały, a ślina dysputantów tryskała obficie. Zajedzono więc herbatkę winem. Kulturalnie, oczywiście. Tak, zajedzono. Podane wino było tak stare, że zaserwowano je na spodeczkach w postaci galaretki, którą spałaszowali łyżeczkami.

Ach, te klasztorne specjały...

Wspominając z nostalgią wino, Cezary schował się na ławce pod Skarbcem, gdzie zamierzał dyskretnie zakurzyć i zaplanować resztę dnia. Przed obiadem wytypował kostkę do pobrania DNA, a jeszcze dzisiaj profesor miał podjąć zdecydowane działania i ciachnąć Bruna. Nie będą czekać. Ciekawe, ileż to lat liczył sobie szacowny umarłak, którego kości odkryto podczas renowacji murów. Nazwali go Bruno, bo

ze starości cały był poczerniały. Jutro ostatecznie kończą przenosiny - bardzo ważny etap prac, trzeba to jakoś zorganizować, ustalić z Lesiakiem szczegóły, wydać polecenia...

Cezary zatopił się w zawodowych rozmyślaniach, nie zdając sobie zupełnie sprawy z faktu, że ma towarzystwo. I to jakie! Tuż za nim znajdowała się uwieńczona murkiem ściana, ponad którą górowała sławna wieża. Właśnie na tym murku balansowała od jakiegoś czasu patykowata panna z okiem przyklejonym do aparatu fotograficznego. Świata poza cykadłem nie widziała. A raczej świat ograniczał się dla niej do kadru. Natomiast taniec, jaki wykonywała, był godzien podziwu. Jego rytm wyznaczały coraz to nowe ujęcia. Wieża w poprzek, wieża pod kątem czterdziestu stopni, wieża przy zmianie ogniskowej. Przykucnięcie, pstryk. Powiew sierpniowego wiatru, prezentacja tyłozgięcia i innych wdzięków pod wydymaną sukienką, trzy pstryki. Odchył w prawo, cyk.

Cezary czuł kawałkiem świadomości, że coś się tam za nim wyrabia, słyszał szurania, chroboty, ale wciąż nie przeczuwając nadciągającej katastrofy, zastanawiał się właśnie nad koniem. Zasadniczo odkopali człowieka, ale w piątek okazało się, że niedaleko Bruna poniewierają się po błoniach kolejne kostki. Dokładna penetracja stanowiska wykazała, że należą do zwierza zaprzęgowego, co by się nawet zgadzało, bo wcześniej znaleźli w pobliżu Bruna drewniany wóz.

Patataj, patataj.

Kątem oka dostrzegł wycieczkę emerytów, których mijają, kiedy przemierzali drogę krzyżową. Tworząc liczne gromadki, z nabożnym skupieniem dzielili się uwagami albo robili zdjęcia i podziwiali widok miasta ścielającego się u stóp klasztoru. Kiedy dotarli w okolice ławeczki, gwałtownie wyhamowali. Wesoły gwar cichł z chwili na chwilę, aż przeszedł w pełną napięcia ciszę.

Co jest?!

Odruchowo schował papierosa.

Kilkunastu starsuszków z rozdziawionymi buziami może jednak skutecznie zmaćć spokój ducha. Zaraz, bez paniki. Nie gapili się na niego! Raczej na coś ponad nim. Wreszcie

prowadzący gromadkę paulin precyzyjnie się do przodu i ocenił sytuację. Po czym załamał ręce. Był posiadaczem gigantycznego nosa przypominającego kształtem dorodną, przejrzałą gruchę. Ze zdenerwowania zaczął nią kręcić, a kiedy na twarzach nobliwych pielgrzymów płci męskiej ujrzał, o zgrozo, najzwyczajszą w świecie uciechę, nie wytrzymał. Przemówił. A był to wyjątkowo donośny bas, słyszalny pewnie nie tylko po drugiej stronie fortyfikacji, ale i na światłach pod parkiem:

- A to co? Proszę pani! Proszę paaani!

Okrzyk miał taką siłę rażenia, że z drzew zerwało się spłoszone ptactwo, co dodatkowo przestraszyło płaszącą po murku dziewczynę. Cezary gwałtownie się obrócił, ale nie zdążył zareagować. Wszystko działo się błyskawicznie. Długaśne ręce już kręciły w powietrzu młynka, zaraz potem dał się słyszeć kwik przerażenia i w tej samej chwili spadło mu na kark parędziesiąt kilo kobiecej wagi. Plus aparat.

- Aaaaaaaa! Cholera! - Kilogramy na szczęście pozbierały się do kupy, choć nie od razu. Dziewczyna wgramoliła się w końcu na ławkę i odruchowo szacując straty, zrobiła kilka pospiesznych zdjęć. Uspokojona sprawdziła efekt na wyświetlaczu. - Bardzo przepraszam - wydukała w kierunku nieco zaskoczonego zaj ściem Cezarego, ale zakonnikowi nie darowała. Najwyraźniej temperament również nie ucierpiał w wypadku, bo zerwała się na równe nogi i ruszyła do natarcia. - A ksiądz co? Przecież mogłam się zabić! Po co ksiądz się tak darł? Prawie dostałam zawału.

- Co za ulga. - Duchowny najwyraźniej uznał, że jeśli ktoś potrafi się tak awanturować, nic mu nie jest. Otarł pot z czoła i obrzucił dziewczynę niepewnym spojrzeniem. - Jest pani cała? Nie chciałem...

Cezary również już doszedł do siebie. Braciszek, zdaje się, potrzebował pomocy, ta mała nieźle sobie radziła. Zlecieć z wysokości i jeszcze dokazywać? Pogratulować rezonu.

- Zawsze wiedziałem, że babki na mnie lecą, ale żeby aż tak... To mi się zaczął dzień! - podsumował i spróbował pokręcić głową. - Ja też cały.

Zakonnika często widywał w ogrodzie, choć nie znali się

osobiście. Zawsze, kiedy Cezary zamierzał do niego zagadać, nieśmiały braciszek jakby włączał urządzenie nawigacyjne ustawione na opcję „unikać faceta od wykopalisk”. Odwracał się na pięcie, zarzucał grabie na wychudzone plecy i darł w krzaki. Był pomocnikiem zmarłego w tamtym tygodniu brata Pawła. Od jego śmierci sam zajmował się klasztornym parkiem i z tego co Cezary zaobserwował, czynił to z wielkim oddaniem. Pieścił te rośliny, nawet do nich gadał i spędzał w ogrodzie każdą wolną chwilę. Cóż więc robi tutaj? Przecież zwiedzających oprowadzają osoby z centrum informacji. W sumie, co za różnica, ważne, że w końcu nadarza się okazja do nawiązania znajomości. Już się płochliwiec nie wymiga. Zresztą, jaki tam z niego płochliwiec. Takim głosem mógłby podnieść z grobu umarłego.

- Cieszę się, że wyszliśmy z tego bez obrażeń, przynajmniej na ciele. Może się przedstawię - zaproponował ochoczo. - Trębacz. Cezary Trębacz. Genetyk i paleoantropolog. Nadzoruję prace pod murami.

Dziewczyna zawiesiła na szyi aparat i z szelmowskim uśmiechem wyciągnęła przed siebie rękę.

- Fajnie wiedzieć, na kogo się spada. Rzepka. Ewelina Rzepka.

Zakonnik zakręcił się w miejscu, usiłując uciec przed wiatrem, który miał ochotę na kolejne igraszki, tym razem pośród mnisiej szaty.

- Zygmunt. - Wykonał pospieszny ukłon, nawet nie patrząc na Cezarego, i zrobił krok w tył. A do dziewczyny rzucił niezbyt uprzejmie: - Brat, nie ksiądz. To co? To ja już... to my już pójdziemy. A pani... proszę nie siać zgorszenia tą swoją sukienką. Wiatr wieje, pani robi zdjęcia, a wszystko na wierzchu. Trzeba się czasem oglądać za siebie.

- No i masz. - Chudzina odprowadziła go rozbawionym wzrokiem. - Zygmunt. Ten to potrafi uderzyć w wielki dzwon. Tak jakbym specjalnie wystawiała tyłek na podmuchy.

Cezary łypnął na swoją towarzyszkę. Do diabła z bratem, przydybie go kiedyś pod jakimś klombem i spróbuje wybadać,



dłaczego wzbudza w nim taką antypatię. Teraz ważniejsza była ta mała. No, no. Najwyraźniej zleciała mu na głowę osóбка z poczuciem humoru. Zdecydowanie lepiej radził sobie z datowaniem kości niż z określaniem wieku nastolatek, bo kompletnie nie potrafił odgadnąć, ile może mieć lat. Ale od razu stało się jasne, że posiada tak zwany charakterek. Albo jeszcze lepiej: charakterzysko. Była cienka jak plasterek salami i bardzo bezpośrednia. Obcięte na pazia włosy spadały jej na twarz, przesłaniając brązowe oczy, więc co chwilę potrząsała głową i dmuchała niecierpliwie w grzywkę.

- Skoro już na ciebie spadłam, będziesz mi pozował - oświadczyła tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Bynajmniej nie marzył o kobiecie wijącej się u jego stóp, ale gdyby utrzcć nieletniej nosa i trochę się poprzekomarzać? Młode to, pyskate, niech się uczy, jak postępować z mężczyznami.

- Tak gorąco błągasz, że chyba się nie oprę... Wykluczone!

\*

Na widok bruneta z niebezpiecznym błyskiem w oku Ewelina straciła na chwilę kontakt z rzeczywistością, jak zwykle, kiedy spotykała osobnika płci odmiernej, który nie śmierdział i był nieco ładniejszy od diabła. Zmącenie jej kobiecego umysłu dokonało się niemal natychmiast, ale zaraz zadbała, żeby niczego po sobie nie pokazać. Zaczęła być niemila. To, co Cezary nazwał rezonem, było zaledwie cieniem możliwości tej panny, która w jego towarzystwie lekko się zacukała i tylko dlatego nie urządziła na jasnogórskich wałach takiej awantury, na jaką ją było stać.

A było ją stać na dużo więcej.

Bruneci zawsze jednak działali na nią wręcz histaminowo. Niejeden ciemnowłosy przystojniak przyprawił ją już w ciągu dziewiętnastoletniego żywota o skoki ciśnienia i palpacje serca, przy czym te ostatnie gwarantowała różnica wieku. O dziwo, starsi panowie (co najmniej po trzydzieste) okazywali się najlepszymi partnerami do rozmowy. Wiedzieli, czego kobieta chce, potrafili o nią zadbać zarówno intelektualnie

(Ewelina uwielbiała toczyć dyskusje i miała wiele, doprawdy wiele zainteresowań), jak i materialnie, bo przecież dysponowali już własnymi funduszami. Rówieśnicy mogli więc liczyć u tej panny co najwyżej na wspólne wagary w zamku w Olsztynie - miasteczku pod Częstochową, gdzie uczeń technikum gastronomicznego trafił, mając w kieszeni zaledwie złoty dziewięćdziesiąt.

Zachwytyt nowo poznanym może i byłby mniejszy, gdyby Ewelina nie pokłóciła się rankiem ze swoim chłopakiem Gabrysiem, skądinąd blondynem o rozczulającym wyglądzie amorka. W historii rozstań i zstań tej pary dzisiejsza różnica zdań była mało znaczącym szczegółem, choć pani fotograf zrobiła z niej co najmniej schizmę i poprzysięgła rozmawiać z Gabrielem tylko przez posły. Tym głębiej tonęła teraz w oczach bruneta, który przestał się wygłupiać i chyba wreszcie pojął, że ma do czynienia z postacią co najmniej niebanalną.

- Masz papierosa? - zagadnęła. Znajomy zapach wyczuła już na samym początku, ale z niedyskretnym pytaniem wolała poczekać do odejścia brata Zygmunta.

- Taka młoda i paląca? - wymamrotał z dezaprobatą, ale ukradkiem wyciągnął paczkę i krytycznie przyjrzał się jej sylwetce. - Proces wzrostu...

- Zakończony, mam nadzieję. Mleczaki też mi już dawno wypadły - wyszczerzyła się w uśmiechu. - Tu chyba nie wolno palić?

- Zgadza się.

- Ale ty paliłeś.

- Okoliczność przymusowa, że tak to ujmę. Głęboko nad czymś myślałem. Nigdy tu nie palę.

- W takim razie też chyba sobie daruję - nagle zmieniła zdanie.

- I słusznie.

- Miałam dzisiaj rzucić. Palenie. Ale jak na razie skończyło się na... rzuceniu faceta - rzekła lekko i zerknęła, czy jej słowa wywarły oczekiwane wrażenie. - Jedno wyklucza drugie, jak się okazuje.

Cezary popatrzył spod byka i mało wdzięcznie przy tym

zakaszał. Brakowało tylko, żeby splunął, a przynajmniej wyglądał tak, jakby miał na to wielką ochotę. Ciekawe, czy powstrzymał się ze względu na święte miejsce, czy towarzystwo.

- Taaa. Rzuciłaś, ale widzę, że już szukasz następnego? Jakie te współczesne dziewczyny operatywne - podsumował, nie kryjąc obrzydzenia. - Logistycznie to jesteście takie obcykane, że hej. I zimne jak karp w galarecie. Albo jeszcze lepiej - jak pirania w galarecie. Marketing i zarządzanie, można powiedzieć, że wrodzone.

- A ty masz dziewczynę niewspółczesną? - zapytała z ciekawością. Tyrada na temat moralności płci pięknej była jak dla niej znacząca. - Już wiem! - zawołała, obserwując jego kwaśną minę. - Rzuciła cię, tak? To stąd ten jad?

- Wiesz co? - Wstał. - Miło było i tak dalej, ale muszę wracać do pracy.

- Czyli rzuciła.

Nie żartował. Szykował się do odejścia i naprawdę stracił humor. Intuicja podpowiedziała jej więc, żeby zmienić temat.

- To co z tym pozowaniem? - zagadła, usiłując dotrzymać mu kroku. - Masz ciekawą twarz, zrobiłabym ci parę portretów. Może dasz się namówić.

Cezary teraz dla odmiany nieoczekiwanie wyhamował i zanim Ewelina się zorientowała, podszedł do blaszanej płachty, która zamykała tę część wałów dla zwiedzających. Odchylił ją nieco i zerknął zachęcająco. Po jego złym nastroju nie było już śladu.

- Co robisz? - zaprotestowała, bo na ogrodzeniu wisiała czytelna informacja: „Zakaz wstępu”.

- Chodź, pokażę ci moje królestwo. Popatrzysz stąd, bo tam dalej nie widać.

Chociaż ten impertynent traktował ją jak młodszą, nieznośną siostrę, a nie jak dojrzałą kobietę z klasą, ciekawość zwyciężyła. Ewelina precyzyjnie się za nim.

- Czemu to j est zagrodzone?

- Jesteśmy w Bastionie św. Trójcy - oznajmił z zadowoleniem Cezary. - Musieliśmy coś zrobić, żeby gapie

nam nie przeszkadzali. Co prawda pielgrzymi to nie kibice, ale po wałach spacerują również dzieci, i to raczej one psocą. Mieliśmy już dość ogryzków i butelek po pepsi. Martwa świnka morska przeważała szalę - uśmiechnął się. - Wyłączyliśmy ten fragment fortyfikacji ze zwiedzania.

- Mówiłeś, że jesteś genetykiem. Dobrze pamiętam?

- Tak.

- I paleo...

- Paleoantropologiem - dokończył bez zająknięcia.

- A kto to taki?

- Zaraz ci wyjaśnię. To moje wykopki. - Podprowadził Ewelinę do kamiennego parapetu i dumnie wystawił pierś. - Moje i profesora Lesiaka.

Ewelina zachłannie rzuciła się do oglądania. Na piaszczystej ścieżce przy stacji drogi krzyżowej przedstawiającej grób Jezusa uwijali się studenci. Kręcili się jak mrówki w obrębie szerokiego na kilkanaście metrów prostokąta ogrodzonego białoczerwoną taśmą. Ziemia była tu rozgrzebana, różnokolorowa, upstrzona żółtawymi wapiennymi obłupkami. Pewną część terenu wygładzono i potraktowano jak tort urodzinowy - w równych odstępach tkwiły w niej niczym świeczki drewniane paliki, do których poprzyczepiano kartki z numerami. Za to przy murze widać było wykrojone w ziemi doły - obok jednego z nich stał pomarańczowy, sporych rozmiarów namiot.

- Tam leży Bruno - Cezary wyartykułował, a z tonu Ewelina domyśliła się, że chodziło o cenne znalezisko.

Zresztą lokalna prasa nie przedstawiała bębnić o znalezieniu na Jasnej Górze jakichś starych kości. Co za wspaniałe zbieg okoliczności, że oto poznała kogoś, kto ma z tym wszystkim związek. Oczami wyobraźni już widziała siebie wywijającą łopatką pośród górki ziemi. Przecież tak tego nie zostawi! Ma oto jedyną szansę na tysiąc znaleźć się w antropologicznym wirze wydarzeń.

- Niesamowite! Przedpotopowy człowiek?

- Jesteśmy w trakcie ustaleń. Stary to on jest, na pewno. Żeby określić jego wiek, pobieramy dzisiaj próbkę DNA,

choć do tego wystarczy analiza dendrochronologiczna.

- Czyli? - zapytała rzeczowo, starając się wyglądać na przejętą, chociaż nie musiała udawać. Była przejęta. Cezary zdawał się tylko czekać na podobny przejaw zainteresowania.

- Kilka miesięcy temu, zanim znaleźliśmy Bruna, odkopano tu drewniany wóz - zadowolony rozpoczął wykład. - W tej samej warstwie. Na szczęście koła miały dębowe osie, więc to się fajnie datuje. Chodzi o liczenie pierścieni w drzewie, tak w dużym skrócie. Wystarczy określić wiek osi, czym już się zajmuje pewien doktor z krakowskiej Akademii Rolniczej, i mamy datowanie z dokładnością co do roku. Oczywiście mówimy o roku, w którym ścięto drzewo użyte do zrobienia wozu.

- Masz fascynujący zawód.

- Też tak uważam. - Cezary błysnął zębami.

- Ale po co w takim razie jeszcze badanie DNA?

- Mielibyśmy sobie darować? Chyba żartujesz.

- Nie, nie, oczywiście - Ewelina zaraz się poprawiła. - A ile ten Bruno może mieć lat?

Co ci podpowiada twoje hm... doświadczenie?

- Jaka się stałaś nagle miła. - Cezary łypnął podejrzliwie, ale pokusa, żeby opowiadać o tym, co kochał, była zbyt wielka. - Odkopaliśmy też przy Brunie kilka narzędzi i coś mi się wydaje, że to może być XVII - XVIII wiek. Ale głowy nie dam. Czemu pytasz?

- Mieszkam w tym mieście, więc chcę wiedzieć więcej. Poza tym trupy i kości to coś, co mnie fascynuje.

- Trupy, powiadasz? A mnie się wydaje, że ciebie przede wszystkim fascynuje zamieszanie - oświadczył stanowczo, świdrując ją wzrokiem.

Ewelina usiłowała przyjąć pozę pełną pewności siebie. Zdaje się, że ten zarozumialec dogadałby się z Julką, jej najstarszą siostrą. Ona też pozwalała sobie na podobne komentarze, tyle że jeszcze bardziej bezlitosne. Siostra mogła. Siostra chciała jak najlepiej i siostrę Ewelina z głębi swych trzewi wielbiła. Ale ten... Nie, złość zostawi sobie na kiedy indziej. Teraz musi być słodka jak mus malinowy, żeby Cezary pozwolił jej tu wrócić.

Tu, z tym że kilka metrów niżej. Jeszcze nigdy nie widziała wykopalisk z bliska.

- A to coś złego, że nie lubię nudy?

- Niby nie, tylko na mnie nie licz. Nie zapewnię ci rozrywki, a widzę, że oczka aż ci się świecą. Kłopotów z małolatami nie potrzebuję - wyjaśnił z zimnym uśmiechem. - Na teren prac cię nie wpuszczę, nie ma mowy. Wracaj do przedszkola, bo tam już pewnie dzwonią na leżakowanie.

- W lutym skończyłam dziewiętnaście lat - wyrwała się, ale zaraz pojęła, jak to musiało głupio zabrzmieć. Zaciśnęła pięści. Skoro tak, skoro ten przebrzydły paleojakiśtam chce jej rzucać kłody pod nogi, rozegra to inaczej. Pretekst. Potrzebuje pretekstu żeby go znowu spotkać. Ale najpierw wypadaloby bruneta ugłaskać, żeby na jej widok nie odpałał haubicy.

- W porządku. - Pociągnęła nosem. - Zgadłeś. Chciałam się przyjrzeć waszej pracy, bo archeologia naprawdę mnie interesuje.

- To się odinteresuj. Wystarczy tego dobrego. Idziemy.

Ile kosztował Ewelinę uśmiech, wiedziała tylko ona. Ale uśmiechnęła się, jak potrafiła najładniej. Niestety na bruneta to nie podziałało. Poprowadził ją do wyjścia, a następnie skierował się do bramy. Ledwie za nim nadażała.

- Poczekaj. - Złapała go tuż przy schodach. - Skoro nie chcesz pozować, to może chociaż zrobimy sobie pamiątkowe zdjęcie? Będę się chwalić, że poznałam paleo... faceta, który odkrył Bruna.

- To nie ja go odkryłem.

- Ale kierujesz pracami.

- Tylko kogoś zastępuję - jeszcze próbował się wymigać, ale Ewelina dopięła swego. Przecież wystarczyło mieć fotografię i pomachać nią strażnikowi na ogrodowej furcie. Jako dobra znajoma kierownika prac zostanie wpuszczona na teren wykopalisk, a tam przekaze pamiątkę Cezaremu. Pretekst do kolejnego spotkania jak złoto.

- Czy to naprawdę takie wielkie poświęcenie? Sprawić dziewczynie odrobinę radości? Proszę pana! - zakrzyknęła na

mężczyznę, który właśnie wszedł na wały. - Zrobi pan nam zdjęcie?

\*

Czy ta mała pijawka wreszcie się odczepi?

Cezary powinien już wracać do pracy. Z murów widział zdenerwowanego jego nieobecnością Lesiaka, który miotał się po stanowisku. Niech jej będzie, od jednego cyknięcia nikt przecież nie umarł. Ledwie jednak podjął decyzję Już jej pożałował. Nawiedzona pani fotograf dorwała jakiegoś gościa, pół godziny tłumaczyła mu zasady kompozycji obrazu i wreszcie wcisnęła się Cezaremu pod pachę pozować, tak pełna entuzjazmu, że zwątpił.

- Teraz jeszcze sam - zarządziła podstępna wiedźma. - Jedno jedyne. - Zakręciła się tak szybko, że nawet nie zdążył zaprotestować. Dopięła swego. Odebrała facetowi aparat i z prędkością światła zaczęła zwalniać migawkę. Doskakiwała, kuciała na tych swoich cienkich nóżkach, prawie się wiła po płytach chodnika. Jednym słowem, najnormalniej w świecie robiła z niego kretyna.

- Miało być jedno - zaprotestował.

- Groźny, dobrze... - mamrotała jak w transie, zupełnie nie przejmując się jego zdenerwowaniem. - Świetnie. Ta twoja nabzdyczona mina to będzie przebój. A teraz uśmiech. A przynajmniej spojrzysz uwodzicielsko.

Skąd się takie tupeciary na tym padole biorą, Cezary nie mógł zrozumieć.

Błysnął zębami w przeszczerej odsłonie dziąseł i...

Co się dzieje?

Zobaczyła ducha?

Chuda oszustka naraz skamieniała. Powoli opuściła aparat, nie przestając wpatrywać się w wieżę, a w jej wielkich oczach odbiło się przerażenie.

- Ktoś spadł! - wykrzyczała wstrząśnięta i ruszyła pędem do bramy.

Raczej nie robiła sobie żartów, a jeśli tak, miała wielki talent. Zagranie twarzą podobnego wzburzenia gwarantowałyby jej

zдание egzaminu do szkoły aktorskiej, i to w pierwszej trójce.

Obejrzał się, ale niczego ciekawego nie zobaczył.

W tej samej chwili na dziedzińcu przed kruchtą zawrzało.

Nie rozróżniał poszczególnych słów, ale chyba faktycznie coś się stało, bo harmider dał się słyszeć nawet tu. Zaintrygowany podszedł do schodów, skąd miał doskonały widok na plac przed wejściem do bazyliki. Mijając bramę, usłyszał krzyki kobiet.

- Lekarza!

- On nie żyje!

Wierni tłoczyli się przy wejściu na mały dziedziniec pomiędzy wieżą a budynkiem Pokoi Królewskich, zasłaniając miejsce największej kotłowniny zwartą masą ciał. Co sprytniejsi wchodzili na podest centrum informacji, gdzie prawie wdrapywali się na ściany, pozostali oblegali przedsiónek. Zrobiło się spore zamieszanie, a ciekawskich przybywało i przybywało. Ewelina z ogniem w oczach rzuciła się w ocean ludzi i parła do przodu. Gdzie ta szalona się pchała? I po co? Cezary zaklął w duchu, ale przeciskał się w ślad za nią, wyłapując przy okazji z tłumu urywane rozmowy.

- Przecież widziałam, jak leciał - zapewniała obwieszona złotem blond seniorka, wymachując opaloną dłonią. - To samobójstwo!

- Ale żeby się na własne życie targać na Jasnej Górze... - zawtórowała jej z niesmakiem sąsiadka, barwiona na kasztan elegantka w okularach. - Kiedyś to z wałów taki jeden skakał. Młody chłopak i, mówię pani, przystojny jak rzadko. I po co się zabijać? Przecież to grzech śmiertelny.

- Ano śmiertelny, jak widać. Teraz to ludzie żadnego miejsca nie uszanują - dołożył czerstwy staruszek w słomkowym kapeluszu. - Ja to tylko słyszałem takie łuuup, jakby coś ciężkiego spadło.

- A ja widziałam, jak leciał - upierała się ta od złotych wotów.

- Może przeżyje - starszy pan nie tracił nadziei. - Różne się cuda zdarzają. Zwłaszcza na Jasnej Górze.

O ściany sanktuarium obił się nagle metaliczny dźwięk



megafonu, z którego popłynął głos należący, jak stwierdził Cezary, do ojca przeora. Zgromadzeni zaczęli zgodnie milknąć, wsłuchując się w słowa kapłana, które niosły się po świętej budowli pełne powagi i spokoju.

- Drodzy moi, zdarzyło się coś bardzo smutnego. Doszło do wypadku, na razie nie wiemy, z jakim skutkiem. Prosimy o zrobienie miejsca, tak żeby nie blokować Bramy Jana Pawła II. Na tę okoliczność musieliśmy zawiadomić pogotowie i policję i właśnie tym wejściem ich przywitamy. Do tego czasu proszę, żebyście nie opuszczali terenu naszego klasztoru, bo być może będziemy musieli z niektórymi porozmawiać. Zapraszam do bazyliki, gdzie zostanie odprawiona msza za duszę tego biednego człowieka.

Rozważne słowa duchownego dotarły do wiernych, bo przez tłum przeszła fala szeptów, a potem ludzie zaczęli się zbierać. Maruderów poganił strażnicy i po dobrych dziesięciu minutach przy wejściu na wieżę stali tylko paulini, osoby z centrum informacji i najwytrwalsi żądni sensacji turyści podpierający ściany wokół placu. Cofający się tłum uniósł Cezarego pod kruchtę i wypuścił przy zejściu do wieczernika. Dopiero tu złapał Ewelinę za łokieć i to w ostatniej chwili, bo smarkula już chciała wracać tam, gdzie usiłowała się dopchać poprzednio. Jak odganiana mucha. W dodatku ustawiała coś w aparacie. Takiej dziennikarskiej okazji pewnie nie przepuści, jakżeby inaczej.

- Gdzie pędzisz? Człowiek miał wypadek, takie to dziwne?

- Ale ja widziałam, jak spada!

- I co z tego? Nie tylko ty.

- Chcę powiedzieć, pomóc - wrywała się.

- Tak? A po co grzebiez w aparacie? Jak chcesz pomóc, leć na mszę. Będą potrzebować twojej pomocy, poproszą.

- Słuchaj - chudzina zmrużyła oczy i wyszarpnęła gwałtownie rękę - na mszę się chodzi, a nie lata, to raz. Trochę szacunku. Dwa, tatusia nie potrzebuję. Trzy, zajmuj się swoimi sprawami, dobrze? A ode mnie się odwal!

- Odwal? - Cezary uklonił się z przesadną uprzejmością. - Tak, trochę szacunku, dobrze mówisz.

W sumie racja. Powinien pilnować swojego nosa. To, że ich drogi przypadkiem się skrzyżowały, nie oznaczało, że musiał się za smarkatą czuć odpowiedzialny. Zdarzył się wypadek, rzecz nieprzyjemna, owszem, ale jeśli zaraz nie wróci na stanowisko, dojdzie do kolejnego incydentu. Lesiak dostanie zawału.

Ledwie wspomniał profesora, ten, jak na zawołanie, pojawił się na dziedzińcu, a jego teatralnie rozłożone ręce komunikowały rozczarowanie.

- Cezary! - krzyknął rozemocjonowany. - Przed nami tak ważne zadanie, a ty, chłopcze, przepadasz w mrokach historii? Trzeba pobrać próbkę. Gdzież to się podziewałeś?

Ewelina wyhamowała. Zastanawiała się pewnie, które przedstawienie wybrać.

Wypadek czy wydzierającego się wniebogłosy faceta z włosami jak jeżozwierz.

Leon Lesiak podążał za modą i zawsze wyglądał tak, jakby wyszedł od krawca albo od fryzjera, nawet jeśli przed momentem gmerał w piachu zmieszonym z wapieniem. Wiotką szyję zakrył błękitną apaszką, a przez ramię przewieszała mu się torba, która opadała aż na białe, lniane spodnie. Sądząc po reakcji pań wysiadujących na ławeczkach, gama jego gestów wskazująca na orientację seksualną została zauważona. Cezary zerknął na Ewelinę. Domyślał się tego szalonego galopu myśli w jej głowie obliczonego na uczestniczenie w najbliższych i najciekawszych wydarzeniach. Co za aferzystka! Ku jego niezadowoleniu postawiła na profesora, którego zaraz potraktowała aparatem.

- Oj! - Lesiak udawał, że się zasłania. - A czemu zawdzięczam celowanie we mnie tym czarnym przedmiotem? Witaj, piękna nieznajoma dziewczyno.

Leon czuł się w swoim żywiole. Przyzwyczajony do wystąpień i wykładów, teraz wręcz rozkwitał. Doskakiwał, poprawiał włosy, najwyraźniej był już gotów do sesji fotograficznej.

Aferzystka bynajmniej nie czekała, aż ją ktoś przedstawi. Sama wyciągnęła rękę do profesora i przywitała się.

- Jestem Ewelina. Już znajoma.

- Znajoma dziewczyno...

Cezary uznał za konieczne uciąć te wygłupy i wyjaśnić Lesiakowi sytuację:

- Przed chwilą miało tu miejsce...

- Morderstwo - wtrąciła szczapa, wywołując konsternację profesora, który dopiero teraz rozejrzył się bacznie dookoła.

- Tam, w przejściu pod wieżą znaleźli ciało - dokończył Cezary i zgromił Ewelinę wzrokiem. - Jakie morderstwo?

- Chciałam ci powiedzieć, co widziałam, ale zaczęłeś się wymądrzać.

- A co widziałas?

Przekrzywiła głowę.

- Najpierw polecę na mszę. Potem uklęknę w konfesjonale i wszystko wyznam. Ale nie tobie.

- Ależ Cezary - Lesiak włączył się ponownie do rozmowy. Poufale objął Ewelinę ramieniem i spojrzał na przyjaciela z wyrzutem. - Czy dobrze się domyślam, że byłeś dla tej słodczy niemiły? Taka subtelna, świeża, młoda...

- Za młoda - warknął w odpowiedzi współpracownik.

- Jak mogłeś?

- Był niemiły - poświadczyła z satysfakcją chudzina, przylepiając się do swojego obrońcy.

- No dobrze, ale ja nie jestem niemiły, mnie możesz, moja częstochowska Wenus, powiedzieć wszystko.

- Skoro o tym wspomniałeś... - nawiązał z przekąsem Cezary - to zerknij, Lesiak, na jej paznokcie, i poinformuj, że Wenus z Milo podobnie zaczynała.

Profesor ujął dłoń swojej nowej znajomej i lekko się skrzywił.

- Poobgryzane... Kup sobie może jakiś taki preparacik... Taki, wiesz...

- Lesiak!

- Ale wracając do naszego zamieszania... - Profesor wskazał na stadko blokujące przejście do wieży i dał Cezaremu znak, żeby nie przeszkadzał. - O co chodzi?

- Robiłam zdjęcia i zobaczyłam... - Ewelina zmarszczyła brwi. - Tak nie do końca zobaczyłam, bo raczej patrzyłam na kwaśną minę Cezarego...

- O, tak, tak. Rozumiem cię, moja urocza dziewczeczko -

zagruchał Lesiak. - Co zobaczyłaś?

- Coś się tam działo. I... ja nie wiem, czy ten człowiek sam skoczył. Tak mi się wydaje, że ktoś z nim chyba był.

Profesor wymownie popatrzył na Cezarego.

- Zastanawiające wyznanie. Ja bym tę bystrą pannę oddał w ręce naszego przeora. Myślę, że się ucieszy.

Cezary wznosił oczy do nieba i wykonał gest do szczeru dziękczynny.

- Z pewnością. Każdy by się ucieszył. Oddajemy, tylko szybko, bo bystra panna jeszcze się rozmyśli. Z tym że ja bym oddawał policji. Niech ją zamkną. Byle dalej ode mnie.

\*

Przeor starał się dodawać zgromadzonym otuchy, ale gdy tylko zerkał w kierunku Pokoi Królewskich, oczy zasłaniała mu troska. Nad ciałem kiwał się w milczeniu zgarbiony mężczyzna. Z całej jego postury biła rozpacz i chyba tylko ona powstrzymała Ewelinę przed robieniem zdjęć, choć aparat aż parzył ją w rękach. Z boku stali pogrążeni w przyciszonej rozmowie pracownicy pogotowia i lekarz, który przed chwilą stwierdził zgon. Kręcił przy tym nosem, ale nie chciał zdradzić szczegółów. Te postanowił przekazać policji. Brakowało więc jedynie przedstawicieli prawa.

- Witamy przeora. - Cezary z Lesiakiem ukłonili się przed słusznej postury paulinem w okularach, który na ich widok odłączył się od grupki kapłanów.

- Witajcie, moi drodzy. Zdarzyło się nieszczęście. - Wskazał wzrokiem na bramę prowadzącą do małego dziedzińca. - Czekamy na policję. W czym mogę pomóc?

- My właśnie w tej sprawie, drogi ojcze przeorze - zaszczębiotał Lesiak. - Ta oto urocza istota... Ewelino, przywitaj się ze świętym mężem... Otóż to dziewczę twierdzi, że mamy tu do czynienia z morderstwem. Podobno wszystko widziała.

- Niedokładnie - zastrzegła spłoszona dziewczyna, ale profesor jakby przestał ją dostrzegać.

- Wszystko widziała i wyznała nam jak na spowiedzi... To

jest... Wyznała, że temu rzekomemu samobójcy ktoś dopomógł. Wierzymy, że to nie konfabulacje.

Przeor zatrzymał się w miejscu porażony hiobową wieścią jak piorunem. Już sam nie wiedział, co gorsze: zamach na własne życie czy czyn przestępczy.

- Morderstwo? ! Tu? Niemożliwe. Ale gazety i tak nam nie dadzą żyć - sapnął sfrustrowany. - Po tym, jak zmarł brat Paweł, zrobią z tego nie wiadomo co.

- Zmarł? - zainteresowała się natychmiast Ewelina, ale Cezary ją uciszył.

- Jesteś pewna, moje dziecko? - Przeor skierował spojrzenie swoich jasnych oczu na dziewczynę u boku profesora. - Powiedz, co widziałaś.

Ewelina nie zdążyła spełnić prośby przeora, gdyż z bramy dobiegł ich bolesny jęk.

- Proszę pana! Słyszysz mnie pan? Może pan mówić? - usłyszeli czyjeś pokrzykiwania wzmocnione przez odbijający się o ściany pogłos.

To lekarz nachylał się nad skurczonym staruszkiem, który spazmatycznie łąpał powietrze i przyciskał rękę do piersi.

W przejściu nad wieżą znowu zawrzało.

- I jeszcze pan Stefan nam tu zejdzie. Co za sądny dzień! - Przeor złożył pobożnie ręce, obserwując z napięciem poczynania sanitariuszy, którzy sprawnymi ruchami ułożyli mężczyznę na noszach i przynosili go właśnie do karetki ustawionej na głównym dziedzińcu. Nie obyło się, oczywiście, bez kolejnej sensacji, bo wierni poderwali się nagle ze swoich stanowisk w obawie, że coś ich ominie.

- Ojciec go zna? - zapytał profesor, po tym jak drzwi karetki zasunęły się z trzaskiem.

- Pana Stefana? Znam, pewnie. Bardzo mu współczuję, będę się za niego modlił. To pracownik Bastionu św. Rocha. Okazało się, że ten... zmarły chłopak był jego synem. Co za tragiczna okoliczność.

Zanim karetka odjechała, wyskoczył z niej lekarz. W wyciągniętej dłoni trzymał sfatygowany zwitek papieru i nie bardzo wiedział, co z nim zrobić.

- Komu to oddać?  
- Wygląda na to, że na razie mnie - westchnął przeor. - A co to jest?

Lekarz podrapał się po głowie.

- Chyba list pożegnalny, ale się nie wczytywałem. Ten starszy pan wyjął to z kieszeni denata i proszę, mamy efekt.

- Wszystko z nim dobrze? - denerwował się przeor.

- Wyzdrowieje, proszę się nie martwić - zapewnił lekarz, kierując wzrok na Ewelinę, której telefon, jak na zamówienie, rozdzwonił się w rytm znanego biesiadnego szlagieru:

„Sto lat, sto lat...”.

\*

Dzwoniła Dorota, jej przedstarsza siostra.

I od razu ruszyła do natarcia.

- Czemu nie odbierasz telefonu?

Ewelina przeprosiła swoich rozmówców i odeszła dyskretnie na bok. Tu nie musiała układać mięśni w uprzejmym wyrazie twarzy. Na wszelki wypadek odwróciła się do zgromadzonych tyłem.

- A teraz niby co robię? - syknęła. - Chcesz się kłócić?

Siostra widocznie pojęła, że telekomunikacyjną przemocą za wiele nie zwojuje, bo zmieniła ton z napastliwego w niechętnie grzeczny.

- Umawialiśmy się. Dzisiaj idziesz do Włocha.

- Pamiętam, zaraz tam będę, ale... wypadło mi morderstwo - dokończyła niefortunnie.

Dorota nie okazała zainteresowania, chyba nie potraktowała wyznania poważnie.

- Ileż można dzwonić? - narzekała. - Od rana nie ma z tobą kontaktu.

- Byłam u Gabrysia, potem robiłam zdjęcia. Co się czepiasz? Muszę odbierać każdy telefon, kiedy jestem zajęta? Jeszcze tu coś zeznam i pęczę.

- Ewelina! - W Dorocie się zagotowało, jak zwykle gdy nie mogła sprawować bezpośredniej kontroli nad sytuacją i

pozostawała jej opcja kontroli dalekosiędnej.

- Dorota!

- Siostra, to ważne, ja się muszę wyprowadzić, a nie mogę przecież mieszkać w Skrzynce! Matka z ciotką mnie wykończą. Dzisiaj zorganizowały mi randkę z synem laborantki od nas z bloku, a potem wybuchła awantura, bo leję za dużo wody. Rozumiesz? Pomóż, proszę cię - nalegała płacząco.

- Kochana. - Ewelina przybrała kategorię ton głosu, bo chyba tak powinno się rozmawiać z histeryczkami. - Mówiłam, że będę, to będę. Nawet zabrałam ze sobą perukę, bo do domu nie zdążę.

Dorota doznała wstrząsu.

- Zwariuję z tobą. Jaką perukę?!

- Zwyczajną. Czerń sadzy. Koleżanka mi pożyczyła.

- Ale po co? !

- Jak to po co? Mam do siebie zniechęcać, tak? Włosi lubią blondynki, no to ja muszę być owłosiona przeciwnie. Czerń sadzy, jak ulał. Będzie dobrze, nie martw się.

Dorota zamierzała za wszelką cenę opuścić swoje rodzinne gniazdo.

W wieku dwudziestu czterech lat stwierdziła z całą mocą, że dzielenie przestrzeni życiowej z matką i ciotką Czesią przerasta ją psychicznie i jeśli czegoś nie zmieni, wyląduje w zakładzie psychiatrycznym bez możliwości przepustki. Dlatego już od dobrych kilku miesięcy szukała pracy, która gwarantowałaby jej wikt i opierunek. Oczywiście znalazłaby ją szybciej, gdyby tak nie marudziła. A to brzydki dom, a to niesympatyczni pracodawcy, a to marne wynagrodzenie. I wreszcie, kiedy już zwątpiła, przypadkowo poznany Włoch zdradził, że jego rodak złamał rękę i poszukuje kogoś na podobieństwo pielęgniarki i gospodyni. Zachwalał znajomego pod niebiosa, odmalował go jako człowieka ideał. Niekłopotliwego, sympatycznego, wyrozumiałego i, co intrygujące, szczodrego. Pojechały więc wczoraj we trzy pod wskazany adres i Dorota aż zaniemówiła.

Trudno się zresztą dziwić.

Dom stojący przy ulicy Świętokrzyskiej prezentował się prze-

wspania-le. Był jakby projekcją jej architektonicznych marzeń. Wielki, wykończony karbowaną cegłą i cacuszkami kowalstwa artystycznego po prostu zachwycał. Podobne wrażenie wywierały trawniki, klomby, krzewy i drzewa - roślinność, która aż wylewała się poza mury, wyglądała bajkowo i szeptała o szmaragdowym cieniu. Kiedy Dorota zobaczyła jeszcze i szemrzącą cichutko fontannę, podjęła postanowienie: dostać się do tej oazy spokoju. Zamieszkać w którymś z tych słonecznych pokoi. Pozbyć się wścibskiej matki, zasypującej ją radami cioci Czesi i bałaganiary Eweliny.

Zrobić wszystko!

Z tej desperacji zrodził się plan: zyskać pewność, że Włoch nie zatrudni nikogo innego. Do tego potrzebowała pomocy swych siostr (niestety liczba chętnych do pomocy została zredukowana), które nakłoniła do urzędzenia małego przedstawienia. Gdyby tak siostrzyczki zastukały do drzwi jako fałszywe kandydatki i dały się Włochowi w kość, a potem dla kontrastu przybyłaby ona...

- Ewelina, ja cię błagam! Zniechęć? Po co ci peruka? Wystarczy, że będziesz sobą.

Wypowiedziane z głębi serca słowa przyniosły raczej odwrotny efekt.

- Tak? Taka jesteś? Ja ci pomagam, a ty mnie obrażasz? Masz tupet...

- Chciałam tylko powiedzieć, że jak przedobrzysz, efekt będzie przeciwny. - Dorota usiłowała ratować sytuację, bo знаła chimeryczny charakter swojej młodszej siostry.

- Aha, akurat.

- Naprawdę nie miałam niczego złego na myśli. Przysięgam!

- W porządku. - Ewelina kalkulowała coś przez chwilę. - Ale poniesiesz dodatkowe koszty. Żółta sukienka.

Stawka była wysoka, ale Dorocie nie pozostało nic innego, jak przystać na warunki.

- Kiedy?

- Jutro. - Ewelina zerknęła przez ramię na Cezarego i po cichutku przemknęła się do wyjścia. - Jutro planuję wyrzucić



piorunujące wrażenie na pewnym genetyku. A teraz stąd zwiewam, bo jak przyjedzie policja, to faktycznie, ten twój Włoch się mnie nie doczeka.

\*

Cezary zapewne nie poznałby treści pożegnalnego listu samobójcy, gdyby nie Lesiak, który bez zbędnych ceregieli zajrzał przeorowi przez ramię i zaczął literować na głos:

Nie chcę już więcej żyć; życie nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Przepraszam, Tato. Artur Rożek.

- Hm, Artur Rożek? Nie znam - wyznał z żalem po zakończonej lekturze.

Przeor złożył kartkę i schował ją w mankiecie szaty, starając się stłumić niezadowolnienie.

- Pan Stefan nazywa się inaczej - poinformował, mimo że swoboda, z jaką zachowywał się profesor, wcale mu nie odpowiadała.

- A jak?

- Panie profesorze, nie bądźmy niedyskretni.

- A tak. Dyskrecja, styl i klasa, trzy dostojne cnoty. - Lesiak rozpromienił się i już był gotów do wygłoszenia stosownej mowy, kiedy zza rogu wyłoniła się kilkusobowa grupa mężczyzn. Idący na ich przedzie wysoki szatyn wyciągnął do przeora rękę i przedstawił się przyjemnie brzmiącym jak na funkcjonariusza głosem:

- Jerzy Niecko, komisarz. Przepraszam, że tak długo, ale mieliśmy interwencję. Chciałbym rozmawiać z przeorem klasztoru.

- To ja. - Przeor uściśnął dłoń policjanta i zdobył się na uśmiech, bo komisarz robił sympatyczne wrażenie, w przeciwieństwie do otaczającej go świty posępnie wyglądających facetów, którzy jednak sprawnie wzięli się za swoją pracę. Dwóch z nich odgrodziło przejście przy kruchcie taśmą, pozostali zajęli się zabezpieczaniem śladów i pisaniem tożsamości świadków.

- Możemy gdzieś w spokoju zamienić parę słów? - kiedy

Niecko dopilnował już najważniejszych spraw, poprosił ojca przeora o rozmowę. Paulin zerknął z wahaniem na Lesiaka i Cezarego, którzy przez cały czas wiernie mu towarzyszyli.

- Zapraszam do klasztoru - powiedział i skinął w ich stronę. - Ci panowie również są zainteresowani, pójdziemy razem. A gdzie jest ta dziewczyna, która ponoć widziała, jak synowi pana Stefana ktoś... pomógł skoczyć?

Dopiero wtedy Cezary zrozumiał, dlaczego czuł się tak nieswojo. Brakowało aferzystki! Zapomniał o niej na śmierć, nomen omen. Odeszła na stronę, żeby swobodnie porozmawiać przez telefon, i wszelki ślad po niej zaginął. A to spryciara! A tak się wyrywała, żeby pomóc, tak się pchała.

I jak tu zaufać kobiecie?

Lesiak rozglądał się bezradnie, nawet obszedł dziedziniec, ale bez skutku.

- Pomógł skoczyć? - wychwycił Niecko.

Z rezygnacją włożył ręce do kieszeni i zapatrzył się w jeden z zegarów słonecznych, które zdobiły przedsionek bazyliki. Cienie płażały wesoło na cyferblatach, a ponad bramą leżały dwa tłuste aniołki wsparte beztróska na ramionach. Popatrywały na dziedziniec z nieodmiennym spokojem i nie musiały się nad niczym zastanawiać.

Chętnie by się z nimi zamienił.

- No i mamy morderstwo - rzucił niby do siebie, ale stojący obok brunet nadstawił uszu.

- W całej swojej karierze nie widziałem samobójcy w garniturze.

\*

Denat miał starannie wypielęgnowane dłonie.

Jurek Niecko od razu zwrócił na to uwagę i zaczęło mu śmierdzieć (a propos zapachu: rozpoznał „Fahrenheita” zmieszanego z odorkiem zwłok), bo jak do tej pory spotykał raczej samobójców neurotyków, którzy namiętnie obgryzali paznokcie. Strój też nie pasował. Człowiek tuż przed targnięciem się na własne życie nie zawraca sobie obolałej duszy takimi duperelami, jak krawat dopasowany

kolorystycznie do koszuli. Podobny tok myślenia zdarza się biznesmenom, a i to rzadko, bo chłop i wycucie stylu to jak koparko-ładowarka i baletki. Jedno z drugim nie ma zbyt wiele wspólnego.

Denat na samobójcę nie wyglądał i już. No i poza wszystkim był... przeterminowany.

Staszek Dołęga, jego współpracownik i dobry kolega, tylko te podejrzenia potwierdził.

- Moim zdaniem nieboszyk jest lekko nieświeży.

- Tak. - Komisarz podszedł do największej kałuży, która wypływała spod zwłok. - Spadł z wysokości, a krwi ani śladu. Za to trochę wody z niego zeszło.

- Ano zeszło. Popatrz na siniaki. - Staszek wskazał na twarz, która była dziwnie zdeformowana i nabiegła sino-żółtawymi krwiami. - Złamanie nosa. Musiał nieźle w coś przygrzmocić.

- Na zwykle mordobicie to nie wygląda.

- Uderzył w coś, albo coś uderzyło w niego. Przed śmiercią, oczywiście.

- A widziałeś buty? - Niecko przyklęknął przy nogach denata i przyjrzał się z bliska podeszwowi.

- Picuś-glancuś.

- Nawet ani razu nie skalały podłogi, nie mówiąc już o wdrapywaniu się na wieżę.

Nigdy nie miałem takich wypucowanych - cmoknął z uznaniem komisarz. - Może do ślubu sobie zafunduję.

- Nówki.

- Niby nówki, ale popatrz na tyły obcasów. Oba zdarte.

- Masz oko - Staszek wyraził uznanie dla spostrzegawczości swojego kolegi. - Ktoś go przeciągnął po schodach?

- A ty byś wnosił na wieżę takiego klocka? Lekki to on nie jest - ocenił rozmiary leżącego na ziemi mężczyzny. - Z dziewięćdziesiąt kilo... martwej wagi. No to nam się poszczęściło. - Niecko westchnął i powiódł wzrokiem po świętych murach.

Już widział, co się będzie działo. Morze świadków do przesłuchania, każdy etap śledztwa pod kontrolą, pytania,

raporty, sugestie prokuratora, który z pewnością weźmie sprawę pod swoją jurysdykcję. Utoną w papierach, a za każdy błędnie wypełniony świstek oberwą. Nie wspominając o tym, że marny ich los, jeśli nie znajdą mordercy.

- Zdolne chłopaki jesteście. Damy radę - Staszek usiłował żartować.

- Jasne. Jasne jak Jasna Góra.

\*

Na Rai Sport nadawali właśnie mecz, ale poziom tego wystąpienia był raczej mierny, więc Aldente nie zdenerwował się zbyt, kiedy usłyszał dzwonek do bramy. Jednak i tak nie zamierzał otworzyć. Delektował się bowiem przysłanymi dzisiaj przez Mammę serami i tylko trzęsienie ziemi mogłoby go oderwać od tych smakowitości.

- Rico!

- Czego?! - odpowiedział mu wibrujący znajomo głos. No tak, zbliżała się osiemnasta. Jego kumpel bywał o tej godzinie lekko napromilowany.

- Sprawdź, kto to.

- Czemu ja? Z góry lepiej widać. Kto stoi pod drzwiami?! - Rico wykrzyczał do pełniącego na poddaszu wartę Ronaldo, chociaż z kuchni do holu, gdzie wisiał telewizyjny wizjer, miał zaledwie parę kroków. Czyżby znajdował się już w stanie wskazującym na czołganie?

- Cztery kobiety - doleciało od strony schodów. - Młode, ale dziwne. Trzymają w rękę jakąś płachtę.

- Świadkiniom Jehowy mówimy: nie - powiedział pod nosem Rico, ale Aldente miał dobry słuch.

- Wyjdź do nich i bądź grzeczny - wydał polecenie. - Pamiętaj, że dbamy o wizerunek. Chociaż nie... - zreflektował się, mimo że gorgonzola łaskotała mu przyjemnie nozdrza zapachem rozkładu. - Lepiej pójdę z tobą.

Po wieczornej porcji piwa Rico stawał się nadmiernie rozmowny i chociaż alkohol nie uderzał mu do głowy, a wręcz przeciwnie, łączył w tym zdegradowanym umyśle poprzerywane styki, to jego współpracownik niekoniecznie

musiał wywierać na wszystkich korzystne wrażenie. Gdyby jeszcze doznał muzycznego natchnienia i wykonał jeden ze swoich disco przebojów, z pewnością zostałyby zapamiętany. Na czym jak na czym, ale na popularności im przecież nie zależało.

- A było tak miło - wymruczał Aldente, podchodząc do drzwi. Z roztargnieniem zerknął na monitor telewizjera.

I włos zjeżył mu się na głowie.

- Rico!

- Co znowu? !

- Rusz się, przecież sam nie otworzę. - Zatrząsł gipsem, który miał ochotę roztrzaskać średnio kilka razy na dobę.

Rico wyczuł w głosie swojego szefa elektryzującą nutę, bo lekko się kołysząc, znalazł się przy nim nad wyraz szybko. Zbliżył twarz do wyświetlacza i wlepił w ekran rozbiegane spojrzenie.

- Co to? - On również nie rozumiał.

Przed bramą doszło chyba do jakiej minidemonstracji, bo jak inaczej wytłumaczyć, że na ekranie widzieli stadko bab ubranych w białe fartuchy i pielęgniarskie czepki? Stały jakieś' takie nastroszone, wrogie. Ta z przodu, z upiornie czarnymi kłęczami na głowie, żuła beznamiętnie gumę i trzymała transparent z włoskim napisem: POLSKIE PIEŁĘGNIARKI NIE ZNOSZĄ SPAGHETTI! Na ramieniu dyndał jej sporych rozmiarów aparat, co od razu wzmogło ich czujność.

- Czego one chcą? - Aldente zaniepokoił się nie na żarty.

Kolejny dzwonek zmusił ich do podjęcia decyzji. Zabrzmiął nagłąco i kategorycznie.

- Nie mam pojęcia - wymamrotał Rico. - I po co tej czarnej aparat?

- Też się zastanawiam.

- Co robimy?

- Jak to co? Jesteśmy mili. - Aldente zerknął kontrolnie w lustro. Zadowolony z efektu wskazał na szafkę, gdzie leżały okulary słoneczne. - Zakładamy. Jak zrobią zdjęcie, to i tak nas nikt nie rozpozna.

- To ja też. - Rico wydłubał swoją parę z kieszeni spodni,

po czym przekreślił zamek i pchnął skrzydło drzwi tak energicznie, że odbiło się od ściany i powróciło, trafiając w szefa, który właśnie przekraczał próg.

Słyszając niespodziewany łomot, pielęgniarki zbiły się w przestraszoną gromadkę i z zapartym tchem obserwowały ślaniającego się po podjeździe Włocha. Wywijał krzesanego w basenowych klapkach i wykrzykiwał w swoim języku jakieś wyrazy, które zapewne były przekleństwami, ale dla osób postronnych brzmiały jak nazwy pysznych włoskich potraw. Dziwił nieco fakt, że długowłose przystojniak i jego towarzyszy wystąpili w okularach przeciwsłonecznych, ale może to taka południowa moda?

- I co teraz? - Jedna z uczestniczek demonstracji rzuciła niepewne spojrzenie na dziewczę walczące ze spadającą jej na oczy czarną koafiurą.

- Spoko wodza - padło, acz niezbyt żwawo. - Bunt pielęgniarek to lepsze, niż gdybym była jakąś tam pojedynczą kandydatką. Dorota powinna mi dziękować. Ja tu zaraz czegoś dostanę! - zirytowała się nagle. - Cholerne kłaki!

- Musisz poprawić spinę - doradziła pospiesznie szatynka. - Ile mamy tu tak stać? Nie pamiętam, jak wymawiać ten napis. - Zerknęła na transparent.

- To mówimy po polsku, bo ja też zapomniałam - szepnęła teatralnie chudzina w peruce.

- Zaczynamy?

- Ale nic nam nie zrobią?

- Takie patałachy? - Fałszywa brunetka nie spuszczała oczu z kłócących się mężczyzn. - Włoch ma złamaną rękę, a blondyn zalał twarz. Zobaczcie, jaki czerwony. Poza tym ma nadciśnienie. A mówi wam to... siostra przełożona, hi, hi. W porządku, zaczynamy, bo Włosi podobno potrafią się kłócić godzinami. Drzemy ryje, dopóki ich szlag nie trafi. Po polsku. Nie wdajemy się w negocjacje, tylko wyrażamy swój sprzeciw wobec zatrudniania polskich pielęgniarek przez włoskich pracodawców.

- Ewelina... A co jest złego w tym zatrudnianiu, tak swoją drogą? - zapytała szatynka, ale siostra przełożona jedynie

wzruszyła ramionami.

- A czy protesty muszą mieć jakiś sens? Mało to protestów? Nawet sensownych? Potem i tak wszystko wraca do normy, a władza robi, co chce. Żadna różnica. Słuszny protest czy nie, zawsze kończy się tak samo.

\*

Wstępne przesłuchanie miało miejsce w Sali Ojca Augustyna Kordeckiego, gdzie było chłodno, ciemno i zacisznie. Po schodach schodziło się do przestronnej hali, której środkowa część stanowiła podium przeznaczone dla mówców. Przemawiający po obu stronach mieli widownię, a na wprost ich oczu wisiał imponujących rozmiarów obraz *Polonia* przedstawiający znanych Polaków. W wykutych w murach oknach majaczył soczystą zielenią klasztorny park, skąd wpadał przyjemny wietrzyk, który najpierw ochładzał najbliższe ściany, a następnie gnał aż do prawego rogu pomieszczenia, gdzie znajdowało się wejście do Bastionu św. Rocha i urządzonego tam Skarbca Pamięci Narodu. Lewa część sali tonęła w ciemności i tam właśnie zaprowadził ich ojciec przeor.

- Siadajmy, zapraszam. Tu nam nikt nie przeszkodzi.

Komisarz Niecko usadowił się rząd przed nimi tak, że padające z tyłu światło skrywało jego twarz. Staszek pilnował ekipy, mógł się więc w spokoju zająć świadkami. Od razu przeszedł do konkretów.

- Na początek chciałbym poznać dokładną godzinę zdarzenia.

- Mnie zawiadomiono w zasadzie od razu - wyznał ojciec przełożony. - Sprawdziłem na zegarku, była piętnasta czterdzieści pięć. Kuranty zaczęły wygrywać melodię.

- Ja też sprawdzałem godzinę, jak Ewelina... ta zaginiona dziewczyna... jak robiła zdjęcia przy bramie. U mnie była piętnasta czterdzieści - włączył się Cezary.

- Świetnie. A do której wieża jest czynna dla zwiedzających?

- Do szesnastej - odpowiedział przeor.

- A przed szesnastą kręci się tam wielu turystów?

- To zależy, ale raczej niedobitki. Dokładnie trzeba spytać panią Anię, ale dzisiaj zastępował ją pan Stefan, ojciec... denata. Na co dzień pracujący właśnie tu. - Przeor wskazał na przeciwległą ścianę. - W bastionie.

- A to ciekawe. - Komisarz poprawił się na krześle. - Zawiadomiono mnie, że pan Stefan trafił do szpitala. Podobno coś z sercem, współczuję. I co? Syn popełnił samobójstwo w miejscu pracy ojca?

Przeor splótł ręce i opuścił je bezradnie na habit.

- I to właśnie wtedy, kiedy pan Stefan miał zastępstwo na wieży - podkreślił usłużnie Lesiak, ale przeor omiótł go mało przychylnym spojrzeniem.

- Panie profesorze, proszę... Co pan insynuuje? Chyba nie to, że pan Stefan zabił własnego syna? - W głosie przeora pobrzmiwało oburzenie. - Oj, źle się dzieje. A to dopiero czubek góry lodowej!

- Spokojnie - uciszył ich komisarz. - Z oskarżeniami radzę się wstrzymać. Póki co pomóżcie mi panowie ustalić fakty, bo od czegoś muszę zacząć. Zatem jeszcze raz. Zdarzenie miało miejsce o piętnastej czterdzieści, tak?

- Tak - odpowiedzieli mu zgodnym chórem.

- Wiem już, że pan Stefan pracujący w bastionie jest ojcem denata. Jak nazwisko?

- Ale kogo, bo my tu mamy rozbieżność? - uściślił mało taktownie Lesiak.

- Jaką rozbieżność?

- Pan Stefan nosi nazwisko Bobowiec - przeor tym razem ubiegł profesora. - A jego syn podpisał się pod listem jako...

Sięgnął do rękawa i wydobyl stamtąd kartkę papieru, którą następnie wręczył Nieckowi. Ten wstał i podszedł kilka kroków do źródła światła, gdzie przebiegł oczami po tekście.

- Hm... Artur Rożek? - Zamyślił się i spojrzał pytająco na przeora.

- No właśnie, nas to też zastanawia - wyznał niepytany, ale szczerze przejęty Lesiak. - Może zwłoki jednak nie były synem pana Stefana? To znaczy synem biologicznym.



- Panie profesorze! - Doprowadzony do ostateczności przeor w końcu nie wytrzymał. - Nie mam już do pana słów. Nie wypada mi pana pouczać, ale zachowuje się pan niestosownie. Ciągłe pan przeszkadza.

Cezary uśmiechnął się pod nosem. Cały Lesiak. Teraz pewnie zacznie się przed przeorem kajać. Kolejny występ gwarantowany.

- Ojczy! - Profesor uderzył się w pierś. - Ja proszę o wybaczenie, chciałem tylko pomóc. Ja uklęknę, wyznam winy... - Zaczął zsuwać się z krzesła, ale Niecko zareagował błyskawicznie. Ujął go pod ramię i postawił do pionu.

- Panie profesorze, mam pomysł - zagaił z zapalem, ale zarazem stanowczo i grzecznie zaczął prowadzić Lesiaka do wyjścia. - Spotkamy się indywidualnie. Poświęcę panu wtedy cały swój czas, dobrze?

- Zgoda, zanim się jednak rozstaniemy, muszę skierować pana uwagę na pewien szczegół. - Lesiak usiłował protestować, choć niezbyt skutecznie, bo Niecko chwycił go oburącz w żelaznym uścisku i prawie ciągnął biedaka po posadzce. Ten jednak nie przerywał swojej tyrady. - Chodzi mianowicie o ten list. Jest 49stanowczo zbyt poprawny interpunkcyjnie. Średnik! Zauważył pan? Kto dzisiaj stosuje średnik? A już samobójca na pewno nie myśli o poprawności językowej. Od razu mnie tknęło. I znowu wyszedłem na komedianta... - dokończył żałośnie, próbując z oddali błagać Cezarego wzrokiem o ratunek.

Cezary z pomocą jednak się nie kwapił. Nawet poczuł ulgę, bo Lesiak potrafił wprowadzać zamieszanie jak mało kto, a on by chętnie przyjrzał się pracy komisarza z bliska. Dwa lata temu uczestniczył w rozwiązywaniu zagadki kryminalnej i dobrze to wspominał. Co prawda rzecz toczyła się podczas sezonu wykopaliskowego w Kenii i w roli kierującego dochodzeniem wystąpił odstręczający John Jenga, ale Cezary nie przepadał za nudą i w gruncie rzeczy cała afera mocno go wtedy przejęła. Jeśli i tu szykuje się coś podobnego, przedłuży swój pobyt w tym świętym miejscu, jak długo się da.

- Wyjaśnijcie mi, panowie, jedną rzecz. - Niecko wrócił już

na swoje miejsce. - Skoro wasz pracownik nosi inne nazwisko, skąd wiadomo, że jest ojcem zmarłego?

Z chwilą kiedy Lesiak zniknął za drzwiami, przeor jakby się rozluźnił. Zaczerpnął powietrza i zaczął objaśniać:

- Przy mnie obejmował zwłoki i krzyczał: „Synu! Co ty mi zrobiłeś?”. I tak w kółko.

- Nic innego nie mówił?

- Nie, tylko to. Chyba był w szoku. Zobaczyć swoje dziecko martwe...

- Tak... Czy wiadomo, z której kondygnacji spadło ciało?

- Nic na ten temat nie słyszałem - zaprzeczył przeor. - A przy zejściu mnie nie było, tak jak już mówiłem.

- A pan Stefan? Proszę mi o nim opowiedzieć.

- Pracuje u nas już od ośmiu lat i do tej pory dał się poznać jako osoba bardzo sumienna. Cenię go jako człowieka i jako pracownika. Spokojny, dla wszystkich miły i serdeczny, bardzo lubiany. Ta tragedia to dla nas wielki cios. Niewypowiedzianie mi przykro.

- A jego syn?

- Nigdy go nie widziałem. - Przeor pokręcił głową. - Nawet myślałem, że pan Stefan jest kawalerem, bo nie wspominał o rodzinie. Ale ja nie rozmawiam z nim za często na tematy prywatne, proszę zapytać kogoś ze Straży Maryjnej, oni się tu znają jak łyse konie.

- Zapytam - zapewnił Niecko.

- Z tym morderstwem... - przeor wymówił ostatnie słowo z wielką niechęcią. - Czy to... Czy to prawdopodobne?

Komisarz milczał przez chwilę.

- Na razie wstrzymam się od komentarzy. Zobaczymy, co wykaże sekcja.

\*

Julka jeszcze nie doszła do siebie.

W końcu nie co dzień zostaje się właścicielką alfy romeo: błyszczącej i czerwonej jak włoski pomidorek. Żadnego przemalowywania, czerwień jest cudowna. I pozytywna - Julka nadal skakała z radości, mimo że do wieczora teoretycznie

powinna była ochłonać. Nic z tych rzeczy. Energia ją wręcz rozpieierała. Poszły precz wszelkie niżowe samopoczucia, jakie przydarzały się jej przed każdą burzą.

Ta burza była inna.

Odmieniła jej zapracowane życie.

Słodki motoryzacyjny cud, którego niespodziewanie została właścicielką, pokochała od pierwszego wejrzenia, a kiedy załatwiła wszelkie urzędowe formalności i rozsiadła się w wygodnym fotelu za kierownicą, stwierdziła, że już się stąd nie ruszy. Będzie tu jeść, spać, kąpać się... Aż do wypęku. Nigdy by nie przypuszczała, że świat kolorowych dróg otworzy przed nią swoje podwoje. Że nagle będzie mogła ciąć asfaltówką przez Polskę i pławić się w klimatyzacyjnym chłodku, ile wlezie.

Co za błogość.

Chyba zaczynała rozumieć facetów.

Przecież auto doskonale robi na duszę!

Jaka psychoterapia, jaka psychoanaliza...

Brum, brum i sprawa załatwiona.

A jeszcze rankiem myślała o sobie, że jest starym trzydziestopięcioletnim ryżym (!!!) babolem z nadwagą i tendencjami do szybkiego schyłku. Miał z tym zapewne związek również fakt, że idąc do Bliklego, natknęła się na Mateusza, o którym od roku próbowała zapomnieć. Padalec, znany w Częstochowie charyzmatyczny malarz, z właściwym sobie artyzmem znęcał się przez parę lat nad jej sercem, by w końcu zmienić obiekt zainteresowań i jeść z ręki dziewiętnastoletniej smarkuli. Czas pozwolił Julce spojrzeć z dystansem na głupotę, jaką popełniła, choć uraza jeszcze gdzieś się w niej tliła. Fajnie się czyta psychologiczne podręczniki, które traktują o zdrowych relacjach, podświadomości, empatii itd. Ale Julka poszła na psychologię przede wszystkim dlatego, żeby pomóc sobie, i czasami miała wrażenie, że jeszcze mnóstwo pracy przed nią. Z natury nieufna wołała osobiście zająć się swoją wewnętrzną odbudową, niż zostawić to fachowcom. Ona będzie fachowcem! Plan częściowo się powiódł. Już nie była zastraszoną stworzeniem, które do szczęścia potrzebowało

aprobaty innych. Powoli nauczyła się, jak lubić rudzielca w lustrze (oczywiście nadal zdarzały się jej chwile zwątpienia), jak brać za siebie odpowiedzialność i nie oczekiwać, że nagle pojawi się ktoś, kto bezinteresownie i po godzinach zajmie się łataniem jej życia.

O nie, nie.

Łatać będzie sama!

Tylko samodzielność gwarantowała, że łatki będą przyszyte równo i w odpowiednim miejscu. Dorosłe życie zaczęła od wyprowadzki od mamy - najpierw uczelnia w Katowicach, potem pięć lat w Anglii (stypendium i praca w klinice psychologicznej), a po powrocie mogła sobie wreszcie pozwolić na własny dom. Maleńki i bynajmniej nie nowy, ale remont przeobraził zapuszczoną kupę cegieł w uroczy budynek o prowansalskim charakterze. Uwielbiała to miejsce, było czymś najwspanialszym, co jej się przydarzyło. Do czasów studiów mieszkała przecież we wspólnym pokoju z dwiema siostrami! A akademik też nie był ekskluzywnym hotelem, gdzie serwowano szparagi w maśle. Pamiętając o tym, nie zaproponowała więc Mateuszowi przeprowadzki. Chyba kierowała nią Opatrzność.

Dlatego mężczyznom na razie dziękujemy.

Po przejściach z kochliwym malarzem Julka nie czuła się gotowa na żaden nowy związek. Najpierw dokończy układanie poplątanych wnętrzności. Właśnie dlatego marzyła o urlopie i próbowała pozbyć się Piotrusia, który zjawiał się wczoraj w jej gabinecie. Już zamykała, więc zrobiła coś, czego nie powinna. Skoro zaczyna wypoczynek, spotka się z klientem w kawiarni. I grzecznie mu odmówi.

I co z tego wyszło, a właściwie wyjechało?

Alfa romeo!

Pewnie zachowała się idiotycznie, przyjmując ten... prezent. Nieważne. Nikogo do tego gestu nie zmuszała, a jeśli Piotrusia stać... No i znowu się usprawiedliwia. Dobrze, niech będzie. POŁASZCZYŁA SIĘ. Jeden, jedyny raz. Proszę, jak rzeczy materialne wpływają na psychikę. Zdawała sobie sprawę, że mentalność biedaka została w niej jeszcze z czasów dzieciństwa, kiedy w domu się nie przelewało. I odezwała się na

widok czerwonego cacuszka, które nawet i teraz nie było w zasięgu jej finansowych możliwości.

I do tego nie będzie musiała rezygnować z urlopu, bo Piotruś chce zacząć terapię od przyszłego tygodnia. Więc... Po kolacji na Sportowej spakuje się, a jutro odpali swoją nową machinę i śmignie w Bieszczady. Powłóczy się, naładuje akumulatory górskim powietrzem i widokami. A w niedzielę będzie jak nowa.

Duszo, śpiewaj.

Jesteś wolna.

Jak orzeł nad połoniną!

\*

Lesiak kazał sobie streścić przebieg rozmowy od momentu, kiedy przestał w niej uczestniczyć, aż do rozstania z komisarzem. Był wielce niepokieszony, że nie mógł wysłuchać wszystkiego na żywo. Humor poprawił mu się dopiero, kiedy Cezary powrócił do tematu pożegnalnego listu.

- Na to bym nie wpadł - jego współpracownik wyraził szczerze uznanie. - Interpunkcja! Ty to masz łeb, Leon.

Mile połączony profesor znieruchomiał z łopatką w ręce. Zdążyli już pobrać próbkę, a teraz podkopywali teren i kończyli właśnie przygotowywanie Bruna do przenosin, choć był to daremny trud.

- A dziękuję za uznanie. W kwestii formalnej... Ja bym to zostawił do jutra. - Wskazał na spulchnioną ziemię. - Zawiadomiłem już instytut, gdy gawędziliście z przeorem. Od razu było wiadomo, że dzisiaj nie zdążymy. To całe samobójstwo wszystko opóźniło.

- Morderstwo - uściślił Cezary, gasząc niedopałek, który do tej pory trzymał w kąciку ust.

- Trębacz! - Lesiak wściekł się, bo jego kolega odruchowo rzucił papierosa na odsłoniętą warstwę stratygraficzną.

- O, cholera! Co ja robię...

Cezary wyraził szczerą skruchę i padł na kolana w ślad za niedopałkiem. Teren wykopalisk był święty. Najdrobniejszy pozostawiony przez pracownika śmietek potrafił wywołać

kosmiczną awanturę. Cezary oczywiście przestrzegał tego niepisanego prawa, ale zamyślił się, analizując dzisiejszy dzień. Przecież jeszcze niedawno byli świadkami zbrodni. To znaczy ta mała była świadkiem, a potem nagle przepadła. Czemu zniknęła bez słowa? A może to on powiedział o jedno słowo za dużo i się obraziła?

- Mam coś! - krzyknął niespodziewanie. - Leon! Mam coś!

W tej części namiotu światło tliło się chybotliwie i nie docierało do wszystkich kątów. Cezaremu nie chciało się iść po latarkę do samochodu, dlatego w poszukiwaniu papierosa gmerał w ziemi po omacku. Kiedy poczuł, że dotyka czegoś rozmięklego, pociągnął i trzymał właśnie w ręku coś, co mogło być częścią starej, przeżartej wilgocią szaty, która rozpadała się niemal na ich oczach.

- Stój ! - Lesiaka sparaliżowało z przejęcia. - Czekaj!

W jednej chwili cała antropologiczna machina poszła w ruch. W namiocie natychmiast zrobiło się gwaro i duszno. Każdy chciał zobaczyć znalezisko. Po oficjalnych oględzinach materiał wreszcie zapakowano do pojemnika, który trafił do samochodu Lesiaka. Tylko dzięki perswazjom całego zespołu profesor zrezygnował z pomysłu, żeby przypiąć kasetkę do fotela pasami bezpieczeństwa. Pomimo późnej pory trofeum wieńczące kolejny dzień pracy jeszcze dzisiaj miało trafić do Wrocławia.

- Czy to mogło należeć do Bruna? - zapytał Cezary, zanim Lesiak zasiadł za kierownicą odprowadzany do wozu przez studentów.

- Jak najbardziej. Przecież znalazłeś to przy jego tułowi.

- Kiedy dowiemy się czegoś więcej?

- Chyba pojutrze. A w kwestii palenia... - Profesor posłał swemu pracownikowi czule spojrzenie. - Cezarku, od dzisiaj możesz na stanowisku kopcić choćby cygara.

\*

Sportowa była jedną z głównych ulic smętnego blokowiska w dzielnicy Raków Zachód, w którym w zasadzie nic się nie działo. Dzielnica jak dzielnica. Pełno bloków, jeden kościół, szkoła, poczta, trochę osiedlowych sklepików. Ale oto

mieszkańcami dosłownie wstrząsnęła wieść tak niedorzeczna, że początkowo nikt w nią nie uwierzył. Władze Częstochowy zamierzały poprowadzić w ten zapomniany róg miasta linię tramwajową, która jak nic kojarzyła się z budową kolei żelaznej na Dzikim Zachodzie. Śmiech ugrzązł w gardłach niedowiarkom, tak jak ludzie zaczęli grzęznąć w błocie, kiedy prace ruszyły. Oj, trzeba się było najeździć bocznymi drogami, jeśli chciało się dotrzeć do celu.

I cudownie się składało, bo Julka dzięki temu mogła się dłużej cieszyć swoim autem. Pod blok mamy dotarła opłótkami od strony ulicy Południowej i z dumą zaparkowała pod śmietnikiem. Na górę wleciała dosłownie na skrzydłach i tak sobie tymi skrzydłami machała i machała, bo alfa zachwyciła wszystkie kobiety w domu. Mama wznosiła co chwilę okrzyki niedowierzania, ciocia Czesia kręciła głową z uśmiechem, a jej siostry wybałuszyły oczy i stwierdziły, że zwracają jej honor. Psychologia może być intratnym zajęciem.

W końcu mogły się zająć kolacją. Ewelina przyrządziła risotto, które w cudowny sposób lechtało podniebienie. Siedziały sobie we trzy w kuchni, z radia płynęły subtelne dźwięki muzyki, a smak potrawy plus krzepiące doznania wzrokowe (Julka zajęła miejsce przy oknie) sprawiały, że wieczór należał do wyjątkowo udanych. Przynajmniej do pewnego momentu...

- Co ty tu dajesz? - Próbowała rozgryźć przepis siostry, która poza robieniem zdjęć pasjonowała się również gotowaniem i nawet pobierała w tym zakresie stosowne nauki w technikum gastronomicznym.

- Zgaduj. To nie ja. To przepis mamy Gabrysia.

- Ryż paraboliczny, wiadomo. - Julka wzięła do ust kolejną porcję i mlasnęła z lubością.

- Marchewka, seler, cebula... Starte, uduszone... Sól, pieprz. Teraz mięsiwo. Kurczak w curry plus czerwona papryka. Ostra.

- Jak na razie sama Ameryka.

- Nie ironizuj, bo twoje pierwsze kulinarne kroki pomagał ci stawiać kto?

Ewelina roześmiała się siostrze w twarz.

- Tatuś. I faktycznie, to było podobno w kuchni.

- Ja ci pomagałam. - Julka pomachała widelcem i zapatrzyła się w szybę. - Nie wiem, poddaję się - skapitulowała.

- Ja się też poddaję - dołączyła Dorota, która jako jedyna w rodzinie do gotowania miała dwie lewe ręce i potrafiła unicestwić swoimi staraniami nawet kisiel. Owszem, odróżniała risotto od ravioli, ale w kwestii składników nie myliła się, tylko jeśli chodziło o mąkę. A tej na talerzu chyba nie było.

- Widzicie, baranice? - Ewelina z dumą obnosiła swój sukces. - Jedna pietruszka, ząbek czosnku i mały pomidorek!

Na dźwięk ostatniego słowa Julka odruchowo zerknęła w stronę śmietnika.

- Nie uważacie, że mój samochodzik to właśnie jest taki ten...

- Gdybym miała w ręku pogrzebacz - Ewelina chwyciła leżącą na stole cukierniczkę i próbowała dosięgnąć nią swojej najstarszej siostry - to bym cię walnęła w łeb, aż by zadzwoniło. Umysłowo się weź i doprowadź do porządku... Ja cię proszę. To już jest męczące. Alfa romeo! - wykrzyknęła zirytowana, bo nazwa auta padła dzisiejszego wieczora kilkanaście razy, i choć gruchocik naprawdę był śliczny, do omówienia były rzeczy znacznie ważniejsze. - Alfa dupeo! Jeszcze raz może wyartykułuję. MORDERSTWO!

W odpowiedzi obie starsze siostry spojrzały po sobie jakby krytycznie.

I zgodnie zamilkły.

Ewelina zdecydowanie przewyższała je wyobraźnią. I temperamentem. Jeśli te przymioty charakteru uaktywniały się jednocześnie, najlepiej było po prostu przeczekać. Albo udać się do schronu. Ewentualnie do wykopanej głęboko w ziemi piwniczki.

- Nie przesadzasz trochę? - Dorota przemogła się i nieśmiało zasugerowała. - Co ty sobie uroiłaś? Jakie morderstwo?



- Mówisz o sprawdzonym fakcie czy o interpretacji? - dołożyła swoje trzy grosze adeptka psychologii i Ewelina obraziła się na dobre.

- Lepiej powiedz, jak ci poszło z Włochem. Zniechęciłaś go? - Dorota spróbowała zmienić temat, ale najmłodsza siostra sączyła bez słowa herbatę i patrzyła gdzieś w bok. Wyraz jej twarzy mówił sam za siebie. Dorota nie usłyszy dziś żadnej relacji.

- Ten twój włoski amant to jakiś geriatryk czy raczej bardziej użyteczny rocznik? - zaciekała się Julka, której Ewelina zdążyła bąknąć na stronie, że wszystko przebiegło zgodnie z planem.

- Nie mam pojęcia. Ale skoro szuka pielęgniarce i ma złamaną rękę, to stawiam na starucha. Trudno, nie powstrzyma mnie nawet osteoporoza. - Dorota wpakowała sobie do ust resztkę risotta i zamruczała. - Najważniejsze, że ma wspaniały dom. Mogę go sprzątać choćby raz dziennie.

Ewelina pozwoliła sobie w tym miejscu na złośliwy chichot.

- Osteoporoza! - parsknęła, dając do zrozumienia, że dysponuje rozległą wiedzą w temacie przyszłego pracodawcy Doroty, co tę wyraźnie poruszyło.

- No co? Mów! Co: osteoporoza? Jest stary?

- Stary? Prawie stoi nad trumną. - Ewelina znowu zadarła nosa i wstała od stołu. - Ale nie wiem, czy to fakt, czy moja interpretacja. Za wieczór uprzejmie dziękuję. Bawcie się dobrze - dodała z godnością i zamknęła za sobą drzwi.

- Wygląda na to, że do Don Kichota pójdziemy same - skwitowała Dorota, popatrując niepewnie na Julkę.

- Nasza towarzyska siostra biega tam co tydzień, więc niech trochę odpocznie... Knajpa, oczywiście. - Julka wstała, żeby zaparzyć kawę. - Poczekamy, aż jej emocje opadną. Nie wiem, czy te tańce to jest jednak dobry pomysł - naraz zwątpiła. - Mam sfermentowane hormony, poza tym wieki nigdzie nie byłam.

No tak, czemu to Doroty nie dziwiło?

- Chyba rozumiem. Klub, miejsce podwyższonego ryzyka? Ile zamierzasz się jeszcze ukrywać w tym swoim

psychokurniku?

- Aż mi wypadną wszystkie pióra.

- Pomyślałabyś trochę o sobie.

Julka westchnęła i z oddali popieściła wzrokiem czerwoną karoserię, która w świetle latarni lśniła równie efektownie jak w promieniach słońca.

- Właśnie zaczynam myśleć. O sobie... Ale tyle wrażeń jednego dnia?

- Nooo. - Dorota wyciągnęła z lodówki mleko. - Zęby też musisz umyć dopiero jutro, bo możesz tego psychicznie nie udźwignąć. Idziesz ze mną tańczyć, bo Ewelina się obraziła - zadecydowała. - I koniec. A teraz powiedz, jak ja mam się jutro zachować u tego Włocha?

Julka chrząknęła. Gdyby ona miała wygląd Doroty...

- O, nie przewiduję kłopotów. Zatrzepoczesz rękami i wystarczy. Owiniesz sobie każde spaghetti wokół małego palca.

- E tam. - Dorota nadstawiła uszu, czy czasem mama z ciocią Czesią nie podsłuchują. Uspokoila się, kiedy w okolicach dużego pokoju rozległo się znajome gderanie. - Siostra, ja muszę się stąd wynieść - wyszeptala. - Choćbym miała być salową w domu starców.

- Powiem ci... - Julka naraz spoważniała. - Nie wiem, czy praca u Włocha to jest dobry pomysł.

- A to czemu?

- Nic nie słyszałaś?

- Ale o co właściwie chodzi? - Dorota zaczynała się denerwować.

- Podobno w mieście mamy mafię... Włoską... - dodała konspiracyjnie.

- W Częstochowie? ! - siostra w odpowiedzi parsknęła. - Zwariowałaś?

- A w Częstochowie, w Częstochowie...

- Ale mój Włoch mieszka prawie pod Jasną Górą!

- No niby tak.

- Więc?...

- No, właśnie nie wiem. - Julka próbowała się skupić, żeby

właściwie dobrać słowa. - Jakoś ta praca mi się nie podoba. Mam złe przeczucia. Lepiej się nie przyznawaj, że znasz włoski. Tak na wszelki wypadek.

Dorotę aż zatchnęło. Jak to? Ma nie używać swojego ulubionego języka? Dwa lata temu wzięła roczny urlop dziekański i wyruszyła na podbój Włoch. Ach, co to były za upojne chwile. Italię od zawsze kochała, a pracę załatwił jej nie kto inny jak ciocia Czesia, która miała w pewnym tokańskim miasteczku koleżankę ze szkolnych lat. Spotkały się na zjeździe absolwentów i okazało się, że koleżanka poszukuje kogoś do opieki dla swojego teścia. Starszy pan był emerytowanym profesorem literatury i kiedy dowiedział się, że śliczna Polka zajmuje się podobną profesją, tyle że w swoim kraju, postanowił Dorotę zarazić romańskim bakcylem. Poszło nadzwyczaj łatwo. Po roku Dorota mówiła płynnie i pięknie po włosku, a profesor otoczony czułą opieką zdrowiał w oczach. Do dzisiaj ze sobą korespondowali.

- Jak w takim razie mam z nim rozmawiać? - oburzyła się.  
- Myślałam, że sobie poćwiczę.

- Chcesz ćwiczyć, to się zapisz na aerobik. A gadaj z nim po rusku, szwajcarsku albo po angielsku. Obojętne, może być nawet język migowy. Ale włoski na razie sobie daruj. Posłuchaj, poobserwuj. Ten dom jest za piękny - dodała dziwnym tonem Julka.

Dorota podeszła do okna i popiła łyk kawy.

- Zabawne. To zupełnie jak twoja alfa romeo.

\*

Salsą zaraziła Dorotę Ewelina, która namiętnie wizytowała Don Kichota, gdzie w jednej z sal gorące rytmy latino skutecznie pobudzały krwiobieg płasających po parkiecie par. W lokalu leciały same najlepsze kawałki, a skąpo odziane tancerki wzbudzały zazdrość co mniej wygimnastykowanych dziewczyn i zachwyty co bardziej podpitych panów. Pomieszczenie było nieduże, miejsca do tańczenia niewiele, ale klimat unosił się w zaparowanym powietrzu jak nigdzie indziej. Tu Ewelina czuła się jak ryba w

wodzie. Znała każdego bywalca i... każdego barmana, co dla wiecznie pustego portfela obu siostr było zbawienne. Teraz zdracznicy pewnie siedziała u Gabrysia, z którym zdążyła się pogodzić, a dla Doroty oznaczało to, że albo będzie na drinkowym garnuszku Julki, albo poszuka sobie przystojnego sponsora. Rozglądając się po sali, dostrzegła faceta, którego chyba skądś znała! Lustrował ją beczelnym spojrzeniem i wyzywająco się przy tym uśmiechał.

- Julian! - przywołała dyskretnie siostrę. - Co sądzisz o brunecie pod filarem?

Julka wstała od stolika i rzuciła wzrokiem we wskazanym kierunku, bynajmniej nie zwracając sobie głowy czymś takim jak wyczucie i takt.

Brunet zapałzył się w Julkę.

I stało się.

Najstarsza z siostr, wbrew podjętym wcześniej postanowieniom, zainteresowała się mężczyzną.

A raczej zainteresowało się nim jej ciało.

W tej samej bowiem chwili Julka doznała porażenia kończyn, które odmówiły współpracy i zaczęły mięknąć. Poczowała, że nie stoi na zwykłym parkiecie, ale grzęźnie w jakiejś gorącej cieczy, która sięga coraz wyżej i wyżej. Za to w żołądku zaczęło jej coś wirować w rytm salsy, a serce dostało takiego stukopuku, że o mało się nim nie zadławiła.

Młodzieniec oczywiście zauważył, że wywarł na niej wrażenie, bo nie była zbyt dobrą aktorką, a rumieniec, którym się oblała, aż ją oparzył. Po tak zadowolająco nawiązanym kontakcie wzrokowym przystojniak bynajmniej się nie krygował, ale oderwał swoje umięśnione ciało od filara i nie czekając na zaproszenie, zbliżył się do nich sprężystym krokiem. Dopiero wtedy Dorota doznała przyływu olśnienia.

- To ty! - wykrzyczała, żeby przebić się głosem przez dźwięki muzyki.

Mężczyzna uklonił się i odpowiedział z humorem:

- Bez wątplenia, to na pewno ja. A wy to wy?

- To ty podsłuchiwałaś, jak dzwoniłam! A potem...

- Potem powiedziałem, że mi stanął zegarek. Ale chyba źle

zrozumiałaś!

Dorota uniosła swoje wyregulowane brwi i popatrzyła na siostrę, która zamiast włączyć się do rozmowy, stała pod ścianą spłoszona jak pierwszoklasistka na akademii. Tymczasem Antonio Orozco z głębi swych męskich trzewi zachrypiął w utworze *Se deja Ileva*r, a facet od zegarka bez zbędnych ceregieli pociągnął Julkę na parkiet.

Dorocie spadł kamień z serca. Nie musiała już myśleć, jak by się pozbyć siostry. Bynajmniej nie zamierzała przez resztę wieczoru siedzieć przy stoliku i dotrzymywać jej towarzystwa! Złożyło się więc doskonale. Tym bardziej, że przy barze stanął właśnie pewien Latynos i tak ordynarnie patrzył znad swojej śnieżnobiałej koszuli, że Dorota postanowiła dać mu szansę zafundowania jej tequili sunrise. Z plasterkiem limonki rzecz jasna.

Ole!

\*

Z wybiciem północy za klasztorną furta słychać było jedynie chrapanie brata Melchiora, który miał krzywą przegrodę nosową i co noc serwował mieszkańcom piętra tak donośne koncerty, że w związku z tym został przeniesiony na koniec korytarza. Przenosiny bynajmniej nie dały mu do myślenia i nie skłoniły do udania się na stosowny zabieg. Dopiero kiedy ojciec Benedykt, znany w zgromadzeniu z płatania figli, wpadł na genialny pomysł i nagrał wiekowego braciszka na magnetofon marki Grundig (długo tego sprzętu szukano po znajomych), brat Melchior wpadł w przerażenie. Odsłuchując nagrania, był święcie przekonany, że bracia puszczają mu jakąś świńską ruję tudzież popisowy charkot odyńca, i prawie się obraził. Nie chciał wierzyć, że odyńcem okazał się nie kto inny jak on sam. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił więc do szpitala i ustalił z lekarzem datę przyjęcia na oddział. Odtąd spał bardzo czujnie i pilnował, żeby nie zakłócać już swoim rżeniem niczyjego spokoju. Dlatego kiedy w sąsiedniej celi skrzypnęły drzwi, drgnął w pościeli i od razu się przebudził. Zaraz jednak ponownie złożył ręce na

piersiach, bo dźwięk był mu dobrze znany.

To ten młody ogrodnik.

Pewnie idzie na spacer.

Sąsiedni pokój od roku zajmował pewien zakonnik mający problemy z insomnią. Zwierzył mu się z tego kiedyś po nocnym czuwaniu, z którego jako jedyny wyszedł ożywiony i przytomny jak po owsiance w refektarzu, a ojciec Melchior dotknięty równie kłopotliwą przypadłością poczuł coś na kształt solidarności z młodzikiem. Poza tym, czy to nie cudownie, że za ścianą przylegającą do jego rozchrapanego łóża mieszka człowiek, któremu dźwięki nie mącą spoczynku?

Mając błogie przeświadczenie, że wszystkie odgłosy układają się w znajomą kołysankę, ojciec Melchior chrapnął z całego serca, a tymczasem zakonnik z celi obok upewnił się, czy korytarz jest pusty.

Bynajmniej nie udawał się na spacer.

Odziany w białą szatę nałożył na głowę kaptur i nerwowo zerknął na zegarek, po czym bezszelestnie przemknął bocznymi schodami do tylnego wyjścia znajdującego się przy kuchni, gdzie jeszcze teraz wyczuwało się smakowitą woń duszonej cebulki i majeranku. Stamtąd, kryjąc się pod osłoną ściany wałowej, prześlizgnął się do tkwiącej w murze furty.

Wydobył z kieszeni sporych rozmiarów klucz i wsadził go pewnym ruchem do zamka. Teraz pozostawało jedynie unieść ramię drzwi, żeby nie narobić hałasu, bo mechanizm miał już swoje lata. W porządku. Poczul na twarzy chłód bijący z lochów, które służyły obrońcom bastionu za kazamaty, i zanurzył się w ciemności o mało zachęcającym zapachu pajaków i palonego wapna. Jak po nitce dotarł do kolejnego zagłębienia w murze.

Jeszcze jeden zamek.

Adidasy zaskrzypiały po rozsypanym w czasie remontu cemencie, i już.

Był na zewnątrz.

Rozejrzał się, choć w przykrywającym ogród mroku za wiele nie zobaczył. Mur gdzieniegdzie oświetlały oblepione ćmami lampy, a drzewa gięły się od wiatru, który niósł zatechłą i

gorącą zapowiedź kolejnej burzy.

Tu mógł się przestać ukrywać, nocą nikt nie plątał się po parku, ale mimo to zakonnik czuł się dość nieswojo, choć znajdował się przecież na znanym sobie terenie. Postąpił kilka kroków w stronę wiodącej w głąb ogrodu drogi i wyhamował.

Czy mu się wydawało, czy ktoś nią nadchodził?

Jak na złość przypomniał sobie, że w pobliżu znaleziono ciało brata Pawła, i już całkiem stracił rezon. Nie wierzył w żaden zawał, a ta świadomość nie była pocieszająca.

Jeśli do tego dołożyć, że w marcu został poproszony o przyrządzenie wyciągu z jemioly, która, jak wiadomo, potrafi zrobić z serca worek treningowy, można nawet powiedzieć, że miał powody do zmartwienia.

Śmiertelnie poważne powody.

Kiedy więc wiatr zaszeleścił taśmami opasującymi stanowisko archeologów, jakby złośliwie przypominał, że w namiocie skrywają się kości wiekowego nieboszczyka, braciszek wykonał w tył w zwrot i...

Staął twarzą w twarz za skradającym się za jego plecami mężczyzną.

\*

Gdyby był chociaż prostakiem.

Albo wrażliwym inaczej. To nie. Cezary znał nawet hierarchię potrzeb Abrahama Masłowa! Bynajmniej nie jest to miarą błyskotliwości, ale i tak Julka była wstrząśnięta. Ten spacer to doskonały pomysł. W klubie raczej nie było szans na spokojną rozmowę.

Świat j est j ednak jak koncert życzeń.

Jeśli wiesz, jaką chcesz piosenkę, możesz ją zamówić.

Za odpowiednią opłatą na pewno ci ten szlagier puszcza.

Tylko czemu? Czemu jest tak, że kiedy pragnęła towarzysza życia, dostała puszczalskiego artystę, a kiedy wiedziała już, jakie cechy w mężczyźnie są najważniejsze, ale nie była gotowa na podjęcie wyzwania, los stawia jej na drodze człowieka co najmniej intrygującego? Cezary...

Teoria stanu naturalnego najwyraźniej sprawdza się w stu

procentach. Psychiczne potrzeby człowieka są kodowane od najmłodszych lat. Jeśli dzieciństwu towarzyszą awantury i poniżenie, czego szuka się w dorosłym życiu? Czego podświadomie się potrzebuje, mimo że na głos się temu zaprzecza?

Potrzebuje się awanturnika i zwyrodnialca.

Ot i Mateusz.

Ale Julka już się rozkodowała, już знаła swój program działania i włączyła reset. Mateusz to był wypadek przy czyszczeniu dysku. A co do zauroczenia, trzeba jasno powiedzieć, że po kilku piruetach na parkiecie nie można nikogo poznać. Powinna o tym pamiętać, a nie przebierać nogami i robić słodkie minki.

Idiotka.

Uroczy brunet na pewno ma swoje za uszami.

- Też znasz Masłowa? - nie krył aprobaty, kiedy przyznała, że nazwisko nie jest jej obce.

- Czasem lubię sobie poczytać. - Julka ani myślała zdradzać swojej profesji. Po takiej wiadomości faceci zazwyczaj nabierali wody w usta w obawie, żeby nie uszczęśliwiła ich portretem psychologicznym. - Można powiedzieć, że psychologia to moje hobby.

- Naprawdę? - ucieszył się. - Moje też. Z tym że ja lubię się nią zajmować w praktyce.

- Ooo...

- Może zademonstruję. Teraz na przykład masz wielką ochotę wpaść w moje ramiona, ale nie chcesz być uznana za łatwą zdobycz. - Łypnął na nią z zadowoleniem. - A to oznacza, że jesteś ambitna i przestrzegasz pewnych zasad. Psychologią interesują się jednostki wrażliwe, empatyczne... - Cezary skłonił głowę, wskazując na swoją skromną osobę - więc mamy kolejną informację. Albo zwykłe zamiłowanie, albo samopomoc, bo podobno najwięcej zagubionych jest wśród psychologów i miłośników psychologii. Na pewno jesteś humanistką, bo gdyby w tej głowie... - pogłaskał ją po policzku, co Julka przyjęła z kolejnym dreszczem - świtało coś ścisłego, to raczej zajmowałabyś się klejeniem modeli



samolotów, a nie Maslowem. Widzę też wrażliwość na sztukę. Kolczyki i buty idealnie dobrane do sukienki. Jednym słowem, jesteś istotą delikatną i inteligentną. Kochanie.

Julka nabrała powietrza i starała się je wypuścić tak, żeby nie było słycać, że zipie jak smok wawelski. O, nie. Żeby tylko nie zaczęła się trząść ze śmiechu! Zaraz, przywoła w myślach coś tragicznego, co przywróci jej równowagę.

Kaszanka!

Nienawidziła kaszanki, ale nawet wyobrazenie sobie śmierdzącej kiszki rozsmarowanej na masce alfy romeo nie przyniosło oczekiwanego efektu. Julka zaczęła dygotać jak osika na wietrze, co dało się zauważyć, bo właśnie stanęli przy światłach.

- Zimno? - zapytał z uśmiechem, biorąc jej konwulsje radości za coś zupełnie innego. - Nie, nie zimno, bo mamy upalną, sierpniową noc. To chyba moje towarzystwo... - powiedział ze smakiem. - Robię wrażenie, prawda?

- A mogę teraz ja?

- A co?

- A spróbować swoich sił jako profiler.

- Będę zaszczycony, maleńka. - Podał jej ramię i przeprowadził troskliwie przez ulicę.

Zamiast jednak pójść wprost przed siebie, powiodł ją wzdłuż parkowego ogrodzenia.

Noc była, tak jak mówił, upalna, wręcz gęsta od bijącego z ziemi ciepła. Od parku Staszica niósł się zapach róż, który aż kręcił w nosie, a już na pewno oszalał. Bo jak inaczej wyjaśnić, że idąc po prostej drodze, Julka prawie się zataczała, skoro nie wypięła ani kropli, a wesołość już jej przeszła? Ramię Cezarego było krzepiąco twarde, z przyjemnością więc się na nim wsparła. I od razu przestała mieć wrażenie, że spaceruje na szrudłach. Szła sobie teraz miarowo, lekko i rytmicznie krok w krok z poznanym przed godziną mężczyzną i wcale nie bała się, że zostanie zaprowadzona do jakiegoś ciemnego zaułka i pozbawiona czci. A nikt by jej nie pomógł, bo ulica Pułaskiego wyglądała jak wymarła; tylko z rzadka śmigał nią jakiś samochód.

Zbliżała się pierwsza.

Miasto należało do nich.

- Te wszystkie, kochania, maleńkie... Bardzo lubisz mieć przewagę - Julka rzuciła na początek.

- Raczej tak.

- Co oznacza, że albo wychowywała cię osoba silnie dominująca, albo wręcz przeciwnie: ktoś, kim mogłeś rządzić. Masz kłopot z uznawaniem autorytetów, bo jesteś autorytetem sam dla siebie, a stąd już krok do narcyzmu. Na egoistę jednak nie wyglądasz. Empatia raczej zaburzona, bo nie masz barier, żeby mówić, co myślisz, a to czasem może sprawiać przykrość. Dlatego wydaje ni się, że w domu zbyt cię nie rozumiano, bo przecież ludzie traktują innych tak, jak sami byli traktowani. Palisz, bo śmierdzi od ciebie papierosami. Nałogowcy chcą sobie sprawiać przyjemność, żeby zagłuszyć jakiś problem. A już palacze są szczególnie, mają syndrom utraconej matczynej piersi, a tym samym zwiększoną potrzebę ssania, czyli deficyt bezpieczeństwa wewnętrznego.

Musiała chyba Cezaremu zabić gwoźdź, bo teraz z kolei on zaczął się śmiać. Z tym że nieco nerwowo.

- Ale mnie podsumowałaś!

- Do usług.

- Utracona matczyzna pierś, no, no...

- Jeszcze zawód. Widziałam, że masz brudne paznokcie, a patrząc na twój ubiór i... wachając twój zapach, nie można przypuszczać, żebyś był niechlujem. To musi mieć związek z wykonywaną pracą albo z posiadaniem ogrodu. No chyba że popsuł ci się samochód i próbowałeś w nim grzebać.

- Ogrodu nie posiadam. A moje auto chodzi jak niebiański rumak.

- Więc zostaje praca. Nie jesteś pracownikiem fizycznym, nie ten intelekt. Ale... może kierujesz jakąś budową albo posiadasz hodowlę drzewek? - dokończyła, chichocząc.

- Prawie zgadłaś. Z tą budową. A co drzewek, co ty na to, żebyśmy skoczyli do parku? - Najwyraźniej nie chciał już kontynuować dywagacji psychologicznych.

I trudno się dziwić.

Julka przyjęła ten ekscentryczny pomysł nieco spłoszona.

- Jak to skoczyli? Park jest zamknięty.

- Skoczyli. Normalnie. Podniósłbym cię, posadziłabyś pupę na sztachecie...

- Brzmi zachęcająco - zaniósła się śmiechem.

- A potem byś z tej sztachety skoczyła. A ja za tobą i już byśmy byli w parku.

Nocą.

Nie żartował! W sumie dlaczego by nie? Czy zawsze musi robić to, co słuszne i stateczne? Ostatnio zapomniała, jak smakuje spontaniczność. Dorota ma rację. Za to Cezary zdawał się nie mieć najmniejszych problemów, jeśli chodziło o szaleństwa, bo wskazał na budynek przycupnięty przy parkowym ogrodzeniu.

- Tam jest jakiś domek - skinał głową.

- Zagroda włościańska - wyrecytowała Julka, znająca park jak własną kieszeń. - Dawny pawilon Wystawy Przemysłowo-Rolniczej. Teraz muzeum.

- I bardzo ślicznie. - Zabytki kultury najwyraźniej były mu obojętne. - Stoją przy nim drzewa i zasłaniają. Od tej strony wejdziemy.

Przeskakiwanie ogrodzeń o godzinie zero jeden siedemnaście nad wyraz się Julce spodobało. Najpierw między prętami siatki utknął jej sandalek, później zawisła na szczycie ogrodzenia i uświadomiła sobie powagę sytuacji, co skończyło się kolejnym atakiem wesołości. Towarzysz nocnej eskapady dzielnie ją oczywiście asekurował, troskliwie przytrzymując jej podskakujące od śmiechu cztery litery. Bez chałtury - trzymał oburącz i z zapalem.

- Gdzie teraz? - zapytała przyciszonym głosem, kiedy stanęła już na trawniku.

Park o tej porze wyglądał niesamowicie tajemniczo. Julka czuła się ostatnio tak podekscytowana na koloniach, a było to jeszcze w zamierzchłych czasach, kiedy nosiła tornister i żuła gumę „Donald”. Zachwycona podziwiała, jak pomarańczowe światło plątało się w koronach drzew, wyczarowując w alejkach

desenie z liści. Gałęzie chrobotwały sobie cichutko, a duch przygody wręcz unosił się nad ich głowami i zdaje się, że przewrotnie chichotał. A już na pewno układał się w pękate serce przebite strzałą.

- Ja bym odwiedził altankę - wyszeptał brunet wprost do jej ucha. Znalazł się niebezpiecznie blisko i mieszki włosowe Julki od stóp do głów zostały postawione w stan gotowości. - Tam sobie spokojnie porozmawiamy.

Jak to było w tej hierarchii potrzeb?

Rzecz w niej najpaskudniejsza: jeśli potrzeby fizjologiczne znajdujące się u podstaw piramidy nie zostaną zaspokojone, robi się pomieszanie z poplątaniem. Jak zdobyć Mount Everest, kiedy żołądek zwija się w trąbkę i marzy choćby o sucharku?

Takie na przykład przytulanie.

Choćby z nieznanym.

I choćby w altance.

Co by na ten temat powiedział Masłow?

\*

W lustrze Dorota zobaczyła młodą, pełną osobkę z włosami zaplecionymi w skromny warkocz. Gdyby ona była poturbowanym Włochem, przyjęłaby siebie na pielęgniarkę bez dwóch zdań. Z odbicia patrzyła na nią dziewczyna jednocześnie godna zaufania i apetyczna. Schludna i rezolutna. Miła i...

- Po co się tak do tego lustra mizdrzysz? - zawołała z kuchni mama, która ze swojego stanowiska przy stole miała doskonały widok na przedpokój.

- Nie mizdrzę się.

- Mizdrzysz się, mizdrzysz - oceniła ciocia Czesia, mieszając głośno herbatkę z melisy doprawioną miodem i plasterkiem mandarynki. Aromat ziółek zdążył się już rozejść po całym mieszkaniu, ale nie na wszystkich wywierał działanie uspokajające.

W Dorocie zawrzało.

Nestorki rodu siedziały przy stole jak kwoki na grzędzie i nie dawały człowiekowi spokoju. Od samego rana. Dzisiaj, jak

podczas każdej kąpieli, mama przykleiła nos do szyby i zagrzmiała, że to ona płaci za wodę. Dla wzmocnienia wygłoszonej kwestii oczywiście załomotała w szybę pięścią. Chyba dlatego Dorota uwielbiała morze. Tam jej nikt wody nie żałował i nie wypominał. Mogła się pływać, połykać tę słoną wodę, a jeśli przyszlaby jej ochota, nawet nią pluć. Pluć i połykać. Pluć i połykać. I tak bez końca.

- Jak będę w waszym wieku, to się nie będę mizdrzyć - niegrzecznie dołożyła. - A póki co, mam powody do dumy.

- Widzisz? - Ciocia nachyliła się do swojej siostry. - Twoja krew.

Matka nie odpowiedziała. Poprawiła okulary i sięgnęła po gazetę, ale myliłby się ten, kto uważałby, że to koniec tak miło rozpoczętej pogawędki.

- Gdzie idziesz i o której wrócisz? - Dorota usłyszała sakramentalne pytanie rzucone znad okładki „Tiny”.

- Jestem dorosła. Nie muszę ci się spowiadać.

- Dorosła to ty będziesz u siebie w domu. Na swoim utrzymaniu. A dopóki za ciebie płacę...

- Przecież zarabiam!

- Chyba na kiecki - mruknęła ciocia Czesia, zerkając przez okno.

- A kto cię karmi? - matka podniosła głos.

- Jeszcze tylko dzisiaj.

- Co: tylko dzisiaj?

- Tylko dzisiaj mnie karmisz. Właśnie idę na rozmowę o pracę. Z mieszkaniem.

- Gratuluję. W końcu będzie święty spokój... Adres mi proszę zostawić - nie zapomniała dodać.

- Jaki adres?

- Chyba muszę wiedzieć, gdzie się włóczysz? Adres, gdzie idziesz, i godzinę, o której wrócisz.

Czy wobec tak oczywistego zamachu na należną każdej jednostce wolność można funkcjonować normalnie? Jeszcze gdyby matka wygłaszała te swoje uwagi innym tonem, gdyby naprawdę próbowała rozmawiać. To nie. Wieczne pretensje, krzyki, narzekania, które każdego doprowadziłyby do rozpacz.

Dorota postanowiła jednak, że nie chce sobie psuć humoru awanturą, więc dała rodzicielce adres i bez słowa zamknęła za sobą drzwi.

Miała niejasne przeświadczenie, że tym samym zamyka rozdział swojego życia.

Nawet nie wiedziała, jak prorocze były to nadzieje.

Wsiadła w autobus numer dwadzieścia sześć i po pół godzinie znalazła się na ulicy św. Rocha, skąd było blisko do Mazowieckiej, a stamtąd już tylko kilka kroków na Świętokrzyską. Kiedy dzwoniła do ozdobionej motywami roślinnymi bramy, serce waliło jej jak szalone.

I zaczęło bić jeszcze mocniej.

Tyle że już nie ze strachu.

W drzwiach pojawił się... on.

Włoch!

I Dorota, zdrowa jak krowa na jurajskim pastwisku, stwierdziła nagle, że potrzebuje soli trzeźwiących. Nie była przygotowana na takie doznania.

Na podjeździe stał cud.

Obezwładniający cud made in Italia.

Te włosy, te oczy, to ciało...

Miód, marcepan i truskawki.

- *Buongiorno!* - zakrzyknął radośnie, ukazując w uśmiechu bielutkie zęby.

Już miała odpowiedzieć, nawiązać upojną rozmowę w uwielbianym przez nią języku Boccaccia i Dantego, ale w głowie zabrzmiała jej przestroga starszej siostry.

- Dzień dobry - odparła więc nieśmiało po polsku.

- Ricoooo! - Włoch wrzasnął w kierunku domu, ale Dorota ani myślała godzić się na pośrednictwo tłumaczy. Kiedy Ewelina przestała odgrywać rolę obrażonej księżniczki, opowiedziała jej o „buncie pielęgniarek” i niejaki blondynie (że też przemilczała Włocha...). O, nie, nie.

- Szukam pracy - przeszła więc swobodnie na angielski, co Włoch przyjął z wyczuwalną ulgą. Jednocześnie wyprodukowała z siebie uśmiech. A nieraz przekonała się już, że jej uśmiech potrafił zdziałać cuda i zamienić

rozbuchanego tryka w potulnego baranka. Teraz również się sprawdził. Włoch jak urzeczony podszedł do bramy, nie spuszczać z Doroty rozanielonego wzroku.

- Taka *bellissima* kobieta szuka pracy? To chyba praca powinna szukać jej?

- Słyszałam, że złamał pan rękę. - Zignorowała komplement, ale nie przestawała się wdzięczyć.

Włoch wskazał na temblak przewieszony przez pólnagi tors, który Dorota już wcześniej zbadła dyskretnym spojrzeniem. Nie dostrzegła choćby pojedynczego włosa! Co za szczęście. Skudłone dywany na popiersiu przyprawiały ją o mdłości. Dlatego przełknęła złoty łańcuch, który błyszczał na szyi przysłego pracodawcy, choć za podobnymi ozdobami również nie przepadała.

- Nie tylko rękę. Od dzisiaj mam złamane również... serce.

- To ja chętnie pomogę.

- O, na złamane serce?

- Może najpierw spróbuję zająć się ręką.

- Od czegoż trzeba zacząć - przytaknął i poprowadził ją do środka.

Tu Dorota natknęła się na wspomnianego przez siostrę Rica, który okazał się Polakiem.

- Rychu. - Blondyn czule cmoknął ją na powitanie w rękę. - Dla przyjaciół Rico.

Wyglądał jak podrasowany emeryt z szarych szeregów, do którego nie docierało, że trzeba by już wyskoczyć z oficerek i zamienić je na ciepłe kaptcie. Oprócz wojskowych spodni żenady dopełniały koszulka opinająca sflaczały tors i tony żelu, które na króciutko obciętych włosach tworzyły coś na kształt połyskującej w słońcu czapeczki. Pod nią czerwieniała twarz starego cwaniaka.

- Bardzo mi miło. - I jego Dorota obdzieliła czarodziejskim uśmiechem, bo zamierzała przekonać do siebie każdego z domowników.

Włoch wykorzystał okazję i również dossał się do jej dłoni.

- Wspaniały polski zwyczaj to całowanie po rękach. Alessandro - przedstawił się. - Dla pięknych dam i przyjaciół:

Aldente.

- A ja jestem Dorota. - Ukłoniła się skromnie, aż warkocz przeskoczył jej z pleców na piersi, co obaj panowie odnotowali łakomymi spojrzeniami.

- *Dorothea* - wymówił z nabożeństwem Aldente i smakowicie zamlaskał. - A jakie masz doświadczenie? Medyczne.

- Opiekowałam się przez rok pewnym starszym panem w Toskanii - odparła zgodnie z prawdą i wyciągnęła z torebki referencje.

Kto by pomyślał, że ten świstek kiedyś się jej przyda...

- Jestem pod wrażeniem! - oznajmił Aldente, kiedy skończył lekturę. - *A meravillia!* Cudownie, wspaniale! - aż piał z zachwytu w typowy dla południowców żywiołowy sposób.

- Aaa... jak z gotowaniem? - wtrącił się blondyn, który złożył zaświadczenie, nawet do niego nie zaglądając.

Dorota zamrugwała oczami, starając się nie okazać zaniepokojenia.

- Z gotowaniem?

- Potrafisz gotować po włosku? Aldente cierpi, bo nie może jeść domowej carbonary.

Do tej pory sam gotował, ale teraz... Chłopcy też chodzą głodni.

- Chłopcy? - Dorocie mina wydłużyła się jeszcze bardziej. Za dziećmi przepadała, ale tylko na zdjęciach. Gotowania wręcz nienawidziła.

A już gotowanie dla całej rodziny psychicznie ją przerastało; miałyby w roli kuchni domowej wyławiać cedzakową łychę spaghetti dla potomków Aldente? Dla potomków jak dla potomków. Do gromadki należało doliczyć z pewnością również i panią domu. Przecież ktoś te dzieci musiał urodzić. Niepotrzebnie łudziła się, że ten ujmujący mężczyzna może być stanu wolnego...

- Dokładnie jest ich pięciu - zaśmiał się Aldente i wrzasnął do góry po włosku: - Chłopaki, chodźcie się z panią przywitać! Szybko!



Na schodach załomotało i po chwili do salonu wpadła gromada rosyjskich Włochów.

Wpatrywali się w nią, nie kryjąc ciekawości. Słowo „chłopcy” padło tu chyba na wyrost. Najgrubszy miał zakola, a drugi z lewej też nie należał do młodzików. Czterdziestka jak nic.

- To jest moja pielęgniarzka, Dorota - przedstawił ją Aldente, a Dorota zapadła się w fotel.

Czegoś tu nie rozumiała. Carbonara? Chłopcy? Ona ma dla tych byków gotować?

Pielęgnować, balsamować, podawać Włochowi oliwę z oliwek - tak.

Ale gotować? !

Musi to przemyśleć.

Aldente tymczasem z zapalem dokonywał prezentacji.

- Moi... współpracownicy: Ronaldo 'A Mazza, czyli Kij. - Przed Dorotą błysnął zębami najwyższy z nich. - Ten gruby... - Włoch wskazał na zażywnego tłuściocha - to Nicola 'O Mago, czyli Czarodziej, bo potrafi tak pięknie mówić, że kobiety tracą dla niego głowę. Lepiej na niego uważaj.

Grubasek również się uśmiechnął i przyjaźnie do niej pomachał.

- Carla... - Aldente klepnął w plecy najbardziej zarośniętego - nazywamy 'O Pazzo, bo mamy z nim niezły ubaw. Wesoły kompan. A to Cosimo Matrix. - Dorocie skłonił się przystojniak w okularach przeciwsłonecznych. - Nic go nie wzrusza. Mało mówi, ale za to dużo robi. W Neapolu są tacy którzy nigdy nie widzieli jego oczu. I jeszcze został nam Marie 'O N'tufato. Gniewny. Tak jak widać. Zawsze ma skrzywioną minę, ale to największy realista spośród nas. Co trzeba szanować.

Cała siódemka spojrzała na nią wyczekująco, a w umyśle Doroty doszło do zwarecia.

Pod wpływem przeciążenia systemu.

Pewnie wydarzenia potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby z opresji nie wybawił jej telefon, który zakwilił w kieszeni Aldente.

- *Mamma!* - zawołał uradowany do słuchawki i dał znak, że

na chwilę opuści towarzystwo, co Dorota postanowiła wykorzystać.

- Czy mogę w międzyczasie skoczyć do toalety? - zapytała Rica na stronie. - Poprawię makijaż.

Kiedy tylko zniknęła za drzwiami, zebrani w salonie mężczyźni popatrzyli po sobie pytająco. Po wymianie wrażeń natury estetycznej (wymiana przebiegała w języku cmokań i mało wybrednych gestów) przeszli do tego, co interesowało ich najbardziej.

- I co? - zapytał blondyna ten najwyższy. - Umie gotować?

\*

Cezary czuł się jak młody Bóg.

Pod prysznicem odśpiewał składankę będącą swobodnym montażem co większych hiszpańskich przebojów i właśnie tworzył za pomocą golarki demoniczną bródkę, kiedy zadzwonił Lesiak.

- Cezary! - krzyknął tak przeraźliwie, że w słuchawce aż zapiszczało.

- Lesiak, człowieku, czemu ty mi uszkodzasz bębni? Pogięło cię?

- Co?... Cezary! Tragedia! Okradli nas!

- Was?

- Nas! Stanowisko, ciebie, mnie, instytut... Wszystko!

- Lesiaczku, profesorku... Mów normalnie, bo dostanę zapaści!

- Właśnie dzwoniли studenci i policja. Jestem w samochodzie. Ty też wsiadaj i przyjeżdżaj!

- Gdzie?

- Do Częstochowy! Zdemolowali stanowisko, ukradli Bruna!

To już do Cezarego przemówiło.

- Bruna?! Nie!

- Tak! Przyjeżdżaj! Ja będę dopiero za trzy godziny, ale ty tam jedź natychmiast!

- O, w mordę... Lece!

Dzisiaj zamierzał oddać się pracy laboratoryjnej i

podokazywać w świecie mitochondriów, jednak w obliczu zaistniałych zdarzeń nie było mowy o podobnej rozpuście. W biegu nałożył koszulkę i popędził co sił do auta.

Na Gierkówce poprzekraczał wszelkie możliwe przepisy, ale na miejsce przyjechał po pięćdziesięciu minutach. W ogrodzie przywitali go studenci, którzy z posepnymi minami siedzieli na trawniku pod murem i za bardzo nie wiedzieli, czym się zająć.

Po chwili został więc zasypany informacjami, jak to rankiem przyszedli do pracy, ale furtkę zastali otwartą. Kiedy ujrzeli stanowisko, nie chcieli wierzyć. Taki akt wandalizmu nie mieścił się w ich młodych głowach. Ziemia była rozkopana, z warstw stratygraficznych zostało jedynie wspomnienie. Podobnie jak z ich ciężkiej pracy. Namiot, którym osłonili Bruna, walał się okłapy po wykopaliskach, a w środku znaleźli jedynie piach i wapienie.

Cezary z ciężkim sercem podszedł bliżej.

W poszukiwaniu śladów pracowali tu teraz inni specjaliści. I nie chodziło o ślady prastarej kultury. Ale o ślady przestępstwa.

- Dzień dobry - przywitał go nadzorujący pracę techników Niecko. Stał na skraju drogi, tuż przy kamieniach tworzących podstawę stacji drogi krzyżowej. - Znowu się spotykamy.

- Witam. Jechałem tu, ale miałem nadzieję, że Lesiak coś pokręcił. Albo przesadził. Czy naprawdę ukradli Bruna?

- Tym razem profesor nie minął się z prawdą. - Komisarz objął wzrokiem przemieszaną z kamieniami i liśćmi ziemię, która przypominała teraz kipiącą w garze potrawę. - To znaczy, bez urazy... Chciałem powiedzieć, że nie przesadził. Ukradziono szkielet.

- Ale dlaczego?!

- Rozumiem pana żal, napracowaliście się wszyscy... Przyjechałem, bo od wczoraj interesuje mnie wszystko, co ma związek z klasztorem - powiedział Niecko, odnotowując, że Cezary jest zdruzgotany. - Jeśli w jakimś miejscu nic nie dzieje się przez dwadzieścia lat, a potem w ciągu dwóch dni zdarzają się dwie nieprzyjemne sprawy, można zacząć się zastanawiać, o co chodzi.

- Zgadza się. Czy ja mógłbym jednak rzucić okiem?

Upewnić się? - zapytał nieśmiało Cezary, z trudem odrywając wzrok od sfatygowanej, pomarańczowej płachty. Czuł się jak żałobnik na pogrzebie.

- Przykro mi, ale do jutra my się tu pokręcimy. Ale studenci już zaglądali - wyjaśnił uprzejmie Niecko. - Szkieletu nie ma.

- Co za bydlak to zrobił?! Co za jełop?! - gorączkował się Cezary. - Jak można nie mieć szacunku dla historii? Przecież to tworzy naród. Polskę!

- Zgadzam się. - Komisarz również miał niewyraźną minę. - Podzielałam wzburzenie. Dołożę wszelkich starań, żeby to wyjaśnić. Przesłuchałem już wstępnie pracowników zespołu, ale jeszcze od pana chciałbym usłyszeć, jak zakończył się wczorajszy dzień. O której skończyliście, kto ostatni zamykał furtkę...

Ku zdumieniu Cezarego po wysłuchaniu zeznań komisarz zapytał o ogrodnika.

- Nie wie pan, gdzie on może być?

- Brat Zygmunt? Nie mam pojęcia.

- Od wczorajszego wieczora nikt go nie widział. Przepadł. Na śniadaniu też go nie było.

- Dziwne.

- Tym bardziej - Niecko zapatrzył się w ogród - że studenci twierdzą, że zastali furtkę otwartą, a tylko brat ogrodnik ma klucz. Jest oczywiście i klucz zapasowy, ale ten wisi na swoim miejscu. Zakonnicy przeszukują już klasztor.

Cezary poczuł, jak zwykle w sytuacjach stresowych, przemożną chęć sięgnięcia po papierosa. Co za ironia losu, wczoraj dokonali kolejnego odkrycia, cieszyli się z postępów, a dzisiaj efekty ich pracy diabli wzięli. Co teraz? Mają zaczynać wszystko od nowa? Przecież nowego Bruna już nie znajdują, Bruno był tylko jeden. - Ja muszę... - wyciągnął paczkę i chciał coś dodać, ale komisarzowi wystarczyło spojrzenie.

- Nie ma sprawy. Proszę się nie krępować.

Tak, zapalić i rozprostować po szaleńczej jeździe kości.

Cezary postać chwilę w miejscu, ale potem poszedł pod górkę ścieżką prowadzącą w głąb parku. Szedł powoli, starając się uspokoić myśli. Dymek ożywczo zaczął mu płuca, a w głowie zaczynało go lekko łupać. Dopiero teraz stwierdził, że jest niezmiernie głodny. Znowu nie zjadł śniadania. Organizm jednak działał mimo to, a nawet pobudzony niedawnym przyływem adrenaliny przygotowywał się do małej rewolucji, którą najlepiej byłoby przeczekać w jakichś cywilizowanych warunkach, ściskając w ręku rolkę papieru toaletowego. Walcząc najdzielniej jak potrafił, Cezary rozejrzał się za dogodnym miejscem i tak dotarł do ukrytej wśród drzew szopy. Nie zdziwiłby się, gdyby okazała się wychodkiem, w klasztorze natykał się już na urządzenia sanitarne w najmniej oczekiwanych miejscach, takich jak choćby mikroskopijny pokój ze zlewem znajdujący się w korytarzu przybudówki.

Nie wiedzieć czemu, zastukał.

To, że zwieracze wytrzymały i po doznanym zaskoczeniu jego bielizna pozostała czysta, zawdzięczał jedynie swoim stalowym nerwom.

Na pukanie bowiem ktoś odpowiedział. Słabo i całkiem niewyraźnie, ale głos z pewnością należał do człowieka.

Cezary zebrał się w sobie i zakrzyknął:

- Jest tam kto? !

Ponownie usłyszał mamrotanie, a teraz jeszcze i desperackie uderzenie w deski.

Odnalazł drzwi.

Oczywiście były zamknięte.

Co miał więc robić, przecież nie dreptać po kluczu, kiedy pod jego nosem kogoś więziono! Odgłosy wskazywały, że dobrowolnie tam raczej nikt nie siedział.

Na szczęście wszelkie żołądkowe rewelacje przeszły mu jak ręką odjął. Chwila koncentracji i wziął rozpęd. Deski wytrzymały, natomiast spajające je żelastwo nie. Z hukiem odskoczyło i Cezary z całą siłą sprężonych mięśni wpadł do środka, gdzie wylądował dość miękko, bo na cieple leżącym tu... ogrodnika. Chyba go poturbował, bo braciszek zakwiczał z bólu i odruchowo chciał strząsnąć z siebie intruza.

Niepotrzebnie.

Gdy tylko Cezary zajął w ten rozpulchniony nos, sam poderwał się na równe nogi.

- Brat Zygmunt?

- Mywymmm...

Rzekomy wychodek okazał się zwykłą szopą na narzędzia, a ogrodnik spoczywał na podłodze w podkoszulku i gatkach w żółwiku. Zestaw uzupełniały wcale gustowne adidasy. Ręce i nogi miał związane szeroką taśmą, którą również potraktowano usta. O dziwo, pod głowę czuły bandyta wsunął zakonnikowi worek z kompostem, a przy boku położył klucz do furty - Cezary rozpoznał go po rozmiarach.

- Moment! - Zastanawiał się właśnie gorączkowo, co powinien zrobić. - Nie, nie, z całym szacunkiem, ale nic nie ruszam. Idę po komisarza, on już tu sobie poświruje ze śladami, i tak dalej.

Oczy brata zrobiły się wielkie jak orzechy. Zaczął coś z wściekłością bełkotać, ale Cezary pozostał nieugięty.

- I tak mnie nie lubisz, więc co za różnica. Zaraz wracam... A jednak nie. - Zrobił w tył zwrot, bo zupełnie nagle zaświtała mu w głowie zgoła przewrotna myśl. - Nigdzie nie pójde i nikogo nie przyprowadzę.

Postękiwania ogrodnika przeszły w pełen oburzenia charkot. Zdaje się, że moralnie cierpiał. Ale cóż. Warunki dyktuje ten, kto ma przewagę, a nie dało się ukryć, że przewagę miał w tym momencie on. Cezary Trębacz, czyli genialny genetyk. Jak się pięknie komponuje. Genialny genetyk...

- Chyba że mi tu coś zeznasz. Umówimy się tak. Oderwę taśmę, a ty powiesz, czemu za mną łąziłeś. Pamiętasz? Przyglądałeś mi się z daleka. I z ukrycia. Z krzaczorów tudzież zza innej flory. A kiedy chciałem się kulturalnie przedstawić, zawsze zwiewałeś. Słucham. A może to ty mi zrobiłeś ze stanowiska ruinę, co?! Gdzie jest Bruno?!

Gdy tylko zerwał z ust Zygmunta szkaradną taśmę, ten wpił się wzrokiem w swojego wybawcę. Zamiast podziękowania za zwróconą mu wolność słowa Cezary usłyszał gardłowe:

- Złamałeś mi żebro, palancie. Wystarczyło zdjąć haczyk z

drzwi!

- Uuu... Bogobojny braciszek i tak odrażające inwektywy? Teraz to sobie... nagrabiłeś, ogrodniku. - Zakleił z powrotem te bluźniercze usta, bo jeszcze chwila, a wałnąłby katabasa prosto w nos. Za „palanta” klecha mu zapłaci, bez dwóch zdań. Tylko zapłatę należałoby odebrać z klasą.

- Teoretycznie zabawa ogniem w drewnianej szopie to nie jest dobry pomysł. - Wyjął ze spodni zapalniczkę i sprawnie ściągnął z zakonnych nóg adidas. A potem skarpetki. - Ale ponieważ komisarz będzie dla ciebie miły, kulturalny, wyrozumiały i na pewno nie zastosuje środków, które zachęcą cię do konwersacji, zrobię to ja. Smażone nóżki. Tak tę technikę nazwiemy.

Braciszek pojął, co się święci, i zaczął się miotać jak wyrzucona na brzeg ryba, ale Cezary złapał go za obnażone kończyny, upiornie przy tym chichocząc. Włożył je sobie między kolana i z całej siły przytrzymał.

- Oczywiście najpierw dam ci szansę. Ale uprzedzam. Jeśli znowu będziesz wobec mnie niedelikatny i ordynarnie nietaktowny, to arcyuprzejmie odpalam ogień. Zrozumiałeś, patafianie? Uwaga, pytam jeszcze raz. Gdzie jest Bruno?

Nie dane mu jednak było w praktyce sprawdzić, czy wynaleziona właśnie metoda śledcza okazałaby się skuteczna, ponieważ za plecami usłyszał czyjeś kroki, a następnie w szopie rozległ się zaniepokojony głos komisarza:

- Co się tutaj wyrabia?

\*

Ewelinę bladym świtem, czyli o dziesiątej rano, zerwał z łóżka telefon.

- Obudziłam cię? - w słuchawce zabrzmiał zmartwiony głos Julki.

- Tak jakby - wymruczała, otwierając lewe oko. - Co tam?

- Siostra, ty jesteś młoda i nowoczesna i się znasz...

- No?

- Jakie są objawy rzeżączki?

Pytanie skutecznie ją otrzeźwiło. Julka brzmiała jak ofiara

wypadku samochodowego, w wyniku którego straciła obie nogi. Zdaje się, że potrzebowała wsparcia.

- Ty poważnie pytasz? Aha... Poważnie - odpowiedziała sobie, po tym jak w słuchawce zapadła dla odmiany cisza. - Nie wiem, nie miałam jeszcze rzeźączki. O dziwo.

- To całe szczęście... Ale może ja mam?

- Jakim cudem?

- Cudem... Eee... Wczoraj w Don Kichocie... Ja wiedziałam, że nie powinnam iść. Mówiłam Dorocie, ale...

- Moment. Bo może ja właśnie uczestniczę w jakimś wyjątkowo realistycznym śnie albo w eksperymencie naukowym. Twoim. A robiłaś już na mnie eksperymenty. Pamiętasz? - wytknęła z pretensją w głosie.

- Ale to było podczas pisania pracy doktorskiej! - broniła się Julka.

- Ciesz się, że cię nie podałam do Strasburga. Ostatnio mówiłaś, że marzy ci się profesura. Taaa... Idę spać. Nabierasz mnie i pewnie siedzisz tam z długopisikiem i zapisujesz moje reakcje. Na razie.

- Ewelina!

- No, co? ! Zrobiłaś ze mnie królika doświadczalnego, więc się teraz nie dziw.

- Ja naprawdę mam problem - Julka zakwiliła nad wyraz żałośnie i trzeba by nie mieć serca, żeby ją tak zostawić. A Ewelina miała serce. I to czułe. A już zwłaszcza na krzywdę ukochanej siostry, która do tej pory raczej pomagała jej, a nie odwrotnie.

- Widzisz, jakie mam o tobie mniemanie? Że to niemożliwe, żebyś ty...

- Straciła głowę. W altance, w parku z nieznanym. Ewelina mało delikatnie wybuchnęła śmiechem.

- Nie wierzę!

- Uwierz.

- I co?

- Jakże: co?!

- No jak było?

- Było... zaskakująco.



- A jakieś wzmożone środki bezpieczeństwa?

- Właśnie...

- Bez środków?!

- Czy jakby było ze środkami, tobym cię pytała o rzeźaczkę?!

- A nie bałaś się, że wyjdiesz z tej altanki z plemnikami i one cię... Inwazyjnie zapłodnią?

Julka westchnęła z przygnębieniem. Nieczęsto zdarzało się ją słyszeć tak przybitą.

Biedaczka, chyba naprawdę musiała być zrozpaczona. Tak to jest, jak zakonnica bierze się za czyny lubieżne.

- Wiesz, że u mnie jak w zegarku - próbowała się tłumaczyć.

- Ale że ty...

- Ja! Zawsze wy się łajdaczycie. A ja co? Jestem jakimś wynaturzonym stworem?! Też mam potrzeby. I było wspaniale.

- Słuchaj. Ja się nie łajdaczę. - Ewelina uznała za konieczne zaznaczyć pewne sprawy bardzo wyraźnie. - Mam Gabrysia.

- Tak, a kto przymila się do każdego przystojnego faceta?

- To co innego! Przymila, nie znaczy: włazi na niego bez nijakiej pamięci! W altance!

Bez...

- Już dobrze! Przecież nie chcę się kłócić. Widzisz, że jestem zdenerwowana i plotę głupoty... Co ja mam teraz robić? Już się zarejestrowałam w przychodni. Ale może ja się powinnam przebadac prywatnie? Jak sądzisz? Może są jakieś specjalne badania? Wenerologiczne. Jeszcze nic nie jadłam, mogę zrobić. I chyba pójdę do spowiedzi. Bo z Mateuszem to przynajmniej było jakieś uczucie, a tu...

Ewelina usiadła w pościeli i rozejrzała się po pokoju, w którym Dorota zdążyła już przed wyjściem przewietrzyć. Ziewnęła.

- Julianku... Mam do ciebie prośbę. Jako smarkata siostra. Jak następnym razem spotkasz faceta, który sprawi, że *panta rei*... Pomyśl o mnie. Ja cię proszę. I go poniechaj. Albo jeszcze lepiej zadzwoń, ja to załatwię. Bo drugi raz takich

histerii nie zniósę. A w Internecie znajdziesz wszystkie objawy wszystkich chorób.

- Ewelina...

- Co?

- A kiła? Czy to się jeszcze w dzisiejszych czasach zdarza?

\*

Lesiak załapał się na jajecznicę z pieczarkami, którą podano w refektarzu specjalnie dla nich. Prawdopodobnie ten fakt uratował Cezaremu życie. Profesor dotarł bowiem do Częstochowy w fatalnym stanie psychicznym. Gdyby nie ciepły posiłek, jeszcze długo zajęłoby stawianie go do pionu. Najpierw stał przez pół godziny z miną pobitego psa przed pustym namiotem, potem wygłosił na cześć nieobecnego Bruna mowę pożegnalną. Dopiero wtedy pozwolił się zaprowadzić do refektarza, gdzie zadbał o niego zakonny kucharz.

Komisarz skończył przesłuchiwać wstrząśniętego brata Zygmunta i również siedział przy stole, zaproszony tu, ku pokrzepieniu żołądka, przez ojca przeora, który nie mógł im jednak towarzyszyć. Niecko jadł w skupieniu i słał Cezaremu znad swojej porcji dość zagadkowe spojrzenia, które zdradzały jednocześnie podziw i niedowierzanie.

- Ogrodnik naskarżył - zagadał komisarz - jak to się pan Cezary z nim zabawiał.

Wiadomość zelektryzowała Lesiaka, który do tej pory pożywał się, acz dość niemrawo.

- Zabawiał się? - błyskawicznie podchwycił.

- A tak, pan Cezary sam przekaże panu szczegóły.

- Cezarku!

- Lesiak, zajmij się może jajami. - Cezary wskazał talerz usłany beżową packą i w dowód sympatii oddał profesorowi swój szczypiorek. - Pyszna ta jajeczniczka.

Komisarz napił się dla kurażu herbaty i spojrzał na siedzącego przed nim doktora genetyki ewolucyjnej. Wyraz jego twarzy wskazywał, że podjął pewną decyzję.

- Nigdy tego jeszcze nie robiłem... - zaczął, a Lesiak uśmiechnął się do niego zachęcająco. Opłakał już Bruna

należycie, mógł się więc zająć sprawami doczesnymi. Na przykład komisarzem, do którego żywił wielką sympatię i który najwyraźniej zbierał się, żeby ogłosić coś ważnego - ale tym razem nie pozostaje mi nic innego, jak wyrazić swoje uznanie i coś zaproponować.

Cezary usiłował zrozumieć, o co policjantowi chodziło, ale jajka musiały mieć jakiś wpływ na efektywność myślenia, bo za bardzo nie pojmował. Z zaskoczeniem przyjął więc fakt, że komisarz wstał i uroczyście przed nim zasalutował.

- To przesłuchanie w szopie... To było fantastyczne! - wyznał. - Szkoda, że mnie tak nie wolno, i naprawdę żałuję, że panu przerwałem. Czy możemy sobie mówić po imieniu? Będę zaszczycony.

- Tak jest! - Genetyk z niejakim ociąganiem dźwignął się z za stołu i również trzasnął obcasami. - Cezary.

- Jurek. - Komisarz wyciągnął dłoń. - Swoją chłop z ciebie, Cezary.

Przyglądając się tej wzruszającej scenie, profesor z niejakim rozczarowaniem stwierdził, że najwyraźniej kogoś tu pominięto, a pozostawać na marginesie wydarzeń nie znoślił, tym bardziej teraz, kiedy potrzebował wsparcia. Poniechał więc konsumpcji i z zapalem rzucił się ścisnąć Niecka, który stał teraz sztywny, jakby połknął kij. Okrutnie się przy tym krzywił.

- Leon - przedstawił się rozemocjonowany.

- Yyy... Hm... Niecko.

- Jureczku!

Lesiak nie ustawał we wtulaniu się w tors komisarza, aż wreszcie do akcji musiał wkroczyć Cezary, który bez specjalnych sentymentów zaczął odklejać profesora od przedstawiciela władzy, zupełnie jakby miał do czynienia z ośmiornicą o lepkich mackach.

- Lesiak, dość już może tych czułości, weź się w garść.

- Ale czy to nie jest miłe? - Jego przełożony był naprawdę wzruszony. - Tak się cieszę! Gołąbki pokoju powinny gruchać, lody pękać, a ludzie zacieśniać więzy przyjaźni. Świat byłby o wiele piękniejszy.

- On jest piękny i bez twoich więzów - Cezary beznamiętnie

sprowadził profesora na ziemię.

- A właśnie, więzy. - Niecko otarł czoło i dyskretnie odsunął się z krzesłem od Leona. - Ogrodnik twierdzi, że został napadnięty. Nikogo nie widział. Otrzymał uderzenie w tył głowy i stracił przytomność.

- O której to było godzinie? - Lesiak może i był autorem melodramatycznych jednoaktówek, ale Cezary miał wielkie uznanie dla jego umysłu, który cechowała dociekliwość i zdolność logicznego myślenia. W końcu profesorem nie zostaje się z przypadku. Choć tym razem przypadek został profesorem.

- Podobno około pierwszej w nocy - odpowiedział komisarz.

- A cóż ta Boża owieczka tam o tej porze robiła?

Niecko wdał się w dyskusję z osobami postronnymi z dwóch powodów: raz, te osoby wydawały mu się porządnymi ludźmi, dwa, rozmowa była doskonałym sposobem na poukładanie myśli.

- Podobno nasz paulin cierpi na insomnię. Przepytałem jego współbraci, i zgadza się. Brat Zygmunt źle sypia i spacery dobrze mu robią na bezsenność.

- Ale chyba nie zapyła po klasztorze w gatkach? - zauważył Cezary i wyjaśnił Lesiakowi, że kiedy znalazł zakonnik, ten był w samej bieliźnie. Profesor tęsknie westchnął i już bez entuzjazmu wrócił do skubania zimnej jajecznicy.

- Oczywiście, że nie w gatkach - zaprzeczył Niecko. - Szatę ukradł mu napastnik.

- I ja bym się tu zatrzymał. - Lesiak uniósł znacząco widelec. - Po co złodziejowi skamieniałości zakonna szata? Bo rozumiem, że łączymy te sprawy: kradzież Bruna, dewastację stanowiska i napaść na ogrodnika o nosie jak kwiat kalafiora?

- Jak najbardziej łączymy - poświadczył komisarz. - Zaszły przecież w tym samym czasie. To dzieło jednego sprawcy, choć na razie nie potrafisz znaleźć wspólnego mianownika. Skoro mamy do czynienia z wandalami...

- Tego niegodziwca, Jureczku, nie nazwałbym jedynie

wandalem. Bo skoro wandal, to czemu połaszczył się na naszą chlubę, Bruna? Kości, które dla badacza mają wartość wręcz symboliczną, dla osób postronnych znaczą tyle, co, wybaczenie, kupka psich odchodów. Tu zaszło coś innego. O wiele gorszego. Zwykły złodziej ukradłby to, po co przyszedł, i uciekł.

A ten dodatkowo dokonał dzieła zniszczenia.

Niecko zmrużył oczy.

- Powiem ci... Leon, że coś w tym jest.

- Zgadza się - przytaknął Cezary i wydzielił profesorowi pieszczotliwego kuksańca, od czego Lesiak prawie się zakrztusił, bo w tym samym momencie pociągnął z filiżanki spory łyżeczek kawy. - To nie tylko był wandalizm i złodziejstwo. To była perfidia.

- Otóż to. - Niecko zapatrzył się w sufit refektarza zdobiony malunkami i koronkową sztukaterią. - A co z tą szatą, jak sądzicie? Czemu ten człowiek zdarł z ogrodnika habit?

- Mnie zastanawia jeszcze inna rzecz. - Lesiak tym razem pomachał łyżeczką. - Z tego co zauważyłem, a strój ma dla mnie wielkie znaczenie... Na marginesie, Jureczku, jeśli pozwolisz na niewinną dygresję... Do tych spodni założyłbym raczej - wskazał na kraciatą koszulę komisarza - coś bardziej *green*. W wolnym tłumaczeniu: coś bardziej lekkiego, szalonego, a nawet rzekłbym odważnie, coś zdecydowanie jarskiego. Głęboka, przepastna zieleń. Ot!

Niecko przez dłuższą chwilę analizował radę.

- No, cóż... Bardziej jarskiego? Ta koszula jest właśnie stara, ale... jara.

- Celne, Jureczku, celne!

Cezary posłał koledze pełne treści spojrzenie, po którym profesor przywołał się wreszcie do porządku.

- A właśnie... Ubiór! - zawołał nagle przejmująco. - Oczywiście! Po wypełnieniu wszelkich obowiązków bracia chodzą za klasztorną furtą ubrani jak zwykli śmiertelnicy. Zatem dlaczego nasz Zygmunt przywdziewa w środku nocy białą szatę i maszeruje do parku? Poza tym spodziewałbym się raczej, że insomnik o pierwszej w nocy będzie nosił

piżamę i co najwyżej narzuci na nią jakiś sweter.

- Celne, Leonku, celne! - Niecko mrugnął do profesora. - Tylko co to nam daje?

- To nam rzuca cień podejrzenia na ogrodnika - podchwycił Cezary. - A jakby go jeszcze raz podłączyć do wykrywacza kłamstw? Po cichu. - Wyciągnął swoją nieśmiertelną zapalniczkę i zachęcająco z niej pyknął.

- Eee... - Niecko stracił zapał. - Drugi raz ten numer nie przejdzie. Choć żałuję.

- Dobrze, moi kochani. Intymnych szczegółów mi nie przekazałeś - profesor pogroził Cezaremu - ale wspomniałeś za to o worku kompostu. I o kluczu, szarmancko położonym przy rzeczonym Zygumencie.

- To kolejny smaczek. - Niecko się ożywił. - Z wieży spada trup w eleganckim garniturze, a teraz mamy ogrodnika, o którego przestępca troskliwie zadbał i podłożył mu pod głowę poduszkę.

- I tu powoli dochodzimy do sedna! - Profesor uderzył ręką w stół. - Czy sprawca dbający o swoją ofiarę, a jednocześnie wandal depreczający kulturowe dziedzictwo to nie dość zastanawiające połączenie?

- Panie profesorze... - Niecko wstał i po raz kolejny tego dnia zasalutował. - Panu również należą się wyrazy uznania. Bardzo trafne spostrzeżenie, dziękuję.

- Naprawdę? Jureczku, nie dworuj sobie ze skromnego człowieka. - Lesiak spłonął się jak dziewica, ale słowa komisarza sprawiły mu widoczną przyjemność.

- Ja poważnie. Gdybyśmy szli tym tropem, jeszcze moglibyśmy stwierdzić, że ogrodnik i sprawca się znali.

- To właśnie miałem na myśli.

Cezary chrząknął.

- Jeśli miałbym być szczerzy, to ja bym też za tym optował.

- Dobrze, przyjrzę się braciszкови bliżej. Cały czas zastanawiam się jednak nad motywem. - Komisarz podrapał się w zamyśleniu po brodzie. - Po co miałyby współpracować ze sprawcą? Przy stanowisku nie widać jego śladów, tak że w dewastacji i kradzieży raczej nie uczestniczył.

- Jeszcze tego by brakowało! - zagrmiał profesor. - Pozwolę sobie przypomnieć o kluczu. Napastnik go zwrócił.

- Może ma swój - zasugerował Cezary. - A teraz ma do kompletu również habit.

- Cezarku, po co złodziejowi klucz, skoro na dobrą sprawę wystarczy przeskoczyć przez mur. - Profesor wzruszył ramionami. - Ten zwyrodnialec wiedział, że spotyka się z ogrodnikiem, który potrzebuje klucza na co dzień, dlatego go zostawił. No i ta kompostowa poduszeczka. Subtelny znak pokoju, ukłon po tym, jak musiał Zygmuntowi dla niepoznaki przyłożyć, żeby odsunąć od niego podejrzenia.

- Hm... - Niecko miał się nad czym zastanawiać. - Lekarz potwierdza, że zakonnik dostał w głowę. I to solidnie. Najprawdopodobniej szpadlem. Nie wiem... Odcisków palców innych niż ogrodnika nigdzie nie ma. Ani wokół zamka w furcie, ani w szopie. Co do przeskakiwania przez mur, sprawdziliśmy. Nic, żadnych śladów. Nasz sprawca spadł z nieba. Owszem, na stanowisku zostawił odcisk buta, raczej niewyraźny, ale poza tym nawet psy się pogubiły i straciły trop.

- A że tak nieśmiało zapytam, Jureczku... Co z nagraniami z kamer?

- Pech. Od niedzieli wszędzie wiszą atrapy, bo zdarzyła się awaria i od wypadku na wieży nie zdążyli tego naprawić.

- Pech albo i nie pech - profesor zniżył głos i nie przestawał wpatrywać się w komisarza.

- Ale że co? - Cezary dostrzegł ich porozumienie. - Sugerujecie, że to ktoś stąd?

- Całkiem możliwe - Lesiak przytaknął tonem wprawnego detektywa. - Jureczek twierdzi, że sprawca spadł z nieba. A może nie z nieba, ale z klasztoru? Wiedział, że kamery nie działają, najprawdopodobniej znał ogrodnika...

- To są tylko przypuszczenia - zaznaczył Niecko i nagle zaczął się spieszyć. - Chciałbym was o coś prosić. Przed wszystkim o dyskrecję. I jeszcze jedno. Gdybyście mogli być tu na miejscu moim oczami...

- Ależ oczywiście, mój drogi - zapewnił ochotczy profesor. -

Będziemy twoimi oczami, uszami, wszystkimi... członkami, jakimi tylko sobie życzysz. I pamiętaj, Jureczku. Głęboka, przepastna zieleń. Odważ się.

\*

Na oddziale kardiologicznym Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Najświętszej Maryi Panny powoli przygotowywano się do popołudniowego rytuału, jakim był obiad - jedno z ważniejszych wydarzeń dnia, jeśli nie liczyć obchodu. Skrzypiały wózki, trzaskały tace, a zamiast woni środków medycznych w nosy rekonwalescentów wpadał zapach rozgotowanej zupy i ziemniaków.

Pan Stefan nie przestawał się wahać.

Najchętniej zostałyby tu jeszcze kilka dni i przeczekał. Ale dzisiaj otrzymał wypis i doprawdy nie wypadało już tego przedłużyć. Siedział na łóżku gotowy do wyjścia, jednak rozwiązywanie krzyżówki tak go wciągnęło, że nie ustawał we wpisywaniu do diagramu coraz to nowych odpowiedzi, podpytując czasami o kolejne hasła swojego sąsiada.

- A to? Górny i Dolny? Może jakaś rzeka?

- Egipt, panie Stefanie. Egipt - padło z pryczy obok, a w drzwiach, jak na zawołanie, zmaterializowała się postać jakby żywcem przeniesiona do współczesności ze starożytnego państwa.

Obaj panowie niezmiernie się zdziwili, choć dobre wychowanie nie pozwoliło im tego okazać. Zresztą pamiętali, że znajdują się w szpitalu, gdzie można zobaczyć niejedno dziwo.

Przed nimi stała mumia.

Owszem, ubrana w koszulkę z emblematem Częstochowskiego Klubu Motocyklowego „Włóknierz”, co świadczyło o związkach z krajem nad Wisłą, ale bandaże skutecznie zakrywały całą jej głowę, z wyjątkiem otworów pozostawionych na oczy i usta.

- Dzień dobry - mumia przemówiła grzecznie i dopiero wtedy pan Stefan połapał się, kto go odwiedził.

- To ty?! - Zerwał się i obejrzał dziwo ze wszystkich stron.

- Spokojnie, nic mi nie jest. Możemy porozmawiać?



Towarzysze szpitalnej niedoli uścisnęli sobie na pożegnanie dłonie i pan Stefan był już wolny.

- Co to jest? Co się dzieje? - zapytał, gdy tylko wyszedł na korytarz.

- Wyłączyłeś telefon.

- Nie wyłączyłem, tylko mi się rozładował, bo siedzę tu od wczoraj. Nie miałem cię jak zawiadomić. Co to za bandaże, mów zaraz!

- To takie... przebranie.

- Przebranie? !

- A co? Mam się pokazywać ze swoją twarzą na mieście? Od razu by mnie zwinęli!

Pan Stefan obrzucił idącego przy nim stwora dość niechętnym spojrzeniem.

- Nie chcę tego słuchać.

- Już niedługo - zapewniła mumia. - Pojutrze wyjeżdżam. Zabukowałem bilet. Wszystko załatwię.

- Oby!

- Przysięgam, że załatwię. - W oczach pośród bandaży pojawiła się desperacja.

- Tego ci życzę.

- Mam tylko nadzieję, że stamtąd wrócę.

- Jak to: masz nadzieję? - Pan Stefan znowu się zdenerwował.

- Różnie może być.

- Jak to, różnie może być. Jakie różnie?! To po co ja się.

- Nie jadę przecież załatwiać miejsca w żłobku.

- To nie jedź!

- Jedź, nie jedź. Muszę zamknąć tę sprawę. Sam mówiłeś. Choćbym miał tym samym zamknąć swoją trumnę. A skoro mowa o trumnie... Kiedy pogrzeb twojego syna?

\*

Cezary i Lesiak zastukali do gabinetu przeora i poczekali na ciche: „Proszę”. Weszli do środka. Pomieszczenie było czyste, schludne i skromne, choć wyposażone w nowoczesne urządzenia, takie jak choćby komputer czy faks. Nie zabrakło

również książek, oczywiście z zakresu teologii, i sporego portretu Jana Pawła II, przy którym stał wazon ze świeżymi kwiatami.

- Siadajcie, kochani - paulin zaprosił ich do niewielkiego stoliczka i usiadł w jednym z foteli. - Z czym przychodziecie?

- Z pustymi rękami - strzelił Lesiak i zaśmiał się z własnego żartu. Przeor zdążył się już jednak przyzwyczać do osobliwego poczucia humoru profesora, przywołał więc na twarz wątyły uśmiech i ze stoickim spokojem czekał na ciąg dalszy, który też zaraz nastąpił.

- Ojcie Romualdzie nasz jasnogórski... - Lesiak nabrał w płuca powietrza. - My na dzisiaj skończyliśmy, bo w nasze kompetencje weszła brygada Jureczka. Czyli komisarza. Oby znaleźli naszego Bruna... W związku z czym nie mamy tu nic do roboty, więc ja pędzę co pary w kołach do Wrocławia, a Cezary co koń wyskoczy do Katowic, ale...

- Chcieliśmy jeszcze ojcu powiedzieć, że te narzędzia, które znaleźliśmy przy Brunie, zostały w końcu zakwalifikowane jako stare narzędzia górnicze - dokończył Cezary, który obiecał przeorowi, że będzie go osobiście informował o wszelkich postępach w pracach wykopaliskowych. - Dostaliśmy właśnie mailem ekspertyzę.

Nawet lubił słuchać tyrad Lesiaka, ale dzisiaj nie mógł do nich dopuścić, bo udawał się do Skrzynki poszukać blondyny, która w Don Kichocie towarzyszyła jego rudowłosemu zjawisku. Po pełnej ekscytacji rozmowie w altance zjawisko zaczęło się nagle panicznie spieszyć i prawie umknęło z miejsca zdarzenia. Niestety nie zgubiło przy okazji choćby marnego pantofelka - o numerze telefonu nie wspominając. Na Kopciuszka więc się nie nadawała. Cezary również nie widział się w roli księcia szukającego żony, ale spotkanie to już co innego.

A gdyby znaleźć rudaskę i skoczyć z nią na kawę?

- Narzędzia górnicze? - zdziwił się przeor.

- Może ma to związek z budową muru? - zastanawiał się na głos Cezary. - Geologia terenu jest jednoznaczna. Wapień. Budowniczowie musieli sobie jakoś z nim radzić. Stąd

narzędzia. Szczegóły ustalimy wspólnie, jak będziemy już mieli datowanie bezwzględne. Wtedy dopasujemy wydarzenia historyczne. Tyle nowości.

- Bardzo mi przykro z powodu dzisiejszego incydentu - przeor nawiązał do bieżących wypadków. - A co mówi komisarz, bo jeszcze nie zdążyłem zamienić z nim słowa?

- O, Jureczek się do ojca wybiera - zapewnił lekko urażony profesor, który z „incydentem” kojarzył na przykład przypalenie zupy, ale nie kradzież drogich mu antropologicznych obiektów badawczych - więc może nie będziemy wkraczać w jego kompetencje.

- A pewnie - zgodził się paulin i kątem oka zarejestrował, że profesor zabrał bezwiednie z jego biurka kopertę i zaczął się nią bawić. - Racja. Ale... rozmawiałem z bratem Zygmuntem i jestem zaniepokojony. - Strzelił spojrzeniem tym razem w Cezarego.

- Ojcu też się poskarżył? Do biskupa chyba nie napisze?

- Panie Cezary, po co ta ironia? Pan sobie kiedyś na niej połamię zęby.

- Przepraszam. Po prostu trochę się rozpędziłem. Pomyślałem, że to brat Zygmunt zniszczył nasze stanowisko, i nerwy mi puściły.

- Skąd takie przypuszczenie?! Brat Zygmunt to jest kulturalny człowiek. Muchy by nie skrzywdził, a co dopiero mówić o niszczeniu dóbr... kultury, zresztą. To ogrodnik! Z zamiłowania! Rośliny aż mu eksplodują w rękach. On i dewastacja? A może jeszcze przypiszecie mu i kradzież Bruna? Bez przesady jednak!

- No, nie wiem. Taka mała zapalniczka... O co tyle krzyku?

- Zapalniczka? Jaka zapalniczka?

- Przecież naskarżył?

- Ale nie o zapalniczkę! Dobrze, ja już nic nie chcę wiedzieć. - Przeor uniósł w kategorycznym geście rękę i odruchowo wyrwał Lesiakowi maltretowaną przez niego kopertę. - Co tu się dzieje? Co tu się dzieje?!

- Tak sobie miziałem. - Lesiak spłoszył się i usiadł nagle grzeczny i wyprostowany.

- Przecież ja nie do pana, panie profesorze. Ja się zastanawiam, co się dzieje w tym klasztorze. To jakaś plaga niefortunnych zdarzeń!

- Jureczek i my... Wszystko się wyjaśni.

- Modłę się o to gorąco. Zastanawiam się tylko, dlaczego jesteśmy tak doświadczani? Ale widocznie tak ma być. - Przeor zebrał się w końcu w sobie. - A to, moi drodzy - pomachał kopertą - to są kondolencje od Sekcji Miłośników Dwóch Kół. Złożone na moje ręce z powodu śmierci brata Pawła.

Choć myślami Cezary znajdował się już w II Alei przy wiadomym lokalu, wypowiedziane imię zdążyło jeszcze do niego dotrzeć.

- Ale co on miał wspólnego z tymi kołami, czy jak im tam?

- Brat Paweł uprawiał czynnie kolarstwo. Uczestniczył nawet w zawodach i zdobywał nagrody. Te puchary - przeor wskazał na oszkloną gablotę - należały do niego.

Lesiak aż się poderwał. Przykleił nos do szyby i usiłował odczytać wygrawerowane w złocie napisy, po czym wymienił spojrzenie z Cezarym.

Zdaje się, że myśleli o tym samym.

Dlaczego młody chłopak, w dodatku uprawiający czynnie kolarstwo, umarł na zawał serca?

Pogrążeni w rozmowie nie mogli słyszeć, że od drzwi gabinetu oderwała się postać w zakonnym habicie. Mężczyzna o nieładnie rozrośniętym nosie odszedł na bezpieczną odległość w głąb zapełnionego obrazami korytarza i wyciągnął komórkę.

- Musimy pogadać - rzucił przyciszonym głosem. - Ale nie dzisiaj, trzeba odczekać. Jutro wieczorem. Tym razem na mieście.

\*

Julka siedziała sobie na tarasie i zajadała maliny. Z własnego krzaczka, który łaskotał ją po plecach, gdy tylko za bardzo odchyliła się w fotelu. Ptaszki ćwierkały leniwie, jak to o poranku, a trawa przybrała zielono-butelkowy kolor i aż

uginiała się od ciężącego soku. Jej chatka. Tu Julka była najszcześniejszą istotą na całej kuli ziemskiej. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby taras, słońce plus powietrze nie rozprawiły się z jakąkolwiek jej chandrą. Właśnie wróciła z przychodni, gdzie przebadala się na wszelkie możliwe sposoby. Teraz pozostawalo czekać na wyniki. Tylko wakacje ciężki szlag trafil. Nie potrafiła się przemóc i choćby spakować, a przecież miała zdobywać Bieszczady. W sumie, nigdy nie może się swoim domem nacieszyć, bo ciągle gdzieś goni. A teraz jeszcze ta sprawa z brunetem. Z Cezarym. Zostanie więc w mieście i spędzi urlop tu. W swoim ogrodzie.

Bardzo żalowała wczorajszej spontaniczności. Pierwszy raz odważyła się na podobną rozwiązłość i stwierdziła, że już nigdy, przenigdy tego nie powtórzy. Nie nadaje się na lubieżną femme *fatale*, która zmienia mężczyzn jak skarpetki, czy tam rękawiczki. Obojętne. Nie nadaje się i już. Dlatego po wszystkim uciekła z altanki jak najszybciej. Było jej wstyd. Popelniła straszliwą głupotę. Jeśli przyjdzie odpowiednia pora, poszuka sobie sympatycznego i statecznego faceta i może nawet założy rodzinę. Ale teraz...

O, szalwia wędnie, lubczyk też jakiś padnięty. Weźmie się po prostu za coś pożytecznego. Ogródek ziołowy wymaga szybkiej interwencji, a ona się zastanawia nad kolorem oczu jakiegoś tam egocentryka. Zaczepnęła w płuca palącego tymiankiem powietrza i poszukała konewki. Zdążyła zrosić tylko melisę, kiedy zadzwonił telefon.

Ewelina.

- I jak tam? Doszłaś już do siebie?
- Właśnie podlewam zioła - oznajmiła zgodnie z prawdą.
- Czyli doszłaś.
- Może. Ale... Coś mnie gryzie. Powiedz mi, jak można uprawiać seks bez uczucia?
- Masz na myśli siebie czy tego twojego parkowego boya?
- Jego.
- A ty co? W tej altance to niby zapala... łałałaś - zaplątała się - do niego wielkim uczuciem? Sama jesteś nie lepsza.
- Na pewno nie był mi obojętny. Świetnie mi się z nim

rozmawiało. Ale czemu oni mogą z każdą? - Julka nie przestawała się zastanawiać. - Na zimno.

- Mówiłaś, że było gorąco.

- Bo było. Tylko że on mnie poznał tego samego wieczora.

- A kto mi tłumaczył ewolucyjne podłoże męskich zachowań? - wytknęła jej Ewelina.

- Przecież wiem.

- To o co chodzi?

- Boja bym chciała... miłości.

- Miłość. Po szybkim numerku w altance raczej bym na to nie liczyła. - Ewelina nie pozostawiła jej żadnych złudzeń. - Reksa, psa naszego sąsiada, znasz?

- Znać to nie znam, ale widuję.

- Z niego jest taki amant, że jak ktoś zapuka do drzwi, od razu przykleja mu się czule do nogi. Ostatnio ciocia mnie tam wysłała po cukier. Obrzydliwość.

- Ale co to ma wspólnego z mężczyznami?

- Julian...

- He, he. - Julka doskonale wiedziała, do czego siostra zmierza, ale chciała to usłyszeć od niej. - No?

- Bo faceci... są jak psy. Obojętne, co im się pod ogon nawinie. I wcale nie muszą przy tym czuć wzniosłej miłości. To tylko my, kobiety, mamy taki defekt w budowie mózgu. Funkcja uczuciowa nam się włącza. Ta, co mi tłumaczyłaś. Dostosowanie ewolucyjne, żeby kobieta potrafiła troszczyć się o potomstwo. A po co empatia facetom? Jakby samiec alfa zastanawiał się, czy swoją dzidą nie wyrządzi przykrości wrogowi, to wiesz... Częstochoyowy by na pewno dzisiaj nie było, boby ją Szwedzi pożarli jednym kłapnięciem szczęki.

Julka uśmiechnęła się pod nosem.

- Powtarzasz jak papuga. A nie uczyłam cię też, że od każdej reguły są wyjątki? Nie można wsadzać ludzi hurtem, jak leci, do jednego worka. Są też dojrzały uczuciowo mężczyźni, którym w głowie nie tylko to, co pod ogonem, chociaż z biologią się nie wygra i fakt, seks jest o wiele ważniejszy dla mężczyzn niż dla kobiet. Tylko... Czyja kiedyś takiego mutanta spotkam?

- No to ci przypomnę jeszcze jedną z twoich lekcji. - Ewelina nie pozwoliła się zbić z tropu. - Mutanci przyciągają mutantów.

- Myślisz?

- Yhm. Nie ma innej możliwości.

- To mnie pocieszyłaś. Będę myśleć, że nie mam kiły, to nie będę mieć. Też powinno zadziałać... O, Dorota dzwoni. - Na wyświetlaczu pojawił się komunikat o połączeniu oczekującym.

- To ja uciekam, bo spotykam się zaraz z fajnym facetem. W sensie: z ciekawym człowiekiem, bo ja mam...

- Gabrysia - dokończyła za siostrę.

- Właśnie.

- To dlatego pożyczałaś od Doroty sukienkę? Dobrze, rozłączam się - uprzedziła, żeby Ewelina nie zaczęła się znowu tłumaczyć.

- Julka! - Dorota mówiła dramatycznym szeptem, a w jej głosie słychać było panikę.

- I jak tam Włoch? Nie za stary?

- Ewelinę to powinnam udusić. Jest boski!

- Opowiadaj! - Julka na tę wiadomość aż podskoczyła.

- Siostra, nie teraz. Tragedia, pomocy! - zawyła do słuchawki jak obdzierana ze skóry. - Oni chcą, żebym...  
**GOTOWAŁA!**

Dla Julki zabrzmiało to dość intrygująco. Ale Dorota zdawała się nie podzielać jej zdania.

- He, he. Może się przełamiesz? Dla takiego przystojniaczka...

- Ale nie tylko dla niego! Tu ich jest więcej. Oprócz tego mojego naliczyłam pięciu Włochów. Dorosłych! Z żołądkami jak spadochrony. Na pomoc! Jednego tobym może jakoś oszukała, przyniosłabym z domu jakieś kanapki czy coś... Ale nie pięciu! Z Aldente i Rico to jest ich nawet siedmiu! I podobno od przybytku głowa nie boli. A mnie pęka!

- To się z panami uprzejmie pożegnaj.

- Julka! Ja na Sportowej dłużej nie wytrzymam! A ty mnie nie chcesz - wypomniała jej Dorota, ale w tej kwestii Julka

nie miała żadnych wątpliwości.

- Mój dom, moja twierdza. Przykro mi. Majtki, stanik, bierz, co chcesz, ale domu nikomu nie użyczę i nie oddam.

- I co ja mam teraz robić?

- Może... nauczyć się gotować? Przyda ci się na przyszłość.

- Co?!

Podobna rzecz nie mieściła się Dorocie w głowie.

Chyba zaważyła na tym okoliczność, że całe ich dzieciństwo kręciło się wokół garów. Zarówno mama, jak i ciocia Czesia były kucharkami. W dwóch osobnych restauracjach. Gdyby pracowały w jednej, po krótkim czasie zabrakłoby w niej talerzy, bo siostry pozostawały ze sobą w stanie permanentnej wojny i nierzadko dochodziło między nimi do rękoczynów. Obie posiadały ten sam ognisty charakter i były jednakowo uparte. A do tego gotowały wręcz niebiańsko i rywalizowały ze sobą na tym polu, nawet jeśli chwilowo następowało zawieszenie broni. Po rozwodzie ciocia Czesia wprowadziła się do swojej siostry Haliny, bo jednej samotnej kobiecie trudno się przeciwstawiać losowi, ale dwóm... Dwóm trudno ze sobą wytrzymać. Jeśli nie uprzykrzały sobie życia nawzajem, zawsze pozostawały im do dyspozycji dziewczynki, które przecież trzeba było nauczyć gotować. Dlatego Julka nawet w środku nocy potrafiła podać przepis na barszcz ukraiński, a Ewelina kończyła szkołę gastronomiczną.

Naukom oparła się jedynie Dorota.

Nie było na ziemi takiej siły, która zmusiłaby ją choćby do obrania marchewki. Zawsze w takiej sytuacji rozgrywały się sceny samookaleczania, a żeby otrzymać jedno gotowe warzywo, Dorota marnowała cały ich kilogram. Wszelkie kuchenne zabiegi przyprawiały ją o torsje - oczywiście słabość przechodziła jej jak ręką odjął, kiedy siadała do jedzenia, ale gdy trzeba było coś przygotować, Dorota prawie mdlała. Mama z cicią walczyły dzielnie i przyznały się do porażki, dopiero kiedy panna o dwóch lewych rękach spaliła im... Kuchenkę. Odtąd zyskała święty spokój - przynajmniej w kwestii gotowania, choć ciocia rzucała od czasu do czasu ponurą przepowiednię, że mąż Doroty będzie się dożywoćnie stołował



w Alei Frytek pod Częstochowskim dworcem, gdzie w równym rzędzie stały budki z ziemniaczanymi specjałami.

I teraz los - przewrotny, stary kucharzyna - upomina się o swoją uczennicę.

- Naucz się gotować - powtórzyła Julka cierpliwie.

- Chyba żartujesz! Ja?!

- To co zamierzasz?

- Nie wiem! Dlatego do ciebie dzwonię. Oni tam czekają.

- A gdzie jesteś?

- W kiblu. Chociaż ten kibel to jak nasz duży pokój. Ja się stąd nie ruszę! Ja chcę tu mieszkać! Tu jest pięknie, czysto. Pokoje wielkie jak filharmonia.

- To łap za łyżkę i się ucz.

- O, nie, nie, nie... Wiem! - Dorota wpadła na genialny pomysł, co zapowiadał jej pełen natchnienia głos. - Catering! Zrobię tak. Najpierw dowiem się, ile mi płacą i jakie są moje obowiązki. Potem sobie podzwonię i obliczę, ile mi zostanie z pensji po opłaceniu jakiejś firmy. A potem zadecyduję. Co sądzisz?

\*

Pierogarnia pod parkiem Staszica była miejscem, w którym Jurek Niecko spożywał posiłki, jeśli tylko znajdował się w pobliżu. Lubił tu jadać. Niedrogo i pysznie. Wczoraj pochłonął podwójne ruskie, dzisiaj zamówił trzy porcje pierogów z mięsem. Jedzenie doskonale łagodziło skutki stresu, z którym walczył jego policyjny organizm, a że na brak emocji nigdy nie narzekał, uleganie kulinarnym pokusom nie skutkowało nadwagą. Wręcz przeciwnie. Olbrzymie porcje wpadały do jego przepastnego żołądka jak kamień w studnię. Słysząc było tylko cichutkie plum i komisarz mógł się opychać dalej. Co innego Staszek Dołęga. Ten był słusznych rozmiarów, ale bez zbędnych wyrzutów sumienia siedział właśnie nad talerzem, na którym piętrzyła się furka pierogów z kapustą i grzybami. Palce lizać po łokcie.

- Z każdą wizytą w klasztorze mam coraz większy apetyt - wymamrotał Niecko, wpychając do ust pieroga. - A już

dzisiaj zjadłbym konia z kopytami.

- Dewastacja stanowiska archeologicznego i kradzież kości. Plus napaść na zakonnika - Staszek ze smakiem wyartykułował, ocierając tłuszcz z ust. - Smacznego, tak à propos.

- A dziękuję, i nawzajem. No mów, co tam masz nowego. - Komisarz domyślał się, że kolega nie bez przyczyny zaprosił go na obiad. I nie pomylił się.

- Najpierw wieża. Analizy śladów na schodach i w schowku jednej z kondygnacji pokrywają się jak złoto. Sprawca przywłókł tam wcześniej ciało i zrzucił je dopiero później, kiedy ruch zwiedzających się kończył. Ale musiał mieć klucz i możliwość przemycenia trupa.

- Wiadomo...

- Ale to nie wszystko. - Staszek zrobił zadowoloną minę. - Mam przeciek od patologa, który robi sekcję naszego Rożka.

- No?

- Ale to nieoficjalne. Oficjalnie dostaniesz ekspertyzę za tydzień.

- Przecież wiem. Mów, do jasnej... Morderstwo?

- No właśnie nie bardzo... Facet zmarł dwa dni temu od obrażeń wewnętrznych. Patolog obstawia wypadek samochodowy.

- Co?! - Niecko prawie się zakrztusił. Już nic nie rozumiał.

- Ano to. Wypadek. Ani samobójstwo, ani morderstwo. A te z mięsem dobre? - Staszek zainteresował się talerzem komisarza, który jakby stracił apetyt.

- Masz, spróbuj. Jak ja to wszystko poskładam do kupy - westchnął przejmująco, aż w powietrzu rozprysły się kropelki tłuszczu - to wezmę dłuższy urlop. Jeśli go doczekam. A raczej, jeśli doczekamy...

- Ja tam zamierzam doczekać. W międzyczasie szukałem informacji o denacie.

- Porządny obywatel, ma się rozumieć?

- Ba! - Staszek dziabnął pieroga, który usiłował umknąć mu z talerza. - Wszyscy martwi są porządni. Artur Rożek... - rozpoczął wykład - trzydziestosześcioletni, niekarany, stanu

wolnego. Z wykształcenia ekonomista, zawód wykonywany: pracownik działu handlowego firmy sprowadzającej z Chin jakieś duperele po trzy grosze.

- Adres masz?

- Firmy? Proszę. - Wyciągnął z kieszeni pogiętą karteczkę i położył ją przed szefem.

- To zaraz tam pojedziemy, a potem zajrzemy też do jego mieszkania. Próbkę pisma potrzebuję, żebyśmy porównali z listem.

- Może dostaniemy od ojca? A właśnie. Powiem ci, że współczuję temu facetowi. Znaleźć syna martwego... I to w miejscu pracy. Co z tym staruszką?

- Serce. Ale nie poważnego, dzwoniłem do szpitala - odpowiedział Niecko. - Już go wypuścili, więc utnę sobie z nim pogawędkę. Ale najchętniej to porozmawiałabym z tą dziewczyną, która podobno widziała na wieży rzekomego mordercę. Szkoda, że nam wsiąkła.

- Z dziewczynami tak już jest... - Staszek rozprawił się z ostatnim z pierogów i uśmiechnął się szeroko. - Jak ich szukasz, za cholerę nie znajdujesz. A jak dajesz sobie spokój, od razu się do ciebie pchają. Drzwiami i oknami.

\*

W miejscu pracy denata Niecko zbyt wiele się nie dowiedział.

Artur Rożek nie był osobą udzielającą się towarzysko, komisarz odniósł nawet wrażenie, że od towarzystwa swoich współpracowników stronił. Atmosfera panowała w firmie swobodna, ludzie byli skorzy do rozmowy i niesterroryzowani przez szefostwo i jeśli oni nie potrafili powiedzieć niczego szczególnego o Rożku, który pracował z nimi od dwóch lat, coś tu było nie tak.

- Bardzo spokojny - zapewniła kierowniczką, kobieta do rany przyłóż. - Naprawdę. Chyba tutaj najspokojniejszy. Zastępował mnie od roku i byłam bardzo zadowolona. Nie umiem tego zrozumieć. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Może miał jakieś problemy uczuciowe?

Niecko rozłożył ręce.

- Zdaje się, że wiem tyle co pani.  
- Żony nie miał - kierowniczka starała się pomóc.  
- A dziewczynę?  
- Naprawdę nie mam pojęcia. W ogóle nie rozmawialiśmy o jego prywatnych sprawach. To już prędzej o moich... Z tym że on raczej tylko słuchał. To był naprawdę miły człowiek. Nikomu nie przeszkadzał, do niczego się nie wtrącał. Tylko niewiele mówił.

- Nie miał tu żadnego bliższego kolegi?

Kobieta zamrużyła niepewnie fioletowymi powiekami.

- Nie wiem. Wydaje mi się, że nie miał. Proszę popytać.

- A zawodowo?

- Bez zarzutu. Sumienny, obowiązkowy.

- Jakie stanowisko dokładnie zajmował?

- Zastępca kierownika działu handlowego do kontaktu z kontrahentami.

- Zabezpieczymy jego komputer, jeśli można. - Nieco zerknął na opustoszałe biurko pod oknem. Na podstawie mebla mógł o jego właścicielu powiedzieć tylko jedno: pedant. Żadnych misiaczków, zdjęć, żadnego zbędnego przedmiotu. Porządek i konsekwencja. Przyrządy biurowe poukładane w równych rzędkach, gotowe, żeby tylko po nie sięgnąć. Segregatory opisane i stojące na półkach w kolejności alfabetycznej. Jedyne myszka... Zabawne. Myszka przy klawiaturze wyglądała zupełnie jak kostka żółtego sera. Była prostokątna, z widocznymi dziurami. Istne cacko, które w ogóle nie pasowało do tego biurowego laboratorium. - Jutro zwrócimy.

- Oczywiście.

- Bardzo oryginalne - Nieco wskazał myszkę.

- To chyba jedyna oryginalna rzecz, jaką Artur miał.

- Z Chin?

- Nie, chyba nie z Chin. Przyniósł ją tu już pierwszego dnia.

- Też się nią zaopiekujemy. I jeszcze jedno - komisarz coś sobie przypomniał. - Czy nie zauważyła pani, żeby zachowanie pana Rożka ostatnio się zmieniło?

- Muszę pomyśleć. Chyba... jeśli to w ogóle możliwe -

zastrzegła - mówił jeszcze mniej. Faktycznie! Był jakiś taki przygaszony.

- A ubranie albo coś nowego? Komórka, zegarek...

- Artur w ogóle się takimi sprawami nie przejmował. Jeździł starym golfem, a komórkę miał firmową. Nie, niczego nowego u niego nie zauważyłam. Panie komisarzu... - kierowniczką zebrała się w końcu na odwagę - dlaczego pan zadaje te wszystkie pytania? Przecież Artur podobno popełnił samobójstwo.

\*

Pan Stefan w ogóle się nie zdziwił, kiedy stojący w drzwiach mężczyzna przedstawił się jako Jerzy Niecko, komisarz. Spodziewał się tej wizyty, dlatego gdy tylko wrócił do domu, wziął kąpiel i przebrał się w coś świeżego. Ledwie zawiązał krawat, w mieszkaniu rozległ się dzwonek. I niech mu ktoś powie, że policja działa opieszale. Liczył, że zdąży zjeść obiad i jakoś się uspokoić, ale nie. Na szczęście komisarz robił nadspodziewanie dobre wrażenie.

- Chciałbym panu zadać kilka pytań. Można?

- Proszę usiąść - zaprosił gościa do pokoju i wskazał krzesło. Sam zajął miejsce na wersalce, nieco dalej.

- Dziękuję. Mam dla pana niezbyt dobrą wiadomość. Pytałem lekarza, czy mogę ją panu przekazać, ale poinformował mnie, że z pana sercem już wszystko w porządku.

- Ale o co chodzi? - Pan Stefan od razu się zdenerwował.

- Jesteśmy pewni, że pana syn nie popełnił samobójstwa - wyjaśnił komisarz, obserwując mężczyznę, żeby w razie potrzeby udzielić mu pierwszej pomocy. - Zmarł dwa dni wcześniej, przypuszczamy, że w wyniku wypadku samochodowego. Śledztwo wykaże, czy ten wypadek był zbiegiem okoliczności, czy celowym zamachem na życie.

- Ja... Ja... nie rozumiem.

- Na razie nie mogę panu zdradzić niczego więcej.

- Ale czemu... ciało spadło z wieży?! I kto to zrobił?

- Przykro mi.

Pan Stefan zaczął głęboko oddychać, żeby opanować drżenie rąk.

- Dobrze się pan czuje? - zaniepokoił się policjant.

- Tak, rozmawiajmy. Szybciej go złapiemy. Tego... mordercę!

- Na pewno tak będzie - zapewnił Niecko. - Jak do tego doszło, że znalazł się pan przy zwłokach?... To znaczy przy... - chciał się poprawić, ale pan Stefan dał sygnał, że wszystko w porządku.

- Usłyszałem na dole krzyki. Pobiegłem sprawdzić.

- A gdzie pan wtedy był?

- Chyba przy drugim balkonie. Ale to można sprawdzić na nagraniu. Na wieży są kamery.

Niecko odnotował w pamięci tę ostatnią kwestię. Jeśli ten człowiek był z nim szczery, nie wiedział o awarii monitoringu. Zresztą, dlaczego miałby nie być szczery? Staszek zabezpieczył wczoraj urządzenia nagrywające i przesłuchał strażników. Awarię zgłosili jedynie przeorowi, który kazał im powiadomić stałą pracownicę wieży. Ta z kolei podobno zatrzymała informację dla siebie, nie widziała potrzeby dzielenia się nią z kimś, kto przychodzi na jednodniowe zastępstwo.

- Czy pan uwierzył w samobójstwo syna?

- Hm... uwierzyłem. Dlaczego miałem nie uwierzyć? - Pan Stefan spochmurniał jeszcze bardziej. - To nie był szczęśliwy chłopak. Nawet jak się wyprowadził od matki, rzadko się uśmiechał, niewiele mówił.

- A czy syn miał jakiś wrogów, kogoś, kto mu źle życzył? Jakieś kłótnie, długi?

- Nic nie wiem o jego znajomych. O nim samym ostatnio też. Dawno się z synem... nie widzieliśmy.

- To znaczy? Jak dawno? - dociekał komisarz.

- Parę lat.

- O, to sporo. Jakieś nieporozumienie?

Zaczyna się. Pan Stefan zmienił pozycję i starał się nie pokazać, że pytania coraz bardziej wytrącały go z równowagi. Nie lubił wracać do starych czasów. Było, minęło.

- Raczej rozwód. Moja żona po rozstaniu zaczęła nowe

życie. Ponownie wyszła za męża, a jej... partner - pan Stefan powstrzymał się i nie użył słowa „gach” - dał Arturowi nazwisko. Wycofałem się. Z synem utrzymywałem sporadyczne kontakty, bo miał do mnie żal, że nie walczyłem o rodzinę.

- Kiedy dokładnie to miało miejsce? Rozwód. I poróżnienie z synem.

- Nie było żadnego poróżnienia - sprostował opryskliwie pan Stefan, ale zaraz się uspokoił. - Syn po prostu nie miał ochoty na spotkania. A od rozvodu minie w tym roku dwadzieścia lat. Na początku widywaliśmy się z Arturem co parę miesięcy. A przez ostatnie pięć lat w ogóle - dodał ze smutkiem.

- Dlaczego?

- Nie wiem, próbowałem syna odszukać, ale zmienił miejsce zamieszkania, a moja była żona... E, szkoda gadać. - Machnął ręką. - Prędzej porozumiałbym się z szafą.

- Czyli wczoraj zobaczył pan syna po raz pierwszy od pięciu lat? Dobrze zrozumiałem?

- Tak. I po raz ostatni. - Pan Stefan złapał się za serce i Niecko wołał przystopować.

- Może jednak zadzwonię po lekarza? Widzę, że z panem gorzej, a jeszcze chciałem, żeby pojechał pan ze mną na identyfikację. Chyba to raczej przełożymy...

Nie ma potrzeby. - Pan Stefan chrząknął i zwłóknął się z wersalki. - Ja... ja się już pogodziłem ze śmiercią syna - wysapał. - Jestem gotowy.

- Momencik. Jeszcze pana poproszę o dwie rzeczy. O zdjęcie Artura i o potwierdzenie charakteru pisma. - Niecko wyjął z torby kawałek papieru opakowany folią i położył go na stole, nic mogąc oprzeć się wrażeniu, że uporanie się z odejściem własnego dziecka przyszło temu człowiekowi dość szybko.

Pan Stefan nawet nie próbował kartki dotykać. Wystarczyło, że rzucił z daleka okiem.

- To pismo mojego syna - powiedział z drżeniem w głosie. - Na pewno. Proszę mi wyjaśnić... Skoro to nie było

samobójstwo, skąd wziął się ten list?

Niecko milczał dłuższą chwilę.

- Też chciałbym to wiedzieć.

\*

Kiedy Dorota wróciła do salonu, trwała tam już już niezła impreza.

Ale się uwinęli!

Panowie zdążyli poustawiać na stole w jadalni najrozmaitsze przysmaki. Pośrodku bielila się miska pełna puszystej mozzarelli, tuż obok stała butelka oliwy, która pod światło wyglądała zupełnie jak jaskrawozielony balonik, a na talerzach czekały kanapki obłożone szynką grubości opony samochodowej. Najwyższy z Włochów, chyba Ronaldo, jeśli Dorota dobrze pamiętała, obierał czosnek, podjadając w międzyczasie z półmiska pikle. Grubasek latał po pokoju i zonglując pomarańczami, pokrzykiwał na Aldente, żeby pozdrowił od nich Mamę. Matrix wpatrywał się nieruchomo w okno. Natomiast ten z posępną miną układał paprykę w purpurowy stosik kul i znużony wachlował się od niechcenia listkiem sałaty. A wszystko przy akompaniamencie nadawanego na Rai Uno teleturnieju, któremu towarzyszyło bicie dzwonów i obłędne miganie światełkami.

W salonie pachniało warzywami, masłem i niespiesznym rozgardiaszem. I ona miałaby im powiedzieć „do widzenia”? Cofnęła się, żeby nacieszyć oczy tym sympatycznym widokiem. Czy nie tak właśnie powinno być? Żadnych przemądrzałych ciotek i innych marud. Faceci krzątają się, a kobieta pudruje nosek i ewentualnie udziela rad.

Bo na przykład mama radziła sobie z czosnkiem inaczej. Najpierw przyciskała go nożem, a skórka sama pękała. Już miała wyjść z ukrycia i podzielić się z wielkoludem tą cenną uwagą, kiedy Rico chwycił za pilota i przełączył kanał. Z telewizora popłynął dla odmiany głos polskiej spikerki:

- Jasna Góra w Częstochowie znowu znalazła się w centrum uwagi całego kraju. Ale tym razem nie chodzi o



wydarzenia o charakterze religijnym. Wręcz przeciwnie.

- Cicho! - krzyknął Rico.

Panowie porzucili wykonywane zajęcia i z uwagą wpatrywali się w ekran pokazujący panią z mikrofonem na tle parku Staszica. Dorota również nadstawiła uszu. Tylko Aldente paplał dalej do słuchawki przytrzymywanej przez zarośniętego Carlo, ale Rico przegonił ich z pokoju.

-Wczoraj z jasnogórskiej wieży skoczył trzydziesto-sześćoletni Artur Rożek i poniósł śmierć na miejscu. To samobójstwo nie jest jedynym niefortunnym zdarzeniem, jakie miało ostatnio miejsce w tym najsłynniejszym z klasztorów. Jak się dowiedzieliśmy, przed tygodniem zmarł na zawał serca jeden z braci zakonnych, a dzisiaj doszło do zdewastowania stanowiska archeologicznego i kradzieży szkieletu należącego prawdopodobnie do budów niczego starych fortyfikacji. Tymczasowo wstrzymano prace, postępowanie trwa. Policja i kierownik wykopalisk, profesor Leon Lesiak, apelują do sprawców, by zwrócili kości, ponieważ są one obiektem badań i przedstawiają sobą wartość jedynie muzealną. My również dołączamy się do tego apelu. Wierzymy, że następnym razem będziemy mogli powiedzieć państwu: kości zostały zwrócone. Z Częstochowy mówiła dla państwa...

Blondyn słuchał jeszcze chwilę, a kiedy posypały się informacje o produkcie krajowym brutto, wyłączył telewizor, co spotkało się głośnym protestem jego kolegów. Domagali się teleturnieju ze światełkami.

- Żadnego teleturnieju, barany! - zagrzemiał nieco piskliwie Rico, ściskając w objęciach butelkę wina. - Aldente! Kończ, jest sprawa!

Dorota schowała się w korytarzu i wstrzymała oddech. Dobrze. Posłucha starszej siostry i wybada, z kim ma do czynienia. Na razie nie ujawni swojej obecności, a oni niech sobie pogadają. Kiedy Aldente dołączył wreszcie do gromadki, bardzo niezadowolony z faktu, że nie pozwala mu się spokojnie porozmawiać z rodziną, Rico przetłumaczył treść wiadomości. Po czym rozpętała się włoska burza z przekleństwami i

gradobiciem. Trudno było w tej płątaniu okrzyków cokolwiek pojąć, ale Dorota była wzruszona.

Obcokrajowcy, a tak się przejęli.

Już nie wypadało przedłużać wizyty w toalecie, jeszcze by pomyśleli, że pracując tu, nie będzie robiła nic innego, jak tylko troszczyła się o makijaż. Weszła więc do jadalni. Z uwodzicielskim uśmiechem, który uciął wszelkie kłótnie. Panowie jak niepyszni usiedli na swoich miejscach, a Aldente zapatrzył się w nią z nieudawanym zachwytem.

- Zapraszamy. - Wskazał miejsce obok siebie. - W misce jest mozzarella. Skosztuj. Prawdziwa, nie jakaś tam podróbka z marketu. Przyszła z Włoch, od babci. *Mozzarella di bufala campana*. Z mleka czarnych bawołów arni. Serownia Vannulo pod Salerno. Delicje! Ale trzeba jeść szybko, bo prawdziwa mozzarella nie może za długo stać. Smacznego!

Dorota bynajmniej nie zamierzała jeść powoli. Mozzarella przewyższała swoją delikatnością inne sery, a ta robiona we Włoszech nie miała sobie równych. Przy którymś z kolei kęsie jednak się wstrzymała. Aldente! Siedział sobie grzecznie z jedną ręką w temblaku, a drugą w opatrunku i przyglądał się, jak pochłania białe, mięciutkie plastry. A przecież potrzebował pomocy!

- Proszę, częstuj się.

- Pokroiła pulchne, serowe ciasto, a następnie z wdziękiem podała Włochowi plasterek wprost do jego zmysłowych ust. Prawie odgryzł widelec. Białe zęby wbiły się w mozzarellę, a Dorota wstrzymała oddech. Co za dzikość! O, tak, jedzenie ma wiele wspólnego z innymi przyjemnymi zajęciami.

Panowie zarechotali.

- Ser miłości - grubasek rzucił z uciechą, a Carlo podał mu kawałek mozzarelli, naśladując pełne gracji ruchy Doroty. Zachęceni salwami śmiechu, karmili się czule nawzajem, dopóki Aldente nie przerwał im tej pysznej zabawy.

- Nicola, Carlo... A właściwie czemu jecie tutaj? Czy mi się wydaje, czy wy dzisiaj siedzicie na górze?

Grubasek i jego zarośnięty kumpel natychmiast spowaźnieli.

Rzucili Aldente pochmurne spojrzenie, ale wstali, nałożyli na talerz kilka kanapek i posłusznie odmaszerowali.

- To były tylko żarty - Dorota wstawiła się za skarconymi Włochami. - Czemu mają jeść na górze?

Aldente ponownie rozpromienił się w uśmiechu, choć tym razem na jego obliczu pojawiła się również irytacja. Nie znosił, kiedy ktoś się z niego śmiał, a od czasu, kiedy złamał rękę, był na tym tle przeczulony. Już miał odpowiedzieć, kiedy wszedł mu w słowo blondyn, który wypijał właśnie kolejny kieliszek wina. Uniósł go w chybotliwym toaście. Za zdrowie Doroty.

- Mają na górze coś do zrobienia. *Siaba daba da...* A odnośnie twojej pracy... Robimy kandydatkom pewien... test.

Aldente spojrział na niego ze zdziwieniem i mimo że był Dorotą oczarowany, czekał na ciąg dalszy. Nie pochwalał pijaństwa, a nawet nim gardził. Nie mógł zrozumieć, czemu Polacy potrzebują beczki piwa, żeby się dobrze bawić. Sam upił się w życiu tylko jeden jedyny raz - i to z tęsknoty za krajem - i teraz słono za tę chwilę słabości płacił. Jednak z Rico było inaczej. On po prostu musiał pić. Alkohol tętnił w jego żyłach i napędzał krew. Na trzeźwo nie funkcjonował normalnie, za to po kilku głębszych ożywał się i nawet bywał zabawny, a już na pewno pod wpływem alkoholu wpadał na genialne pomysły. Nie należało mu przerywać.

- Nie kupuje się... kocicy w worku - wyjaśnił bełkotliwie i wydzielił Aldente kuksańca.

- W czym? - Dorota przez moment analizowała, czy sukienka, którą dzisiaj założyła, nie przypominała teraz aby rozwleczonego worka do zbierania wiśni. - Aaa. Kota w worku?

- Kocicy - potwierdził zgodnie Rico i znowu chlapnął sobie łyżeczkę, odrobinę jednak się przy tym krzywiąc. - Ugotuj coś dla nas. Teraz.

- Ale... właśnie jemy.

- A ja bym chyba schrupał coś słodkiego - zakwilił nieoczekiwanie cudny Włoch, puszcżając do niej oko.

- Coś słodkiego - potwierdził blondyn i zapatrzył się w kieliszek. Pomyślał chwilę, po czym chwycił za łyżeczkę i

sypnął do wina cukru, na co Aldente aż zatrząsł się z oburzenia.

- Co ty wyprawiasz?! To „Contado Aglianico”!

- „Contado Aglianico”, czyli siki świętej Weroniki - Rico zripostował po polsku, nie przestając mieszać, a potem wycelował w Dorotę palcem. - Upieczesz nam ciasto. Takie... Takie z jabłkami. Jak to było... Jajecznik?... Nie... Babecznik!

- Babecznik? - Dorota zrobiła wielkie oczy.

- Tak, poprosimy o babecznik.

- Ale to na deser - objaśnił dobrotliwie Aldente. - A wcześniej może być coś ciepłego.

- A... to? - Dorota wskazała na stół, starając się nie okazywać paniki. - Tyle pyszności ma się zmarnować?

- To? Bella, to są *antipasti*. Przystawki. - Włoch wzruszył ramionami, zupełnie jakby go właśnie zapytano, czy w Wenecji pływa się gondolami. - Tego zaraz nie będzie. Rico ma rację. Ugotuj coś dobrego. Najpierw obiad, a potem poprosimy o deser. Babe...

- Babecznik - dokończył blondyn i ponownie wzniosł kieliszek. - Twoje zdrowie, kuchareczko!

\*

Mieszkanie Rożka znajdowało się w jednym z bloków na osiedlu Tysiąclecia, przy dawniejszych Delicjach - lokalu słynącym niegdyś z najlepszych lodów w mieście. Niecko jechał tam coraz bardziej przekonany, że traci czas. Chociaż... może przynajmniej wyniknie coś z podstępu, którego użył.

Nietypowa sprawa, nietypowa taktyka.

Po konsultacji z prokuratorem przekazał mediom fałszywą informację. Oczywiście nieoficjalnie, bo takimi sprawami zajmował się rzecznik prasowy, a ten nie mógł kłamać, ale wystarczyło. Mało tego. Niecko podał do publicznej wiadomości imię i nazwisko rzekomego samobójcy.

Po co?

Nie przestawał zastanawiać się, jaki cel mógł mieć morderca, który najpierw Rożka wykończył, a potem puścił jak latawca z jasnogórskiej wieży. Przecież mógł go zakopać czy w

jakikolwiek inny sposób pozbyć się ciała. A zwyrodnialec zrzucił trupa przy dźwiękach kurantów wprost pod stopy rozmodlonych pielgrzymów. Bynajmniej nie liczył na to, że ciało wpadnie w locie do klasztornego komina i utknie tam na wieki, a turyści niczego nie zauważą.

Morderca chciał, żeby ciało znaleziono i żeby wszyscy się o tym dowiedzieli.

No, to się dowiedzieli.

A Niecko sobie poczeka, poudaje, że wierzy w samobójstwo, i zobaczy, co z tego wyniknie.

Wjechał ze swoimi ludźmi na szóste piętro i odszukał właściwy korytarz. Dostępu do mieszkania broniły drzwi otwierane domofonem. Zadzwoił, ale nie doczekał się odzewu. Wybrał więc z listy pierwsze lepsze nazwisko i po paru sekundach przy wejściu pojawiła się zażywna starowinka. Biała jak gołąbek.

- Panowie do kogo? - Obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem. - Strażacy?

- Blisko. - Niecko uśmiechnął się grzecznie. - Policja. Też mundurowi. Jerzy Niecko, witam panią.

- A... dzień dobry, proszę. Panowie pod siedemdziesiąt osiem?

- Zgadza się.

- A Arturka panowie znaleźli?

Niecko dał znak, że zamieni słowo ze starszą panią, a chłopcy poszli w głąb korytarza, gdzie unosił się zapach przypalonych na grillu żeberek.

- Obawiam się, że znaleźliśmy... Pan Artur nie żyje. Popęłił samobójstwo.

Starowinka załamała ręce, a na jej twarzy pojawił się wyraz bóleści.

- Nieprzyjemna sprawa. Pani знаła pana Artura?

- Samobójstwo?! Taki wspaniały chłopak. Znałam, pewnie, że znałam. Taki chłopak, taki chłopak...

- Szefie! - doleciało z korytarza. - Tu był pożar!

Niecko przerwał rozmowę, żeby wydać odpowiednie dyspozycje. Tak jak przypuszczał, za wiele tu nie zwojuje.

Mieszkanie było prawie doszczętnie spalone. Począwszy od drzwi, a na ścianach kończąc. Okopcone meble, zesmażane sprzęty i podłogi, na których Rożek musiał położyć panele, bo pod butami został jedynie beton pokryty warstwą chrupiących wiórów. Czarna, śmierdząca spalenizną jama i tyle.

- Z komputera coś wyciśniesz? - spytał informatyka, który mierzył spojrzeniem stopioną kupkę plastiku w dużym pokoju.

- Zrobię, co się da.

- Idę zasięgnąć języka - rzucił na odchodne Niecko i wrócił do staruszki, która trwała cierpliwie na swoim stanowisku.

- To ja zawiadomiłam strażaków - powiedziała z dumą.

- W takim razie należy się pani medal, bo jakby się pożar rozprzestrzenił, wszyscy mieszkańcy byłiby w niebezpieczeństwie.

Staruszka ucieszyła się, słysząc pochwałę z ust sympatycznego pana policjanta.

- Może napije się pan herbaty? Z pigwą.

Mimo że nie cierpiał tego kwaśnego paskudztwa, podziękował i ruszył za swoją przewodniczką. Zaprowadziła go do ciemnego mieszkania, w którym aż kręciło w nosie od smrodu naftaliny.

Żeby zaspokoić ciekawość staruszki, opowiedział jej najpierw o okolicznościach, w których doszło do... samobójstwa. Gdyby zachował przepisową dyskrecję, nie otrzymałby nic w zamian. Kiedy jednak wtajemniczył sąsiadkę w tajniki śledztwa (przynajmniej tak się jej wydawało), mógł liczyć na szczerość. O to chodziło.

- Kiedy widziała pani pana Artura po raz ostatni?

- Tego nie wiem, bo... mam kłopoty z pamięcią. Ale parę dni przed pożarem. To na pewno.

- A kiedy był pożar?

- Będzie ze trzy dni temu.

- Nie kręcił się tu ostatnio nikt podejrzany?

- Nikt. Absolutnie - starsza pani zaprzeczyła z zapalem i jeśli wierzyć powiedzeniu, że dobry sąsiad jest lepszy od najnowocześniejszego systemu alarmowego, Niecko musiał

jej uwierzyć.

- A pan Artur? Jak się ostatnio zachowywał?

- O, proszę pana... Pan Artur to był zawsze dziwoląg, ale ostatnio to nawet do mnie nie zagadał. Tylko dzień dobry i nos na kwintę.

- Czyli był przygnębiony? - dopytywał się Niecko.

- Nie wiem, może pokłócił się z dziewczyną? Może dlatego samobójstwo? Z miłości, to wie pan...

- Tak, wiem. - Powstrzymał się, żeby nie westchnąć z niecierpliwością. Co się tak wszyscy czepiają tej miłości. Miłość i miłość. Jakby się bez niej nie dało żyć. - Znała pani tę jego dziewczynę?

- Malwinkę? Znałam. Czasem przyniosła mi warzyw z ogródka.

- A jak nazwisko tej pani?

- Tego to nie wiem. Myśmy się nazwiskami nie wymienili. Po prostu Malwinka.

- Yhm. Czy dobrze słyszałem, że Malwinka ma ogródek? - udał zainteresowanie i już się ucieszył, że ustali jej dane drogą urzędową. - Są tu jakieś działki? Szczęściarze. Dlatego nie lubię miasta, za dużo tu betonu.

- Ale dostęp do lekarzy jest - wytknęła rezolutnie staruszka. - A Malwinka nie z działki przynosiła mi te warzywa. Nie ze swojej działki. Z mojej, boja tam już nie dają rady chodzić. Za daleko.

- Aha... Chcielibyśmy się z panią Malwiną skontaktować. Może ma pani chociaż jej numer telefonu? Albo wie pani, gdzie mieszka?

- Nie - starsza pani ze smutkiem zaprzeczyła. - Ale ona tu dawno nie zachodziła. Mówię panu, pewnie się pokłócili. Nawet pan Arturek wnosił paczki z jakimś starszym panem.

Może jej rzeczy? Ona tu nie mieszkała, ale prawie. Czasem zostawała na noc. Dopóki nie przestała przychodzić.

- Paczki? - Niecko żywo się zainteresował.

- Takie kartony...

- Może robili porządki?

- A skąd! U pana Arturka było jak w aptece. Jak do mnie

przychodził, to kręcił nosem. Że mu tu śmierdzi, wyobraża sobie pan? - Staruszka popatrzyła na pokój zastawiony różnymi sprzętami, na których piętrzyły się stosy ubrań. - U niego zawsze było czyściutko. Na pewno nie porządku.

- To może pan Artur kupił jakiś nowy telewizor? Teraz są takie przeceny...

- Jakby kupił, toby stary oddał mnie. O! - Sąsiadka zerwała się z krzesła i chwyciła stojący na parapecie toster, ukazując Nieckowi jego karbowane wnętrze. - Całkiem nowy. Ale pan Arturek zdarł niechcący kawałek teflonu i już poleciał po następny. A z tym do mnie.

- No to ja już nie wiem, co oni mogli nosić. - Wpatrzył się w babcię bezradnie, dając jej do zrozumienia, że z ich dwójki to ona jest lepszym detektywem.

- Ja też nie wiem - staruszka przyznała się do porażki wielce niepokieszona. - Pięć kartonów wynieśli. Z czubem. Takie napakowane. Ale wszystkie zaklejone, nic nie było widać.

- A ten starszy mężczyzna, o którym pani wspomniała? Ten, który pomagał panu Arturowi nosić paczki...

- Pierwszy raz go tutaj widziałam.

- A gdybym przyniósł pani zdjęcie? - Niecko, nie wiedząc czemu, pomyślał o panu Stefanie.

- O, ludzi to ja pamiętam. A najlepiej oczy. Oczy powiedzą wszystko. Pan to jest na przykład dobry chłopiec. Ale samotny. Tak jak ja. Tylko że ja zbieram na psa. Panu też radzę. Na samotność najlepszy jest czworonożny przyjaciel. Albo... - starsza pani frywolnie zachichotała - dwunożna dziewczyna.

\*

Babecznik?

W pierwszej kolejności Dorota postanowiła znowu zaalarmować najstarszą siostrę. Połączyła się z nią, siedząc okrakiem na cudnej urody desce klozetowej ozdobionej rozgwiazdami i motywem morskich, wzburzonych fal. Prawie poczuła przyplływ.



- Co tam znowu? - Julka nie wykrzesła z siebie nawet odrobiny entuzjazmu, więc trzeba go było z niej wydobyć. Dorota wybrała metodę szokową, w której biła swoje siostry na głowę.

- Julian! Umieram!

- Dorotka, czy możesz do mnie zadzwonić, jak już będzie po? Po zgonie, mam na myśli.

- Nie zostawiaj mnie! Sytuacja podbramkowa!

- Znowu? To tak jak u mnie. Po nocy w Don Kichocie dostałam takiego...

- Julka! Proszę cię! Stało się coś strasznego i teraz to już zupełnie przepadłam.

- Tak, wiem, moje problemy przy twoich są jak...

- Mam coś ugotować. Teraz, nagle i już. Rozumiesz? Już! Zwariowali!

- Rozumiem - Julka odparła z odrażającą beztróską. - Ja też sobie coś teraz gotuję. Obiadek. Wątróbka w cebulce, polecam.

- Siostra! - Dorota zmieniła ton ze skrajnie zrozpaczonego w pełen ożywczej nadziei. - Wiem!

- Już się boję.

- Po co mi catering?! Robisz najpyszniejszą wątróbkę na świecie.

- Yhm. W porcjach jak dla myszy. Nie zapominaj, że gotuję tylko dla siebie. I we własnej kuchni. A moja kuchnia znajduje się przy ulicy Reja, a nie na Świętokrzyskiej.

- Cholera!

- I bardzo cię przepraszam, ale zaraz idę do kościoła.

- Dzisiaj?

- Niektórzy prowadzą życie duchowe. Pełne... upadków, owszem, ale i wzlotów.

- Julianku...

- Catering, Dorotko, catering. Albo najlepiej się stamtąd wynoś. Bo jeszcze będą z tego kłopoty. Całuję.

Taaak. Po tym jak Dorota usłyszała w słuchawce pikanie zwiastujące koniec połączenia, zaczęła gorączkowo rozważać, od której z szalonych niewiast ze swojej rodziny powinna teraz

zażądać pomocy. Mama odpada. Jest zbyt leniwa, na pewno nie ruszy swojej latorośli na ratunek. Albo ruszy, ale gadaniu nie będzie końca. Ciocia Czesia? Dorota nie miała wyboru. Wykręciła znajomy numer i czekała w napięciu.

- Ciociu... - zaczęła przymilnie, gdy tylko usłyszała znajome chrząknięcie, ale ciocia brutalnie przerwała jej w pół słowa.

- Mów, czego chcesz, i nie zwracaj gitary, bo gotuję bigos. W potwornych ilościach.

Na jutrzejsze urodziny twojej matki. Ona oczywiście wymyśliła bogracz, ale...

- Ciociu! !! - Dorota wrzasnęła uradowana. - Uratowałam mnie!

- Dziecko, mów, czego chcesz, powtarzam. Nie mam czasu.

Z siostrą mamy nie było żartów. Jeśli chodziło o dyscyplinę, nikt nie potrafił jej dorównać. Gdyby kobiety mogły być generałami, ciocia żyłaby teraz na wojskowej emeryturze jak pączek w maśle, a na placu Biegańskiego, tuż pod częstochowskim ratuszem, postawiono by jej pomnik.

- Ciociu, potrzebuję kulinarnego wsparcia - wyrecytowała pokornie siostrzenica, łudząc się, że powyższym wyznaniem stopi kulinarne lody.

I podziałało!

- Dorotka, naprawdę? - Ciocia ucieszyła się, jakby co najmniej rozmawiała z córką marnotrawną.

- Ten bigos...

- Kochana, pyszności. Z borowikami, na wołowinie, podlany czerwonym winkiem. Mówię ci, fantastyczny. Dodałam nawet powideł śliwkowych. Chcesz przepis? Jaki przepis...

- Ciocia nagle się zreflektowała. - Przecież ty nie potrafisz nawet utrzymać noża w ręku!

- Właśnie, ciociu...

- A widzisz! Ile razy prosiłam: chodź, to cię nauczę.

- A jakby mnie ciocia nauczyła? Teraz.

- Teraz? Jakie: teraz?

- Nooo... Wzięłaby ciocia gar... Wsiadła do dwadzieścia sześć...

- Z garnkiem bigosu? Do autobusu? - ciocia powtórzyła z niedowierzaniem. - Czy ty jesteś zdrowa na umyśle? A przychodź do domu i się ucz. Z garnkiem! Też wymyśliła... Dorota? Czy ty czasem nie siedzisz nad jakimś piwkiem? Pracy miałaś szukać, a nie się upijać!

Dorota usiłowała się właśnie wznieść na szczyty dyplomacji, ale stwierdziła, że wgramoliła się zaledwie na marny pagórek. I bardzo dobrze. Przynajmniej krócej będzie lecieć w dół. Koniec z dyplomacją. Powie cioci prosto z mostu, co i jak, i zacznie się modlić.

- Staram się o pracę... pielęgniarcko- kucharki - wypaliła, zamykając oczy.

Ciocia aż się zapowietrzyła, po czym pozwoliła sobie na gromki wybuch śmiechu.

- Ty? Kucharki? !

- Ja.

- Najpierw ugotujesz, potem będziesz zatrutych pielęgnować? Cha, cha, a to dobre!

- Kazali mi zrobić obiad - powiedziała grobowo Dorota. - I jeśli mi ciocia nie pomoże, zostanę na Sportowej do trzydziestki. I będę lać wodę. Za wasze pieniądze.

Perspektywa musiała do cioci przemówić, bo zaraz nad wyraz rzeczowo spytała:

- Co mam robić?

- Wziąć gar i wsiąść do dwadzieścia sześć. Ja tu nakłamię, że idę do sklepu po produkty, i jakoś to wniosę. Nie wiem, może w termosie? Albo w jakichś kankach?

- Zwariowałaś. Do reszty! Dziesięć kilo składników?

- To niech ciocia weźmie taksówkę. Oddam z pierwszej pensji... Myślałam o cateringu, ale nie namierzyłam jeszcze żadnej sensownej firmy. Poza tym siedzę na ubikacji - dodała gwoli wyjaśnienia, co ciocię jeszcze bardziej skołowało.

- Zjadłaś coś nieświeżego? A może już próbowałaś gotować?

- Bardzo śmieszne. Nie, skądś muszę dzwonić. Zabarykadowałam się w toalecie.

- Nic nie rozumiem. Zaraz, czy ja dobrze słyszałam, że

mówiłaś o cateringu? - ciocia wypowiedziała ostatnią część pytania zupełnie takim samym tonem, jakim artykułowała słowo „menopauza”. - A czyją ty jesteś siostrzenicą, co? Catering?! W życiu na to nie pozwolę. Oddam nawet bigos. Ale gdzie ty... na tej ubikacji siedzisz?

- Dałam adres mamie. Ale wystarczy, jak ciocia zamówi taksówkę i podjedzie na św. Rocha, za cmentarz, ja ciocię odbiorę. Jest jeszcze coś.

- Mów, po termosie i kankach już mnie nic nie zaskoczy.

- Oni sobie zażyczyli, żebym upiekła babecznik.

- Co?

- Babecznik.

- Może babkę?

- Babecznik, dobrze pamiętam. Może to jakieś nowoczesne ciasto, nie wiem. Zadzwoń do Eweliny.

- Babecznik... - wymruczała skonsternowana ciocia. - Pierwsze słyszę, ale nic się nie martw. Damy radę. Skoro babecznik, to kto go ma upiec, jak nie baby?

\*

Jak się okazało, Dorota miała być w pracy dopiero jutro, co dość skutecznie popsulo Cezaremu humor. Już widział, jak wydebna od kelnerki telefon rudzielca i jak spędzają razem wieczór, mknąc autostradą jego bmw. Albo jej alfą romeo. Miedziane włosy Julki łopotwałyby na wietrze, pęd zatykałby im dech w piersiach, a z radyjka sączyłyby się gorące, hiszpańskie dźwięki. Potem mogliby gdzieś ewentualnie zaparkować, nawet popatrzeć w gwiazdy.

Objąłby silnym ramieniem to mleczne ciało i wymieniłby z rudą poglądy... choćby w materii analizy transakcyjnej Berne'a. Ta mała niezłe orientowała się w psychologii.

- Cześć, piękny. - Pani fotograf, jakaś taka odmieniona, wyrosła przed nim dość niespodziewanie na chodniku przed Skrzynką. Wystąpiła dziś w obiecującej żółtej kiece z odsłoniętymi plecami, z których sterczały w częstochowski krajobraz dwa kanciaste obojczyki przypominające skrzydełka owada. Bo na pewno nie anioła. - Właśnie idę na

Jasną Górę - oznajmiła uradowana. - Znowu się spotykamy.

- Niestety. Ty...

- Na „ty” to tramwaj staje. Ewelina, nie pamiętasz?

- „Tymczasem” chciałem powiedzieć, ale mi przerwałaś. Skoro idziesz na Jasną, nie zatrzymuję - dodał i ruszył w stronę przejścia dla pieszych. - Od razu idź do przeora i opowiedz, co widziałaś na wieży.

Towarzystwa tej pyskatej szczapy sobie aktualnie nie życzył. Już wystarczy, że nie spotka dzisiaj rudej, na co bardzo liczył. Lepiej będzie, jeśli pojedzie do siebie i zalegnie przed telewizorem. I pewnie by tak zrobił, gdyby nie zatrzymały go światła. Czekaając na zielone, odwrócił się odruchowo, i co zobaczył? Chudzina stała przy ogródku, tam, gdzie ją zostawił, a minę miała taką, jakby jej ktoś siłą zdarł z zębów aparat ortodontyczny.

Już się zdenerwował!

Nie odgrywała przecież pokazowej sceny rozpacz, bo nie wiedziała, że na nią patrzy. I co? Ma teraz pójść i ją zostawić? W takim stanie? Zawrócił zły jak wszyscy diabli. Wypadałoby chudzinę jakoś pocieszyć.

- I co tu tak sterczysz? - zagadał. - Wynocha stąd. Do domu!

- Ja... Szłam do ciebie - wydukała tonem skrzywdzonego kaczątka, co jeszcze bardziej go rozeźliło.

- Po co do ciebie? Do mnie. Po co?

- Bo wczoraj uciekłam bez pożegnania.

- Nie tylko ty!

Zdał sobie jednak sprawę, że na Bogu ducha winnej dziewczynie nie może wyładowywać swoich sercowych niepowodzeń.

- Wczoraj poznałem taką jedną... i też się nie pożegnała - dodał na usprawiedliwienie.

- To znaczy, że wywarłeś na niej wrażenie. Albo stwierdziła, że taki z ciebie dupek, że nawet nie warto ci powiedzieć „do widzenia”.

Cezary wzruszył ramionami i nieco już udobruchany pokazał na lokal. W słowach smarkuli było sporo racji. Wrażenie?

- Ty w ogóle coś jadasz? - zapytał. - Może strzelisz sobie naleśnika? Polecam pasterskie.

- Że to niby jakaś aluzja? Meee...

- I widzisz, kozo - uśmiechnął się szeroko - chyba zaczynam za tobą przepadać. Nie żebym przepadał tak czynnie, po prostu wnioskuje, że zaczynam.

- Ale ja jestem matrymonialnie zajęta - zastrzegła z humorem i powędrowała do środka.

- Ja też. Zajęty. Chyba. Ale pokumpelkować się możemy. A nawet proponuję ci wspólne spędzenie reszty dnia, bo moja oblubienica krąży gdzieś po świecie, ale gdzie, tego nie wie nikt. W każdym razie na pewno nie ty. I jak... wczorajsze zdjęcia?

- Jeszcze do nich nie zaglądałam. Byłam zajęta. Ale dzisiaj zajrzę.

- A dasz mi swój telefon? - zapytał niby obojętnie, ale intensywnie myślał o komisarzu, który zapewne ucieszyłby się . namiarów na świadka. - Chętnie na nie zerknę, więc muszę trzymać z tobą kontakt.

Chudzina nie odpowiedziała, za to wyjęła komórkę, bo właśnie ktoś do niej dzwonił.

- No?... To przekopane... Co? Ciocia? To wspaniale! - nadawała do słuchawki, a Cezary wsłuchiwał się w ten dość osobliwy dialog z mieszanymi uczuciami. - Nie mam pojęcia. Babeczki? Nie, nie znam. Zapytaj Juliana... Mówię ci, że nie słyszałam... Do żadnej nauczycielki z technologii żywności nie będę dzwonić! Tak, jestem twoją siostrą... Teraz? Dobrze, postaram się. Aaa... czy mogę przyprowadzić gościa? Nie wiem, czy zna się na ciastach, ale na naleśnikach zna się na pewno.

\*

Dorota weszła do salonu, gdzie Aldente i Rico toczyli po włosku dialog dotyczący, jak rozumiała, zasad utrzymania porządku. Poczula, że hektolitry najprzedniejszego miodu leją się na jej umęczone serce.

- Zdążysz posprzątać? - dopytywał się Włoch.

Rico spojrział na niego raczej nieprzytomnie, ale, o dziwo, doskonale kojarzył, o czym rozmawiają.

- Wiadomo, że posprzątam. Tylko nocą, teraz jestem lekko... niedopity. Jak się nie upiję, to się nie utrzeję - dodał dla wyjaśnienia, a Aldente westchnął z rezygnacją.

- Jasne... Tylko niech ci pomoże któryś z chłopaków. Sam się za to nie bierz.

- *Ty i ja, ty i ja, ty i ja... Mydelko Faaa...*

- Rico!

- Już! Pośpiewać nie wolno?

- Sprzęt musi być zabezpieczony, żeby nikomu nie stała się krzywda - powtórzył groźnie. - Macie przejrzeć wszystko dokładnie.

- Będzie czyściutko. Na błysk. *Siaba daaa...* Zaraz, czy oni nie szykują dla niej pokoju?

I to ze śpiewem na ustach?

Po raz kolejny dzisiejszego dnia Dorotę ogarnęło wzruszenie. Trafiała do włoskiego rajy wypełnionego schludnymi mężczyznami dbającymi o porządek! Dobrze, że przynajmniej w tej kwestii nie musi się niczego obawiać. Skoro są gotowi do chwycenia za miotłę nawet w środku nocy, czy to nie rokuje wygodnego żywota? A z tym sprzętem pewnie chodzi o miksery i inne kuchenne cuda. Zabezpieczą wszystko dokładnie, żeby jakiś rozszalały produkt AGD nie zrobił jej krzywdy.

Bajka.

Wręcz Królowa Śnieżka i siedmiu krasnoludków.

Ale, ale, nie można się tak rozpędzać w wydumanych porównaniach literackich... Ta Śnieżka to musiała przecież tych krasnali obsługiwać, biedaczka. Tfu! Żadnych Śnieżek w takim razie. Tutaj zanosilo się raczej na współczesną Doktor Quenn, która od czasu do czasu pomacha również łyżką. Chyba że dobrze się urządzi i pomachają za nią inni. Na przykład ciocia Czesia. Albo Ewelina. Grunt to rodzinka!

Wreszcie uznała, że powinna się wtrącić, zresztą szczegóły dotyczące jej lokum zostały już chyba omówione. Teraz nadeszła pora na jej występ kulinarny.

- Zaraz zacznę gotować, tylko muszę wyskoczyć po kilka

produktów - zaszczębiotała, na co Rico, po porozumieniu się wzrokiem ze swoim szefem, zamasyścił otworzył szufladę pod telewizorem wypełnioną... banknotami!

- Proszę bardzo - zachęcił ją Aldente. - Stąd bierz, ile chcesz. Na domowe wydatki.

Dorota prawie zapomniała, jak się nazywa. To ona była rozliczana z każdej kropli wody,

zupełnie jakby mieszkała w Etiopii, a na świecie są biali ludzie, którzy tak po prostu otwierają szufladę i mówią: „Bierz, ile chcesz”? !

Podeszła nieśmiało i z zielonej sterty pieniędzy wyciągnęła sto złotych. Aldente przyglądał się temu z lekkim rozbawieniem.

- Tyle? Tyle to wystarczy na makaron. Nas jest siedmiu. Weź więcej. A, zapomniałem. Przecież nie będziesz tych ciężarów nosić sama!

- Nie, nie. - Przelekła się, że zostanie obarczona towarzystwem, co storpedowałoby jej podstępne plany. - Poradzę sobie, naprawdę. Uprzejmie dziękuję.

- Muszę o ciebie dbać. Masz prawo jazdy? - Mam.

- Rico, samochód dla pani.

Blondyn otworzył kolejną szufladę, skąd wyciągnął kluczyki. Zabrzęczały srebrzyście niczym dzwonki, a Dorota usłyszała w tej samej chwili, jak chóry anielskie wykonują najpiękniejszą z pieśni. W myślach najpierw podziękowała swojemu toskańskiemu opiekunowi, który namówił ją do zrobienia *patente*, a potem przycisnęła kluczyki do piersi.

Modliła się, żeby to nie był sen.

Inaczej nie przeżyje przebudzenia.

- Zwyczajny fiat, ale bardzo wygodny - objaśnił Aldente. - Czasem nie będzie wolny, bo Mario i Ronaldo jeżdżą nim na zmianę, ale dogadacie się. Zawsze też któryś pomoże przy zakupach.

- O, nie, nie - powiedziała zdecydowanym tonem. - W kuchni rządzą... ja! Na zakupach to samo.

Aldente nie miał nic przeciwko takiemu postawieniu sprawy. Nawet okazał zadowolenie.



- Czyli wszystko wiadomo. Ty rządzisz w kuchni, ja tu. - Potoczył spojrzeniem po pokoju, a Rico czknął dla akcentu i zadał odrażające w treści pytanie:

- To o której obiad?

Trzeba się było uwijać.

Zapoznanie się z nowym samochodem zabrało Dorocie trochę czasu. Tak samo jak parkowanie na Wręczyckiej i powrót galopem na św. Rocha. Po wszystkim stanęła zziębnięta na przystanku autobusowym i wyczekiwała umówionej taksówki, która pojawiła się dopiero po dwudziestu minutach. Nawet nieźle się złożyło, przecież zakupy muszą trochę potrwać. W samochodzie siedziała ciocia Czesia, naburmuszona mama i nieco oglupiały taksówkarz, który na widok ładnej dziewczyny rozpląnął się w uśmiechu.

- Podjedziemy kawałek dalej - zarządziła przymilnie i po kilku minutach znalazły się pod bramą z napisem „ROD im. T. Kościuszki”, która sąsiadowała z murem otaczającym posesję Włochów. Rosnące przed nim głogi i chaszczki tworzyły wcale skuteczną zasłonę. Zapachy unoszące się nad tym zakątkiem wskazywały, że okoliczna ludność przerobiła go na publiczną toaletę pod chmurką, ale nie było wyjścia. Ciocia zapłaciła za taksówkę i z pomocą mamy wyciągnęła z bagażnika olbrzymi garnek owinięty folią i sznurkiem. Postawiły go pod pobliskim drzewem.

- Tam. - Dorota pokazała na krzaki spowite pokrzywami i nawłocią.

- Słuchaj - mama podparła się pod boki i wreszcie przemówiła - co ty odstawiasz za przedstawienia, hę? Co to za historia? Kto to widział, żeby...

Ciocia chrząknęła niby uprzejmie.

- Ja cię, moja droga, przepraszam, ale to mnie Dorota poprosiła o pomoc - oznajmiła stanowczo. - Ciebie nikt tu nie zapraszał, więc albo chwytaj za gar, albo szoruj na Rocha.

Tam masz przystanek.

Mama zamilkła urażona, a Dorota miała ochotę ucałować ciocię w kościste policzki. Jej radość okazała się jednak przedwczesna.

- A ty mi lepiej powiedz, jak to chcesz przetransportować na drugą stronę? - ciocia domagała się konkretów. - Bo tam mamy mur, a tu - wskazała pod drzewo - dziesięć kilo bigosu. Który nie ma skrzydeł, chociaż to niebo w gębie.

Tego Dorota nie uwzględniła już w ogóle. Stała bezradna i usiłowała coś wymyślić, ale ciocia machnęła na nią lekceważąco ręką i przejęła dowodzenie.

- Najpierw rekonesans - oznajmiła, kierując się w stronę krzaków, skąd wróciła prawie natychmiast. - Ja tego nie przeskoczę. Nie jest wysoko, ale nogi już nie te. Drabina! Potrzebujemy drabiny - uściśliła i nagle jej wzrok zatrzymał się na zielonym szyldzie za ich plecami. - I już! Jak te głupie stoimy przy ogródkach działkowych, a tam czekają tysiące drabin.

Mama nie zamierzała drgnąć z miejsca, ktoś musiał przecież pilnować cennej potrawy. Na poszukiwania pognała więc ciocia w towarzystwie Doroty. Niedługo potem obiektem ich pożądania padła połyskująca w słońcu zielona śliczność. Wysoka, solidna, oparta z wdziękiem o gruszę, aż szeptała, żeby jej nie zostawiać, toteż ciocia od razu przeszła do działania. Kiedy okazało się, że właściciele działki są nieobecni, po prostu drabinę wypożyczyła.

- Przecież to jest kradzież - Dorota przeraziła się, widząc, jak ciocia zadziera żylastą nogę i dokonuje wtargnięcia na cudzy teren.

- Cel uświęca środki. - Ale...

- Ty tu zabezpieczaj tyły, a nie gadaj - pouczyła ją ciocia i przemknęła na paluszkach do drzewa.

Działki wyglądały na opustoszałe, choć dzień był piękny. Słońce prześwieślało liście i prażyło kotłujące się w nim zapachy trawy i malin. W ten oto sposób pośród ćwierkania ptaszków i bzyczenia pszczół Dorota uczestniczyła w pierwszej w swoim życiu kradzieży i stwierdziła, że niektóre rzeczy przychodzą jednak zbyt łatwo.

Mama była podobnego zdania. Na widok zdobyczy popukała się po głowie, ale szybko zrozumiała, że dla niej również nie będzie taryfy ulgowej.

- Ja na to nie wejść - zastrzegła, jakby przeczuwając, co ją czeka. I rzeczywiście.

Przeniosły gar, postawiły drabinę pod murem i ciocia bardzo rzeczowo wydała polecenie:

- Dorotka z garem na górę, my za nią.

Nie wzięła jednak pod uwagę, że piętnastolitrowego naczynia zawierającego dziesięć kilogramów półpłynnej treści nie była w stanie przenieść na drugą stronę ani jej siostrzenica, ani siostra, ani tym bardziej ona sama.

\*

Aldente był ze swojej decyzji zadowolony.

Dorota okrutnie przypadła mu do gustu.

Nawet jeśli okazałoby się, że nie potrafi przyrzadzić zwykłego *carpaccio*, nie chciał nikogo innego. Ale los mu sprzyjał. Jego blond pielęgniarzka przyjęła ochoczo propozycję Rica i już nawet pognęła po zakupy. Doskonale. Ciekawe, czym zbałamuci ich podniebienia. Bo jeśli taka kobieta bierze się za gotowanie, to te smukłe rączki z pewnością wyczarują coś absolutnie powalającego.

Przyjemne oczekiwanie przerwał nerwowy okrzyk Nicoli.

- Aldente! Choć tu, szybko!

Nie brzmiało to dobrze. Wdrapał się na piętro i wszedł do wartowni - tak nazywali pokój, którego ściany stanowiły okna skierowane na każdą ze stron posesji.

I właśnie na ścianie wschodniej działo się coś niepokojącego.

Na murze siedziały jakieś... baby i podawały sobie przygotowane w rządku garnki. Ta w kwicistej spódnicy przełożyła swobodnie nogę przez murek, aż po brzeg sraczkowatych cielistych podkolanek, i rozkoszowała się chlupaniem czegoś z łyżki służącej do nalewania zupy. Druga, przyodziana w ciuszki a la leciwa pantera, usiłowała jej tę łyżkę wyrwać, a kiedy tamta się odsunęła, pantera z widoczną satysfakcją napluła do najbliższego garnka. Wtedy zaczęły się tak kłócić, że nawet tutaj dolatywały ich gderliwe głosy. Ucichły, kiedy od strony ogrodu podbiegła trzecia. Najmłodsza. Śliczność w białej zwiewnej sukience. Musiała im nagadać, bo

pospuszczały głowy i siedziały już cicho, nie przestając jednak słać sobie pełnych urazy spojrzeń.

- To Dorota! - Aldente wpatrywał się w okno z niedowierzaniem. - Zrób mi zbliżenie!

- Dorota, zgadza się - potwierdził Nicola i również nie odrywał wzroku od ekranu, który przekazywał obraz z kamery ukrytej pod okapem dachu. - Co one robią?

- Poczekaj... Nie mam pojęcia!

- To zapytam. - Tamten już chciał popędzić na dół, ale Aldente go zatrzymał.

- Poczekaj, bo to fajne. Zostawmy je.

- Ale co to za kobiety, te starsze?

- Cholera wie... Dorota podaje im nasze garnki... Tak, nasze? Daj jeszcze bliżej.

Nicola wykonał polecenie.

- Nasze - przytaknął.

- Podaje im nasze garnki. Puste. Ta starsza przekłada do nich jakąś potrawę, ta druga podaje Dorocie. Dorota biegnie z tym... gdzie? Podgląd całościowy na dom poproszę... Biegnie z tym do kuchni!

Spojrzeni po sobie wstrząśnięci. Nicola zachichotał pierwszy.

- Zdaje się, że przybył nasz obiad.

- A już myślałem, że poznałem ideał - mruknął Aldente, ale również się uśmiechnął, choć z nieco mniejszym zapalem.

- Patrz, patrz! Kolejna!

Ulicą przydreptała jakaś rudowłosa, ale zanim podeszła do bramy, wyciągnęła komórkę. Zamieniła z kimś parę słów, zdębiała, po czym skierowała się w stronę działek. Tu już szła ostrożnie, jakby nie wiedziała, co ją czeka. Kiedy pokonała krzaki i objęła spojrzeniem akcję na murze, otworzyła szeroko oczy i trwała tak dobrych kilka sekund. Jeśli dobrze ocenili, była w szoku.

Po kwadransie wszystkie garnki stały już w kuchni, łącznie z tym największym. Teraz nastąpił kolejny akt. Baby wyszły przez okno kuchenne i schowały się w śmietniku na tyłach domu, a Dorota pokonała za pomocą drabiny mur, co było dość

karkołomne ze względu na monstualne obcasy jej butów. Starając się być niewidoczną z domu, pomknęła ukradkiem na Mazowiecką. Spocona jak mysz wróciła po pół godziny, niosąc siaty z zakupami.

Uśmiechała się przy tym tak słodko, że Aldente był pełen uznania.

Z fascynacją obserwował ciąg dalszy.

Dorota zabarykadowała się w kuchni, zastrzegając, że mężczyźni nie powinni płać się kucharce pod nogami, a najlepiej by było, gdyby zapomnieli o jej istnieniu i nie przestępowali progu salonu. Dodała, że podczas gotowania słucha głośnej muzyki, bo tylko w ten sposób jest się w stanie kulinarnie skoncentrować.

Faceci bynajmniej nie pchali się do przeszkadzania, bo oblegli telewizor na piętze. Rozsiedli się wygodnie i sącząc wino, z zapartym tchem śledzili wydarzenia na dole, jakby co najmniej kibicowali ulubionej drużynie. Mieli stąd podgląd na całą kuchnię, gdzie kamery zostały porozmieszczane tak sprytnie, że oprócz domowników nikt ich nie dostrzegał.

Na sygnał Doroty baby wylażyły ze śmietnika i wzięły się za akrobatykę okienną, która nieźle wychodziła zwłaszcza tej kwiecistej - wskoczyła do wewnątrz całkiem zwinnie.

Pantera marudziła i rzucała tęskne spojrzenia na dach śmietnika, gdzie spoczywała drabina, ale kwiecista rzuciła pod nosem jakiś komentarz, który najwyraźniej zmobilizował panterę, bo przy pomocy Doroty wreszcie wgramoliła się do środka. Potem nastąpiło kilka kwadransów względnego spokoju. Panowie do wizji dołączyli fonię (Rico tłumaczył) i przysłuchiwali się pikantnym dialogom toczonym podczas sporządzania ciasta, z których wreszcie wyszło im powinowactwo rodzinne. Kwiecista okazała się cicią Dorotki, a leciwa pantera mamą, co panowie przyjęli rubasznymi żartami wycelowanymi w nieco nastroszonego Aldente.

Kiedy wszystkim powoli zaczynało burczeć w brzuchach, Rico wbił spojrzenie w ekran i nagle się ożywił.

- O! - Pokazał ręką na okno, w którym z rozdziawionymi buziami pojawili się kolejni uczestnicy kulinarnego szczytu.

Chuda dziewczyna i towarzyszący jej brunet. - Przecież to ten od wykopalisk! Temu nie daruję. Idę skubanego postraszyć.

\*

Cezary spodziewał się, że rodzinę Eweliny tworzą osoby niezbyt zrównoważone i rozsądne, w końcu niedaleko pada jabłko od jabłoni, ale to, co zobaczył po przybyciu na miejsce, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Pierwsze zaskoczenie przeżył, kiedy Ewelina zawlokła go pod jakiś mur i niefrasobliwie obwieściła:

- No to siup. Na drugą stronę. Kto pierwszy? Może najpierw ja, ty mnie podsadzisz.

- Że co? Mam przełazić przez mur? Co wy, bidulki, furtki nie macie? - domagał się wyjaśnień, chociaż przewidywał, że odpowiedź nie przypadnie mu do gustu. Już na Mazowieckiej, kiedy Ewelina odebrała kolejny tajemniczy telefon, zaczął podejrzewać, że wpakował się w jakąś aferę.

- My tu jesteśmy... incognito - odparła i ponagliła go niecierpliwie: - Ile mam czekać? Przecież sama nie przejdę. Podsadzaj!

Łzapała rękami za wystające kamienie i usiłowała się podciągnąć, co wyglądało dosyć nieporadnie.

- Już. Mam tylko jedno pytanie - zastrzegł. - Czyj to dom?

- Czy to istotne? Nie stój jak kolek! Do góry!

Zgodnie z życzeniem podsadził ją, co nie oznaczało, że sam również posłusznie znajdzie się po drugiej stronie. A może strona porośnięta zielonym gąszczem jest właściwsza niż ta elegancko przystrzyżona i uładzona ogrodniczą ręką? Ładnie tam było, a i owszem, ale czy mu w tych obsikanych chaszczach źle? Odprowadził Ewelinę, w porządku. Niech dalej sobie radzi sama.

Nagle zreflektował się. A jeśli smarkula już za chwilę zostanie zagryziona na śmierć przez jakiegoś złego psa? Było aż nadto oczywiste, że wdarła się na cudzy teren. Chyba jednak zostanie i jej popilnuje. Choćby rzucając kontrolne spojrzenia zza muru.

Cezary zdawał sobie sprawę, że myśl stwarza rzeczywistość,

ale nie przypuszczał, że akt kreacji może nastąpić tak błyskawicznie. Ledwie bowiem myśl o psie przeleciała mu pod czupryną, zza rogu wyjrzał zainteresowany ich rozmową... buldog. Był jasnobrażowy, pomarszczony i masywny. Trwał nieruchomo, oceniając sytuację, a następnie ruszył niespiesznie w kierunku Eweliny, tak jakby miał pewność, że rozszarpanie tej marnej porcji mięsa nie przysporzy mu szczególnego trudu.

Ewelina zamieniła się w słup soli, za to Cezary dla odmiany dostał przyływu energii. Napiął mięśnie i po chwili stał już przy chudzinie, gotowy bronić jej przed straszliwą bestią choćby własną pierś. Bestia okazała się jednak niezbyt zainteresowana konsumpcją kogokolwiek, bo mlasnęła, zachlapała śliną pół chodnika i położyła się wygodnie pod ścianą. Sprawiała wrażenie, jakby oglądała swój ulubiony serial i wysmienicie się przy tym bawiła.

- Nie zeżre nas ten potwór? - wydukała wreszcie Ewelina.

- Może właśnie kogoś trawi, więc chwilowo mu się nie zmieścimy. Ty mi lepiej powiedz, czyj to dom? - groźnie ponowił pytanie.

- Częściowo mojej siostry, Doroty. Będzie... - dodała i wyszczerzyła zęby w podstępny uśmiech.

- Czyli jeszcze nie jest?

- Prawie. Moja siostra stara się tutaj o pracę. Jako kucharka. I pielęgniarka.

- A co MY tutaj robimy?

- Jak to co? Pomagamy jej. Jak długo będziesz mnie jeszcze przesłuchiwał? - zirytowała się w końcu. - Może od razu pobierz mi krew? I z rozmazu wszystko ci wyjdzie. Aha. Muszę cię uprzedzić. Tam... - wskazała ręką na dom - jest też reszta mojej rodziny. Mama, ciocia i Julian.

- Oni też dostali się tu od tyłu?

- Hm... - zasepiła się. - Nie bardzo umiem sobie wyobrazić, jak ciocia fika przez mur, ale nie wykluczam. Ciocię stać na wiele. A skoro stać ciocię, mama się nie podda i pokaże, że nie jest gorsza. Julian potrafi pokonać każdy mur, nawet berliński, więc w sumie całkiem możliwe, że one też tędy...

- One? Chyba oni. Julian to brat? - Cezary rzucił spojrzenie

buldogowi. - Fajnie, bo już się bałam, że zostaną zdominowani.

- Julian? - Ewelina nie mogła się zdecydować. - Lubi mówić o sobie, że kieruje się męską logiką, chociaż to takie gadanie. Normalny, rzetelny kawałek kobiety. Z tym że rodem ze średniowiecza, więc normalny to może nie bardzo. I do tego pani psycholog, więc lepiej już nie komentuję. O, tam, popatrz przez okno.

Cezary popatrzył.

I zamarł.

Nad kubkiem herbaty siedziała zamyślona dziewczyna, a wpadające do pomieszczenia słońce odstawiało dzikie harce w jej po skręcanej, płomiennej fryzurze.

Julka!

Tyle się jej dzisiaj naszukał, a ona jest siostrą chudej szczapy? A blondynka ze Skrzynki... No, to już jest komplet. Trzy wesole siostrzyczki. Jak miło. W kuchni również ich dostrzeżono.

Rudzielec zamrugał oczami i zrobił się czerwony jak burak, blondyna podniosła się na ich widok zaskoczona znad gazety, a starsze panie przerwały trajkotanie i stały pod kuchenką z chochlami w garści gotowe do odparcia każdego ataku - Cezary od razu poczuł przed nimi respekt i uprzejmie się uklonił.

- I co się tak gapicie? - przemówiła po chwili konsternacji dama w kwiecistej spódnicy i wycelowała w Cezarego: - Ty jesteś ten od naleśników? To wskakuj. A Ewelina, dziecko, leć po cukier puder, bo za cholerę w tej chińskiej kuchni nie mogę go znaleźć.

- We włoskiej, ciociu - upomniała ją blondynka.

- Jak we włoskiej nie mogę znaleźć, to znaczy, że ona jest chińska, i bez dyskusji. Ewelina, weź drabinę, leży na śmietniku. Z drabiną będzie szybciotko. A pan pomoże ubijać krem, bo Halina zepsuła mikser. Te Chińczyki to Dorotę wyrzucają, a nie przyjmą, mówię wam. Wyrzucają!

- Włosi, ciociu, Włosi! Czy ciocia denerwuje mnie celowo?

- Nie. Ja cię denerwuję spontanicznie.

- A mnie?! - Mama Julki podparła się pod boki. - Kto



zepsuł mikser? Ja?! A kto mi kazał nacisnąć czerwony guzik, jak blokada jeszcze nie puściła?

- Ty mi za to naplulaś do bigosu! - broniła się nieudolnie ciocia.

- Naplulałam, bo co za różnica pluć do garnka czy na chochlę, skoro potem ją i tak do niego wsadzasz? Kulturę gotowania trzeba mieć. Nie uczyli cię, że się próbuje osobną łyżką? To ja cię nauczę.

- Pluciem do potrawy? Kultura gotowania?! Ty kretynko!

Cezary czuł się nieco oszołomiony. Przed oczami wirowały mu mąka, jajka i cukier. W uszach plątały się okrzyki pań i głośne łubu-dubu lecące z odtwarzacza, które w założeniu miało pewnie zagłuszać ich rozmowy, ale potęgowało dźwięki i czyniło je nieznośnymi. Próbował odnaleźć się w tym babskim rejwachu, kiedy Dorota znieruchomiała i spojrzała w sufit. Jak zdołała usłyszeć cokolwiek dobiegającego z wnętrza domu, Cezary nie potrafił zrozumieć, ale po pełnej napięcia chwili zerwała się z miejsca.

- Schody skrzypią. Ktoś idzie! - ryknęła przejmująco i w kuchni rozpętało się jeszcze większe piekło.

Dorota miotła się pomiędzy lodówką a garnkami, które zaczęły bulgotać i pluć brązową cieczą na kuchenkę. Ciocia usiłowała wypchnąć mamę Julki przez okno, ale ta się zaklinowała. Jej usłużna siostra wybrała więc oryginalną metodę niesienia pomocy, bo waliła biedaczkę po tylnej części ciała łyżką cedzakową i wyzywała ją od starych dup. Ewelina przemykała od wewnątrz szafkę kuchenną, do której, z racji swoich gabarytów, przed chwilą się schowała.

Czysty obłęd!

Ktoś tu musiał zachować zimną krew.

- Dorota, otwórz okno i przytrzymaj mamę! - rzucił do blondynki. - Julka, wyłącz gaz i za lodówkę, bo już nie zdążysz. Ewelina, nie ruszaj się, bo szafka skrzypi.

Po odgłosach za oknem domyślił się, że panie stanęły twarzą i w twarz z buldogiem, ale spotkanie najwyraźniej przybrało przyjazny obrót, więc skoncentrował się na kuchni. Gary w porządku, szafka z Ewelina domknięta. Dorota chwyciła

chochłę i zaczęła nią w panice nakładać porcje bigosu do porozkładanych wszędzie talerzy. Julka wystawiała nos zza jakichś drzwi i dawała mu znaki. Pewnie odkryła spiżarkę.

Już!

Dał susa do pokoiku i wstrzymał oddech. W drzwiach zostawili niewielką szparę, ale co tam szpara, ważne, żeby nawet nie drgnąć. Było to tym trudniejsze, że Cezary znalazł się w bliskim sąsiedztwie swojego rudzielca. Pachniała jabłkami i cynamonem. I była ciepła i pulchna jak ciasto. Taka mała, dobrze wypieczona babeczka. Mrrr...

- Fajnie cię znowu widzieć - wyszeptał jej do ucha najciszej, jak tylko potrafił.

Trzasnęły kuchenne drzwi i romantyczne kwilenia zeszło na drugi plan. I dobrze, bo w

sumie romantyczności miał w sobie tyle co słoń wdzięku.

- I jak tam... gotowanie? - usłyszeli nieco kpiący, męski głos.

- A, dziękuję. Prawie skończyłam. Jest bigos i... babecznik. Wedle życzenia.

- I co? Tak szybko ci poszło?

- A dlaczego miałyby mi pójść wolno? - zapytała niewinnie Dorota. - Bigos to moment. Ciasto też. Kwestia wprawy.

- Taaa... No to ładnie. Ładnie. - Trzasnęła pokrywka zamykanego garnka. - Aldente będzie zachwycony.

- Bardzo się cieszę.

- A wołowinka nie twarda?

- Czemu?

- Bo gotowałam godzinę, a wołowinka potrzebuje ze dwóch, trzech. - W głosie faceta usłyszeli zadowolenie, a Julka zakwicziała z przejęcia i pokazała Cezaremu w geście rozpaczki poderżnięte gardło. Niesłusznie. Dorota wyszła z opresji wręcz śpiewająco.

- Eee... Naprawdę? Może zależy, jaka wołowinka - zaśmiała się nerwowo. - Pani w sklepie powiedziała, że ta wołowinka to jest w zasadzie cielęcinka. Z młodego niemowlaczka... Z cielaczka, znaczy się.

- Z cielaczka... Bigos w godzinę... Skoro tak... Bardzo się

cieszę, naprawdę, bardzo się cieszę, że będziemy mieli taką zdolną kucharkę. Aż zgłodniałem. Jak wilk, *siaba daba da...* Przegryzę sobie piwko. - Mężczyzna podszedł do lodówki stojącej tuż przy drzwiach spiżarni.

Cezary zerknął. Stąd dostrzegał tylko owłosioną rękę trzymającą papierosa, ale i to wystarczyło. W mordę!

On już widział takiego peta!

Niedawno. Ale gdzie? Brązowa tutka, owinięta dwoma złotymi paskami. „Sunday's Fantasy”. Tak!

Wreszcie skojarzył. Niedopałek wpadł mu w oko dzisiaj w ogrodzie klasztornym! Nieco zdziwiła go obecność sundaysa w takim miejscu, ale mógł przecież zostać rzucony z wałów. Tym niemniej Cezary, po swoim słynnym nikotynowym wystąpieniu na stanowisku, podniósł niedopałka ze ścieżki i rzucił w trawę. Żeby nie było na niego.

A teraz zaczął się poważnie zastanawiać.

Dewastacja, kradzież Bruna, „Sundas Fantasy”...

Oczywiście papieros w ręku tego tu mógł być najzwyczajszym przypadkiem, ale był na tyle rzadko wybieraną marką, że Cezary szczerze w to wątpił.

Poza tym w przypadki nie wierzył. Postrzegał świat jako zaplanowaną całość, w której nawet to, co paskudne i okrutne, ma swój ukryty sens. Nawet więcej - gdyby istniało tylko samo piękno i szczęśliwość, człowiek nie czułby ich smaku, bo straciłby punkt odniesienia. Zło musiało istnieć. Absolutnie. Raz, żeby było z czym walczyć, dwa, żeby definiowało dobro.

Dlatego postanowił, że jeszcze dzisiaj wróci do ogrodu i znajdzie zgubę. A potem pojedzie na uczelnię i popracuje nad profilem DNA.

Tak na wszelki wypadek.

A do Doroty będzie miał pewną prośbę.

\*

Z rudzielcem został sam na sam, dopiero kiedy odwieźli całą babską bandę do mieszkania przy ulicy Sportowej. Julka jechała przodem, i całe szczęście, bo bloki w tej dzielnicy musiał ponumerować jakiś urzędas chory na zaawansowanego

Alzheimerera, ewentualnie zajęło się tym podchmielone towarzystwo administracji podczas zakładowej imprezy. Cezary nigdy czegoś takiego nie widział. Przy numerze sto trzy przez sto pięć można się było spodziewać, zgodnie z tą wątpliwą logiką, dwójki tudzież czterdziestki piątki. Na propozycję spaceru Julka zrobiła się czujna.

- Ale to nie będzie park?

- Masz coś przeciwko parkom? - zapytał zaskoczony, chociaż domyślał się, co ta uwaga miała znaczyć.

- Jeśli nie ma w nich... altanek, to nie - odparła z uśmiechem, ale stanowczo.

- A szopa może być?

- Może być... na co?

- Na spacer.

- W szopie się nie spaceruje - zaprotestowała rozbijając, ale Cezary zaczął się denerwować.

- Kochanie, upośledzony umysłowo nie jestem, ale zamiast chować się za szopą, to może wyartykułuj jasno i zwięźle, o co chodzi. I nie mów, że o altankę! Nie chcesz współ...

Julka zatkała uszy i odwróciła się tyłem, a Cezary przypomniał sobie słowa Eweliny o średniowiecznej mniszce. Wtedy myślał, że żartowała, ale może faktycznie coś w tym było?

Popukał ją po plecach.

- Co jest? Użyłem jakiegoś brzydkiego słowa? Współpraca, współczesny, współnik. I współzycie. Normalna rzecz. Współ. Taki przedrostek... Chcę tylko powiedzieć, że nie ma sprawy, Już cię nie dotknę nawet palcem u nogi, jeśli sobie życzysz, W porządku?

Czy on to powiedział?

On, trzydziestopięcioletni, poszczący miesiącami samiec dobrowolnie wyzbył się okazji do spędzenia kilku odprężających chwil w ramionach kobiety?

Chyba mu odbiło.

- Ja się nie nadaję - padło cicho.

- Do?

- Bezuczuciowego, lodowatego, wyrachowanego współ...

- Aha. Ja się też nie nadaję - zapewnił. - To ustalone. Razem się nie nadajemy. W takim razie zapraszam cię, Julianno, na prostacki spacer po ogrodzie. Klasztornym, więc bądź spokojna. Szop sztuk jedna. Zresztą obskurna. Za to kapliczek do wyboru, do koloru na każdej wierzbie. Żebyś była pewna, że nie wytworzy się między nami nic erotycznego porozumienia, mogę obiecać, że co kwadrans będę puszczał bąka.

Wybuchła szczerym, przyjemnie brzmiącym śmiechem i już nie wracali do tematu. Wskoczyli każde do swojego samochodu i podjechali pod Jasną Górę od strony bocznej bramy. Cezary wypożyczył od brata dyżurującego na furcie klucz i przemknęli się pod murami niepostrzeżenie, co było o tyle możliwe, że nie każde wejście do ogrodu prowadziło z budynków zamieszkałych przez braci, dokąd kobietom broniła wstępu klauzula. Żeby jednak kobieciejstwo Julki nie rzuciło się w oczy, Cezary jeszcze w aucie pożyczył jej bluzę i czapkę z daszkiem.

- Jak tu ładnie - zachwyciła się, kiedy stanęli na parkowej ścieżce. - I ty tu pracujesz? - nie mogła się nadziwić, chociaż po drodze wysłuchała opowieści o wieży, kradzieży Bruna, a nawet o papierosie. Skoro romantyczności przestały być aktualne, to chociaż porozmawiają o tym, co się wydarzyło.

- Tam jest stanowisko. - Cezary wskazał na odgrodzony kawałek ziemi, który wyglądał na wiosenną, dobrze skopaną grządkę. Z tym że dość sporych rozmiarów. - Zobacz, co zrobili.

- Za bardzo nie mam porównania z tym, co było przedtem. I mówisz, że Ewelina widziała, jak ten trup spada? - Julka uniosła brązową brew, a Cezary aż mlasnął, tak mu się w niej wszystko podobało. Brew, nos czy lewy but. Obojętnie.

- Tak mówi.

- Faktycznie wspominała coś o morderstwie... Swoją drogą, co za słowo w tym częstochowskim mikroświecie! Morderstwo. Ale musisz wiedzieć - uprzedziła - że Ewelina ma przesadnie wybujałą wyobraźnię. Jej opowieści trzeba podzielić, pomnożyć, a na koniec wyciągnąć z tego

pierwiastek. Dlatego morderstwo nie bardzo mieści mi się w głowie. Morderstwo i Ewelina w roli świadka! Jeśli to prawda, czekają mnie ciężkie chwile.

- Czemu?

- Będę wysłuchiwała setek relacji. Ze składania zeznań, z wizji, sekcji, wiwisekcji i z czego tylko. Przepyta każdego!

- Nie rozumiem. To Ewelina będzie składać zeznania. Już wysłałem komisarzowi jej numer telefonu.

Julka roześmiała się kpiąco.

- Ewelina? Składać? Tak ci tylko się wydaje. Twój komisarz jeszcze zateśni za czasami, kiedy na policyjnym widnokregu nie było mojej siostry. Myślisz, że ona pozwoli, żeby śledztwo toczyło się bez jej udziału? Będzie się wtrącać, mącić, przeszkadzać. I albo ten morderca pierwszy nie wytrzyma nerwowo i ją zabije, albo zrobi to twój komisarz.

Cezary chrząknął zaniepokojony. Prześladowała go dokładnie taka sama wizja. Jeśli do wścibskiej pani świadek dołączy ze swoją twórczą fantazją Lesiak, będzie niezła zabawa.

- Co możemy zrobić?

- Podejrzewam, że już jest za późno. - Julka westchnęła. - Ewelina wybiera się jutro na komisariat.

- To ja zadzwonię do komisarza i poproszę, żeby komisariat wybrał się do niej. Do domu.

- Tylko że wtedy wezmą tego policjanta w obroty ciotka z mamą. Też niedobrze. Ale... - Julka zrobiła minę, jakby coś knuła - gdybym zaprosiła siostrę do mnie, komisarz mógłby z nią w spokoju porozmawiać. A my wypilibyśmy na tarasie kawkę. Umowa stoi?

Cezary nie ukrywał zadowolenia. Przynajmniej nie będzie musiał szukać pretekstów do następnego spotkania.

- Bardzo dobry pomysł - stwierdził.

Tymczasem pod murami kładły się ostatnie podłużne cienie. Wieczorne światło dotykało resztkami sił parku i nadawało mu pomarańczową, choć dogasającą barwę. Pomimo takiego oświetlenia rzeźba Grobu Pańskiego za plecami Cezarego wyglądała dość złowrogo. A może tylko się Julce zdawało? Do tej pory oglądała ją z góry, z wałów. Z nowej perspektywy

postać strażnika z halabardą groźnie odcinała się na tle nieba i zdawała mówić: „I tak wszystko widzę”. Julka stwierdziła, że lepiej trzymać się Cezarego,

- A co z tym papierosem? - Rozejrzała się.

- Zaraz znajdę. - Zrobił kilka niezdecydowanych kroków po ścieżce.

- Ale po co te poszukiwania? Przecież mógł go tu rzucić każdy.

- Niby tak. Ale Bastion św. Trójcy wyłączyliśmy dla zwiedzających.

- Nawet jak ktoś stał dalej - Julka pokazała na mury po prawej stronie - to przecież wiatr mógł tego papierosa przenieść aż tutaj.

- Niby tak - znowu przytaknął Cezary i uśmiechnął się jak ktoś pewny swego. - Ale takich papierosów nie pali każdy. To raz. Dwa... Coś mi się w tym włoskim domu nie podoba.

- Tobie też? - ożywiła się.

- A ten facet...

- Blondyn?

- Nie wiem, widziałem tylko jego rękę. Ten z kuchni. On mi się nie podoba wybitnie. To znaczy ton jego głosu mi się nie podobał.

- Prawda? Rozmawiał z Dorotą, jakby doskonale wiedział, że ona tego wszystkiego nie ugotowała.

- O, widzisz. Teraz to sobie nazwałem.

- I chyba był pijany. Ewelina mi o nim opowiadała. Nazywają go Rico. Jest Polakiem i pracuje u tego całego Włocha. U Aldente.

- Jako?

- A tego nie wiem.

- A możesz się dowiedzieć? - Cezarego zaczęło nagle wściekle interesować wszystko, co było związane z domem przy Świętokrzyskiej.

- Naprawdę myślisz, że Rico mógłby mieć coś wspólnego z dewastacją twojego stanowiska? - Julka powątpiewała. - I z kradzieżą kości? Przecież to bez sensu.

- Z sensem czy bez... Wyobraź sobie polską ulicę - poprosił

nieoczekiwanie.

- Co?

- Wyobraź sobie, że idziesz ulicą. - Stał za jej plecami. Zamknęła oczy i odruchowo oparła się o Cezarego.

- Może być Orkana?

- Może być. Nawet nie wiedziałem, że taka ulica istnieje.

Co widzisz?

- Przychodnię, domy...

- Popatrz pod nogi.

- Na chodnik?

- Yhm.

- Płyty, pypcie, śmieci i... papierosy! Aaa, to dlatego?

- Dlatego. Jakie te papierosy widzisz?

Zachichotała. Nie przypuszczała, że wyobrażając sobie zaślinione pety, może przeżyć jeśli nie upojne, to co najmniej miłe chwile.

- Już, tylko się skoncentruję. Jako królowa tytoniu rozpoznaję wszelkie marki, nawet zachodnie. Ba, światowe! Zefiry mogą być?

- Stare dzieje, chi, chi. Nie o to chodzi. Kolorystycznie, powiedz, co widzisz, kolorystycznie.

- Brązowych nie widzę, jeśli to masz na myśli. Tylko białe.

- Właśnie! - Cezary pociągnął ją energicznie za rękę i poprowadził w trawę. - To teraz, maleńka, szukamy. Brązowe to rzadkość i chociaż mogę się mylić, będę uparty. Jak znajdziesz, nie podnoś ręką, bo nasz komisarz będzie chciał tego sundaysa jakoś dodatkowo przebadać.

- Czemu dodatkowo?

- Bo najpierw przebadam go ja, a potem Dorota przyniesie mi włos Rica i porównamy DNA.

Julka zatrzepotała wdzięcznie rzęsami, choć bynajmniej ów trzepot nie miał nic wspólnego z kokieterią. Cezary stawałby raczej na złość, co było dość nieprzyjemnym odkryciem. Oczekiwał raczej uwagi, w końcu nie każdy mężczyzna może pochwalić się umiejętnościami w dziedzinie genetyki, a spotkał się z rezerwą i niedowierzaniem.

Chyba go rudzielec rozczarował.



- To ja się przejmuję Ewelina! Że będzie się wtrącać! A od ciebie słyszę: DNA?!

Do końca wieczoru Julka pozostała nieco sztywna, więc Cezary nie nalegał, żeby pognali w dal, słuchali muzyki i zachłystywali się wiatrem, jak to sobie wymarzył. A już gwiazdy i analiza transakcyjna zbladły zupełnie. Wziął od niej adres, odprowadził do samochodu i pożegnał się.

Niezbyt wylewnie.

Świętoszka i stary zboreznik?

Pasowali do siebie jak pięść do nosa. Kręcąc w złości kierownicą, nie zwrócił uwagi, że już od Częstochowy ma towarzystwo. Towarzystwo siedziało mu na ogonie aż do Piotrowic, dzielnicy Katowic, gdzie Cezary mieszkał w jednym z bloków przy ulicy Armii Krajowej.

Ledwie wszedł do klatki, z czarnego, eleganckiego wozu wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden pozostał na miejscu oparty o maskę, drugi przebiegł ulicę i ruszył w ślad za Cezarym na tyły budynku. Obaj z napięciem czegoś wyczekiwali. Po kilku minutach na czwartym piętrze rozświetliło się jedno z okien. Facet przy samochodzie uśmiechnął się z satysfakcją.

- Mamy gada!

\*

Środa zaczęła się Nieckowi niezbyt ciekawie.

Od rana siąpił deszcz, co zazwyczaj źle go nastrajało, a dodatkowo niezwykle skruszony informatyk wyznał, że nie zabrał wczoraj dysku ze spalonego komputera Rożka, ponieważ na świat przyszedł jego syn, o czym zawiadomiono go właśnie podczas wizji. Ze szczęścia dostał pomieszania zmysłów, a pomieszane zmysły odmówiły zajmowania się sprawami zawodowymi. Szczęśliwy ojciec wybiegł w amoku z mieszkania i dorwał się do najbliższej kwaciarni, gdzie zakupił wiadro róż, którymi zamierzał obdarować boginię, czyli matkę swego pierworodnego. Zderzenie z ponurą rzeczywistością nastąpiło dopiero dzisiajszego poranka.

W mieszkaniu Rożka nie było śladu po komputerze. Ani po płytach, które leżały obok obudowy stopione w jeden

powyginany stosik.

Informatyk przeraził się, ale jeszcze miał nadzieję.

Do momentu, kiedy Niecko zaprzeczył.

Nikogo na Zajęczka nie wysyłał.

Doszło do włamania.

Do spalonego mieszkania pojechała więc zaraz ekipa, żeby sprawdzić, czy nie zniknęło stamtąd coś jeszcze, a komisarz siadł nad aktami kontrolnymi dla prokuratora. Ciężko mu szło. Chociaż kradzież komputera wcale nie była taką złą wiadomością. Przynajmniej wiedział, że ogłoszona w mediach informacja o samobójstwie na Jasnej Górze dotarła do odpowiednich ludzi. Szkoda tylko, że nie zostawił tam nikogo na noc. Wielkie niedopatrzenie.

W komputerze musiało być coś ważnego. Ale ten, kto go zabrał, nie był jednocześnie podpalaczem (informacje od strażaków potwierdziły, że doszło do celowego podłożenia ognia), bo inaczej przywłaszczyłby sobie interesujące go rzeczy, zanim mieszkanie stanęło w płomieniach.

Do tego właśnie przed chwilą natknął się w aktach Rożka na pewną lukę, której wcześniej nie zauważył. Zanim faceta przyjęto do firmy z chińskimi duperelami, przez dwa lata nie był nigdzie zatrudniony. Nie otrzymywał też zasiłku i nie korzystał z ubezpieczenia. Nic, czarna dziura. Zupełnie jakby zniknął z polskiego systemu informacji o obywatelach.

- Ciekawe... - Niecko wymruczał zaintrygowany i przedzwonił do Staszka Dołęgi.

- I jak tam myszka od komputera? - zapytał na powitanie.

- Włoska robota.

- Włoska? - Niecko odstawił kawę.

- Made in Italia. I mam coś jeszcze. Nie ma na niej choćby pojedynczej linii papilarnej.

- Serio?

- Więc wysłałem chłopaków, żeby sprawdzili też biurko. Przed chwilą dzwonił.

- No i?

- Czyściutko. Ani jednego śladu - Staszek wyjaśnił z zadowoleniem. - Co ty na to?

- Ja na to, że kawa mi dzisiejszego poranka nie wystarczy.

- A, to ja zaraz zajrzę. - Jego pomocnik pojął w lot. - Tylko sprawdzę, jak Rożek wygląda z opuszczaniem granic naszego kraju. Włoska myszka!

Niecko wstał naraz energicznie od biurka i wyciągnął z wbudowanej w meble lodówki oszronione pudełko lodów. Tego mu było trzeba. Może po kilku kulkach będzie więcej rozumiał. Ze Staszkiem uwielbiali orzechowe.

- Stary! - Kolega wpadł do gabinetu po dobrej pół godzinie, kiedy komisarz zdążył się już rozprawić ze swoją porcją. - Zgadnij, gdzie Rożek mieszkał dwa lata temu.

- Italia?

- Bingo! A w Italii... Neapol. Tam najczęściej używał karty kredytowej. A na tej karcie bynajmniej nie grosze. Tu masz wydruki.

Niecko zerknął i złapał się za głowę. Kwoty na koncie Rożka może i nie były porażające, ale na tyle znaczne, że wzbudzały zainteresowanie. Natomiast wymienione przez Staszka miasto bynajmniej nie kojarzyło się Nieckowi z pizzą i spaghetti, ale z kamorrrą. Zorganizowaną organizacją przestępczą z południa Włoch, której serce najmocniej biło właśnie tam, w Neapolu - w mieście tonącym w śmieciach i politycznym chaosie, a z drugiej strony w mieście pełnym zabytkowych budowli i dzieł sztuki tak wielkiej urody, że Polacy o podobnych perełkach mogli tylko marzyć.

- Pamiętasz, że nasz denat był z wykształcenia ekonomistą? - dołożył usłudze Staszek, którego myśli zdawały się biec w tym samym kierunku. Podszedł do lodówki i nie pytając o pozwolenie, sam się obsłużył. - Wczoraj wieczorem dzwoniła do mnie jego kierowniczka. Przypomniała sobie, że Rożek świetnie mówił po włosku.

- Zdolny chłopak. Chyba dlatego martwy. Wiesz już, że podwędzili z jego mieszkania komputer i płyty? Wysłałem ci maila.

- Czytałem. Pech, że nikogo nie zostawiliśmy tam na czatach.

- Głupio - zgodził się ze Staszkiem. Nie był z siebie zado-

wolony. - Co myślisz o pożarze? Robota mordercy Rożka?

- Możliwe. Ale i tak widzę, że towarzystwa nam przybywa. Bo ten, co podpałał, nie wróciłby po komputer, tylko odwalił wszystko hurtem. Jednorazowo. Chyba że coś przeoczył.

- Wątpię - powiedział bez entuzjazmu komisarz. - O komputerze trudno zapomnieć. Powiększa nam się towarzystwo, oj, powiększa. W sprawę zamieszany jest jeszcze ktoś.

- Hip, hip, hura! - Staszek również nie był z tego powodu szczęśliwy. Położył na biurku kartkę papieru. - Tu masz kolejną dobrą wiadomość. Ekspertyza grafologa. List samobójcy na pewno pisany ręką Rożka.

- Ekspertyza grafologa? - Niecko wymówił w największym zdumieniu. - Zaimponowałaś mi. Jak tego dokonałeś?

Ostatnio do komisarza coraz częściej dochodziła brutalna prawda, że pracują w firmie na skraju bankructwa. Bardzo go to złościło. Gdyby policja była firmą prywatną, sztucznie by jej nie reanimowano, tylko postawiono w stan likwidacji. Na wszystko brakowało pieniędzy, a od niego żądano wyników, czyli mniej więcej tego, żeby za pomocą żółtego mazaka przerobił gówno w złoto. Na zwykłą opinię eksperta czekał kilkanaście miesięcy! Sprawca mógł w tym czasie piętnaście razy wybyć choćby do RPA.

- Ma się te układy. - Staszek uśmiechnął się znacząco. - Znajoma.

- Musi cię uwielbiać. Więc jednak? - Niecko przebiegł oczami po kartce. - Czyli co? Morderca zmusił go przed śmiercią do pisania?

- A jak inaczej? Porwał, zmusił, wrzucił pod samochód. Czysta sprawa. Po co strzelać, kroić nożem, razić prądem... - Staszek nabierał rozpędu.

- Dobra, dobra, starczy tego dobrego. I pod przymusem Rożek stosował zasady interpunkcji? - Komisarz nie był przekonany.

- Zauważyłeś, jak porządnie napisane? Pismo staranne, każdy przecinek wymuskany. Kupy się to wszystko nie trzyma.

- Co chcesz? Podobno był solidny, to i pisał solidnie. Albo specjalnie starał się pisać starannie, żeby dać nam do myślenia.

- Solidny czy nie, chociaż raz by mu ręka zadrżała - Niecko upierał się przy swoim. - Błądzimy jak dzieci we mgle. Za dużo w tej sprawie sprzeczności.

- I niewiadomych. A brak odcisków palców na myszce i biurku? Może w tej jego firmie komuś podpadł? A my tu zaraz Włochy, Neapol... Poza tym pamiętajmy, że wiele wskazuje na to, że sprawca swobodnie porusza się po klasztorze. Nawet mówiłeś, że podejrzewasz kogoś z wewnątrz.

- Właśnie, ogrodnik! - Niecko wyciągnął z szuflady notes.

- Przeor ma o nim bardzo dobrą opinię. Dokumenty niby też w porządku. Miałem odwiedzić jego lekarza i wyjaśnić tę insomnię, ale wyleciało mi z głowy. Przełożę to na jutro, dzisiaj mamy napięty plan dnia.

Wstał od biurka i zerknął do lustra.

- Aż się dziwię, że jeszcze nie mam siwych włosów. Włosi, Jasna Góra, szkielet... Poplątane to wszystko jak nie wiem co. Dobra. - Otrząsnął się. Kiedy jakaś sprawa robiła się skomplikowana, po prostu rzucał się w wir pracy. Tworzenie wersji zdarzeń było dobre, jeśli do czegoś prowadziło. Tu mogło pomóc jedynie działanie. - Róbmy swoje, potem będziemy to składać. Dzisiaj obstawiamy pogrzeb, ja idę przesłuchać znajomą Cezarego, a ty odwiedź sąsiadkę Rożka ze zdjęciem jego ojca.

- Po co?

- Sam nie wiem - komisarz powiedział jakby do siebie. - Zapytaj, czy widziała go u syna. A w firmie przesłuchaj wszystkich jeszcze raz. Z akcentem na osoby, które ostatnio kręciły się przy biurku. Zwłaszcza interesuje mnie sprzątaczką, bo może to ona zrobiła nam przysługę. Swoją drogą, Neapol i kamorrę też trzeba brać pod uwagę. Niestety.

Staszek skrzywił się, jakby mu wrywano zęba, ale nic nie powiedział. W ciągu ich kilkuletniej znajomości przekonał się, że Niecko, z reguły spokojny i zrównoważony, potrafił wyjaśnić

najtrudniejszą zagadkę, a już na pewno nie należał do śledczych, którzy lekceważyli choćby najmniejszą poszlakę. Pewnie dlatego na Jasną Górę oddelegowali właśnie jego.

- Taaak. - Komisarz z wahaniem sięgnął po telefon. - Zastanawiam się właśnie, czyby nie przedzwonić do znajomych z Katowic i nie wypytać o naszego denata. Na razie po koleżeńsku i nieoficjalnie, ale może oni wniosą coś do sprawy?

Staszek przypomniał sobie kilku łysych zbirów, z którymi miał parę razy... nieprzyjemność. Zapewne w tej szacownej instytucji pracują również owłosione kurduple, ale wspomnienia mocno złożyły się na coś, co można by nazwać uprzedzeniem.

- Chłopaki z Katowic? - powtórzył ze wstrętem, oblizując łyżeczkę. - CBS? No to koniec.

Niecko był jednak odmiennego zdania.

- Obawiam się, Stasiu, że to dopiero początek.

\*

Z profesorem było źle.

Nie zważając na niesprzyjającą aurę, rozparł się w swoich odprasowanych spodniach wprost na wilgotnej, parkowej ziemi i zaczął pokrzykiwać na studentów, co wcześniej się nie zdarzało. Na racjonalne argumenty, że złapie wilka lub katar, nie reagował. Po policzkach zaczęły mu spływać łzy, choć niektórzy twierdzili, że to jedynie krople deszczu.

Zadzwoniono więc po Cezarego.

- Jak to płacze? Kto? - wychrypiał dość nieprzytomnie, bo odsypiał zarwaną noc. Wczoraj po powrocie z Częstochowy od razu pojechał ze znalezionym papierosem na uczelnię, gdzie koczował do czwartej rano. Dzisiaj był w stanie skrajnej nieużyteczności, ale najdalej jutro obejrzy na swoim komputerze świeżutki profil DNA. Chociaż tyle. - Śnicie mi się?

- Panie doktorze, chodzi o profesora - wyjaśnił jeszcze raz student. - Dostał chyba jakiegoś załamania nerwowego.

Cezary oprzytomniał.

- Załamany to zaraz będę ja. Czemu mi takimi bzdurami głowę zawracacie? Wsadźcie mu do ręki jakiś szpadel, od razu się ożywi.

- No właśnie o to chodzi, że on mówi o śmierci...

- Czyjej, w mordę?! Znowu jakiś trup? - przeraził się.

- Spokojnie... Mówi, że zabiła go kradzież Bruna. Że to było jak wyrwanie bijącego serca, że...

- OK, w porządku. - Cezary stwierdził, że Lesiak w cytatach jest tak samo mało strawny jak Lesiak na żywo. - To może piwem go? - zasugerował. I z przekąsem pomyślał o tym, jak to jeszcze wczoraj dziwił się, że profesor dość gładko przełknął kradzież.

- O płyny to już profesor sam zadbał - pospieszył z wyjaśnieniami student. - Siedzi pod brzozą i pije wino. Chyba je sobie pożyczył. Z refektarza. Ale z nami się nie podzielił, chytrus. Za to palnął wykład o wpływie alkoholu na archeologiczne postrzeganie świata. A deszcz pada. Co robić?

Szczegóły układały się w obrazek dosyć mocno przemawiający do wyobraźni.

Kolejny dzionek na stanowisku. Jakżeby inaczej.

- Już jadę.

- Jest jeszcze jedna nowina. Tym razem dobra.

- Ufff...

- Anioł - z czcią wymówił student.

- Jaki anioł? Mało mi Lesiaka pod brzozą? Miej litość. Jest dziewiąta rano. Ja mam o tej godzinie ograniczone zdolności percepcyjne. Anioł!

- Chodzi o ten kawałek materiału, który wyciągnął pan przedwczoraj z ziemi. Fragment szaty Bruna.

- Mów!

- Był na niej rysunek. Odtworzyli go. Proszę sprawdzić pocztę. Profesor już nam pokazał i powiedział, że panu też wysłał.

Cezary dopadł komputera, po czym aż zagwizdał z zachwytu.

Na ekranie migotała delikatna postać otoczona skrzydłami. Twórca przedstawił ją stojącą bokiem, odzianą w długą suknię. Anioł miał ładną buźkę o oczach jak węgielki i pochyloną w

pokorze głowę. Przypominał elfa. Jedyne sterczące na baczność skrzydła zdradzały, że w tym filigranowym, acz Boskim posłańcu drzemie ukryta siła.

Ale skąd anioł na ubraniu robotnika?

- Od samego rana zagadki - rzucił do siebie i wskoczył w dżinsy.

Lesiak powitał go czule. Skąpany w słodkim aromacie wina, cały przemoczony, wystartował ścisnąć doktora. Załamanie? Raczej nabzdryngolenie.

- Cezarku! Bez Bruna siedzę tu bezużyteczny, ratuj w potrzebie!

- Ratuj... A kto mnie uratuje przed tobą? - westchnął, podając profesorowi ramię, do którego tamten od razu z ufnością przywarł. - Nie przyklejaj się tak, bo jesteś mokry jak meduza. Zabieraj zabawki i idziemy gdzieś wyschnąć. Może do refektarza?

Lesiak zatrzymał się raptownie.

- Obawiam się, że jeśli odkryto tam ślady mojej bytności - wskazał na butelkę - to mogę być w tym miejscu spalony.

- Lesiak, nie napinaj mi żyłki. Do refektarza, już!

- Spalony! - Profesor zapał się i nie zamierzał odpuścić.

- Ja to mam szczęście. W takim razie może... szopa? - zaproponował Cezary, który nie chciał, żeby studenci dłużej oglądali swojego przełożonego w takim stanie. - A wy macie wolne do dwunastej! - krzyknął w ich stronę. - Niedługo powinno przestać padać.

Cezary był bezlitosny. Do szopy powlókł Lesiaka okrężną drogą, co okazało się słuszną decyzją. Ruch dobrze mu zrobił, bo zaraz zaczął mówić składniej.

- Czy Jureczek ma jakieś nowe wieści o naszym Brunie?

- Nic nie wiem.

- A ja wiem, że nie możemy upadać na duchu. - Potknął się o wystający na ścieżce korzeń i objął Cezarego jeszcze mocniej. - Przemyślałem to. Bruno, skradziony czy nie, żyje w naszej naukowej świadomości i nie wolno nam go uśmiercać.

- Wreszcie udało ci się powiedzieć coś sensownego -



pochwalił przyjaciela Cezary. - Ja też wierzę, że Bruno się znajdzie. Musi się znaleźć. A do tego czasu po prostu róbmy, co do nas należy. Tak jakby był z nami.

- Cezarku, ty też brzmisz sensownie. Tak jakby był z nami...

Do szopy profesor dotarł już niemal o własnych siłach.

- Lepiej ci? - upewnił się Cezary, zanim ułożył go na workach z kompostem.

- Lepiej... być nie może - usłyszał w odpowiedzi. - Miał trzydzieści lat. Tak sędzę.

- Kto?

- Bruno. Umarł około trzydziestki. Proszę, czytaj i współodczuwaj ze mną - położył się nieporadnie na workach i wydobył z kieszeni spodni wilgotną kartkę. - Wyniki badań dendrologicznych. Nie piszą tu co prawda, że Bruno w chwili śmierci był w wieku chrystusowym, to moje osobiste naukowe wnioski, ale mamy już datę ścięcia drewna, z którego wykonano wóz. Rok 1625.

- O! - Cezary łapczywie pochłaniał treść opinii, wydając odgłosy, jakie zazwyczaj towarzyszą jedzeniu smaczkowej potrawy. W tym samym czasie jego przełożony z niejakim żalem odnotował, że winny szumek, jaki jeszcze niedawno przelatywał mu przez głowę, powoli ustępował miejsca myśli logicznej.

- Gdyby ci się chciało, mógłbyś posiedzieć w bibliotece i poszukać, co się w tym roku zdarzyło w klasztorze - powiedział, walcząc z czkawką. - Byłbym bardzo za. A nawet byłbym bardzo zadowolony.

- Z chęcią. - Cezary nawet się ucieszył z przydzielonego zadania. Oddał profesorowi ekspertyzę i wrócił do tematu. - Czyli coś już wiemy. Siedemnasty wiek. A przyczyna śmierci Bruna?

- Zmarł na skutek pęknięcia czaszki. Pozycja ciała nie wskazywała na celowy pochówek, poza tym w siedemnastym wieku nie chowano człowieka do jednego grobu z... koniem. - Profesor czknał głośno i wyglądał, jakby był zniesmaczony własnym zachowaniem. Zakrył usta, odczekał, po czym

nieśmiało podjął przerwany wątek. - Prawdopodobnie Bruno był budowniczym Jasnej Góry, więc może zginął na skutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku podczas pracy?

Cezary wymownie chrząknął.

- W pracy zdarzają się różne nieszczęśliwie wypadki, fakt. Szef na przykład potrafi schlać się w biały dzień i wisieć na podwładnym. O pijackiej czkawce nie wspomnę.

Profesor udał, że nie słyszy.

- A czy do podwładnego dotarł anioł? - zapytał, zmieniając temat. - Jest taki... antyikoniczny, zauważyłeś?

- Anty... co?

- Antytalent jesteś, Cezarze. Stwierdzam z przykrością. Antytalent lingwistyczny. Chodzi mi o to, aby język giętki...

- Te, Lesiak, tylko bez świntuszenia w świętym miejscu.

- Od kiedy to przasna szopa na widły jest świętym miejscem? - odparował z godnością. - A świntuszenie Słowackim to zaszczyt. Dość, żeby dodać jeszcze: „perły przed wieprze”. Wracając do anioła...

- Za te wieprze to się w odpowiednim czasie policzymy - zastrzegł Cezary. Teraz jednak interesowała go zupełnie inna kwestia. - Ty mi lepiej wyjaśnij, czemu zwykły robotnik ma na szacie wyhaftowanego anioła?

- Ścieg bardzo staranny. - Lesiak wpatrywał się ze skupieniem w stojącą pod przeciwległą ścianą łopatę i recytował, nie zważając na swojego kolegę: - Hafciarski kunszt, nici podobno barwne i drogie. Jeśli to do siebie dodać...

- Można by dojść do wniosku, że anioł powstał w klasztorze. Jako emblemat - dokończył niecierpliwie Cezary. - Jako symbol człowieka pracującego w określonym miejscu. Może był nawet przepustką na bramie, przecież nie znano wtedy dowodów osobistych.

Oblicze Lesiaka nabrało rumieńców podobnych do tych, jakich dostał pod brzozą, kiedy tulił do piersi pękatą flaszkę.

- O, to, to! Cezarku, mądrze prawisz. Anioł- stróż budowniczego wznoszącego fortecę. Fortecę zwaną *FortalitiumMarianum*. Alleluja!

\*

Czesława Maj postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

Matrymonialne sprawy.

W ręce doświadczonej... rozwódki.

Jej siostrzenica, Dorotka, była dziewczęciem nieprzeciętnie urodnym, a samotnym. Ostatnia okoliczność nie przejmowałaby cioteczki tak bardzo, gdyby samotności duchowej towarzyszył dostatek materialny. A tu bida z nędzą. Dorota zarabiała w tej swojej knajpie grosze i zdarzało się, że ciotka dokładała jej do kosmetyków (rodzona matka ani myślała zdobyć się na podobny gest). Wszystko dlatego, że spośród córek swej skąpej i niezbyt lotnej siostry właśnie Dorota była najbliższa sercu Czesławy i chociaż ulubienica nie odróżniała krupczatki od mąki tortowej, to ciotka w skrytości ducha miała do niej zwyczajną słabość. Podobno talenty przypadają w rodzinie nierównomiernie (wystarczy spojrzeć na Halinę), więc gdyby Dorotka dorobiła się wreszcie potomka, może dziecię aż piszczaloby z radości, gdyby stara ciotka zechciała przekazać mu swą tajemną wiedzę kulinarną?

A było co przekazywać.

Taki na przykład sernik z brzoskwiniami.

Albo dla odmiany kurczak w białym sosie.

Kto w erze Mc'Donaldów i innych fast foodów dba dzisiaj o jakość i smak potraw? Kto rozumie, że zapalenie pod garnkiem ognia rozpoczyna rytuał, który opiera się na magii zapachów i zespoleniu składników? Takich osób jest niewiele, większość woli jeść więcej, szybciej i taniej. Ludzie zatracili swój pierwotny instynkt. Nie może być inaczej. Dorotka też powinna już usłyszeć zew natury i jeśli nie nauczyć się gotować, to przynajmniej poszukać ojca dla swych dzieci.

A jeśli sama o tym nie myśli, trzeba pomyśleć za nią.

Ewelina to co innego - nawiązywanie znajomości z płcią odmienną przychodziło jej z podobną łatwością co zakup bułek. Julka spędzała czas w gabinecie, gdzie spotykała mężczyzn owszem, z tym że nieco poturbowanych psychicznie. I wołała

ich leczyć, niż zdobywać. Ciocia uważała to za dziwactwo, ale po kilku przegranych bitwach przeszła nad tym do porządku dziennego. Julianna po prostu miała charakter swojego zmałego ojca. Była skryta i uparta. A po za tym ruda, jak tatuś. Nic dziwnego, że mężczyźni się do niej nie pchali.

Za to Dorota udała się Halinie jak żadna.

Ewelina kłamała na każdym kroku i robiła karczemne awantury, jeśli coś poszło nie po jej myśli. Julka również obstawała przy swoim, z tym że ze stoickim spokojem rzucała psychologicznymi terminami, co doprowadzało człowieka do szału.

Dorota dla odmiany była wzorem subtelności.

Tak jak ciocia Czesia.

Stała właśnie z podpartymi rękami w bramie prowadzącej na jasnogórskie wały i zastanawiała się, czy aby dobrze to sobie wykalkulowała. Przepytała wczoraj Cezarego dokładnie: co robi, gdzie pracuje i ile zarabia. Nawet się nie zająknął, chociaż w oczach tlił mu się podejrzany uśmieszek. Odpowiedzi zadowolily ją jednak na tyle, że podjęła decyzję. Zaprosi młodzieńca na dzisiejsze urodziny. W imieniu siostry. Halina oczywiście nie miała o niczym pojęcia, ale upichciła w nocy tyle bogracza, że mogła nim nakarmić nie tylko Cezarego, ale i połowę miasta. Na pewno nie będzie miała nic przeciwko. Pozostawało jedynie przekazać zaproszenie. Młodzieniec zeznał, że pracował pod murami Jasnej Góry jako antropolog czy jakiś tam inny grzebiący w ziemi. Wystarczy więc przejść się wałami wzdłuż parku i go wypatrzeć. A potem wdzięcznie zakrzyknąć, że taki przypadek, że bardzo jej miło. On wtedy przerwie pracę i szybciotko przybiegnie na górę. Oczywiście będzie zachwycony propozycją. Wieczorem zjawi się z prezentem dla Haliny i naręczem róż dla Dorotki, bo na całym świecie nie ma przecież obojętnego na jej wdzięki mężczyzny. Trzeba tylko tego mężczyznę ośmielić.

Deszczyk tymczasem wcale nie powiedział ostatniego słowa i postanowił nieco pokrzyżować plany Czesławy.

Siąpił niestrudzenie od rana. Zrobił sobie co prawda krótką przerwę około południa, ale teraz rozpadał się od nowa. Powoli

nabłyszczał częstochowskie dachy i chodniki. Stukał o szyby wystawowe, okna kamienic, nie darował nawet witrażom kościołów. Dziwił się przy tym, że uwalniając ludzi od skwaru, nie jest mile widzianym gościem. Przechodnie przemykali ulicami dziwnie źli i kulili się z zimna, choć jeszcze wczoraj narzekali na upał.

A już ciocia Czesia w narzekaniu nie miała sobie równych.

Dawniej lato to było lato, a nie tropiki, tornada i pora deszczowa.

Do dupy z taką pogodą!

Przed wyprawą do klasztoru niefrasobliwie odwiedziła fryzjera i teraz z przerażeniem odkryła, że hiperutrwalający lakier pod wpływem deszczu utworzył jej z włosów coś na kształt kuloodpornego hełmu, od którego odbiłby się nawet grad. Jeśli miała być wieczorem piękna i zniewalająca, musiała szybko zabezpieczyć fryzurę.

Zdjęła więc z szyi apaszkę i spróbowała zawiązać ją na głowie. Najwyżej będzie wyglądać jak baba ze wsi.

Niestety, apaszka okazała się za mała, żeby objąć bezmiar fryzjerskiego cuda i go przy tym nie splaszyc. Ciocia z wściekłością spojrzała w nieprzewidywalne niebo. A może zaraz się roz pogodzi? Przecież jeszcze przed chwilą świeciło słońce. Przeczeka.

Choćby pod tamtym drzewem. Tylko że ktoś wpadł na podobny pomysł. Na ławce pod lipą rozpierał się elegancko ubrany starszy pan. Ostrzyżony, wymuskany aż miło. Garnitur lśnił prążkowaną czernią, do tego biała koszula i gustowny krawat. Z całą tą wytwornością jednak nie współgrał pewien drobny szczegół. Mężczyzna siedział... w skarpetkach. Buty stały tuż obok, ustawione równiutko jeden przy drugim.

Czesława Maj przetarła wilgotną od deszczu twarz, poprawiła hełm i ruszyła do ataku.

- Dzień dobry - przywitała się jak należy, ale mężczyzna odburknął coś niechętnie i ani myślał zrobić jej miejsca.

A to sobek!

Najwyraźniej zamierza tkwić tu samotnie, podczas gdy damy mokną w strugach deszczu i dostają zapalenia płuc.

- Nogi to się w tym wieku myje ze dwa razy dziennie, panie starszy. A nie wietrzy - rzuciła dobitnie.

Mężczyzna odwrócił głowę i ze zdziwieniem zapatrzył się w kobietę, która zakłóciła mu spokój.

- Już umyłem. Teraz suszę. Babciu.

\*

Pan Stefan postanowił sobie chociaż kupić buty.

W końcu szedł na pogrzeb jedyne go syna.

Czarny garnitur wisiał w szafie i mimo że nie świecił nowością, wciąż wyglądał szykownie. A na tym mu zależało. Żeby syn się za niego nie wstydził. Na cmentarzu spodziewał się spotkać swoją eksmałżonkę, zapewne całą w tiulach, kapeluszach i Bóg wie w czym jeszcze. Niestety, jeśli chodziło o wnętrze, Irena pozostała pusta jak dziurawe wiadro. Podejrzywał, że nawet w chwili własnej śmierci będzie się zastanawiać, czy w zielonej bluzce odpowiednio kontrastuje z obiciem wersalki, na której odstawia najbardziej pożegnalne ze swoich przedstawień.

Dlatego się rozstali.

On wypruwał sobie żyły po godzinach, a ona kupowała sukienkę koktajlową, nie zważając na drobny fakt, że w Częstochowie słyhać było jedynie o koktajlach Mołotowa. Od rozwodowej porażki pan Stefan preferował więc kobiety może nie tyle imponująco powabne, co odznaczające się zdrowym rozsądkiem. Jak się łatwo domyślić, takich niewiast spotkał jednak dotąd na swej drodze niewiele. Z wiekiem ma się przecież coraz mniej cierpliwości, a coraz więcej ulubionych nawyków, z których trudno zrezygnować. A pan Stefan postanowił zajmować się przez resztę swych dni czerpaniem radości z życia.

Na starość nie zamierzał się gimnastykować i do nikogo naginać.

Chciał inwestować w siebie i może nawet wstąpić na uniwersytet trzeciego wieku. Kto powiedział, że starsi panowie nie powinni się rozwijać? Ostatnie zdarzenia przytępiły jednak nieco ten entuzjizm. Zaczął za dużo myśleć i roztrząsać

przeszłość. Swoje małżeństwo, czas odebrany własnemu dziecku. W sumie niepotrzebnie. Po co tracić energię na coś, czego już nie zmieni? Lepiej wyciągnąć wnioski i iść przed siebie.

Żeby poprawić sobie przed pogrzebem nastrój, poszedł do pracy, do kumpli. Dostał zwolnienie lekarskie, ale trudno mu było wysiedzieć w domu samemu. Przyzwyczyił się już, że większą część dnia spędzał w klasztorze, gdzie zawsze miał z kim pogadać. Starzy kompani nie zawiedli i w tej sytuacji, również wybierali się na uroczystość. Czekał więc na nich na wałach i rozmyślał.

Spokój mąciły mu buty.

Wszystko przez to, że nie cierpiał zakupów. Zazwyczaj wchodził do pierwszego lepszego sklepu i jeśli coś na niego pasowało, wyciągał portfel i płacił. Żadnego przebierania, marudzenia i przedłużania agonii. Tak było i teraz. Buty jak buty. Czarne. W sklepie leżały doskonale, niestety po spacerze na Jasną Górę zaczęły doskonale uwierać. I to tak, że trudno mu było zrobić choćby krok bez palącego bólu w piętach. Z ulgą na chwilę je ściągnął, ale przerażony uzmysłowił sobie, że na cmentarzu nie ma miejsc siedzących. Czekala go co najmniej godzina stania.

Zbierał się właśnie w sobie, żeby skoczyć do kanciapy i poszukać pary na zmianę, kiedy usłyszał, że ktoś podchodzi do ławki. Odpowiedział niedbale na powitanie, bo zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zadzwonić do jakiegoś kolegi. Boso nie pójdzie, a dobrowolnie nie włoży nóg do butów, które zdawało się wypełniać roztopione żelazo..

- Nogi to się w tym wieku myje ze dwa razy dziennie, panie starszy. A nie wietrzy - dobiegło go z boku.

Minęła chwila, zanim zrozumiał, że słowa musiały być skierowane do niego. Odwrócił się.

- Już umyłem. Teraz suszę. Babciu - odpowiedział nieuprzejmie, bo nie spodobał mu się sposób, w jaki został potraktowany. Zaraz się jednak zawstydził. - Przepraszam...

Kula na głowie kobiety zakołysała się.

- Ja też...

- Pani też?  
- Też. - Pociągnęła nosem, ale nie wymówiła słowa, na które czekał.  
- Też co?  
- Też PRZEPRASZAM - zaakcentowała poirytowana. - Mogę? - Wskazała na ławkę, a potem na fryzurę. - Nie może mi to całkiem przemoknąć.  
- Zapraszam. - Pan Stefan zachęcająco się przesunął, chociaż od kobiety dochodził silny zapach kosmetycznych specyfików. - Była pani u fryzjera?  
- Widać? - Kokieteryjnie dotknęła włosów, a pan Stefan z zadowoleniem stwierdził, że jej ręce noszą ślady pracy.  
- Hm... Raczej widać.  
- Nie podoba się panu? - zapytała przejęta jak nastolatka.  
- Szczerze?  
- A chce pan kłamać obcą babę? - roześmiała się głośno i dźwięcznie.  
- Swojej też nie kłamałem. Dobrze, będzie szczerze. Nie podoba mi się. Pani i bez tej wyszukanej fryzury jest ładna.  
Zaczerwieniła się!  
I nie wiedziała, co zrobić z rękami, bo zaczęła skubać brzeg cielistych podkolanek wystających spod spódnicy. Podkolanekom może i daleko było do elegancji, ale kobieta zaczynała mu się coraz bardziej podobać.  
Była taka... swojska.  
- Oj, zaraz wyszukana - krygowała się. - Pięćdziesiąt złotych! Tyle za to gównu zapłaciłam.  
- Szkoda, że pani tu wcześniej nie przyszła - pan Stefan nachylił się konfidencjonalnie i z uśmiechem wskazał na gołębia, który przysiadł ponad ich głowami. - Za przeproszeniem... On by pani nasrał za darmo.

\*

Pogrzeb jak pogrzeb.  
Nic specjalnego.  
Niecko nie przepadał za pogrzebami, ale ze względów zawodowych na niektórych musiał bywać. Prawie się



przyzwyczajaił. Zwłaszcza podobały mu się uroczystości odprawiane na cmentarzu św. Rocha - najstarszym w mieście i jednym z bardziej wiekowych cmentarzysk w kraju, bo powstałym w XVII wieku. Darzył sentymentem to schowane wśród drzew miejsce niepoddające się upływowi czasu. Mech obrastał pomniki tak samo jak przed laty, a pośród labiryntu grobów można było w spokoju porozmyślać. Choćby o pochowanej tu Halinie Poświatowskiej - jego ulubionej poetce. Bo Niecko miał w gruncie rzeczy bardzo poetycką duszę, która na co dzień przestrzegała policyjnego regulaminu i siedziała cicho. Dopiero w chwilach takich jak ta budziła się do życia. Teraz przyglądała się trumnie z Rożkiem i podszeptowała wersy o ludziach, którzy zbyt szybko odchodzą.

Komisarz nie po to jednak zjawił się na pogrzebie, żeby się rozczulać.

Przybył tu w celu dyskretnej obserwacji, co uskutecznił zza pobliskiego pomnika otulony w kurtkę przeciwdeszczową. Przyjrzał się dokładnie każdemu z żałobników i dokładnie ich obfotografował. Wokół cmentarza tym samym zajmowali się jego ludzie - każdy, kto się tu dzisiaj pojawił, został potraktowany aparatem.

Deszcz kapał, czas płynął. Ojciec Rożka, pan Stefan, zjawił się na cmentarzu, nie wiedzieć czemu, w kaloszach, co wywołało pewne poruszenie wśród zgromadzonych, ale Niecko stwierdził, że pomysł był doskonały, i nawet pożałował, że sam na to nie wpadł. Zaczynało mu być dotkliwie zimno w stopy. O kurtce pomyślał, ale na nogi założył przetarte adidas, które chłoneły wilgoć jak gąbka.

Czy nie zaczyna go czasem boleć pęcherz?

Gdyby nie odczuł nagłej potrzeby udania się na osobność, pewnie nie dostrzegłby, że za drzewem ukrywa się osoba, dla której tu dziś przyszedł.

Malwinka!

Dziewczyna Rożka, o której opowiadała sąsiadka.

Starsza pani opisała ją jako puszystą, ale widocznie komisarz miał inną definicję puszystości, bo kiedy wycofując się ze swojego posterunku, stanął nagle z Malwinką twarzą w twarz,

rozmiarowo poczuł się mikroblem. Malwinka górowała nad okolicą co najmniej jak wznoszący się za nią barokowy kościół, a Niecko mógł tylko zadrzeć główkę i podziwiać. Niestety, Malwinka podziwiać się nie pozwoliła. Pewnie dlatego, że czaił się jak kot, a kobiety są wyczulone na mowę ciała. Z jego ciała nie wyczytała bynajmniej stopnia policyjnego, ale zorientowała się, że coś jest nie tak. Na wszelki wypadek postanowiła umknąć. Umykanie za bardzo jej nie wychodziło, tusza pozwalała zaledwie na przyspieszony krok, ale Niecko nie zamierzał stracić okazji przesłuchania ważnego świadka.

- Pani Malwino! - zawołał, ale to tylko pogorszyło sytuację.

Kobieta już nie starała się udawać, że przed nim nie ucieka, choć wyglądało to dość groteskowo. W czarnym, powłóczystym poncho przypominała dorodnego nietoperza, który nie potrafi się wzbic w powietrze. Kiedy przejście pomiędzy grobami okazało się zbyt wąskie, po prostu wskoczyła na płytę nagrobkową (nieboszczyk na pewno przewrócił się w grobie) i skracając sobie w ten sposób drogę, dotarła do głównej alei. Komisarz bez trudu ją dogonił i przebierając nogami, usiłował rozpocząć rozmowę.

- Chciałbym panią zapytać o Artura.

- Z nikim nie będę rozmawiać! - wykrzyczała Malwina i jeszcze bardziej przyspieszyła.

- Mało wam? !

- Jakim wam? Proszę się zatrzymać! Pani Malwino!

Kobieta dotarła do bramy, którą obstawiał Dołęga. Na widok Niecka uczeponego sapiącej grubaski stanął jak wryty. Komisarz dał mu znak, żeby nie przeszkadzał, więc Staszek potulnie przyglądał się rozwojowi zdarzeń, nie kryjąc jednocześnie fascynacji. Malwinka bowiem przeszła na bardziej skuteczne metody pozbycia się nachalnego rozmówcy. Złożyła parasolkę i wymachując nią Nieckowi przed nosem, zagroziła:

- Albo się odczepisz, albo ci przywalę.

- Komisarz policji, Jerzy Niecko - piskliwie się przedstawił.

- Proszę odłożyć to... narzędzie.

- Zachciało ci się napastowania niewinnej kobiety? I jeszcze będziesz zmyślał?

Policjant, a chowa się na cmentarzu?

- Pani się też chowała.

Malwinka podjęła decyzję.

- W takim razie ci przywalę.

Niecko zachował spokój. Zawsze obok na posterunku trwał przecież Staszek. Pomylił się jednak w ocenie sił swojego zespołu. Kiedy Malwinka wzięła zamach parasolką w celu porachowania mu kości, Dołęga spróbował złapać ją od tyłu. Bezskutecznie. Malwinka może i była powolna, ale krzepy miała tyle co kilku chłopów. Ze Staszkiem rozprawiła się w kilka sekund. Wystarczył jeden ruch mięsistego ramienia, a jego wstrząśnięty do głębi kolega łapał powietrze, oglądając świat z perspektywy chodnika. Niecko pomyślał o swojej poetyckiej duszy i postanowił nie narażać jej na takie fluktuacje.

Zwiął po posiłki.

\*

W kuchni Julki i na przylegającym do niej tarasie dochodziło do czegoś, co właścicielka nazywała zakrzywieniami czasoprzestrzeni. Zjawisko występowało zwłaszcza w weekendy albo jak teraz, w wakacje, kiedy wpadała tu Ewelina. Poranek zamieniał się wtedy w upojną kulinarno- dyskusyjną orgię, która rozgrywała się na wolnym powietrzu pośród zapachu ziół i róż lub w pomalowanej na cytrynowo kuchni. Bywało, że dopiero późnym popołudniem orientowały się, że wypadaloby rozpocząć kolejny dzień i zrobić coś pożytecznego.

Rozkoszne były to chwile.

Podczas wspólnego śniadania najczęściej wjeżdżały na stół jajka w majonezie obficie posypane wyhodowanym przez Julkę szczypiorkiem, który swoim palącym zapachem aż wyciskał z oczu łzy. W następnej kolejności szła oczywiście kawa i coś słodkiego. Zdarzało się, że razem piekły.

Tak jak dzisiaj.

Na stoliku stał biszkopt posypany pudrowym puchem, do którego ze względu na deszcz wyjątkowo nie pchały się osy i inne skrzydlate stwory.

- A jak skombinowałyście ten babecznik? - chciała wiedzieć Ewelina. Wczoraj dotarła na Świętokrzyską, kiedy ciasto już było gotowe, i teraz odezwała się w niej zawodowa ciekawość.

- Żadna filozofia. - Julka wskazała na stół. - Po prostu biszkopt z jabłkami. Tylko że na górze namalowałyśmy lukrem nagie kobietki. Przecież oni się nie znają na wypiekach. Rico pewnie miał na myśli jabłecznik. Albo babkę, to nie zostało ustalone.

- Rozumiem, że nagie baby ich zadowolily?

- Dorota mówi, że aż piszczeli z uciechy. I ja drzę, bo coś mi się wydaje, że czeka nas powtórka - Julka zaśmiała się, wspominając wczorajszą kuchenną drakę.

Jednakże chwile spędzone w śmietniku również należały do pożytecznych. Mama z cicią uparły się zrobić małe dochodzenie i na podstawie wnętrzości kontenera wywnioskować co nieco o właścicielach. Zreflektowały się dopiero w połowie przedsięwzięcia, kiedy umazane sosem pomidorowym tonęły w resztkach jedzenia i najrozmaitszych, w przewadze włoskich, opakowaniach po produktach. Julka z dziką wesołością pozwoliła sobie to uwiecznić aparatem w telefonie.

- Zerknij. - Podsunęła go siostrze, która dostała ataku śmiechu na widok cici z frędzlami we włosach przypominającymi resztki wędliny. Mama została za to przyłapaną z butelkami po piwie i miną wyrażającą skrajne obrzydzenie.

- One nie są normalne? - dla pewności zapytała wśród chichotów Ewelina. - I one i my to rodzina?

- Dokładnie tak, siostrzyczko. Nie miej złudzeń.

- Cezary trochę się zdziwił składem rodzinki... - zagadła Ewelina i nieco spoważniała. Julka знаła to kontrolne spojrzenie, niby lekkie, a przenikliwe. - I nie tylko składem, ale i klimatem. Jeśli zamierza do ciebie uderzać, współczuję, bo zdaje się, że wpadł w oko cici. A tak na marginesie... Zburzyłaś mi tym Cezarym konstrukcję. Psychiczną, dodam - wyznała ze smakiem i podniosła okruszek ciasta z pustego

już talerza. Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że nie poszła tamtego wieczora do Don Kichota.

- A ja już nie mam złamanej. Konstrukcji. Porozmawialiśmy i jest w porządku.

- Ale Cezary? On jest niebezpieczny. A już dla ciebie to w ogóle.

- Czemu dla mnie w ogóle? Martw się o siebie.

- Wiadomo, co miałyśmy w domu. Wieczne awantury, kłótnie i sceny, więc w życiu osobistym też potrzebujemy napięcia. I zdaje się, że on ci to zapewni. Czy mnie się wydaje, czy Cezary jest raczej z tych pełnokrwistych i agresywnych samców alfa? Napięcie mierzone w kilowatogodzinach. Nieprawdaż?

Julka poczuła przejmujące łaskotanie w żołądku. Czyżby ta fura jedzenia, którą pochłonęła, układała się w środku nie tak jak trzeba? Pełnokrwisty... Oj, tak. Cezary jest tak pełnokrwistym mężczyzną, że jej osobista krew bulgocze w jego obecności jak zupa w kociołku.

- Po pierwsze, używaj czasu przeszłego - zaczęła zasadniczo i wzięła się za sprzątanie ze stołu. - Ja już nie potrzebuję napięć, bo dużo w sobie zmieniłam. Po drugie, powiedziałabym raczej, że facet jest stanowczy i wie, czego chce. Po ostatnie, nie zamierzam nawiązywać z nim bliższej znajomości. I tego się trzymajmy. Dokładnie.

Cezary był ujmujący, ale znała mnóstwo naiwnych kobiet, które posłuchały tak zwanego głosu serca i na dobre im to nie wyszło (Julka zerknęła przelotnie w okno, gdzie zobaczyła swoje odbicie). Po idiotycznym altankowym wybryku postanowiła zachowywać się rozsądnie. Miej serce, owszem. Ale żadne patrzaj w serce. W ogóle Mickiewicz i inni romantycznie zakręceni namęcili ludziom w głowach tymi swoimi cikliwymi bzdetami. Tak jakby miłość idealna była rzeczywiście możliwa. Warto pamiętać, że po pierwszych wzlotach przychodzi zwykła codzienność i kochankowie spodziewający się do końca życia serenad i eksplozji uczuć są gorzko rozczarowani. Jeśli nie stać ich na zdrowy realizm.

- Rzeczywiście - Ewelina zakpiła. - Nie zamierzasz. Tak

jakbyście już nie byli dosyć blisko.

- Się odinteresuj.

- Teraz to się odinteresuj, ale pod groźbą rzeźaczki śpiewałaś inaczej.

- Nie musisz mi przypominać.

- Czemu przypominać? Ta cała kopulacyjna historia rozegrała się zaledwie przedwczoraj, więc chyba nie zdążyłaś zapomnieć? Więc poniechaj, siostró, wyparcia.

Tudzież zaprzeczenia.

Julka z rozczeniem popatrzyła na Ewelinę, która wypowiadała swoje przemądre kwestie z podciągniętymi pod brodę nogami. Uśmiechała się przy tym zadziornie i strzelała oczami znad filiżanki cappuccino, którą oparła na patykowanym kolanie. Chuligan. Babski chuligan. Szkoda, że sama nie ma takiej siły przebicia.

- Poniecham - wpadła w jej przesadny ton. - Ale zostawmy już te romansowe pierdolety.

- O, i do tego stajesz się wulgarna, jak by powiedziała ciocia Czesia.

- Ciocia Czesia sama jest wulgarna i dlatego widzi to u innych.

- Dobrze. - Ewelina dość energicznie wstała. - Teraz pokażę ci zdjęcia.

- Jakie zdjęcia?

- Twojego narcyzowatego alfa. Zrobiłam mu parę fotek, zanim trup walnął o jasnogórski bruk - wyrecytowała radośnie.

- Walnął o bruk... To twoje słownictwo...

- Porzuć językowe schematy, Julianku, i włącz kompa. Jestem dzieckiem swojego wieku. Karminie się i telewizja, więc jak mam się wysławiać?

- Ty się właśnie nie wysławiasz jak twoi rówieśnicy. W tym rzecz.

- Werbalna finezja. Plus jednak parę książek. Ale spotkałam kogoś, kto językowo jest podobnie upośledzony jak ja, więc mi ulżyło. Profesor Lesiak, zaraz ci go pokażę, bo też go uwieczniłam. Przełożony Cezarego. Niesamowity facet.

Podczas gdy Julka uruchamiała komputer, Ewelina podreptała do przedpokoju i wykorzystała tę krótką chwilę na doprowadzenie swojej fizjonomii do porządku - niedługo miał się tu zjawić jakiś komisarz (Ewelina przejawiała słabość do mundurów) i samiec Cezary we własnej dominującej osobie. Najmłodsza z siostr nie wyobrażała sobie pokazać się komukolwiek w trakcie popołudniowej sjeisty, kiedy wszystko w kobiecie - począwszy od nastroju, a na rzęsach skończywszy - jest rozmazane i leniwie opadłe. Nastroszyła grzywkę, pociągnęła błyszczkiem usta i już miała iść do saloniku, kiedy ktoś brutalnie załomotał do drzwi. Łomotał i łomotał, chociaż słyszał, że są właśnie otwierane. Co za tupet.

- I po cholere tak walić? - gderala, szarpiąc zamek. - A domofon to pies?

Na progu stała Dorota.

Cała roześmiana otwierała właśnie szampana, którym przy okazji spryskała wycieraczkę i wszystko dookoła, łącznie ze ścianą w przedpokoju pomalowaną przez Julkę.

- Przeprowadzam się! - Padła Ewelinie w ramiona. - Wreszcie się przeprowadzam!

\*

Zanim Aldente oznajmił Dorocie, że od dzisiaj zostaje jego pracownicą, Rico swoimi sposobami zasięgnął na jej temat języka i dowiedział się kilku interesujących szczegółów.

Zwłaszcza zaintrygował go pobyt Doroty we Włoszech.

- Może mówi po włosku, ale się nie przyznaje? - zasugerował z chytrą miną. Znał kobiece sztuczki i uważał, że mężczyzna w porównaniu z przebiegłą przedstawicielką płci pięknej jest jak baranek przy lisicy. Faceci walą na odlew po ryju, kobiety tymczasem uśmiechają się słodko i dolewają do piwa domestosa.

Aldente spojrział na niego sceptycznie i podrapał się gipsem po czole.

- Dlaczego miałyby udawać? Przy ubieganiu się o pracę to by się liczyło na plus, a przecież z policją nie ma nic wspólnego.

- A to na pewno. Nie ma. Sprawdziłem przez dwóch różnych ludzi.

- Więc o co ci chodzi?

- Tak mi przyszło do głowy.

- I słodziutka jest. - Aldente nie mógł zapomnieć widoku Doroty w przezroczystej, białej sukience.

- Chuda jak szkapa - Rico miał inne zdanie.

- I za to cię lubię. - Poklepał go po policzku, ale zaraz powstrzymał się, żeby odruchowo nie wytrzeć ręki. - Nie wchodzimy ze sobą w konflikty światopoglądowe. Przynajmniej jeśli chodzi o kobiety. A szkapę to mi bardziej przypomina ta jej...

- Ewelina, najmłodsza.

- To ona przyszła z facetem od wykopalisk?

- Tak. Ale on uderza do tej najstarszej, rudej.

- Też niebrzydka.

- Ta już jest najlepsza moim zdaniem. - Rico okazał ślad zainteresowania, ale bardziej ciekawiło go, czy w lodówce jest jeszcze piwo.

- To ją sobie weź. - Włoch wyszczerzył w złośliwym uśmiechu zęby.

Rico w roli czulego amanta!

Już widział go dzwoniącego żołnierskimi gadżetami i klęczącego przed wybranką w spodniach moro. Rozmawialiby pewnie o możliwościach karabinu AK74 kaliber 7,62 mm, a Rico od czasu do czasu przerywałby to gruchanie disco songiem w stylu *Mydelka Fa*. Aldente przetłumaczył sobie kiedyś tę przyśpiewkę, powalała z nóg! We Włoszech wsadzono by jej autora do więzienia za profanację sztuki. Ale Polacy nie mieli szacunku do piękna, nie wspominając już o dobrym smaku. Trzeba się z tym pogodzić i przeczekać. Już niedługo wróci do swoich. A jeśli jego plany dojdą do skutku, nastąpi to o wiele szybciej, niż się niektórym wydaje.

- Pomyślę - obiecał Rico, sięgając po zimną puszkę. - Na razie mam ważniejsze problemy, niż uganiać się za spódniczkami. No to bzyt! - wznosił toast i z lubością



pociągnął łyk ulubionego napoju. Jego czerwona twarz pojaśniała z zadowolenia. - Niebo! Czego chcesz więcej? Żadna kobieta mi tego nie da.

- Im więcej pijesz, tym się robisz rozsądniejszy. Powinien cię ktoś opisać w podręczniku medycznym jako przypadek kliniczny. Ale te problemy... nie za duże, mam nadzieję?

Rico otarł usta i mlasnął zadowolony. Z kobietami nie szło mu najlepiej, za to na polu zawodowym miał się czym pochwalić.

- Robię, co kazałeś. Porządki.

- I jak?

- Na razie elegancko. Wszystko idzie po mojej... po twojej myśli. Tylko ten od wykopalisk mnie wkurza.

- To go wykurz!

- Pracuję nad tym.

- Czemu w takim razie gość pojawia się w moim domu? - chciał wiedzieć Aldente.

Atmosfera przyjemnej pogawędki natychmiast prysła. Przystojna twarz szefa zmieniła się w zastygłą miedzianą maskę o nieprzeniknionym spojrzeniu. Rico bynajmniej się tym nie przejął.

- Przypadek - wymamrotał niefrasobliwie. - Najzwyklejszy przypadek. To ich wspólny znajomy. Słuchałeś taśm z kuchni, przetłumaczyłem ci je.

- Słuchałem. Tylko dlatego pozwoliłem mu stąd wyjść.

- Spokojna głowa. Poczekaj do jutra.

- Trzymam cię za słowo. Jutro to mamy spotkanie z przeorem, pamiętasz?

Rico czknął.

- *Si, signore*. Jakżeby nie.

- Już dzisiaj się nastaw, że nie weźmiesz do ust nawet kropli.

- Kropli to nie wezmę. Obiecuję.

- Rico. - Aldente spojrzał blondynowi głęboko w oczy i znowu ogarnęło go obrzydzenie. - Bez numerów. Ani kropli, powtarzam.

Na spotkaniu z przeorem bardzo mu zależało. Tak bardzo, że

rozważał nawet zabranie ze sobą innego tłumacza, ale nikomu z Polaków, z wyjątkiem tego pijaczka, za bardzo nie ufał. Rico miał swoje wady, ale jeszcze go nie zawiódł. Bynajmniej nie dlatego, że łączyła ich przyjaźń - po prostu nieźle mu płacił, a Rico kochał pieniądze niemal tak samo jak alkohol.

- Ale w kuchni to się wczoraj działo - Włoch nieoczekiwanie zmienił temat. - Twarda sztuka z tej naszej Dorotki. Nie potrafi gotować, ale się nie poddaje. Z przyjemnością obejrzą sobie dalszy ciąg.

Obaj zgodnie parsknęli śmiechem.

- Jak myślisz, co będzie na kolację? - zapytał Rico, puszczając do szefa oko. - Bo założę się, że znowu bigos. Więc ja idę zjeść na miasto.

\*

Dorota zjawiała się u Julki rzadko.

Nie podzielała zainteresowania sióstr psychologią, a nawet podejrzewała, że po cichu bawią się w stawianie jej diagnozy. Wolała więc trzymać się z daleka i nie prowokować siostrzyczek do dyskusji na temat życiowej optyki, którą w jej przypadku określały jako toksyczną (nienawidziła tego wyświechtanego słowa). Wręcz wałkowały ten temat w nieskończoność. Wydierały się przy tym teatralnie: „Rozewrzyj umysł!”, czym doprowadzały ją po prostu do szału. Że niby widzi same wycelowane w siebie złośliwości i wszystkich podejrzewa o złe intencje.

Taki odbiór rzeczywistości wyniosła rzekomo z domu, gdzie od śmierci ojca dokonywał się zimny chów bydła. Uczuciowa chłodnia, empatyczna pustynia i psychiczna przemoc (do pewnego czasu również przemoc fizyczna). Tylko jedzenia miały pod dostatkiem. I nie chodziły brudne. Trzeba przyznać, że matka zadbała również, by zostały wykształcone: stawała na głowie, żeby łożyć na ich edukację, ale za każdą dwójkę prała im tyłki czym popadło. Przecież żeby wychować trójkę niegrzecznych dziewcząt, trzeba je trzymać krótko. I w zasadzie na to „krótko” zasłużyły. Koniec skruchy.

Dorota starała się nie myśleć źle o przeszłości, a już na

pewno nie życzyła sobie niczego rozwierać. W szczególności umysłu. Jej umysł obezwładniała teraz myśl zgoła odmienna: **WOLNOŚĆ!**

Ale taka nowina oznajmiona przez zwykły telefon (nie spłyciłby tego jedynie megafon, ewentualnie tuba) traci na wyrazie, a Dorota miała wielką ochotę się powyrażać. Zwłaszcza przy czerwonym szampanie, który, notabene, właśnie ściekał po ścianie przedpokoju. Nie było jednak potrzeby zlizywać go z decoupage'u, bo połowa butelki ocalała. Na widok zapaskudzonej ściany Julka nie zrobiła najszcześniejszej miny, ale pogratulowała Dorocie otrzymania posady, a dopiero potem oceniła straty.

- Jak nie zejdzie, dam ci pędzel i pomalujesz - wysapała wreszcie po chwili ponurego milczenia i wskazała na łazienkę.

- Siostra dała ci właśnie delikatnie do zrozumienia, że czas chwycić za szmatę - wyjaśniła rezolutnie Ewelina, wrywając Dorocie butelkę z rąk. - Szampan? Dzisiaj? Przecież wieczorem są urodziny mamy, jeszcze zdążymy sobie gołnąć.

- Dziecko - Dorota zaczęła protekcyjnie niczym ciocia Czesia - szampanem nie można sobie gołnąć. Tym się powinno delektować.

- „Cin cin” - Ewelina przeczytała napis na etykiecie i skrzywiła perkaty nos. - Nie przepadam. Wolę heinekena. Cztery złote i przynajmniej jest klasa.

- Jak zacznę zarabiać, kupię coś lepszego - obiecała Dorota. W zasadzie kwestie finansowe nie zostały jeszcze z nowym przełożonym omówione, ale czy ktoś otwierający przed nią szufladę pełną pieniędzy może być skąpy? - Ściana chyba czysta - oceniła efekty swojej pracy, robiąc krok w tył. - Teraz musi wyschnąć... Tak się cieszę! On ma wszystko piękne, zauważyłyście? - zapytała, wkraczając do kuchni, gdzie Julka już czyściła kieliszki.

- Cezary? - wyrwało się najstarszej siostrze, a Ewelina skomentowała tę wpadkę ostentacyjnym chichotem.

- Aldente! - Dorota najwyraźniej uważała, że w podobny sposób można mówić tylko o jej Włochu. - Jakie on ma ząbki,

widziałyście? Równe i bielutkie. Jakie oczka, noseczek...

- Napleteczek... - podsunęła uprzejmie Ewelina, obserwując . uciechą reakcję siostry.

Ale Dorota była w tak dobrym nastroju, że się nie obruszyła. Wręcz przeciwnie, ryknęła śmiechem.

- Ty się tak nie rozpędzaj - upomniała Julka, której przypomniały się wczorajsze poszukiwania brązowego niedopałka i słowa Cezarego. - I ja bym na przykład wybadała, czym ci twoi Włosi się zajmują.

- Tak. Stanę w salonie i poproszę o wypełnienie PIT-ów?

- Nie dziwi cię, że w jednym domu mieszka tylu chłopów naraz? Są braćmi czy rodziną? Przecież możesz się dyskretnie porozglądać, co ci szkodzi.

- Facet oddaje mi swój samochód, traktuje mnie jak człowiek, a ja mam go szpiegować? ! - Podobny brak wdzięczności nie mieścił się Dorocie w głowie.

- No, no. Z tym człowiekiem to bym nie przesadzała. A przy najmniej poczekałabym z oceną. Poprzestańmy może na kobiecie.

To już się Dorocie mocno nie spodobało. Czy tak trudno uwierzyć, że ktoś może dostrzegać nie tylko jej biust i tyłek, ale również walory intelektualne? Wydra z tej Julki.

Ryża i zazdrosna wydra!

- Co masz na myśli? - zapytała z miną primadonny i wiadomo już było, na co się zanoszą.

- Zdjęcia! - Ewelina krzyknęła więc pospiesznie sprzed komputera i zastukała łyżeczką w obudowę. Kiedy się spotykały, zazwyczaj dochodziło do kłótni, zupełnie jakby tworzyły trój składnikową mieszanę wybuchową. Przy czym wiadome było, że eksplozja na pewno nastąpi, zagadką pozostawał jedynie czas, w jakim dojdzie do zapłonu. - Miałam pokazać zdjęcia, siadajcie i podziwiajcie. - Wyjęła z aparatu kartę i wsunęła do czytnika. - A ty się zatkaj, Dorota. Julka mówi po prostu, żebyś nie przesadzała z oczami i achami, bo ci padnie na mózg i nie będziesz mieć racjonalnego oglądu.

- Wam już padło na mózg. - Dorocie udało się jednak

obrazić. - Dziękuję bardzo, było miło. - Wstała. - Zdjęcia zobaczę innym razem.

Julka westchnęła i chciała wyjaśnić sytuację, ale nie zdążyła  
Ktoś zadzwonił do furtki.

Miała nadzieję, że to sprzedawca jajek, listonosz lub choćby  
cały tabun elektryków, którzy poprawiają na ulicy instalację.

Tylko nie Cezary, tylko nie Cezary!

- Są! - Ewelina rzuciła się podekscytowana do okna.

- Przecież mieli być za godzinę - przeraziła się Julka,  
zerkając nerwowo na zegarek. Okazało się, że panowie  
przyszli punktualnie. To one zapomniały o Bożym świecie.

Dorota postanowiła cierpliwie czekać.

Ostentacyjne opuszczenie sceny i wzbudzenie na odchodne w  
siostrach poczucia winy miało sens jedynie wtedy, gdy  
poświęcały jej uwagę. Obecnie starsza przeglądała się w szafce i  
poprawiała szopę rudych włosów, a młodsza śmiała się z niej  
jak opętana.

Zamiast krągłego tyłeczka Julce wisiał pomiędzy nogami  
smętny worek w postaci rozwleczonych spodenek, które  
wybornie prezentowały się na grządce, gdzie pili się chwasty,  
ale nie w salonie przy gościach, gdzie dama powinna roztaczać  
dyskretny czar i wdzięk. Z wdziękiem niewiele wspólnego miała  
również koszulka upačkana kawą i olbrzymie kapcie w kształcie  
muchomorów, które Julka dostała od Eweliny na gwiazdkę.  
Kiedy siostra uświadomiła sobie te rażące ubytki w seksapilu,  
pognała spłoszona do sypialni, a Ewelina wzięła się za  
ekspresowe ogarnianie pokoju.

Tymczasem zapomniane przez wszystkich zdjęcia  
przelatywały przez ekran w pokazie slajdów.

Czy ktoś tym facetom zamierzał dzisiaj otworzyć?

Urażona Dorota ani myślała się wtrącać. Z powrotem usiadła  
przed komputerem. Niech siostrzyczki same troszczą się o  
swoich gości.

- O! - Zatrzymała wzrok na jednej z fotografii  
przedstawiającej jasnogórską wieżę i zakrzyknęła do pokoju:  
- Jakiś facet rzuca coś... albo kogoś z balkonu. To nie ten  
wasz morderca?

\*

Restauracja Pod Aniołami znajdowała się zaledwie sto metrów od bram klasztoru i była w najbliższej okolicy jedynym lokalem, gdzie serwowano alkohol. Dlatego na spotkania ze swoim znajomkiem Rico umawiał się właśnie tu, choć brak w menu tak istotnej pozycji jak czysta wyborowa boleśnie odczuwał jako złośliwość losu.

Niebiański patronat widocznie zobowiązywał.

W purpurowym budynku przy ulicy Siedmiu Kamienic zdobionym bogato nie tylko aniołami, ale również maskaronami, gryfami i delfinami można było zjeść smaczny posiłek i znaleźć wytchnienie nad kieliszkiem dobrego wina.

Tudzież nad całą jego butelką.

Albo nad dwiema butelkami.

Wnętrze utrzymano w tonacji ciemnego różu, który idealnie komponował się z romantycznymi amorkami pałającymi się tutaj obficie, choć nie natrętnie. Kilka z nich grzało sobie tłuste siedzenia na obudowie kominka, reszta wprosiła się na obrazy, a nawet na witraże.

Znajomy Rica wołał się jednak zaszyć w najdalszym kącie pomieszczenia, z dala od ulicy i całej tej świętej czeredy, choć nie do końca było to wykonalne - nad głową wdzięczyła się do niego skrzydlata postać uwieczona w złotych ramach.

- Co to wszystko miało znaczyć? Słucham - mężczyzna zaczął domagać się wyjaśnień, gdy tylko Rico usiadł przy stoliku. Blondyn doskonale to rozumiał. Gdyby to on oberwał w łeb i zobaczył naraz wszystkie gwiazdy, również by się domagał. Z tym że nie wyjaśnień. Dlatego spojrzął na swojego towarzysza prawie jak na robaka pod mikroskopem. Że też facet nie przygrzał mu jeszcze w odwecie, choćby tu, bez względu na anioły...

- To był taki taktyczny zwód - wyjaśnił i upewniwszy się, że nie przygląda im się nikt z obsługi, wziął do ręki butelkę, powąchał jej zawartość i przyczajony upił kapkę. - Wytrawne. No, trudno - cmoknął, odstawiając ją z powrotem. - Wytrawne źle mi robi na wątrobę, ale skoro nie ma nic

innego... Rozchmurz się! - Poklepał oszołomionego braciszka po plecach.

- Proszę?

- Zygmus, bracie. To z sympatii było. I w twoim interesie. Gdybym ci nie przywalił, kogo by podejrzewali? Lampkę? - zapytał grzecznie, pokazując na pusty kieliszek.

Zygmunt gorliwie podziękował, po czym bezwładnie opadł na krzesło. Łącznie z twarzą opatrzoną kulfoniastym nosem wszystko wydawało się na nim poszarzałe. Niebieska koszula, czarne spodnie, nawet buty.

- Tak że można nawet powiedzieć, że wyświadczyłem ci przysługę - kontynuował Rico. Sięgnął po serwetkę i sprawnie wykonał z niej wiotki lejek, przez który z entuzjazmem zaczął przesypywać do butelki cukier. Sprawiał przy tym wrażenie przyjemnie zaskoczonego własną pomysłowością. - Docień to. Troszczymy się o ciebie.

- O Pawła też się zatroszczyliście?

Pytanie zabrzmiało niczym oskarżenie i łupnęło Rica nie gorzej niż wątroba, która właśnie zwąchała wino i wysłała kilka wymownych sygnałów. Na wątrobę niewiele mógł poradzić, franca zwyczajnie go nie słuchała, ale Zygmunt do tej pory nie sprawiał problemów.

Należało mu wskazać miejsce w szyku.

- Jesteśmy jak jedna wielka rodzina, cytuję za Aldente, i o nikim nie zapominamy. - Potrząsnął winem, zatykając szyjkę brzegiem obrusu, bo serwetki już się skończyły. - Zwłaszcza o kimś, kto chce z tej rodziny odejść, chociaż był przez nią rozpieszczany.

- Ryszardzie...

- Braciszku - Rico zakwilił i nie pozwolił sobie przerwać. - Była umowa? Była. Pieniądze wzięłeś? Wzięłeś. Paweł też wziął, ale stracił chęć, żeby dawać coś w zamian. A w rodzinie, wiesz... Nie można jedynie brać. Tam u was też - wskazał w niesprecyzowanym kierunku - nic za darmo się nie dostaje.

- Nie bluźnij !

- Mówię, jak jest. Zresztą, do twojej religii nic nie mam.

- Tak? A habit? Jak mogłeś zedrzeć ze mnie habit?!
- Sam nie chciałeś dać, a ja się nie lubię dopraszać.
- Ale po co ci habit?
- Ciekawość pierwszy stopień do piekła, jak mawiacie.

Dowiesz się w swoim czasie.

Zygmunt z udęczeniem zawiesił wzrok na malunku aniołka, który uśmiechał się

dobrotliwie do bywalców lokalu. Szkoda, że nie wszystkim było tak wesoło. Za to Rico miał się doskonale.

- Jak się powiedziało A... - Przerwał maltretowanie butelki i sięgnął do kieszeni, skąd wyciągnął woreczek z fiolką po lekarstwach. - Masz. Dotykaj w rękawiczkach, żeby nie zostawić odcisków.

- Dlaczego mi to dajesz? Jakie odciski?! Co to w ogóle jest?

- Przymknij się nieco. - Rico rozejrzał się przyczajony. - Zaniesiesz to do pokoju Pawła, bo ten jeden szczegół przeoczyłem. Tylko nie stawiaj na wierzchu, nie bądźmy zbyt dosadni. Schowaj. I przestań histeryzować.

- Wiesz, czemu histeryzuję? Poprosiłeś o zwykły wyciąg z jemioly - Zygmunt ściszył głos i nachylił się nad stołem, z trudem opanowując złość. - Zwykły wyciąg!

- A ty mi go ochoczo przyrządziłeś. - Rico dossał się beztrzesko do wina. - Brzmi jak... współudział?

- Skąd mogłem wiedzieć? !

- Trzeba ćwiczyć wyobraźnię. Koniecznie. Bo...

W samą porę ugryzł się w język.

Mało brakowało, a wygadałby się, że niedługo zdarzy się coś, co przerosnie wyobraźnię niejednego braciszka. A już wyobraźnię przeora - na pewno.

Siabadabadaa...

\*

Niecko zwątpił.

W kuchni domu przy ulicy Reja zobaczył ucieleśnienie swoich marzeń.

Słowiańską rusałkę.

Boginkę rodem z polskich kniei.



Driadę smukłą niczym brzoza, szlachetną jak odmiana pszenicy z częstochowskich pól.

Dorotę.

Nie przypuszczał, że takie cuda natury istnieją i są, tak jak on, zbudowane z węgla, wodoru i tlenu (innych pierwiastków w tym momencie nie pamiętał).

A może Dorotka odlana jest ze złota?

Z czystej próby, bez tombakowych akcentów.

I chociaż starał się wydusić na powitanie coś inteligentnego, coś, co wywołałoby błysk zainteresowania w tych przepastnych niczym Stradomka oczach, nie był w stanie. Najzwyczajniej nie potrafił zapanować nad rozkojarzeniem, w jakie nagle popadł.

Zdołał się jedynie przedstawić i usiadł potulnie za stołem na wprost zjawiska, kontrolując jednocześnie wyraz twarzy, który nie powinien, doprawdy, wyrażać aż takiego otumanienia. Dobrze, że Cezary nie miał podobnych problemów.

- Dziecinko - zwrócił się swobodnie do Eweliny, która ewidentnie była czymś podekscytowana. - Pan komisarz jest tu dla ciebie. Zdaje się, że zamierzałaś udać się na komendę. Jako świadek.

- Mamy go! - Ewelina obwieściła nowinę, ale została opacznie zrozumiana.

- Mamy - Cezary wskazał zachęcająco na komisarza. - Proszę, zeznawaj.

- Mamy mordercę!

Do kuchni weszła Julka. Na dźwięk tak ohydneho słowa rzuconego beztrosko w jej kuchni mocno się zaniepokoiła i przeniosła pytające spojrzenie swoich rozświetlonych oczu z Cezarego na komisarza.

Kim był ten spłoszony szatyn?

- Jakiego mordercę? Gdzie? Tu?!

- Spokojnie. - Niecko wstał i uklonił się przed gospodynią, której zaczęło się już wydawać, że padła ofiarą niewybrednego żartu swojej młodszej siostry. - Komisarz Jerzy Niecko.

Doskonale się składa. Skoro Dorota zamierza się obrazić i wyjść, a Ewelina będzie składać zeznania, to ona zostanie tu

sobie z Cezarym i pogawędzi. Bo coś jej się wydawało, że samiec alfa nadal popatruje na nią zezem. Czyżby od wczoraj mu nie przeszło?

- Julka! - Ewelina nie zamierzała tracić czasu na tłumaczenia. Po prostu pociągnęła siostrę do komputera. - To on!

Wszyscy rzucili się przed ekran.

Na zdjęciu przedstawiającym modela Cezarego w pozie niedbale obojętnej uważny obserwator mógł się dopatrzeć w tle kogoś jeszcze. Niewielkich rozmiarów postać. Tkwiła na balkonie i zrzucała z balkonu... ciało! Zupełnie jakby było workiem węgla.

- Powiększ! - Niecko przejął już kontrolę nad sytuacją.

Kuchnia w jednej chwili przestała być magicznym pomieszczeniem, w którym Amor strzelił do niego strzałą. Błyskawicznie przeistoczył się z niepozornego facecika w glinę z pazurem śledczym, co uwidoczniło się od razu w całej jego postawie. Wyprostował się, sprężył, aż ignorująca go dotąd Dorota spostrzegła nagle, że ktoś taki jak komisarz nie jest jednak obojnakiem.

Ale mu się poszczęściło. Zdjęcie mordercy!

- Skurkowaniec, jakiś taki zamaskowany - ocenił Cezary, kiedy Ewelina zrobiła zbliżenie. - Twarzy nie widać.

- Może u nas w laboratorium coś z tego wycisną - Niecko był optymistą. - Mogę prosić o zdjęcie? - Wyciągnął pendrive'a. - I o wszystkie inne fotografie robione tego dnia w klasztorze?

- Już nagrywam. - Ewelina ucieszyła się, że może być przydatna.

Jak się okazuje, działania młodych fotografów mogą przynosić zaskakujące efekty. Gdyby nie wpadła na genialny pomysł i przemocą nie nakłoniła Cezarego do pozowania, komisarz nie dysponowałby dzisiaj poważnym materiałem dowodowym.

A może powinna łączyć swoją przyszłość z pracą w policji?

Cezary i grzebanie w ziemi przestały się nagle wydawać Ewelinie warte uwagi. Za to ściganie przestępców... Poza tym

tego biedaka z wieży zamordowano niemal na jej oczach. Miałyby przejść obok tak fascynujących zdarzeń obojętnie? Była przecież bystra, doskonale łączyła fakty. Zbieranie dowodów, przesłuchania - choćby zaraz!

- A wie pan - zagadnęła z wdziękiem do komisarza, który cierpliwie czekał za jej plecami - mam taką dziwną przypadłość, że zwykle znajduję się tam, gdzie trzeba. Może będę panu pomagając? Tylko pan na tym skorzysta.

Niecko wreszcie się doczekał. Nie tylko uwagi Doroty, ale także jej rudej siostry. Obie zaczęły mu na przemian dawać jakieś znaki. Cezary również zachowywał się dość osobliwie. Otworzył szeroko oczy i wyglądał na przerażonego.

- Obawiam się... - zaczął niepewnie Niecko i uchwycił uśmiech bóstwa, które zaczęło z aprobatą potakiwać głową, więc dokończył tonem niepozostawiającym wątpliwości: - że to niemożliwe.

Chuda panna nagle zrozumiała.

- W porządku - oznajmiła z ponurą satysfakcją. - Skoro nie chce pan pomocy, nie będę się narzucać. - Nie bacząc, że zapisywanie danych jeszcze trwa, wyciągnęła pendrive'a z komputera i zwróciła go właścicielowi.

- Zaraz! - Niecko złagodniał i starał się już nie patrzeć w kierunku stołu, zza którego dla odmiany zaczęły teraz dolatywać niezadowolone pochrząkiwania. - A jak by pani sobie tę pomoc wyobrażała?

Ewelina przyglądała grzywkę.

- Jak zobaczę coś ciekawego, po prostu dam znać.

Nie dodała, że postara się, żeby w jej życiorysie nie zabrakło okazji do widywania rzeczy arcyciekawych, bo to akurat było oczywiste. Nie dla Niecka. Tak okrojona propozycję pomocy mógł zaakceptować. I nawet ucieszył się, że z kłopotliwej sytuacji wyszedł obronną ręką. W końcu przestępczość zaczęłaby spadać, gdyby każdy, kto widzi wykroczenie, zgłaszał się na policję, a nie tchórzliwie krył bandytów.

Z przykrością odnotował, że nikt w kuchni nie podzielał jego zapału. Julka z rezygnacją ruszyła się, żeby zaparzyć kawę,

Dorota z powrotem kontemplowała widok za oknem i zdaje się, że na jej różanym licu malowała się źle maskowana pogarda. Tylko Cezary podjął temat.

- Jurek, mamy kłopot - oznajmił niewesoło. - Bo ta szczapa to jest wybitna specjalistka. Dużo by opowiadać. Ujmę to tak: na brak kłopotów, Ewelina. Jeśli masz gadzią cierpliwość...

- Wypraszam sobie szczapę! - zaprotestowała. - I kłopoty też. A zwłaszcza wypraszam sobie gadzinę.

- Kłopotów to ja mam tyle, że gorzej już chyba być nie może - komisarzowi było wszystko jedno.

- Aha... - mruknęła złowieszczo Dorota, nie zmieniając lodowatego wyrazu twarzy.

- A czemu nie może być gorzej? - Ewelina zapytała niewinnie i choć Niecko doskonale wiedział, że ktoś tu usiłuje go wziąć na spytki, puścił farbę. Zwyczajnie potrzebował się wygadać.

- Pani Julianno, mógłbym dostać herbatę? I miałbym prośbę - popatrzył ciepło po zgromadzonych damach - proszę mi mówić po imieniu.

Propozycję przyjęto ochoczo, a już całkiem miło zrobiło się, kiedy poczęstowany ciastem komisarz wepchnął sobie do ust największy kawałek i z lubością zaczął pomlaskiwać. Rozbroił tym nawet Dorotę. Po nasyceniu pierwszego głodu rozpoczął zwierzenia. Najpierw streścił w skrócie przebieg ostatnich wydarzeń, żeby wszyscy (spojrzenie na bóstwo) wiedzieli, o co chodzi, potem przeszedł do prywatnych wynurzeń.

- I tyle się dzieje, a ja nie mam żadnej koncepcji - zakończył zmieszany. - Coś musi te wszystkie awantury łączyć. Tego jestem pewien. W jednym tygodniu trup, dewastacja stanowiska, kradzież kości, pożar mieszkania... A na pogrzebie Malwinka. Jak ona mi obezwładniła pracownika...

- Oj, tak - Cezary wymówił przeciągle, a Julka poruszyła się na krześle. - Niektóre kobiety to potrafią męczyznę obezwładnić. I zniechęcić.

- Zniechęcić to nie. - Niecko nie odczytał aluzji, bo też nie do niego była adresowana. - Ona mnie wręcz zachęciła. Do

działań śledczych - dodał szybko. - Powiedziała: „Mało WAM?”. I nie uwierzyła, że jestem policjantem, bo na pogrzebie stałem ukryty za drzewem.

- A czemu się ukrywałeś? - zapytała od razu Ewelina.

- Chciałem sobie poobserwować. Ludzie inaczej się zachowują, kiedy wiedzą, że patrzy na nich policja. I oczywiście miałem nadzieję, że na uroczystości pojawi się dziewczyna Rożka. Tylko że ona z jakichś powodów również zajmowała się obserwacją.

- Może kogoś się bała? - podsunęła Dorota, a komisarz prawie spłonął rumieńcem, co nie uszło uwagi Eweliny. Niecko przypadł jej do gustu. Tylko czy Dorota doceni fakt, że interesuje się nią syn tej ziemi: bladawy niepozorny szatyn, któremu daleko było do włoskiej urody Aldente? Kopnęła Julkę pod stołem i z miną Sfinksa pokazała wzrokiem, w czym rzecz. Siostra nieznacznie się uśmiechnęła i niemal z czułością podsunęła komisarzowi kolejną porcję biszkopta.

- Może jeszcze?

- A, dziękuję. - Niecko okazał wdzięczność, bo znowu zaczęła go zżerać trema. - Wracając do pytania... Doroty. Najwyraźniej tak. Malwinka kogoś się bała. I bała się nie pojedynczej osoby, ale...

- Całej bandy - ubiegła go Ewelina i ze słodyczą wymierzyła w starszą siostrę pytaniem:

- Dorotka? A ty przypadkiem nie znasz jakiejś... większej grupy mężczyzn? Na przykład grupy siedmioosobowej?

Dorota zerwała się z miejsca jak oparzona.

- Dobrze, że mi przypomniałaś. Muszę spakować rzeczy i jeszcze zorganizować kolację. Kolacja!

- Przecież masz bigos - powiedziała Julka, ale Dorota zaczęła się spieszyć. Nic do niej nie docierało. Prawie nic. Kiedy jednak stanęła pośrodku pomieszczenia, zrobiła minę porzuconego przez wyrodną matkę kaczącia i ze znakiem zapytania w swoich wielkich, naiwnych oczach rzuciła:

- Jak myślicie? Zamówić taksówkę?

Pozostałe siostry spojrzały po sobie z lekkim niesmakiem.

Cała Dorota. Ta to nie zginie. Zawsze otumani jakiegoś biedaka i uczyni z niego zaangażowanego w jej sprawy pomocnika, który będzie pełnił rolę kierowcy tudzież tragarza - opcji było wiele, bo Dorota miała rozliczne potrzeby i potrafiła sobie nieźle zorganizować ich zaspokajanie. Szkoda tylko, że komisarz tak łatwo dał się złapać.

- To może ja panią podrzucę? - zaproponował zachwycony, zupełnie zapominając, że przybył na Reja w celu przesłuchania świadka. Świadek drapał się tymczasem po chudym kolanie i słał mu współczujące spojrzenia. - Mam po drodze.

\*

Cmentarza nie zamykano na noc.

Pani Smolikowa dostałaby się tu jednak, gdyby wejście zamurowano, zabito gwoździami i opieczętowano, a bramy strzegłyby czterogłowe psy. Przy jej boku dreptał przerażony pan Smolik, który popiskiwał co parę kroków, że dopuszczają się świętokradztwa, że tak nie można, że popełniają najzwyklejsze przestępstwo.

Ale kto by zwracał uwagę na podobne przejawy braku męskości, skoro serce matki łkało?

Łkało i biło z niepokojem, ilekroć pani Smolikowa przypomniwała sobie złożenie jej najdroższego syna do grobu. Już wtedy czuła dziwny przymus, żeby spojrzeć na niego raz jeszcze, ale siłą odwiedziono ją od tego zamiaru. A jeśli syn obudził się w trumnie? Jeśli lekarz, a wiadomo, że lekarze to same konowały, pomylił się, uznając Adasia za zmarłego?

Musiała sprawdzić.

Unieść wieko i upewnić się, że jej syn spoczywa w spokoju.

Musiała.

- Albo pójdziesz tam ze mną... i z łodem - pani Smolikowa wyhamowała niespodziewanie pod latarnią, która oświetlała jej okutaną dla niepoznaki w przeróżne swetry sylwetkę - albo z nami koniec. Chociaż raz w życiu pokaż, że masz charakter!

- Kasiu... Kasieńko... Błagam cię.

- Ani słowa, Józek.

- Kasieńko, jak tak można?

- Trzymaj łom, nie ciągnij go po ziemi! - Zatrzęsła się ze zniecierpliwienia, aż małżonek położył po sobie uszy i uniósł torbę niemal pod brodę. - Wchodzimy. I nie szuraj nogami!

Tak jak się spodziewali, brama od ulicy Jadwigi była tylko lekko przymknięta. Po energicznym pchnięciu jej przez panią Smolikową zgrzytnęła w nocnej ciszy tak przeciągle, że obojgu sprawcom zrobiło się zimno. W dodatku na sąsiednim cmentarzu ewangelickim, gdzie znajdowała się przybudówka stróża, rozszczękał się pies.

- Dalej, chowamy się! - zarządziła pani Smolikowa, ciągnąc małżonka pod mur, do którego przylgnęła całym swoim obfitym ciałem.

Wtapiali się tak w cmentarne tło już kilka minut. Albo kilka godzin. Czas płynie inaczej, kiedy człowieka otaczają skąpane w mroku kurhany. Główną aleję, przy której stał grób syna, oświetlały latarnie, ale tam w dali, tam, gdzie niebo znaczyły krzyże i pomniki, tam pan Józef wolał nie patrzeć. I co z tego, że w garażu stała bezprzewodowa lampa diodowa Yato świecąca bez przerwy dziesięć godzin, skoro Kasia nie pozwoliła jej zabrać? W takim razie niech sama otwiera mogiłę. Po ciemku.

- Już? - pan Józef upewnił się po chwili głosem cichym jak pisk myszy.

- Ruszaj się. Idziemy - wysapała Kasieńka, kiedy pies zakończył wreszcie swój występ. Jej również było chyba nieswojo, ale zaraz energicznie popchnęła pana Smolika i odebrała mu łom, a w zamian wręczyła łopatę, którą w ciągu dnia przytaczała na cmentarz i ukryła pośród kwiatów. - Gotowy?

Pan Józef modlił się w duchu, by dobry Bóg wybaczył im ten nędzny postępek, ale Bóg znajdował się o wiele dalej niż Kasia i jeśli on, Józef, miał jutrzejszego dnia otrzymać obiad tudzież korzystać z innych uroków życia małżeńskiego, nie miał wyboru.

Zaczął kopać.

A Kasiénka stała na czatach.

Ile czasu upłynęło, zanim łopata stuknęła o deskę trumny, pan Józef nie potrafił powiedzieć. Czuł prawie każdy mięsień i był cały mokry od potu. Ledwo zipał. Ale Kasiénka nie byłaby sobą, gdyby nie kontrolowała przebiegu wydarzeń.

- Masz już trumnę? - dopytywała, zerkając w stronę bocznej ścieżki, bo zdaje się, że dobiegały stamtąd niewiadomego pochodzenia dźwięki.

- Mam.

- To obkopuj, żeby ziemia nie dostała się do środka.

- Już obkopałem. - No to otwieraj!

Naprawdę serce mu stanęło, ale co tam on. Kiedy uniósł wieko i poświecił zapalką... Kasia z wrażenia porzuciła ścieżkę i na kolanach dopadła dołu. To było zbyt wiele nawet jak na jej wytrzymałość.

Trumna okazała się pusta.

Chociaż nie do końca.

W miejscu, gdzie powinien spoczywać Adaś, piętrzyła się kupa kamieni.

Pani Kasia zemdląła.

Ledwie przerażony pan Józef wyskoczył na powierzchnię, pies rozszczękał się od nowa. Z głębi cmentarza ktoś nadchodził. Trzęsąc się z emocji, pan Józef jeszcze raz zwarł mięśnie i odciągnął nieprzytomną małżonkę za stojący z boku pomnik.

Czy ta upiorna noc wreszcie się skończy? !

\*

Było ich dwóch.

Jeden rosły i wysoki, drugi niższy i mniej energiczny w ruchach.

Pan Józef nie widział ich twarzy, obaj mieli czapki z daszkiem i dla pewności zakryli się po uszy czymś jeszcze. Pewnie szalikami. Zanim wyłonili się z alejki, ten większy wychylił głowę i dał znak towarzyszowi.

- Droga wolna - wystękał i dźwignął coś z ziemi. Niższy szedł przodem.



W połowie chodnika raptownie się zatrzymał i pokazał na grób Adasia, po czym obaj jak na komendę rzucili się między drzewa, i tyle ich było widać. Dopiero po kilku minutach dygoczący ze strachu pan Józef usłyszał z boku przyciszone głosy. Skradali się! Zamknął oczy i przywarł do ciepłego ciała żony. Bał się poruszyć. Gdyby ci zbóje odkryli ich obecność...

- Dawaj go! - zabrzmiało niemal tuż przy uchu pana Józefa i nieboraczek z trwogą pomyślał, że oto nadeszła zasłużona kani. Może ci dwaj to pełniący nocną wartę grabarze? I może wcale się nie skradają, tylko jego nadwerężona doznaniem wyobraźnia wszystko zniekształca?

Spodziewał się co najmniej ciosu w potylicę, bo okrzyk grabarza-oprycha wziął do siebie, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Sam nie dam rady - odrzyknął ten drugi i pan Józef odważył się dyskretnie wychylić z ukrycia.

Widział ich teraz znacznie lepiej, bo byli kilka kroków od niego.

Jednak chyba już wołałby stracić wzrok.

Te hieny cmentarne włokły... Adasia!

Jego jedynego potomka.

Poznał go po butach, które osobiście dla syna wybierał, a które teraz zahaczały czubkami o płyty chodnika.

Obserwujący to ojciec aż skurczył się z doznanej przykrości. Po policzku spłynęła mu łza. Jak na razie jedyna, którą uronił od pogrzebu. To Kasia rozpaczała, on musiał pozostać dla niej wsparciem. Jeśli nie fizycznym, to przynajmniej duchowym.

Ale o godność syna będzie walczył.

Choćby z całą bandą cmentarnych zbójów.

Tylko co ci degeneraci zamierzają?

- Ty! Co jest?! Zobacz - wyższy oprawca przemówił do współnika, kiedy zatrzymali się przy rozkopanym grobie. - Rozumiesz coś?

- Nie ma czasu na przemyślenia. Ciesz się, że mamy mniej pacy. Wkładamy go, tylko ostrożnie - odpowiedział ten niższy.

- Ale tu są kamienie!

- To kładziemy na kamienie. Szybko, bo jeszcze ktoś

przyjdzie.

Pan Józef zebrał się w końcu na odwagę.

Energicznie usiadł.

Jak na ironię, tylko tyle wystarczyło.

Obaj chuligani spojrzeli na niego co najmniej jak na trupa powstałego z grobu. Bo też pan Józef nie wyglądał teraz na tego, kim w istocie był. Z twarzą umazaną ziemią i wykrzywioną grymasem bólu robił piorunujące wrażenie. Przypominał raczej upiora niż zahukanego facecika, który potyka się o własne sznurówki.

Sprawcy przez chwilę trwali w dziwnym odrętwieniu, po czym jak na komendę krzyknęli z przerażenia i rzucili się do ucieczki.

Rozszczękał się pies, a leżąca obok Kasieńka drgnęła i leniwie wymamrotała:

- Józek, jaki ja miałam koszmarne sen...

\*

Podobnego wstrząsu Cezary nie doznał dawno.

Jego ukochana kawalerka została doszczętnie zniszczona.

Obrócona w puch i gruz.

Mało brakowało, a Julka nie wyszłaby z tego cało, na szczęście w odpowiednim momencie poszła do łazienki przypudrować nos. Jemu też się upiekło. W tym samym czasie wyskoczył wyrzucić śmieci, bo z kosza buchał na całe mieszkanie przejmujący aromat paprykarza. Jemu nie przeszkadzał, ale Julce mógł.

Po wyjściu Niecka posiedzieli jeszcze trochę w kuchni i porozmawiali z Ewelina, a potem pojechali na urodziny pani Haliny. Panowało tam jednak tak gigantyczne pandemonium, że złożyli solenizantce życzenia, skosztowali paru przysmaków i bez żalu opuścili rodzinną imprezę (zgorszeni goście bardzo przeżywali fakt, że ciocia Czesia nie stawiała się na uroczystości w charakterze współgospodyni, ale poszła na randkę!).

Kiedy więc deszcz ostatecznie przeniósł się z Jury Krakowsko-Częstochowskiej na niziny, Cezary z Julką pomknęli w stronę Katowic. Na uczelnię. Ruda koniecznie

chciała zobaczyć genetyka w akcji, a uczelnia nocą była bardzo obiecującym miejscem na małe tete- a-tete. Tak obiecującym, że Julka przestała mieć idiotyczne obiekcje w temacie jego prywatnych metod śledczych. I od razu zrobiło się przyjemniej. Został nawet doceniony. I to szczerze. Zielone oczęta rudzielca mówiły więcej niż słowa.

Pod jej uważnym spojrzeniem popracował więc kilka godzin, a chwile wspólnego naukowego skupienia były wcale inspirujące. Około pierwszej w nocy wylądowali w Piotrowicach, w jego kawalerce. Cezary stwierdził, że najwyżej prześpi się na materacu, jeśli mniszka drży na sam dźwięk słowa „łóżko”. Obiecał jej przecież nietykalność, w mordę... Nie wyobrażał sobie, że Julka będzie o tej porze wracać do Częstochowy. Jeszcze po drodze usnie za kierownicą.

No i zaserwował jej noc pełną wrażeń.

Zaczęło się od kolacji. Sam by niczego nie jadł, ale dla gościa gotów był podgrzać choćby i danie z puszki. Julka protestowała, ale pozostał nieugięty. Musiała coś zjeść, a w jego lodówce najwięcej było artykułu zwanego powszechnie powietrzem. Powietrzem, w którym nieskrępowanie latały gołąbki w sosie pomidorowym.

Włożył je do mikrofalówki, nastawił odpowiedni czas i pomknął do zsypu.

Eksplozja targnęła blokiem z taką siłą, że prawie stracił słuch.

Na korytarz posypało się szkło z wybitych szyb, a potem na krótko nastąpiła cisza. Dopiero wtedy mieszkańcy zbudzili się do życia. Wybuchła panika. Słyszał przekrzykiwania, płacz kobiet, ludzie zaczęli wybiegać na klatkę schodową w piżamach i myśleli, że dalej śnią. Z przerażeniem wypytywali jeden drugiego o przyczynę huk, niektórzy już z dziećmi na rękach zbiegali schodami na zewnątrz. Jakiś mężczyzna niósł psa, inny z obłądem w oczach tachał w ramionach komputer.

Cezarego interesowała tylko Julka!

Dopadł drzwi, na osłep przeskakiwał przez strzępy mebli i ścian. Wszędzie było biało od pyłu, który dostawał się do oczu, gardła, uszu.

- Cezary! - Głos rudej wydał mu się najpiękniejszy na świecie, choć słyszał ją raczej słabo. Jakby z daleka, mimo że Julka znajdowała się w łazience, tuż obok.

Żyła!

Wybuch rzucił ją na podłogę, gdzie wylądowała również szafka z kosmetykami, ale oprócz potłuczonego ramienia Julce nic się nie stało. Była przestraszona, ale cała!

Krzyczała coś do niego, więc wydusił z siebie kilka uspokajających słów i zadzwonił po policję. Zdaje się, że to samo zrobił każdy z mieszkańców bloku, bo radiowóz pojawił się na Armii Krajowej już po pół godzinie. Cezary szczerze lubił Niecka, dlatego nie zaserwował mu pobudki, choć miał na to wielką ochotę.

Ten wybuch nie zdarzył się przypadkiem.

Tak samo jak nieprzypadkowe były wydarzenia ostatnich dni.

Zabezpieczanie śladów i składanie zeznań trwało mniej więcej dwie godziny. Julka spędziła je z Cezarym, dzielnie wspierając go na duchu. Potem pomogła mu się spakować i z powrotem ruszyli w drogę. Samochodem Julki, bo Cezary był zbyt wzburzony, żeby prowadzić.

- To oni! To ich robota!

- Kogo? - Poziom adrenaliny był w jej organizmie wciąż tak wysoki, że początkowo nie zrozumiała.

- Włochów.

- Włochów Doroty?

- A kogo? !

- Co ty mówisz?

- Wiem, że to oni - Cezary nie ustępował.

Przed oczami przelatywały mu sceny z ewakuacji. Morze przejętych i zdenerwowanych sąsiadów, wycie syren, zamieszanie. Dobrze, że noc należała do ciepłych, ludzie mogli tłoczyć się na zewnątrz. I nie było specjalnych strat, oczywiście poza jego mieszkaniem i szybami, które poszły w drobny mak w całym budynku.

- Bo znalazłeś takiego samego papierosa w ogrodzie, jakiego palił Rico?

- Mów, maleńka, co chcesz. Jutro DNA będzie gotowe. A wtedy...

- Co wtedy? - Julka zaczynała się obawiać, że sprawa miała związek z męskim ego. Jeśli tak, zanosilo się na poważne kłopoty. Tym bardziej, że nie potrafiła w spokoju przyjmować tego, co dotyczyło Cezarego. Po prostu nie potrafiła. Teraz też. Nie musiała oferować mu kąta w swoim domku. Ale zaferowała, chociaż truchlała na samą myśl, że rankiem natknie się w swojej łazience na faceta z nagim torsem. A Cezary był posiadaczem wyjątkowo pięknego torsu.

- Tej bomby im nie daruję - wypowiedział ponuro, już sobie wyobrażając urocze chwile w PZU, kiedy krwią i blizną będzie musiał udowadniać, że należy mu się odszkodowanie. - Nie wiem, o co spageciarzom chodzi, ale jeśli chcą wojny, będą ją mieć. Ja im, mafiosom w pomidory kopanym, pokażę, co znaczy vendetta po polsku. Ja im pokażę! Jakem Cezary Trębacz...

\*

Ku swojemu zaskoczeniu Jurek Niecko nie był w stanie niczego zjeść. Niezbyt przekonany przyrządził na śniadanie swoje ulubione tosty, ale nawet zapach topionego sera nie pobudził żołądka do działania. Skubnął więc zaledwie kawałek i, popijając zieloną herbatę, oddał się marzeniom.

Dorotka.

Czy to się w ogóle zdarzyło?

Spotkał wspaniałą kobietę i spędził w jej towarzystwie wieczór?

Urodziny pani Haliny, mamy bóstwa, pamiętał jako defiladę kuzynek, babć, wujków, ciotek, stryjków, sąsiadek i kogo tylko. Dość barwne, ale sympatyczne towarzystwo, a już jedzenie... Był nawet karp w galarecie! I zimne nóżki. I tort orzechowy tak smakowity, że można by za niego oddać nerkę. Jak Dorotce udaje się zachować linię, mając w rodzinie tak uzdolnioną kucharkę, nie pojmował. Chyba że Dorotka, podobnie jak on, odznacza się właściwą przemianą materii. Ale i tak trudno mu

było zrozumieć, że można dobrowolnie wyprowadzić się z tak pachnącego pysznościami miejsca. A Dorotka się wyprowadzała. Znalazła pracę z mieszkaniem.

Nawet ją tam po uroczystości zawiózł.

Ulica Świętokrzyska.

Dom...

Jaki tam dom, rezydencja!

Rezydencja jak z Dynastii. Przepych bił od niej na całą dzielnicę. Z tego co niejasno pamiętał, posesja stała dłuższy czas w surowym stanie pusta. Być może właścicielowi zabrakło środków na wykończenie i chciał się jej pozbyć, ale żądał zbyt dużo. A teraz ktoś ją kupił, wyremontował i oto stała w pełnej krasie wypełniona rodzinnym ciepłem.

Tak, domy są jak ludzie.

Zaczynają żyć, kiedy przestają być samotne.

Zabawne, nigdy nie myślał w ten sposób. Bynajmniej nie uważał się za kogoś samotnego czy opuszczonego. Dlaczego w takim razie poczuł nagle niepohamowaną chęć, żeby do Dorotki zadzwonić?

Tylko że była ósma rano. Dorotka z pewnością o tej porze smacznie śpi i przekręca się w rozgrzanej pościeli z boku na bok. A on powinien wyhamować. Większość zalotów, na jakie się zdobywał, kończyła się podobnie. Obiekty jego westchnień kręciły nosem, gdy tylko docierało do nich, że nie jest upragnionym macho, który przeciągnie je za włosy po podłodze i zostawi w kącie. Czemu teraz niby miałyby być inaczej? Tym bardziej, że chciał uderzać w konkury do kobiety tak wstrząsająco atrakcyjnej.

Komisarz nie zamierzał jednak podupadać na duchu. Był optymistą. Coś takiego jak dołek przytrafiło mu się niezmiernie rzadko. A już na pewno nie w środku skomplikowanego śledztwa. Siorbnął herbaty i wyciągnął notatki. Koniec rozmyślań. Zobaczysz wieczorem, może wtedy do Doroty przedzwoni i zapyta, czy nie potrzebuje pomocy, bo przecież nie zabrała jeszcze ze Sportowej wszystkich swoich rzeczy.

Kiedy zapikał telefon, komisarz zajmował już swój umysł

pracą. Praca dobrze robiła na wszelkie dolegliwości natury duchowej. Teraz na przykład dumał nad tym, co mu powiedzieli w CBS. Niestety, przecucia go nie myliły. W Częstochowie pojawiła się mafia włoska.

Kamorra!

Czyżby to było jego brakujące ogniwo?

- Mogę na górę? - w słuchawce usłyszał zdenerwowanego Staszka. - Jestem pod twoim mieszkaniem.

- Wchodź.

- Stary, co się dzieje? - współpracownik zasypał go pytaniami już od progu. - Jestem właśnie po rozmowie z prokuratorem.

- Już z tobą rozmawiał? Tak wcześniej?

- No, chyba! Skoro mamy powitać delegację z Katowic... - Dołęga był niepokieszony. Niecko wręcz przeciwnie. Jeśli CBS przejmie śledztwo, zostanie mu więcej wolnego czasu na sprawy, hm, prywatne.

- Przyjeżdżają o dziesiątej, miałem cię właśnie łapać - rzucił lekko, choć wiadomość była raczej wagi ciężkiej. - Przyjrzą się naszemu Rożkowi i jego włoskiej przeszłości.

Musimy się przygotować. Przesłuchałeś w chińskiej firmie wszystkich jeszcze raz?

- Przesłuchałem, ale żadnych nowości - Staszek wymruczał nieco udobruchany, bo Niecko postawił przed nim kubek gorącej kawy. - Tyle się dowiedziałem, że sprzątaczką jest od tygodnia na urlopie, więc to nie ona powycierała odciski z biurka i myszki. U sąsiadki Rożka też niewypał. Pojechała do córki, więc nie pokazałem jej zdjęcia, tak jak prosiłeś.

- Gdzie ta córka?

- Nikt nic nie wie. Starsza pani nie figuruje w żadnej telefonii, tak że z połączeń córki nie namierzemy.

- Dobra. - Niecko zajrzał przejęty do notesu. - Masz już informację z mechanoskopii? Jak zakradli się po komputer?

- Włam wytrychem. A w sfajczonym mieszkaniu tylko ślady właściciela - dodał Staszek. - I kogoś jeszcze. Może tej jego Malwinki.

- Stasiu - zaczął przymilnie Niecko, ale zaraz się rozmyślił.

- Nie, nic. Wstrzymamy się. Chciałem tej Malwiny poszukać. Taka jest wielka, że nie byłoby trudno. Zaczęlibyśmy od lekarzy, dietetyków, ale poczekamy. Zobaczymy, co powie CBS.

- Zobaczymy. - Staszek podszedł do szafki, gdzie leżała zmarniała cytryna. Wzdrygnął się. - Baba miała w rękach taką moc, że jakby ścisnęła... Ale szybciotka była - cmoknął z uznaniem. - Wiała z cmentarza tak sprawnie, że się nie zorientowaliśmy co i jak, a już jej nie było.

- Tym to się lepiej nie chwalmymy - zaproponował Niecko, znowu sięgając po dzwoniącą komórkę. Zdaje się, że nowy dzień rozpoczął się na dobre. - Tak... tak... Co?! - Z wrażenia aż wstał, na jego pogodnej twarzy odbiło się zaskoczenie. - A gdzie pan teraz jest?... W porządku. Zaraz do nich zadzwonię i się zorientuję. Powinienem być do pół godziny - szybko zakończył rozmowę i popatrzył na kolegę z niedowierzaniem. - Chyba będzie mi tego brakowało - oznajmił dziwnym głosem.

- Czego?

- Wizyt na Jasnej Górze. Jak tam się któregoś dnia nic nie wydarzy, zacznę się zastanawiać, czy klasztor się nie zawałił.

- Co tym razem? - Staszek był ciekaw nowości. Mina jego szefa mówiła sama za siebie.

- Znowu okradli archeologów, wyobrażasz sobie? Tym razem ze wszystkich narzędzi. Poza tym zmotoryzowani studenci przyjechali rano do pracy komunikacją miejską, bo ktoś im poprzecinał opony. Każdemu z osobna pod jego własnym domem. Ale to nie wszystko... Doktor Trębacz spędził mało przyjemną noc. Ktoś mu podłożył w mieszkaniu bombę. I co ty na to?

\*

Profesor Lesiak nie chciał wierzyć. Kolejna kradzież? Chyba zaczynał się przyzwyczajać, ale bomba w mieszkaniu przyjaciela była czymś tak egzotycznym, że darował sobie zawrota głowy nad utraconymi przyrządami i zaczął się trząść na Cezarym.



- Jak to bombę? Kto, gdzie, kiedy?!

- Leon... Bomba. Zwykła. Pewnie podłączona do zegara w mikrofalówce.

- I co? Gdzie ty się podziałeś w tą ciemną, zimną noc, nieboraczku? - zmartwił się szczerze.

- Przygarnęła mnie znajoma. Ale nie chcę nadużywać jej gościnności i...

- Kochany! Mieszkać ze mną! Mój czajnik, moje auto, moja wanna, wszystko twoje. Wszystkim się podzielę.

Cezary uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Jesteś wielki. Dzięki, ale podobną propozycję złożył mi właśnie przeor.

- Przeor chce ci oddać swoją wannę? - profesor zażartował, był jednak nieco rozczarowany. Miło by było mieć u boku tak błyskotliwego kompana jak Cezary. Toczyłoby wieczorne dyskusje, sączyli wino i słuchali muzyki poważnej. Ach...

- Taki szczodry to może ojciec przełożony nie jest, ale i tak mnie zaskoczył. Powiedział, że trzeba sobie pomagać, i oddał mi do dyspozycji celę. Tymczasowo. Dopóki nie uporządkuję swoich lokalowych spraw.

- I?

- Chyba skorzystam.

- Ha! Dacie wiarę? Cezary w zakonnej celi! - wykrzyczał z rozbawieniem Lesiak, zwracając się do siedzących pod murami markotnych studentów. - A wy, moi państwo, co?

Na co czekacie?

W grupie archeologów dało się dostrzec pewne poruszenie.

- Ale że co pan profesor ma konkretnie na myśli? - odważył się spytać jeden z nich.

- Czemu się nie aktywizujecie?

- My byśmy się i aktywizowali, ale nie mamy przecież narzędzi.

- To się aktywizujcie bez! Od czego polot i wyobraźnia? Zrzućcie się, moi mili, i lećcie do sklepu po kilka szpadli i pędzli. Może być nawet zestaw do zabawy w piaskownicy, nikt nam nie zabroni. Tak trudno? Proszę! - Wyciągnął z torby portfel i nie chcąc pozostać gołosłownym, wyłuskał z

niego kilka banknotów.

- Pieniądz to tylko papier, który można zamienić na coś pożytecznego. Dalej, złóżcie trochę makulatury do kupy i biegnijcie zdobywać świat!

Młodzież ruszyła do czynu, acz niezbyt ochoczo. Profesora wręcz uwielbiali, ale jakoś dzisiaj nikt nie był skory do przekomarzania się z mistrzem. Humor zszedł z niektórych jak powietrze z samochodowych kół. Dotyczyło to również zapału do pracy.

- Ta twoja bomba, ich bomby... To znaczy ich poprzebijane koła... Morale w grupie spada, jednym słowem. Zaczyna się robić niebezpiecznie - podsumował Lesiak. Klapnął obok Cezarego, na ziemi, i przyglądając mu się z obawą, zapytał: - Mam nadzieję, że nie chcieli cię tą bombą...

- Zabić?

- Nie chciałem się tak dosadnie wyrazić, ale...

- Lesiak, może i chcieli, chociaż nie pojmuję, dlaczego. O śmierci nie zamierzam rozmyślać. Zamierzam im dokopać. Za Bruna, za stanowisko, za narzędzia...

- Za Bruna też bym im chętnie dokopał. Ale czemu mówimy: „im”? Kim są owi „oni”? Coś mnie ominęło?

Cezary opowiedział profesorowi o ostatnich zdarzeniach, tak że kiedy przybył Niecko, Lesiak był już doinformowany i mógł zadawać swojemu ulubionemu komisarzowi mnóstwo sensownie brzmiących pytań.

- Jureczku, witaj, najlepszy z policjantów! - zakrzyknął radośnie, bo przemawiał, wylegując się na trawie, i obawiał się, że tam, w górze, może nie być dobrze słyszany. - Tak tu sobie siedzimy pod brzózka, dumamy... Siadaj i ty.

- Momencik - komisarz przeprosił na chwilę, bo pojawił się w otoczeniu swojej świty. Odkąd tylko wszedł do ogrodu, wydawał polecenia, miotał się w tę i z powrotem, ale jakby z mniejszym niż zwykle zapałem. W jego ruchach wyczuwało się rozkojarzenie, wzrok również miał otępiały. Może źle znosił upały? Od rana z nieba lał się żar, a powietrze można było wręcz kroić nożem.

- Staszek - zawołał do rosłego blondyna - zastąp mnie, ja tu

z panami porozmawiam!

Pod brzošką. - Poklepał z sympatią drzewo, a na twarzy pojawił mu się zagadkowy uśmiech.

Cezary założyłby się, że rozmarzenie Niecka bynajmniej nie dotyczyło obcowania z fauną i florą, ale pewnej blondynki, której kibić, owszem, mogła się kojarzyć z drewnianym kołkiem. Choćby brzożowym.

- A zatem - profesor kontynuował podjętą myśl - tak sobie zalegamy na łonie i usiłujemy dowodzić pewnych paradygmatów drogą logicznego wywodu. I logika dyktuje nam, że twoje śledztwo ma jakiś związek z naszym naukowym przedsięwzięciem.

- Na to wygląda - zgodził się Niecko i zerknął na Cezarego, który, podobnie jak on, zdawał się być w kiepskiej formie. Wyglądał na mocno niedospanego. - Wiem już o bombie, dzwonił do mnie z Katowic. W mikrofalówce znaleziono semtex. Niewiele. Nie sądzę, żeby to był zamach na życie, bo użyto by więcej materiału, ale i tak nie brzmi to optymistycznie. Oczywiście sprawca nie zostawił żadnych śladów. Tak jak tu... - Powiódł wzrokiem po parku.

- To miało być ostrzeżenie - zagrzmiał Lesiak. - I teraz widzę, że dlatego odebrano nam kości i z tej samej przyczyny załatwiono opony naszych młodocianych archeologów, o dzisiejszej kradzieży narzędzi nie wspominając.

- Tak. Zdaje się, że tak należy to odczytywać. Ostrzeżenie. - Niecko westchnął. Przynajmniej zawodowo zaczynało się przejaśniać. - Tylko że ja dalej nie wiem, czemu sprawcy, czy sprawcom, zależy na uprzykrzeniu wam życia.

- Ale ja wiem! - Profesor klasnął w dłonie. - A może jesteśmy tuż przed dokonaniem epokowego odkrycia? Może tu - pokazał na ziemię - znajdują się nieprzebrane skarby? Ktoś się o nich dowiedział i chce nas zniechęcić. - W jego oczach zapłonął niebezpieczny ogień. - Chce nas zmusić do zaprzestania prac. Ale my się nie damy. Prawda, Cezarku? Nie damy się! Będziemy trwać na naszym antropologicznym szańcu. Do ostatniej kropli krwi!

- Nie inaczej - mruknął Cezary. - Z jakichś powodów

makaroniarzom zależy, żebyśmy przestali kopać.

Niecko zastygł w bezruchu. Czy on dobrze słyszał?

- Chciałem ci już powiedzieć wczoraj - zaczął Cezary - ale przepadłeś'. - Zresztą może to i lepiej, bo Dorocie moja historyjka by się nie spodobała.

- Ale co ma do tego Dorota? - Komisarz nagle zbladł.

- Oj, ma. Od Doroty się zaczęło, posłuchaj...

W trakcie opowieści Cezarego Niecko słabł jeszcze kilkakrotnie. Zdrowy rozsądek w końcu w nim jednak zwyciężył. Dorotka w niebezpieczeństwie! Świętokrzyska! Melina! To oczywiste, że siedmiu Włochów w jednym domu, i to w takim domu, było czymś z gruntu podejrzanym, ale przecież do miasta przyjeżdża CBŚ. Wszystko pod kontrolą.

- Moim skromnym zdaniem - Cezary wydobyl z kieszeni woreczek z niedopalkiem, o którym napomknął już komisarzowi - weszliśmy w drogę mafii.

- Nie, Cezarze - sprostował spod brzozy Lesiak. - Mafia weszła w drogę nam! Nam!

- To ten papieros? - Niecko zignorował manifestacje profesora i odebrał woreczek niczym największą świętość.

- Jak już mówiłem, znalazłem niedaleko stanowiska, po tym jak ukradli kości - odrzekł zgodnie z prawdą Cezary, choć starał się nie patrzeć komisarzowi w oczy.

- Czemu dostają to dopiero teraz?

- Eee... Przebadalem.

- Prze... - Niecka zatkało. Przyjrzał się zmizemiałemu brunetowi w kielkującym zachwycie. Jeśli ten genetyczny szalenciec zrobił to, na co on czekałby ruski rok, chyba go ozłoci. - Przebadales? Jak to? Tylko mi nie mów...

- Ależ DNA! - Lesiak zaczął się niecierpliwić. - I ja muszę stanąć w obronie Cezarego. - Podniósł się z ziemi. - On nie przetrzymywał dowodu. Absolutnie. On ten dowód czynił wiarygodnym. A wszystko w imię poznania i sprawiedliwości.

- Dobrze, dobrze. - Niecko zamrugał oczami, bo dzisiaj jakoś za profesorem nie nadązał.

- Jestem wdzięczny - zapewnił. - Nawet bardzo.

- Bardzo? - Profesor rozpostarł ramiona i teraz komisarz naprawdę się przestraszył.

- Bardzo, u nas na ekspertyzy czeka się miesiącami - powiedział szybko i wykonał ruch, jakby zamierzał rzucić się do ucieczki.

- A papierosa znalazłem właśnie tu - Cezary wskazał na fragment trawnika. - Wyniki będą wieczorem, jutro dam ci płytę.

Niecko uściskał mu w podziękowaniu rękę i jak na rasowego glinę przystało, myślał już o kolejnej czynności śledczej.

- A co, jak już będziemy mieć to DNA?

- W następnej kolejności musimy zdobyć materiał porównawczy. Na przykład włos Rica. Może Dorota nam pomoże?

- Dorota? - Stróż prawa w ułamku sekundy stracił całą swoją energię. - Wydaje mi się... Chciałbym ją przekonać, żeby zrezygnowała z tej posady. Jeśli przypuszczenia z mafią się potwierdzą.

Zarówno Cezary, jak i profesor byli temu przeciwni. Ich zdaniem doskonale się składało, że w jaskini wroga mieli swojego człowieka. Czy swoją kobietę. Kobiety nikt nie skrzywdzi, a kobieta potrafi zdobyć nieprzebrane bogactwo informacji operacyjnych. Zwłaszcza od mężczyzn. Zasypali komisarza wizjami Doroty w roli seksownej agentki poowijanej mikrofonami tudzież kamerami we włosach, uszach i innych tajemnych zakamarkach ciała, a Niecko z każdym ich słowem zapadał się w sobie coraz bardziej.

- Przestańcie wreszcie! - Przy motywie kontrolowanego uwiedzenia autorstwa profesora nie wytrzymał. - Najpierw sprawie przyjrzy się CBS, potem będziecie się nakręcać. Ja muszę uciekać, bo zaraz mam spotkanie. Wszystko się rozstrzygnie. Albo wóz, albo przewóz. Trzymajcie kciuki, żeby Świętokrzyska to był niewypał.

- Niewypał? - Profesorowi aż zapiszczało w uszach na tak odrażające słowo. Dopadł brzoźki i zaczął biedaczkę niemal okładać pięściami. - Odpukać w niemalowane. Żadnych

wybuchów!

Od strony wykopalisk podszedł do nich Staszek Dołęga. Patrząc z politowaniem na Lesiaka, zaraportował swojemu przełożonemu:

- Robotnicy zgłosili, że o szóstej rano kręcił się przy furcie ogrodowej jakiś zakonnik. Z wielkim workiem. Zawołali za nim, ale zwiął. Twarzy nie widzieli, bo miał założony kaptur.

- Niech zgadnę - wtrącił się Lesiak. - Czy braciszek był w habicie?

\*

Dorota pozwoliła sobie sięgnąć do szuflady, ponieważ wybierała się na zakupy.

Po drabinę.

Zamierzała też kupić produkty, z których ciocia obiecała po południu sporządzić spaghetti po neapolitańsku, więc drabina jak najbardziej miała z tym związek. Tę pożyczoną z działek w końcu należałoby zwrócić.

*Maccheroni alla Napoletana.* Takie zamówienie złożył dziś Aldente. Ale czy *maccheroni* znaczy tyle samo co spaghetti?

Nie sprawdziła w Internecie, bo na razie nie posiadała w pokoju komputera (Aldente obiecał, że o tym pomyśli), ale to żaden problem. Poprosi o pomoc tych dwóch, którzy zostali w domu. Byli tacy mili. Obawiała się, że kulinarna udręka zacznie się już od samego rana żądaniem megaśniadania dla siedmiu żarłaczy, ale nie. Sami potrafili się obsłużyć.

Dzień rozpoczął się udręką, jednak innego rodzaju.

Została zawołana przez swojego szefa do łazienki, gdzie doszło do scen... nie tyle mrożących krew w żyłach, co raczej doprowadzających ją do wrzenia!

- Mogę cię prosić? - zapytał Aldente, stojąc na baczność przy lustrze i pokazując wzrokiem na rejon jak nic poniżej pasa.

Dorota zamieniła się w słup soli.

Tego nie uwzględniła.

Pielęgnacja, kucharzenie... Wszystko prawie wspaniale.

Ale to?

- To może ja zawołam Rica? - zaproponowała i ochoczo skoczyła do drzwi.

- Bella - zatrzymał ją. - Nie potrzebujemy do tego Rica. Potrzebujemy tylko siebie.

Jak nic przyszło jej zapłacić za swój pokój na piętrze.

Zresztą, mogła się tego spodziewać.

Naiwna.

- Musisz coś o mnie wiedzieć - zaczęła kategorycznie, ale Aldente nie przestawał się pobłażliwie uśmiechać. - Ja taka nie jestem.

- Jaka?

- Pokój, szuflada, auto... Nie kupisz mnie.

- Wcale nie chcę cię kupować. Co za pomysł! Chcę, żebyś mi pomogła się rozebrać. Zaraz wychodzę. Muszę wziąć prysznic, a bez ciebie nie dam rady. Wiedziałaś, jakie będą twoje obowiązki. Pielęgniarka pielęgnuje. Chcę być wypielęgowany.

Czy ona rozpięła kiedyś facetowi rozporek?

Trzyletniemu kuzynowi w nagłej potrzebie pod drzewkiem, owszem, paru innym dżentelmenom również, ale dorodnemu Włochowi, który pachniał jak prażone migdały - nigdy. Kiedy stał już przed nią goły jak święty turecki, nie pozostawało jej nic innego, jak chwycić za gąbkę.

- Za mocno, zaraz zedrzesz mi opaleniznę - Aldente zaczął się po kilku minutach skarżyć.

Łatwo mu mówić.

Wydzielał z siebie tak potężną ilość zniewalającego czaru, że Dorota wołała zamknąć oczy. Śmiał się z niej w głos, ale głaskanie namydlonego włoskiego ciała i nie snucie przy tym pewnych wizji przerastało jej siły. Wołała bezlitośnie szorować. I nic nie widzieć. Tak jakby szorowała podłogę. Żadnych kosmatych myśli, tylko mechaniczne pucowanie.

Jakoś dotrwała do końca. Po wytarciu Aldente ręcznikiem i zapakowaniu go w szlafrok przyszła kolej na perfumowanie, układanie włosów (brylantyną!) i... golenie. Tu już nawet on sam nie miał złudzeń i kazał przyprowadzić blondyna. Podziękował pielęgniarce za poranne ablucje i poinformował,

że śniadania jada na mieście, a potem załatwia interesy. Dorotka pomoże mu się więc jeszcze tylko ubrać i do obiadu ma wolne.

Obiad!

*Maccheroni alla Napoletana...*

Ciocia zapewniała, że sos neapolitański to bułka z masłem, ale Dorota wołała się upewnić, czy spisała właściwe produkty.

Zapukała do pokoju, w którym siedzieli grubasek z milczkiem. Nic. Słyszała jedynie odgłosy nadawanego w telewizji meczu. Pewnie pukała za cicho. Spróbowała ponownie, tym razem z lepszym skutkiem, bo drzwi otworzył grubasek (czemu się tam zamykali?), ale bynajmniej nie zaprosił Doroty do środka. Wyszedł na zewnątrz, i to tak, żeby nie zostawić za sobą choćby szczeliny.

- Mogłabym skorzystać z komputera?

- Po co? - zjeżył się, tak jakby korzystanie z zasobów sieci było w tym domu zakazane.

- Chciałam sprawdzić pewien przepis. Kulinarny.

- A, przepis - wrócił do uprzejmego tonu. - Tam, nie. - Wskazał na drzwi. - Tam pracujemy. Ale w swoim pokoju Aldente trzyma laptopa. Myślę, że nie będzie miał nic przeciwko. Tu nie wolno - powtórzył.

Szlifują diamenty czy co?

W porządku, przecież nie wedrze się tam przemocą.

Laptop w zupełności jej wystarczy.

Pokój szefa był jednym z ładniejszych pomieszczeń w całym domu. Urządzony w ciemnym drewnie i burgundzie trochę onieśmiał, ale pachniał właścicielem i Dorota dobrze się tu czuła. Męska elegancja z nutą surowości - pomyślała, rozglądając się po wnętrzu, w którym, jeśli nie liczyć obrazu nad kominkiem, nie dostrzegła żadnych sentymentalnych drobiazgów. Przy ścianach stały półki z segregatorami, a w regale ujęty w drewniane ramy wisiał telewizor. Stolik, dwa fotele, barek z alkoholami. To wszystko.

Laptop leżał na biurku.

Ciekawy mebel. Na pewno stary, rzeźbiony po bokach. Błat stanowiła deska, na której leżała jakaś sporych rozmiarów



mapa przykryta szkłem. Oryginalnie.

Dorota przyjrzała się z zainteresowaniem rysunkom. Przedstawiały rzut budynku. Może zamczyska? Linie były skomplikowane, gdzieniegdzie zanikały od starości. Na przykład skrzydła anioła, który unosił się po prawej stronie budowli, prawie całkowicie wyblakły. Szkoda, aniołek był śliczny. Na dole znajdowała się data. 1624. Dość wyraźna. Czyżby ta pożółkła płachta liczyła sobie aż tyle lat? I jeszcze zamaszysty podpis: Andrea dell'Aqua. Kolejny Włoch.

To jej przypomniało, po co tu przyszła. Spaghetti. Porzuciła mapę i uruchomiła laptopa. Niestety padalec poprosił o hasło. Podreptała więc z powrotem na górę, pod zawarte na cztery spusty drzwi.

Już miała zapukać, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. W zasadzie zadzwoni do Julki i ona jej ten przepis odczyta. Nie będzie się dobijać do tej ich pieczary.

W pokoju rozbrzmiewał bełkot spikera, ale grubasek i milczek rozmawiali. I wcale nie starali się być cicho. Wręcz przeciwnie - przekrzykiwali komentatora, aż dudniło w holu.

Podśluchiwała?

Nie czaiła się przecież, po prostu na chwilę przystanęła.

- A jak Aldente się wkurzy?

- Czemu? W gabinecie ma czysto. Wszystko trzyma tu.

- A laptop?

- Przecież nie jest idiotą!

- Fakt, idiota nie wymyśliłby takiego planu. Nie mogę się już doczekać zjazdu. Tyle forsy! No i wrócimy wreszcie do domu. Po takim numerze rodzina przyjmie nas z wyciągniętymi rękami.

Toczony za drzwiami dialog wydał się Dorocie niezbyt interesujący.

Ot, rozmowy pracowników.

Więcej forsy?

Cudownie, może również na tym skorzysta?

Wróciła do pokoju Aldente, wyłączyła laptopa i nucąc, zeszła do garażu. Czy w markecie na Wręczyckiej kupi drabinę? Sprawdzi. Koniecznie. Nie uśmiechało się jej w taki upał pchać

do centrum.

Jak mawia mama, głupi ma zawsze szczęście. Okazało się, że drabina w sklepie była. Ale głupia i szczęśliwa baba plus drabina i niewielkich rozmiarów fiat równa się problem. Dorota usiłowała tę łamigłówkę rozgryźć, kiwając się nad otwartym bagażnikiem, który jakoś nie chciał się rozciągnąć, kiedy podeszło do niej dwóch facetów. Obcych. I niezbyt miłych.

- Dzień dobry. Centralne Biuro Śledcze. - Jeden z nich podetknął Dorocie pod nos służbową legitymację tak gwałtownie, że przestraszyła się i upuściła drabinę wprost na jego nogi.

- Możemy porozmawiać? - zapytał kolega poturbowanego, widząc, że tamten usiłuje nie wyć z bólu.

- Ale o co chodzi? - zaniepokoiła się.

- Zaraz się pani wszystkiego dowie. Zapraszamy do naszego wozu.

- Ja nigdzie nie idę. - Podniosła drabinę i chwyciła ją w objęcia. Ten, który oberwał, przestał się już krzywić, ale nadał słał Dorocie nieprzyjemne spojrzenia.

A jeśli to zwykłe oszustwo?

Jeśli faceci wcale nie są policjantami?

Na szczęście ze stojącego nieopodal samochodu wyrżał... Jurek Niecko! Cudownie było go zobaczyć. Posłał jej przez całą długość parkingu uśmiech i Dorota od razu poczuła się bezpieczna.

- Dobrze. Zmieniłam zdanie. Idę. Tylko... - Zrobiła najbardziej bezradną minę ze swojego repertuaru dziewczęcia w opałach. - Może jednak panowie pomogą mi z tą drabiną?

\*

Alessandro Bogia, znany w przestępczym świecie jako Aldente, nosił tak naprawdę zupełnie inne nazwisko i był poszukiwanym przez Interpol członkiem kamorry, synem włoskiego mafiosa z miejscowości Caserta, niedaleko Neapolu. Katowicki CBS interesował się nim dopiero od

miesiąca, choć Włoch przybył do Polski poprzedniego lata. W tym samym czasie w jego rodzinnym miasteczku doszło do licznych aresztowań członków gangu Casalesi. Czyżby wygnanie pięknego Aldente miało z tym jakiś związek?

Wygnanie.

Co do takiego postawienia sprawy nikt nie miał wątpliwości.

Żaden Włoch dobrowolnie nie przeprowadziłby się nawet do sąsiedniego miasta, a co dopiero mówić o innym kraju. Włosi kochali swoje miejsca na ziemi, byli wręcz ich piewcami i o wiele bardziej utożsamiali się ze stojącą w swojej mieścinie dzwonnica niż z flagą własnego narodu. Aldente musiał zrobić swoim współbraciom niezłe świństwo, skoro skazali go na banicję. Gdyby nie to, że był synem swojego wszechmocnego tatusia, pewnie już dawno znaleziono by go w parku z przestrzeloną na wylot głową.

Niecko był tymi informacjami zdruzgotany. To się Dorotce z pracą nie powiodło. W dodatku Katowice od dzisiaj formalnie przejęły śledztwo i on za bardzo nie mógł się wtrącać.

Wtrącać - nie, ale pomagać?

Pomagać i przekazywać kolegom swoje spostrzeżenia?

To mógł.

Przecież nie zostawi niewinnej kobiety w szponach mafii!

- Mafia? Niemożliwe! - Dorota słuchała opowieści policjantów z bardzo szeroko otwartymi oczami. Nagle zrobiło się jej obrzydliwie gorąco. - Oni są tacy mili, uprzejmi...

- Byłaby pani zadowolona, gdyby wyjęli broń i zastrzelili połowę spacerujących po Alejach ludzi? - ironicznie zapytał podinspektor, ten od uderzenia drabiną. - Wtedy by nam pani uwierzyła? Spokojnie. Zapewniam, że gdyby chodziło o ich życie, wystrzelaliby nawet całe miasto. Łącznie z panią i pani rodziną. Ci ludzie nie mają skrupułów. Proszę się nie dać nabrać.

- Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić. - Pomyślała o olśniewającym uśmiechu Aldente, o tym, jaki był bezradny, kiedy prosił o pomoc przy porannej kąpieli. Przecież sam nie potrafił nawet otworzyć drzwi! Poza tym czy tak ujmujący

facet mógłby zrobić jej krzywdę? Wcale nie wierzyła policjantowi. Wcale. Może i Aldente nie był uczciwym obywatelem, ale na pewno nie był opryszkiem.

- Ja wiem, że Włosi działają na kobiety - podinspektor dalej klepał swoje. - Powiem nawet więcej. Im większy przestępca, tym większy czaruję.

- Zaraz, co pan insssy... in... - z emocji umknęło jej słowo.

- Insynuuję? Ja nic nie insynuuję. Ja mówię bardzo wprost. Proszę się nie zakochiwać, jeśli chce pani z tego wyjść cało.

Niecko zaczął się nagle interesować tym, co znajdowało się za oknem. Nie mógł patrzeć, jak Dorotka jąka się i czerwieni. Było mu niewypowiedziane przykro.

- Chyba pan sobie za wiele pozwala. Ja sobie nie życzę!

- Proszę pani, pozwolę sobie nawet na więcej. - Funkcjonariusz wyciągnął ze schowka kopertę i rzucił ją Dorocie na kolana.

- Co?!... O, nie... Co TO jest? - Dorota poczuła, że na nosie zbierają się jej kropelki potu.

Trzymała w ręku ordynarne fotografie.

Nie, to nie były fotografie.

To był odrażający fotomontaż.

Ona stojąca w mocno zachęcającym negligu na rogu włoskiej ulicy. Potem jeszcze gorzej - zrobili z niej striptizerkę w jakiejś zapelnionej facetami spelunie. A... A trzecie zdjęcie przedstawiało coś tak wulgarnego, że z obrzydzeniem rzuciła odbitki na podłogę i zaczęła płakać.

Widząc łzy spływające po tej delikatnej twarzy, Niecko aż w środku zawył. Niestety, chociaż w śledztwie zamierzał nieco pomagać, do metod kolegów wolał się nie wtrącać. Po co ktoś j ma się zorientować, że pani świadek, a teraz jeszcze pani współpracownik, nie jest mu obojętna?

- Brzydkie, co? - podinspektor udawał współczucie. - Zdaje się, że wzięła pani roczny urlop na uczelni i wyjechała pracować do Włoch? Ciężki kawałek chleba. Ale rektor chyba nie byłby zachwycony, wiedząc, jak jego studentka zarabiała na życie?

- To jest podłe! Tak się człowieka nie traktuje! Rektor w coś takiego nie uwierzy.

- Mirek - podinspektor zwrócił się do swojego kolegi. - Jak myślisz? Rektor nie uwierzy mnie? Policjantowi Centralnego Biura Śledczego?

- Pójdiesz w mundurze czy po cywilu? - kolega zadał pytanie retoryczne i rozłożył ręce.

- Sama pani widzi.

Dorota już zamierzała szukać ratunku u Niecka, ale zobaczyła w lusterku, że daje jej wzrokiem znaki. Dobrze, porozmawiają później. Ten uczynny mężczyzna na pewno ją ochroni.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytała, wycierając chusteczką nos.

- Cieszę się, że przechodzimy do sedna - policjant wyraził zadowolenie, widząc, że dziewczyna zaczerpnęła powietrza i usiłowała się opanować. - Sprawa jest prosta. Na początek potrzebujemy, żeby pobrała pani od Ryszarda Bogudzkiego materiał do badania DNA.

- Jakiego Ryszarda?

- Rico. Mówi to pani coś?

- Rico? Teraz mówi. Ja mam pobrać DNA? Krew?! O, nie. Jeszcze się czymś zarażę. Zanoście te wstrętne fotki, komu chcecie - głos znów zaczął jej drżeć.

- Jaką krew? Mamy na myśli włos, paznokieć, szklanekę, z której pił. Obojętne.

- Aha, chyba że tak - uspokoiła się nieco, choć nadal popatrywała na podinspektora wilkiem.

- I poprosimy o odciski wszystkich butów w domu.

- O... odciski? - Dorota wyglądała tak, jakby poproszono ją właśnie o wykonanie skoku z żyrandola.

- Wszystkich butów wszystkich mieszkańców - potwierdził podinspektor. - Na odciski palców przyjdzie jeszcze czas. Póki co, bierze pani farbę, maluje buta, odbija na kartce papieru. Potem musi pani zatrzeć ślady swojej działalności. Brzmi groźnie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Tu ma pani numer telefonu. Proszę dzwonić, jak będzie pani gotowa - Podał jej wizytówkę.

- A kiedy mam to zrobić? Z tymi butami i włosami.

- Jak najszybciej. Najlepiej dzisiaj - policjant uśmiechnął się jak jaszczurka.

- Ale ja dzisiaj gotuję spaghetti! To znaczy ciocia gotuje, ale...

- Żadnego ale. Proszę to potraktować poważnie. Jest pani jedyną osobą, która może nam pomóc. Pani szef jest poszukiwany za przemyt narkotyków i liczne morderstwa. Niech pani o tym pamięta.

Aldente?!

Morderstwa?

Co ten człowiek opowiada? Jak ktoś jest w mafii, od razu przypina mu się łątkę mordercy i handlarza narkotykami. A Aldente jest wrażliwy na piękno. Wczoraj w nocy słuchał Bocellego. O! Killera już prędzej przypomina podinspektor z tą swoją niewygodną buźką. Ale nie jej Włoch. Morderca, też wymyślili.

Podinspektor pozbiierał zdjęcia i pomachał nimi Dorocie przed nosem.

- Współpracujemy?

- Współ... pracujemy - przytaknęła, choć z oporem.

- No! Na kolejne zadania będzie pani miała więcej czasu. Zależy nam na poznaniu planu domu. Potrafi pani rysować?

- Potrafię.

- To świetnie. A ma pani dostęp do ich komputera? Chcemy, żeby pani coś zainstalowała.

I co jeszcze! Potrafiła zaledwie wysłać pocztę i skorzystać z Internetu. Chyba nie będą oczekiwali, że zamieni się w cyberspecjalistkę od informatyki.

- Oni mają na górze taki pokój. Zamknięty - wyjaśniła, żeby nie było wątpliwości. - Zawsze siedzą tam we dwóch. I chyba tam trzymają komputery, bo w całym domu widziałam jedynie laptopa Aldente.

- Doskonale, to go nam pani którejś nocy wypożyczy. Będziemy w kontakcie. Na razie proszę się skoncentrować na

dzisiejszym zadaniu i na dokładnym szkicowaniu planu domu. Proszę też robić fotografie. I wewnątrz, i wszystkich dokumentów, jakie wpadną pani w ręce. Interesują nas zwłaszcza faktury. Będziemy się spotykać raz na tydzień. Za każdym razem w innym miejscu. O szczegółach poinformujemy telefonicznie. A, zapomniałbym. Dla pani bezpieczeństwa... Proszę dobrze schować aparat i usuwać z komórki każde nasze połączenie, każdego SMS- a. Żeby po kontaktach z policją nie został nawet najmniejszy ślad. Mieszka pani z ludźmi, którzy niczego nie zaniedbują. Zrozumiano?

\*

Julka usiłowała się cieszyć urlopem, ale w cieszeniu przeszkadzał jej Cezary.

Po wybuchu bomby przeżyła kolejną eksplozję. We własnym wnętrzu. O wiele gorszą, a już na pewno nie taką, po której PZU zwróciłby jej choćby złotówkę, bez obaw.

Wszystko przez Cezarego.

Irytował ją.

Niepokoił.

I zaprzętał każdą myśl.

Na domiar złego otworzyła przed nim swój dom. Miejsce, którego nie skalał dotąd żaden osobnik płci męskiej. I wpuściła go tu raptem po trzech dniach znajomości. Nie po trzech miesiącach czy trzech latach. Po trzech dniach!

Zupełnie siebie nie poznawała.

Ogłupła całkiem.

Przybycie Doroty powitała więc z ulgą. Nie musiała się zastanawiać, czy jest półnormalna czy ćwierćnormalna, bo co do pełnej normalności raczej nie miała złudzeń. Ulga zamieniła się jednak w troskę, jak tylko stwierdziła, że Dorota znajduje się w stanie jeszcze silniejszego wstrząsu. Była rozdygotana i zapłakana. Wśród szlochów bredziła nieustannie o Macie Hari i o kobietach szpiegach, więc Julka zrezygnowała z zawracania siostrze głowy osobistymi eksplozjami i bombami. Z tym przecież zdąży.

Zaparzyła jej kawy. Z kardamonem.

- Już? Uspokoił się? - zapytała, kiedy posadziła Dorotę na tarasie i postawiła przed nią filiżankę pełną pachnącego napoju. - Słucham. Co się dzieje? Rzęzisz jak traktor sołtysa.

- Julian! - Dorota zaczęła się ponownie zmieniać na twarzy. Wiem już, czym się zajmują moi Włosi.

- Tak? To mów, bo my z Cezarym obstawiamy mafię.

Dorota niemal się zakrzuszyła.

- Czyli zgadliśmy? - Julka sięgnęła beztrosko po dyndającą na krzaku malinę. - Co się dziwisz? Tylko ty jedna nie chciałaś niczego widzieć.

- Już widzę, miałam dzisiaj spotkanie z policją. Perfidnie mnie zaszantażowali. - Tu nastąpiło stosowne streszczenie zdarzeń przerywane mało wybrednymi komentarzami pod adresem glińiarzy z Katowic.

- I co im ostatecznie powiedziałaś? - zapytała na koniec przejęta Julka.

- A co mogłam powiedzieć? Żebyś widziała te fotomontaże! Coś obrzydliwego.

Przecież jak rzucą je na biurko rektorowi, jestem martwa. Martwa i bez magistra na dodatek. Leżę i kwiczę. Nie mam wyjścia. Musiałam się zgodzić. I co teraz? Aldentc mi ufa! Dał mi mieszkanie! A ja mam go zdradzić?

- Ten twój Włoch to zwykły rzezimieszek. Nie słyszałaś, co się wyprawia na Jasnej Górze?

- A skąd wiadomo, że to oni? - Dorota nadal upierała się przy swoim.

Jeszcze dzisiaj rano cieszyła się, że znalazła swój ką, że wreszcie odsapnie i poczuje się jak u siebie. I co zostało z jej planów? Nędzne zgłiszcza. Będzie robić za tajną agentkę i żyć w nieustannym stresie. Już widziała, jak chowa aparat, trzęsie się nad telefonem i wysyła tajemne znaki dymne, biorąc azymut na komisariat. Wybornie!

- Nie wiadomo, ale są podejrzenia - tłumaczyła cierpliwie Julka. - Dlatego każą ci zrobić odciski butów. Cezary mówił, że przestępca zostawił ślad buta podczas dewastacji stanowiska.



- Aldente nie jest zły!

- Bo jest przystojny? Daj spokój... Popatrz na mojego byłego. Lico miał tak dobroduszne, że oddałabyś mu na przechowanie swojego ukochanego kota. Z którego po miesiącu zostałby szkielec.

- Nie jest zły - powtarzała z zapamiętaniem Dorota, i na pewno nie myślała o artyście Julki.

- Ale taką możliwość w ogóle dopuszczasz? Teoretycznie?

- Teoretycznie to ja mogę być nawet szefową kuchni.

- Świetnie. - Julka ucieszyła się z postępu. - Więc teoretycznie... Zastanówmy się, co możesz zrobić, żeby się jakoś zabezpieczyć. Żeby Włosi nie zrobili ci krzywdy, jeśli się zorientują, że policja za dużo o nich wie.

- Oni mi nie zrobią krzywdy. Nie wiem, czemu się tak idiotycznie przy tym upierasz?

- Nie wiedzą o twoim włoskim? - upewniła się Julka, nie zważając na okazywaną jej niechęć.

- Nie wiedzą.

- I to jest nasza tajna broń!

- Jaśniej proszę - siostra warknęła.

- To jest bardzo jasne. Przekazuj policji tylko to, co mówią po włosku. Wtedy pomyślą, że mają w swoim gronie kapusia.

Dorota nie zdążyła skomentować pomysłu siostry, bo rozmowę przerwał dzwonek domofonu i Julkę poraziła naraz myśl straszna.

- Mam nadzieję, że to nie Ewelina. Słuchaj, tylko jej nic nie mów o policji. I o tym, że ty...

- Chyba żartujesz!

- Bo wiesz?...

- Wiem. - Dorota aż nazbyt dobrze знаła swoją pocieszoną siostrę, która może i wiedziała, co to takiego dyskrecja, ale w praktyce okazywało się, że o powierzonych jej tajemnicach dowiadywała się cała RP. - Idź, otwórz. Ja pójde do łazienki, doprowadzę się do porządku. Jak mnie młoda w takim stanie zobaczy, nie odpuści.

Panika okazała się przedwczesna. Przy furtce stał Cezary. Wymięty i zmęczony wyglądał tak marnie, że najchętniej by go

Julka przytuliła. Tu, przy furtce, na ulicy.

- Czemu dzwonisz? Przecież dałam ci klucze. Choć, zrobię racuchy, od razu poczujesz się lepiej - załapała go potokiem słów, z którego Cezary wyłowił to najsmaczniejsze.

- Racuchy? O, masz gościa? - zawołał, widząc Dorotę, która wyszła na schody cała już odświeżona i prawie uśmiechnięta.  
- Świetnie. Jest sprawa!

\*

Julka przyjęła wiadomość o przeniesieniu się Cezarego do mnisiej celi bez słowa. Wyjąkała tylko: „Aha” i schowała się w lodówce, gdzie podejrzanie długo nurkowała w poszukiwaniu produktów do obiecanych racuchów.

Czyli spartolił sprawę.

Zaoferowała mu pokój na piętrze, ale przecież widział, jak ze sobą walczyła, zanim wydukała zaproszenie. Dlatego postanowił nie nadużywać jej grzeczności. Po co kobieta ma się ekscytować za każdym razem, kiedy zostanie w ubikacji podniesioną deskę?

Był starym koniem, ale dalej nie pojmował bab.

I tak źle, i tak niedobrze.

Chciała, żeby trzymał łapy przy sobie, więc na co wczoraj czekała? Dotarli tu o strasznej godzinie, a pani psycholog zaserwowała szampana! I to bynajmniej nie ubrana w worek pokutny, ale w całkiem kusy szlafroczek.

A może mnisi dobrze to sobie wykombinowali?

Tyle spokoju...

Skorzystał z przerwy spowodowanej pracą policji, żeby zabrać swoje rzeczy, ale zamierzał szybko tam wrócić. Jeśli tym włoskim skubańcom zależy, żeby z jakiegoś powodu wykurzyć ich ze stanowiska, źle trafili. Będą z Lesiakiem kopali dalej, choćby gołymi rękami. Tym bardziej, że zadzwonił Niecko, który odbył już rozmowę z ważniakami z CBS, i utwierdził ich w podejrzaniach.

Mieli do czynienia z mafią.

- Ty się, siostra, ucz. - Julka, już uśmiechnięta, choć jakby wzburzona, zamknęła energicznie lodówkę. - Jajo, mąka

pszenna i maślanka. Cukier, sól. Chyba że chcesz na ostro.

- Trzasnęła nożem w jajko, aż pocięło jej po rękach. Nie patrzyła ani na Dorotę, ani na niego. - To wtedy cukru malutko, tylko tyle, żeby złamać smak.

- Ja poproszę na ostro - odważył się jednak odezwać, co zostało zignorowane

Julka nie przestawała się miotać po kuchni. W czerwonej bluzeczce i purpurowej burzy włosów wyglądała jak rozżarzony pocisk.

- Składniki zabełtać. Olej! - Chlapnęła nieco smarowidła na patelnię. - Tylko ciasto nie za lejące. To nie mają być naleśniki. Konsystencja gęstej śmietany.

- Po co mi to wszystko mówisz? - Dorota uważała wszelkie kulinarne pokazy za zwykłą stratę czasu. - Przecież ja tego nie będę robić.

- Nigdy nie wiadomo. A jak zamiast racuchów zrobisz z tego placek na całą patelnię, obsmażysz i odwrócisz na drugą stronę, możesz poukladać na nim sery i posypać ziołami. Sery się roztopią i twój Włoch pomyli żołądek z sercem. Zobaczysz.

- Włosi nie jedzą racuchów.

- A kto mu powie, że to racuch? To będzie... - Julka zastanawiała się przez chwilę. - To będzie „symfonia serów pod kołderką z bazylii”. Kołderka spodoba się każdemu facetowi.

- Kołderka może i się spodoba, ale smażyć niczego nie zamierzam - skwitowała Dorota, która myślami wciąż była na Świętokrzyskiej i nie zauważyła, że jej siostra robi się coraz bardziej wściekła. - Bo Aldente pomyliłby żołądek z zupełnie inną częścią ciała. Tą od biegunki. I nie byłoby to serce.

- Dorota, kochanie - zakwilił Cezary, a Julka trzasnęła z rozmachem drzwiami szafki. - Skoro mówisz o częściach ciała... Ja w sprawie pewnego leciwego nieboszczyka i jego kości.

Dorota zrobiła bardzo nieuprzejmą minę.

- Nieboszczykom dziękuję.

- Słyszałaś, że skradziono nam ze stanowiska szkielec? To

ja cię bardzo proszę, poszukaj go. W swoim nowym miejscu pracy, rzecz jasna.

- Poczekaj, niech się upewnię... - głos blondynki zaczął przybierać dość piskliwe tony. - Skradziono wam jakieś stare gnaty i każesz mi ich szukać na Świętokrzyskiej?

- Stare gnaty są bardzo istotnym znaleziskiem, pozwolę sobie nadmienić.

- Dalej nie rozumiem, co do tego mają moi Włosi?! Czy wam wszystkim odbiło? Wynoszę się stąd! - Chwyciła torebkę i ruszyła do przedpokoju. - CBS, agentka, papieros, buty, gnaty. I co jeszcze?

\*

Racuchy były pyszne.

I Cezary chętnie by wytłumaczył Julce, że niepotrzebnie się wścieka o tę mniszą celę, ale ruda ani myślała słuchać. Więc się wyniósł. Palił sobie teraz smakowicie lucky strike'a i jechał ulicami Częstochowy, słuchając radia. Uspokoił się dopiero przy trzecim papierosie, mimo że na antenie toczono akurat dyskusję traktującą o paleniu i jego wpływie na serce. Kiedy padło słowo „zawał”, prawie się ucieszył, bo przypomniało mu się coś ważnego. Brat Paweł!

Przecież zamierzał odwiedzić jego lekarza. W sumie, czemu nie podjechać tam teraz? Miał po drodze. Po kwadransie Cezary był już pod przychodnią. W rejestracji za marmurową ladą siedziała blada panna z namaszczeniem porządkująca dokumentację. Od razu zrezygnował z dotarcia do drzemających w niej pokładów kobiecości. Pokłady nie drzemały. Spały kamiennym snem i uwodzicielski uśmiech, który wyczarowałyby na swych mocno zarysowanych szczękach, raczej by nie zadziałał. A nawet mógłby pannę rozwścieżyć. Znał ten typ. Przedstawił się więc grzecznie i poprosił o rozmowę z lekarzem brata Pawła.

Recepcjonistka wysłuchała go, uśmiechnęła się służbowo i odmówiła. Jako placówka przychodnia nie jest upoważniona do przekazywania takich informacji.

- Lekarz nie będzie z panem rozmawiał o swoim pacjencie.

Chyba że jest pan z rodziny

- rzuciła wyniośle.

- Ja jestem z rodziny - zabrzmiało tuż obok i Cezary dostrzegł w pannie zadziwiającą przemianę. Wpatrzyła się w stojącego przy blacie szatyna najpierw z zainteresowaniem, potem w jej wyblakłych oczach pojawiły się iskierki. Nie do wiary!

- Komisarz Jerzy Niecko - przedstawił się szatyn, odwzajemniając uśmiech. - A ten pan, to mój... kolega po fachu.

- Skoro tak, to co innego. - Panna obejrzała legitymację komisarza i gdzieś pobiegła.

- Znowu ty... O jakiego pacjenta pytałeś? - chciał wiedzieć Niecko, witając się kolejny raz z Cezarym. - Boja rozmawiałem właśnie o insomnii ogrodnika. Zgadza się, lekarz to potwierdził.

- To może teraz dla odmiany czas na konsultacje z kardiologiem? - zasugerował znacząco Cezary.

- Znowu masz dla mnie jakąś niespodziankę? Mów, bo od jutra zaczynam pracować w zupełnie innej branży.

- Co tym razem? Przemyt? Wymuszenia?

- Tajemnica służbowa. - Komisarz był z czegoś zadowolony, ale powściągliwy.

- Nie wiem, czy przeor ci wspominał... - zaczął Cezary. - Tydzień wcześniej, zanim znaleziono pod wieżą Rożka, zmarł na zawał serca niejaki brat Paweł. Chłop jak tur, kolarz z zamięłowania. To on był głównym ogrodnikiem, Zygmunt mu tylko pomagał. Zmarł na co? Na niewydolność krążeniowo-oddechową. W co nie chce mi się wierzyć. Dlatego tu jestem.

\*

Przeor przyjął swoich gości kawą i, nomen omen, tiramisu!

Bynajmniej nie był to miły gest obliczony na uroczyste powitanie Włocha, raczej zwykły przypadek, ale niech będzie. Ciekawe, czego ci dwaj od niego chcieli. Zaczęli od razu od aktu darowizny na rzecz klasztoru. Ha! Aż przetarł okulary, kiedy usłyszał kwotę.

Gdyby tak zrobić za te pieniądze remont Domu Muzykantów...

- Czemu zawdzięczam taką hojność? - zapytał, uśmiechając się zdawkowo.

Spocony blondyn, który przybył na oficjalne spotkanie w spodniach moro (że też dzisiaj nie hołubi się godności stroju i urzędu), na bieżąco tłumaczył jego słowa rosłemu młodzieńcowi. Ten sprawiał o wiele lepsze wrażenie, choć przeor nie przepadał za wyzłowanymi adonisami. Z drugiej strony, jakoś te sprężyny Włoch musiał ujarzmić. No i złoty łańcuch. Po co mężczyzna się tak obwiesza? Tyle dobrze, że przynajmniej darował sobie sygnet i złoty ząb. Ale koszula, elegancki garnitur i nieskalanie wyglansowane buty były w porządku.

- Pan Bogia chce dać dowód sympatii - przemówił blondyn, kiedy skończyli szemrać.

- Proszę przekazać panu Bogia, że daleko bardziej interesują mnie dowody wiary. A i to nie bardzo, bo cóż jest warta wiara, którą trzeba udowadniać.

Blondynowi zaczęła drgać powieka. Przeor uchwycił jego spojrzenie, które przywarło do butelki mszalnego wina stojącego na szafce.

- Ojciec gardzi życzliwym gestem? - zapytał basem, nie konsultując się z szefem.

- Skądże znowu. Datki na klasztor może przecież przekazywać każdy.

- Alessandro Bogia może przekazywać datki nie takie jak każdy. Ale o wiele większe.

Na znak Włocha wyciągnął czek i swobodnie wypisał na nim zadeklarowaną kwotę.

Kiedy wręczał go przeorowi, do gabinetu ktoś zapukał. Co znowu? Przecież mieli im nie przeszkadzać.

- Proszę!

W drzwiach pokazała się głowa Cezarego, który widząc dorodnego Włocha w fotelu naprzeciw przeora, zamrugał niepewnie oczami i wyjąkał:

- Mogę ojca prosić? Spawa nie cierpiąca... ZWŁOKI!

\*

W kuchni przy Świętokrzyskiej stanęła przy garach wielka trójca: ciocia Czesia, mama i Ewelina. Oczywiście, każda z tych wyrafinowanych osobowości miała swoją sosową wizję. I każda postanowiła ją urzeczywistnić. Skończyło się tym, że na kuchence pykały cztery różne garnki: w największym kotłowało się spaghetti (choć mama twierdziła, że maccheroni to zupełnie inny, bo grubszy rodzaj kluch), a w pozostałych sosy: neapolitański, bolognese i carbonara.

- Carbonara, sos węglarza, cha, cha - mama dokuczała swojej starszej siostrze. - A może ten twój leciwy starający się to właśnie zwykły węglarz? Może dlatego go tak przede mną ukrywasz?

- Opowiedziałam mu o tobie i, wyobraź sobie, nie wyraził chęci, żeby cię poznać. Wcale mu się nie dziwię. To człowiek na poziomie. - Ciocia bynajmniej nie pozwoliła wyprowadzić się z równowagi. Swoje zdanie wyłożyła spokojnie, lecz stanowczo. A raczej zaczęła wygłaszać spokojnie, skończyła natomiast zgoła inaczej. - I nie jest węglarzem, zmartwię cię, ty stara, wyleniała i zazdrosna...

- Dajcie sobie po razie, przynajmniej będzie wesoło - podsunęła Ewelina, dosypując w skupieniu do swojego sosu najpierw łyżeczkę oregano, a na koniec szczyptę bazylii. - Jako najmłodsze dziecię poproszę o dobry przykład. Jeśli wiecie, co to takiego. Jak mamy się nie kłócić, skoro wy, stare baby, jesteście takie głupie?

- Te! - mama upomniała ją groźnie. - Co wolno wojewodzie...

- To nie smrodowi - dokończyła wesoło najmłodsza latorośl, a Dorota zatrzęsła się od hamowanego śmiechu.

Ewelina z Julka mogły sobie narzekać na rodzinę. Ona z kolei na łonie rodziny czuła się od chwili wyprowadzki wręcz wybornie. Tak jak teraz. Z radia leciała skoczna muzyczka, w kuchni powietrze aż kipiało od zapachu gotowanych pomidorów i boczku, a ona, malując paznokcie, wspominała kąpiel, którą urządziła o poranku swojemu Włochowi. O

wrednych policjantach starała się nie myśleć. Najpierw przygotuje spaghetti. Dopiero potem zastanowi się, jak wykonać zlecone na dziś „zadania”.

- Widzisz, jesteś głupia - powiedziała niby słodko ciocia do mamy. - Twoja szkoła, moja droga. Twoja szkoła. Sama kręcisz na siebie bat. Żadnego szacunku do starszych.

- Ciociu, miałaś mi zdradzić tajemnicę sosu pomidorowego. - Ewelina przeczuła nadciągającą burzę i postanowiła zażegnać ją w sprawdzony sposób.

Poskutkowało. Ciocia zerknęła z nadzieją w kierunku siostrzenicy oddającej się upiększaniu i postanowiła nie dać za wygraną. Dorota miała zajęte ręce, ale uszy działały jej bez zarzutu. Może choć w ten sposób czegoś się nauczy.

- Dorotka, chcesz też posłuchać? Tej to dobrze. Żebyś ty z takim zaangażowaniem garnęła się do innych czynności... Paznokietki! Ja w twoim wieku...

- Wiem. Zarabiałaś na chleb, pracując w szkolnej stołówce.

- Dorota знаła doskonale tę ponurą historię. - I bachory tak ci zbrzydły, że postanowiłaś nie mieć dzieci. Adaś z drugiej c wrzucił ci do rosółu mysz.

- Ale że też nie zmusiałaś małego potwora, żeby ją zeżarł... - Mama zamieszła w spaghetti.

- Zmusiłam! - Ciocia z dumą wypięła zwiotczałą pierś. - Ale pani dyrektor się wtrąciła, bo Adaś strasznie się darł... Tak że, Dorotka, ciesz się swobodą, bo jak wyjdiesz za mąż i urodzisz dzieci, to twoja beztroska się skończy.

- Albo ciocia z mamą wszystko za ciebie zrobią - rzuciła Ewelina.

- Przepraszam bardzo - siostra uniosła się honorem. - A kto dzisiaj posprzątał cały dom?

- No, za coś ci jednak płacą. Ale wróćmy do sosu. - Ewelina udała, że ziewa, a Dorota pokazała jej język. - Co z tą tajemnicą?

- Podczas gotowania sosu pomidorowego najważniejsze są dwa momenty - zaczęła rozochocona ciocia. - Pierwszy to smażenie cebuli i czosnku. Koniecznie na oliwie z oliwek i nie sekundę albo dwie. Cebulka musi oddać aromat, ale się



nie zarumieniĆ. To raz. Potem wrzuca się pomidory.

- Najlepiej z puszkii, bo są bez pestek - uzupełniła z rozpędu mama.

- I trochę cukru i soli, ale to wiadomo. - Ciocia zerknęła zezem na krzątającą się przy kuchence siostrę. - Drugim ważnym momentem jest smażenie. Pomidory muszą puścić klej. Trzyma się je na ogniu pod przykryciem z piętnaście, dwadzieścia minut. Płomień dosyć ostry.

- A ja - mama nachyliła się nad garnkiem Eweliny z torebką przyprawy - sypię do sosu sporo czerwonej papryki. Słodkiej. Pięknie wzbogaca smak.

Ciocia skinęła niechętnie głową, więc Ewelina odsunęła się od garnka i pozwoliła rodzicielce dodać do bulgoczącej potrawy czerwonego proszku, który rozproszył się również poza naczyniem. Obie kichnęły.

- I pieprz ziołowy, i czarny. Plus kropla maggi - mama uzupełniła listę przypraw.

- Dodałam. A jak wyszła carbonara? - zaciekaWiła się Ewelina.

Ciocia posmakowała swojego sosu i skrzywiła się zatroskana.

- Nie wiem, co się dzieje.

- A co ma się dziać?

- Tracę jakoś smak - wyznała przejęta. - Nic mi się ostatnio nie udaje.

- Bo bujasz w obłokach. - Mama znała przyczynę. - Na urodzinach też mi nie pomogłaś.

- A ta znowu! Jakie „też”? Zawsze ci pomagam, durna marmuzelo. Urodziny i urodziny.

- Ciocia cisnęła do zlewu pokrywką. - Kiedy przestaniesz mi wreszcie wypominać, że zamiast uczestniczyć w twoim doniosłym święcie, wzięłam się za swoje życie i spędziłam cudowny wieczór z mężczyzną?

Byłyby się śmiertelnie pokłóciły, bo mamie wyskoczyły czerwone placki na szyi, gdyby nie rumor na schodach. Ktoś schodził na dół.

- Spadajcie! - Dorota w popłochu zerwała się na nogi i otworzyła okno, przez które wyskoczyła rodzicielka

(zaczynała już nabierać wprawy), a Ewelina z ciotką wpackowały się do komórki i wstrzymały oddech.

- Ręce do góry! - dobiegło łamaną angielszczyzną z korytarza i drzwi odskoczyły pod wpływem kopnięcia.

Dorota już wyobraziła sobie CBS, ABW i Interpol, wszystkie tajemne służby naraz, które połączyły siły i zorganizowały nalot na Włochów. Zgodnie z sugestią podniosła więc ręce i w przerażeniu czekała, co nastąpi dalej. Czy brygada antyterrorystyczna uwzględni fakt, że w kuchni zaczynało śmierdzieć spalenizną, i pozwoli jej uratować sos?

- Ty! - W drzwiach pokazała się jedynie owłosiona ręka trzymająca pistolet.

Owszem, nie wyglądało to na wymachiwanie gałązką oliwną, ale Dorota odważyła się wykonać ruch w kierunku kuchenki. Daleko bardziej przerażała ją wizja awantury, jaką rozpętają mama z ciotką, jeśli potrawom coś się stanie.

- Poddamę się! - zapewniła, wypatrując zezem odwłoka przynależnego do trzymającej broń łapy.

A otóż i odwłok wyłonił się zza winkła.

Grubasek!

Zataczał się z radości, najwyraźniej zadowolony z głupiego żartu. Tuż za nim do kuchni wkroczył ten milczący, w okularach przeciwsłonecznych, który zdobył się na teatralne „cha, cha” brzmiące niczym ponura parodia śmiechu.

- To wcale nie było zabawne. - Dorota aż czknęła z wrażenia, ale grubasek nie zakończył występów. Zdaje się, że dopiero się rozkręcał.

- Robisz spaghetti? - Zbliżał się powoli niczym tłusty kot, a kiedy stanął tuż obok, przyłożył jej pistolet do skroni.

Tego się nie spodziewała.

Czującej zimny przedmiot na skórze Dorocie przeleciały przez głowę tysiące myśli. Niektóre krążyły wokół Aldente, inne wokół Jurka Niecko, ale znakomita ich większość pałętała się bez ładu i składu pod sufitem. Żadnego znanego z opowiadań skróconego filmu życia, żadnego rachunku sumienia.

- Robisz spaghetti czy nie robisz?!

Odważyła się spojrzeć grubaskowi w oczy. Gdzie podziała się

jego wcześniejsza łagodność? Przecież rano zachowywał się zupełnie inaczej. A teraz w spojrzeniu Włocha dostrzegła coś szalonego, nieokreślonego. Czyżby był pod wpływem narkotyków? Ten wielki podobnie. Twarz mu dziwnie stężała, stała się błyszcząca i jakby przezroczysta. Lepiej ich nie denerwować.

- Tak, robię!

- Ważna kwestia. - Grubasek tym razem dotknął łufą jej policzka. - Spaghetti ma być AL DENTE, hi, hi. Zrozumiano? Półtwardo.

- Widziałaś róże z boku domu? - ni stąd, ni zowąd zapytał milczek, obserwując z uciechą reakcję kucharki, która przeglądała się w jego okularach i cała przy tym drżała. Takie kobiety lubił najbardziej. Posłuszne.

- Widziałam - wydukała Dorota.

Czy szaleńcom powinno się przytakiwać, czy raczej toczyć z nimi odwracającą uwagę dyskusję? Na przykład o tajemnicy sosu pomidorowego. Na dyskusje jednakże nie miała w tym momencie siły.

Ani odwagi.

- Spory kopczyk, prawda?

- Spory - potulnie przytaknęła.

Milczek nachylił się i tonem profesora wygłaszającego ważny fragment wykładu starannie wyartykułował każde ze zdań:

- Tam zakopaliśmy poprzednie kucharki. Teraz już wiesz, skąd pseudo naszego szefa. On nienawidzi rozgotowanego makaronu. Za karę potrafi nawet zabić. Pamiętaj. Al dente! Lekko twardy...

\*

Odkąd Dorota zaczęła pracować na Świętokrzyskiej, przestało być tak obrzydliwie nudno.

Pani Halina nigdy by się nie przyznała, ale pomysł córki z pracą u Włochów uważała za strzał w dziesiątkę. W mieszkaniu zrobiło się luźniej, opłaty niedługo spadną i najważniejsze: mogła pokazać siostrze, że kuchnia śródziemnomorska to jej specjalność. No i wychodziła z domu. Dotąd całe dni spędzała

na przesiadywaniu w oknie lub uprzykrzaniu życia współlokatorom, co przy jej błyskotliwości wcale nie było takie trudne. Przecież zarówno córki, jak i własną jędzowatą siostrę znała od urodzenia, doskonale wiedziała więc o wszystkich ich, nawet skrywanych, słabostkach.

Co z tego?

Łatwe zwycięstwa cieszą krótko.

A teraz Czeška wyglądała się i znalazła sobie jakiegoś podstarzałego fagasa.

Durna.

Nie wie, że stare grzyby potrzebują w tym wieku jedynie opiekunki?

Niegdyśjsze lwy salonowe stają się po sześćdziesiątce kocurami kanapowymi. I to mocno wyleniałymi. Zajmująca się nimi kobieta nie może kuleć (czytaj: sama ma być sprawna) i koniecznie musi wykazywać się troskliwością i zmysłem medycznym.

To najważniejsze.

Taki jednoosobowy, ekskluzywny dom starców. Obiadek, tabletki, kocyk i telewizor. A Czeška ma chodzić na palcach i dbać, żeby nie było przeciągów. Do tego się nadawali na starość z tą swoją przerośniętą prostatą. Bo przecież jej siostra nie spodziewa się chyba uniesień? !

I znowu zrobiło się wesoło, bo któryś z Włochów schodził na dół. Musiały się po cichu, ale błyskawicznie ewakuować. Taka niezaplanowana gimnastyka. Raz, dwa. Przyda się, jak najbardziej, czemu nie. Nawet ją te okienne wybryki zmobilizowały i kiedy Czeška poleciała dzisiaj (znowu! !!) na miłosną włóczęgę, ona zrobiła sobie małą wprawkę. Kilka skłonów, wymachów ramion. Jak już ma skakać z okna, niech przynajmniej robi to sprawnie. Sprawnie, czyli lepiej od siostry, która mało wybrednie mamrotała coś o zastanych kościach. A przecież Czeška była od niej starsza!

Zsunęła się z parapetu, pomachała buldogowi wylegującemu się pod jabłonką i dała nura do śmietnika. Dziwne tu mieli zapachy. Jakby pikantne. Nie śmierdziało jak w podobnych przybytkach na osiedlu, choć na pewno i nie pachniało.

Poczeka tu sobie chwilkę.

A tam co?

Pod ścianą, pomiędzy kontenerami, dostrzegła jakieś buty. Wysokie, sznurowane.

Nawet nie mocno znoszone, z prawdziwej skóry. Ciekawe, czemu je wyrzucili. Mają się zmarnować? Pani Halina została wychowana w poszanowaniu dla rzeczy materialnych. Marnotrawstwo nie leżało w jej naturze, nawet jeśli marnowało się nie jedzenie, ale para śmierdzących wojskowych trepów. Przecież nadawały się do użytku i mogły komuś posłużyć nawet kilka lat.

Ale nie wniesie ich tak po prostu do kuchni, bo Czeška zaraz ją wyśmieje. Rozejrzała się. Gdyby tak owinąć buty w gazetę i przerzucić przez mur, a wieczorem tu wrócić?

Przy pomocy Eweliny sprzeda je na Allegro i będzie choćby na kawę.

Trzeba sobie jakoś radzić.

Tymczasem w kuchni wszystko wróciło już do porządku. Bo przecież jak najbardziej było w porządku, że carbonara zalatywała spalenizną. Wiwat bolognese! Chłop musi napchać do brzucha mięsa, i tyle.

- Jakie martwe kucharki? Co on bredził? - dopytywała się Ewelina. Ciocia również nie odstępowała Doroty na krok.

- Ty się, dziecko, upewnij, czy to są żarty. I co to miało być?

- Ale co? - Dorota próbowała się zorientować, ile widziały z odegranego tu przedstawienia. Na razie robiła dobrą minę do złej gry, choć najchętniej zaszyłaby się teraz w mysiej dziurze i zajęła rozkołatanyimi nerwami. Nie co dzień czuje się lufę pistoletu przy własnej skroni. Przeszła jej nawet chęć do malowania paznokci.

- No, to zastraszanie!

- Ciociu, oni się wygłupiali - powiedziała pobłaźliwie, ciesząc się w duchu, że nie wystawiły nosa z komórki i nie zobaczyły broni.

- Tak? - Ewelina zrobiła najchytrzejszą z min. - To czemu wyglądasz, jakby cię ktoś przewiózł kolejką na Gubałówkę?

Za chwilę zaczniesz z emocji rzygać. Znam cię. Wystraszyłaś się. Ja bym tę grządkę sprawdziła.

- I co jeszcze? - Dorota uznała, że najskuteczniejszą formą obrony jest atak. - Jakie znasz, jakie sprawdziła? Faceci byli narąbani, nie zamierzam się ich gadaniem przejmować. I w ogóle dajcie mi spokój ! Obie!

- Co jedna to lepsza. - Ciocia posłała znaczące spojrzenie swojej siostrze, która po pobycie w śmietniku myła ręce. - A może ty się specjalnie starałaś, żeby córki wyszły ci takie pyskate, co? Ale! - Oprzytomniała nagle i rzuciła się do garnka. - Makaron! Za długo stoi, pewnie się rozgotował. Półtwardo, cholera jasna, miało być półtwardo! A więcej nie mamy, wszystko poszło. I co teraz? - zapytała, kiedy wyłowiła z garnka tłustą, rozmiękłą nitkę.

Do Doroty nie zdążyło dotrzeć, co to może oznaczać, bo jej uwagę zajęła dzwoniąca komórka. Kiedy odczytała napis na wyświetlaczu, mało nie wypuściła telefonu z rąk. Przemogła się jednak i odebrała.

- Bella, jak obiad? - cudownie zmysłowym głosem zapytał Aldente i chociaż jeszcze chwilę temu chciała uciekać ze Świętokrzyskiej, gdzie pieprz rośnie, teraz była pewna, że nigdzie się stąd nie ruszy.

Musiała być blisko niego.

Odkryła nawet, że Aldente wydawał się jej teraz jeszcze bardziej pociągający. Człowiek z przeszłością. Tajemniczy południowiec, który prowadzi nietuzinkowe życie. Czy to jednak nie intrygujące? Nie jakiś tam umazany mąką piekarz czy grzebiący w rurach hydraulik, ale mafijny boss.

- My za chwilę będziemy - zawiadomił. - Możesz już podawać. A spaghetti zrób takie w sam raz. Bo wiesz... mężczyzna i makaron mają ze sobą wiele wspólnego. Nie mogą wymiękać.

\*

Niespodziewana przerwa w pracy przyczyniła się do ważnego odkrycia.

A zaczęło się od tego, że Lesiak zapragnął eksperymentu

duchowego.

Jako buddysta odwiedzał kościoły w celach turystycznych, ale dziś studentki namówiły go, żeby zamienił medytację na modlitwę. W intencji projektu naukowego, który, delikatnie mówiąc, zdychał pod jasnogórskimi murami śmiercią bynajmniej nie naturalną, lecz pod każdym względem tragiczną.

Profesor nabawił się buddyzmu dopiero na studiach, wcześniej pozostawał pod wpływem swojej katolickiej rodziny, więc coś tam pamiętał. Wystarczyło sobie odświeżyć.

Za cenę odzyskania Bruna mógł paść na kolana, czemu nie.

Od razu pomyślał o bazylice. Lubił tę salę, za każdym razem odkrywał tu inny szczegół, który umykał mu podczas poprzednich wizyt. Złocenia, purpury, desenie, rzeźby aniołów i świętych, obrazy, misterne malunki ścian - cały ten barokowy przepych wręcz przyprawiał o zawrót głowy. Można było patrzeć i patrzeć, a i tak pewne szczegóły pominąć. Inna sprawa, że profesor potrafił się w bazylice skutecznie wyciszyć. A może znajduje się tu jeden z czakramów Ziemi? Świątynie nie powstawały przecież tam, gdzie budowniczemu podczas wędrówki za pracą zatrzymał się osioł. Należy też dodać, że wieki temu, zanim na częstochowskim wzgórzu postawiono drewniany kościółek, znajdowało się tu miejsce pogańskiego kultu. To by się zgadzało. Magiczny supel pozytywnej energii.

Szukając kąta do nabożnej kontemplacji, profesor zobaczył schodki prowadzące do zakątka, który nie był, jak inne, oblegany przez ciekawskich turystów, ale przyjemnie odosobniony i otulony światłem niczym migoczącą materią.

- Kaplica Serca Pana Jezusa, XVIII wiek - przeczytał napis ponad wejściem.

Było tu kameralnie i jeśli można się tak wyrazić o przybytku religijnym, przyjemnie. Kaplica rozmiarem przypominała niewielki pokój. Znajdowały się w niej dwa ołtarze i kilka ławek ustawionych w rzędy. Akurat nikt nie mącił ciszy swoją obecnością, profesor mógł się więc rozglądać, ile chciał.

Główny ołtarz stanowił posąg Jezusa w krwawej szacie. Głowę miał ze spokojem opuszczoną, ręce wyciągnięte do

wiernych - właśnie dla nich biło gorejące na jego piersi serce. W tle przeplatały się motywy roślinne, które kontrastowały z ramą wykonaną z czarnego kamienia.

Lesiak westchnął, bo ogarnęło go dziwne wzruszenie, i przeniósł wzrok na boczną ścianę. Wisiał tu wielkich rozmiarów obraz przedstawiający coś jakby zlot aniołów. Ciekawe. Jeden ze skrzydlatych kawalerów tkwił pośrodku malowidła w pełnym rynsztunku żołnierza. Rumiane i przystojne chłopię.

Rozpoznał go od razu.

Przywódca niebieskiego wojska.

Archanioł Michał.

Najbardziej waleczny spośród swoich braci został uwieczniony przez artystę z tarczą i włócznią, jako atrybutami walki ze złem. Towarzysząca mu anielska świta nie zawiodła i przyszła Michałowi z pomocą: jeden z aniołów podawał mu kubek z wodą, inny miecz, kolejny lilię i lampę.

Zamiast próbować się modlić, Lesiak z zawodową dociekliwością zaczął przypisywać każdemu z przedmiotów znaczenie symboliczne, aż jego wzrok przyciągnął prześliczny czerwony obrus przykrywający ołtarz. Wyszywany perłami i lśniącymi nićmi, ozdobiony barwnymi kamieniami zachwycał oryginalnym wzorem i teksturą. Ciekawe, ile czasu musiał ktoś ślęczeć nad zwyczajnym kawałkiem materiału, zanim zamienił go w dzieło sztuki.

Początkowo profesor nie skojarzył faktów, choć już od pierwszego rzutu oka miał przeczucie, że patrząc na obrus, widzi coś znajomego.

Wreszcie do niego dotarło.

Anioł na szacie Bruna!

Dokładnie taki sam jak te dwa wyhaftowane tutaj!

\*

Aldente spróbował makaronu i przez chwilę z sobą walczył.

Powstrzymał się jednak przed odsunięciem talerza, widząc spłoszone spojrzenie Doroty, która asystowała mu podczas posiłku.



- Sosik... doskonały - pochwalił zgodnie z prawdą, a resztę dyplomatycznie przemilczał.

Pałaszujący przy stole panowie dopiero wtedy odważyli się i z zadowolenia zaczęli

pomrukiwać. Co z tego, że makaron oblepia zęby, zamiast stawiać opór. Sos był za to boski! Przynajmniej ten pomidorowy, bo carbonara lekko załatywała przypalonym boczkim.

Dorota w końcu mogła odetchnąć. Nie skończy na grządce i nie powącha od spodu róż. Przynajmniej tyle.

- A gdzie są...

- Nicola i Cosimo? - dokończył Aldente, widząc, że Dorota rozgląda się w poszukiwaniu grubaska i milczka. Nie zeszli na posiłek, a ich porcje stały nietknięte. Brakowało również dwóch innych Włochów. Najchudszego i tego wesołego, zarośniętego.

- Źle się poczuli, Ronaldo i Carlo zastąpili ich w pracy. Zjedzą później.

- Praca i praca - Dorota paplała niezrażona. - A może po prostu ich zawołamy? Zrobią sobie przerwę.

Rico, który był dzisiaj wyjątkowo zły, warknął w jej stronę:

- Nie słyszałaś? Zjedzą później.

- Są zajęci? Co za problem! Skoro oni tu nie mogą zejść, ja im zaniosę - wpadła na kolejny pomysł. Aż ją skręcało, żeby sprawdzić, co dzieje się za zamkniętymi drzwiami na piętrze.

Aldente odłożył widelec i spojrzał tak, że niemal usłyszała chrobot szpadla przesypującego ziemię w ogrodzie. Przysiadła więc spłoszona na miejscu i zajęła się swoją porcją. Rozmowa przy stole potoczyła się dalej niby lekko i przyjemnie wokół kulinariów, ale Dorota nie potrafiła zapomnieć, że przed chwilą wyczytała w spojrzeniu Włocha coś nieprzyjemnego. A może jest przewrażliwiona?

- Gotujesz tak dobrze - zagadał, widząc jej nietęgą minę - że zastanawiam się, co byś przyrządziła, gdybym cię poprosił o jakąś waszą potrawę. Polską. Bo mam nadzieję, że bigos to był taki... intrygujący wstęp.

Dorota skromnie zatrzepotała rzęsami.

- Jak to, co bym przyrządziła? Coś obłądnie pysznego.

Rico uśmiechnął się złowieszczo.

- Tak? - zapytał, świdrując Dorotę swoimi chytrymi oczkami. - A wiesz, Aldente, co my, Polacy, lubimy najbardziej?

Jaki podlec! Od początku podejrzewała, że za nią nie przepada. Pijak jeden. Do dzisiaj śniło się jej to upiorne ciasto, babecznik.

- Rosół? - podsunęła z olśniewającym uśmiechem, ale Rico ledwie zwrócił na nią uwagę.

- Rosół tak. Ale wiecie, czym z dumą częstujemy obcokrajowców? Kaczuszką. Pieczona w jabłkach oczywiście - dodał, wsadzając wykałaczkę między zęby.

Aldente wyraźnie się zainteresował.

- Kaczuszką? Wspaniale! Dorota... Zrobisz nam jutro kaczkę?

\*

Nauczy się gotować.

Ta nieprawdopodobna decyzja zapadła w momencie, kiedy życie Doroty zawisło na włosku, w innych okolicznościach coś równie irracjonalnego nie miałoby szansy powstać w jej umyśle. Niby o niczym nie myślała, kiedy grubasek dźgał ją w skroń pistoletem, ale kiedy przestał, postanowiła, że nigdy więcej. Nigdy więcej nie będzie tu sprowadzać swojej zwariowanej rodziny i nigdy więcej nie będzie umierać z niepewności, kiedy usłyszy skrzypiące schody.

Koniec z tym całym cyrkiem!

Z pomocy mamy i cioci będzie korzystać, owszem, ale ograniczy się do spisania wskazówek, które zastosuje w praktyce. Rano się przygotowuje. Kupi kaczkę, zanotuje przepis i będzie ćwiczyć. Na zdrowy rozsądek ta kaczka brzmi o wiele mniej groźnie niż na przykład pierogi. Upaćka się kaczuszkę przyprawami, do środka nawpycha się jabłek i już. Gotowe. Do piekarnika. A jeśli się nie uda, to chyba faktycznie zamówi coś w restauracji. Nie chce więcej narażać ani swoich bliskich, ani siebie.

A gdyby grubasek pociągnął za spust?

Wzdrygnęła się.

Lepiej za dużo nie myśleć i skupić się na gotowaniu.

Dorota już dawno stwierdziła, że kobiety w jej rodzinie są genetycznie przystosowane do pichcenia. Niemożliwe, żeby była wyrodkiem. Może chociaż parę deko natchnienia przeszło i na nią, tylko zakopało się gdzieś pośród jej licznych zdolności i zainteresowań. Na pewno tak. Osobisty talent kulinarny Doroty Rzepki ugrzązł gdzieś pomiędzy zdobieniem paznokci a czytaniem książek. Ale potencjalnie był. Na pewno.

Z tym postanowieniem weszła do salonu, żeby zebrać brudne naczynia. Na sofie wylegiwał się Aldente, któremu towarzyszył Rico. W fotelu. Jeszcze bardziej wściekły niż podczas obiadu, ale równie rozłożyste okupujący mebel.

- Ja tam specjalnie bogobojny nie jestem, ale uważam, że to zły pomysł - grzmiał, odpalając brązowego papierosa. - Zgadzam się, potraktował nas jak gówniarzy, ale to, co zamierzasz...

- Rico, przestań mnie przekonywać. Postanowiłem. I ty to wykonasz. Z Zygmuntem.

- Człowieku! Są inne sposoby.

- Człowieku - Aldente sapnął zniecierpliwiony - muszę nas utrzymać, rozumiesz? I nie tylko nas. Pieniądze muszą płynąć do rodziny. Stale. A mój pomysł oznacza mnóstwo kasy. Mnóstwo kasy, a przy okazji dziad będzie miał nauczkę. Za tę gościnność.

Dorota starała się nie przeszkadzać. Wbiła wzrok w podłogę i zebrała talerze ze stołu, tworząc z nich chybotliwy stos. Powoli cofała się w stronę kuchni. Przynajmniej na to wyglądało, bo tak naprawdę upewniła się, czy nikt jej nie widzi, i stanęła za rogiem, skąd doskonale słyszała każde słowo.

- Daj mi dwa dni - poprosił Rico, zaciągając się nerwowo papierosem.

- Nie dam ci nawet pół! - Aldente przestał być miły, gdy tylko Dorota zniknęła z salonowego horyzontu. - I skończmy z tym. Co z Rosją? Przyszła już odpowiedź?

- Potwierdzili, że są zainteresowani. Przyjadą.

- Świetnie... Ile czasu zajmą przygotowania?
- Kilka dni. Wyrobimy się, nie denerwuj się.
- Ja jestem zdenerwowany? - Aldente podniósł nieco głos. - Po prostu nie możemy tego spieprzyć. Trzeba wszystkiego dopilnować. Od tego zależy mój powrót.
- Dopilnuję - obiecał Rico i dał się słyszeć syk otwieranej puszki z piwem.
- Co w tartaku?
- W porządku.
- Pojedź tam jutro, niech chłopaki zrobią do przyszłego tygodnia jak najlepsze próbki.

Dorota z paniką odnotowała, że moment okazał się cokolwiek niewłaściwy, ale talerz znajdujący się na samej górze od samego początku nie wykazywał chęci współpracy. Wystarczyło na chwilę o nim zapomnieć i źle ustawić rękę.

Gibnął się i brzdęknął o posadzkę, robiąc taki rumor, że usłyszano ją pewnie i w piwnicy.

Co za pech!

Aldente i Rico w sekundzie znaleźli się tuż przy niej.

Trzeba było coś wymyślić.

A gdyby tak uderzyć w kobiece kompleksy? Pewne frazy obezwładniają facetów umysłowo, robią im dziury w logicznym pojmowaniu świata i skutecznie odwracają uwagę od sedna sprawy. Mało który nie głupiej, kiedy słyszy, że...

Rozpląkała się więc nad skorupami, najrzewniej jak tylko potrafiła.

We wzuciu się w rolę pomógł Dorocie niewątpliwie strach, że może zostać zdemaskowana, ale jednocześnie uświadomiła sobie, że znalazła się w podbramkowej sytuacji i że tak naprawdę zasługuje na współczucie również z innych powodów. Nie tylko musi nauczyć się gotować, ale na co dzień zмага się z przeciwnościami losu, choćby natury biologicznej, która to natura zapukała dzisiaj do jej drzwi, punktualnie, jak co miesiąc, i zalała ją swym dobrodziejstwem.

Ulżyła więc sobie z czystym sumieniem. Podobnego ryku nie powstydziliby się nawet syrena strażacka po gruntownym czyszczeniu tuby.

- Ja... ja... - siąkała nosem - ja nie chciałam. Przepraszam. Ja odkupię, posklejam - zaczęła zbierać rozsypane po podłodze okruchy. - Jaaa... ja się do niczego nie nadaaaaję!

Jestem beznaaaadzieeeeejnaaa! I mam gruby tyłeeeeeeeeek, buuuuuuuuuuu!! !

\*

Ojciec przeor tysiąc razy bardziej wolał rozmowę z komisarzem, nawet jeśli dotyczyła okoliczności śmierci brata Pawła, niż barwny słowotok profesora. Po wyjściu Włochów Lesiak wtargnął rozgorączkowany do jego gabinetu wraz z niemniej przejętym doktorem Trębaczem i dosłownie zalał go opowieściami o aniołach i kościach. Dobrze, że biurko odziedziczone po rezydujących tu wcześniej uczonych mężach wykonano z dębu. Gdyby się za tym solidnym meblem nie schował, ci zwariowani naukowcy weszliby mu na głowę.

- Proszę o spokój - zdecydowanym głosem wyartykułował i wskazał na fotele. Do szaleńców sugestia dotarła, choć nie od razu. Nieco ochłonęli i marudząc, zrezygnowali z natarcia. - Może wody?

- Proszę szanownego przeora... - profesor chciał coś powiedzieć, ale nagle się rozmyślił.

- Tak, wody! Słabo mi.

- Lesiak, ty się weź i wewnątrz zewrzyj - przemówił z naganą Trębacz i pomachał złożoną kartką. - Masz anioła, więc nie wymiękaj.

- Przepraszam, że przerywam. - Przeor poczuł zamęt, jak zwykle, kiedy obcował z ludźmi o wybujałym temperamencie. Nad przeładowany bodźcami świat zewnętrzny przedkładał ciszę swojego gabinetu, gdzie nawet najmniejszy drobiazg miał przypisane sobie miejsce. - Ale nie rozumiem. Jaki anioł? O czym, panowie, mówicie?

- Pamięta ojciec anioła, którego Bruno miał wyhaftowanego na szacie? - zapytał Trębacz, bo profesor rozgościł się i sięgnął po harmonogram konferencji pod hasłem „Etyka w rolnictwie”, którym zaczął się przesadnie

wachlować.

- Mogę? - Paulin zmarszczył brwi i ujął harmonogram delikatnie, lecz stanowczo. - Słabo panu? Może wezwać lekarza?

- Otoczony troską - profesor uśmiechnął się ciepło i oddał zdobycz, po czym usiadł już prosto - zdrowiej z chwili na chwilę. Otóż anioły, dobre duchy chrześcijaństwa...

- Panie profesorze, przejdźmy do sedna, skoro już się pan lepiej poczuł.

- My właśnie przyszedliśmy po sedno do ojca. Anioł na szacie. - Profesor położył przed nim rysunek, który pokazywał mu już poprzednio. - Pamięta go ojciec?

- Niejasno, ale pamiętam.

- I otóż nastąpił ciąg dalszy. Widziałem kolejnego anioła! W bazylice - powiedział z mocą.

- O, to miał pan szczęście. Ja jeszcze nie spotkałem żadnego.

- Ależ spotkał ojciec. Chodzi o obraz. W bocznej kaplicy.

- Aaa - przeor doznał niejakiej ulgi. - Ołtarz Aniołów Stróżów.

- Tak go nazywacie?

- Tak. Kaplicą opiekowało się bractwo.

- Bra... bractwo?! - Informacja poruszyła profesora, i to bardzo. Trębacz również o mało nie spadł z fotela.

- Bractwo. Muszę was rozczarować, nie ma w tym żadnej tajemnicy. Bractwo Aniołów Stróżów - wyjaśnił ojciec przełożony. - Na Jasnej Górze istniało kilka bractw. W sensie: organizacji ludzi świeckich, którzy chcieli umacniać swoją wiarę. Bractwo Różańca Świętego, Bractwo św. Anny...

- Wystarczy. - Profesor dostał wypieków. - A to od stróżów? Bo na obrusie ołtarza znajdują się wyhaftowane anioły. Identyczne jak ten z szaty Bruna - popukał w rozłożoną na ławie kartkę.

- Nie mógł pan tak zacząć od razu? - przeor odetchnął.

- Przecież zacząłem! Miałem spotkanie z aniołem...

- Dobrze - uciął. - Co chcecie wiedzieć?

- Może nam ojciec powiedzieć coś więcej o tym bractwie? -

poprosił Cezary, widząc, że profesor szykuje się do kolejnego ozdobnego wstępu.

- Po szczegóły odsyłam do naszej biblioteki, ale co nieco mogę zdradzić. Bractwo powstało w 1625 roku na mocy bulli Urbana VIII...

- Stop! - Lesiak nie pozwolił mu dokończyć. Zerwał się jak oparzony z fotela. Tym razem faktycznie wyglądał na osobę, która zaraz zasłabnie. Zbladł, wzrok miał rozbiegany, przerażający.

- Panie profesorze...

- Ojciec dyrek... przeorze, najdroższa eminencjo! I ty, Cezarku! - zaczął wykrzykiwać na przemian, nie wiedząc, przed kim wolałby okazać głębię swego wzruszenia. Padło na Trębacza, bo paulin przezornie skulił się za biurkiem. - Cezary! Lata! Lata się zgadzają, jesteśmy o krok od odkrycia. - Rzucił się ścisnąć bruneta, który usiłował się jednak oswobodzić z jego rąk.

- Zauważyłem, Lesiak. - Trębacz wreszcie wywinął się z objęć kolegi i poklepał go po plecach.

- Zgadzą się lata? - zapytał zdziwiony przeor.

- A tak - tym razem do wyjaśnień wystartował przezornie Cezary. - Też już o tym ojca zawiadamialiśmy. Na podstawie badania drewna wozu, który znaleźliśmy przy Brunie, przypuszczamy, że nasze znaleziska należy datować właśnie na rok 1625.

- Czyli ten wasz anioł z szaty...

- Tak, Bruno musi mieć coś wspólnego z Bractwem Aniołów Stróżów - dokończył przejęty Trębacz. - Ale na razie nie ustaliliśmy szczegółów.

- A ta kaplica? - zapytał profesor, który nie mógł się doczekać kolejnych informacji. - W którym roku powstała?

- Kaplica powstała... - przeor myślał głośno - chyba w 1639. Ale to sprawdzicie. Skąd takie pytanie?

- Może Bruno pomagał przy jej budowie? - zastanawiał się Trębacz.

- Gdzie Rzym, a gdzie Krym? ! - profesor był odmiennego zdania. - Kaplica stoi przy bazylice, a wykopaliska

prorowadzimy przy Bastionie św. Trójcy. I daty tym razem nie pasują.

Przeor również skłaniał się ku stanowisku profesora. Doktor Trębacz obstawał jednak przy swoim:

- Ale anioł jest ten sam. To musi mieć związek. Musi.

\*

Włosi okupowali wspólnie telewizor, a Aldente odbywał cowiedzorną konferencję telefoniczną z mamą.

Dorota wzięła się więc za sprzątanie.

W praktyce oznaczało to dwie rzeczy.

Po pierwsze, zamierzała wykorzystać okazję i rozejrzeć się po domu, po drugie - zrobi Cezaremu przysługę, co jej szkodzi. Poszuka tych starych gnatów.

Dlatego przemyślnie zaczęła od lodówki.

Chociaż kości w charakterze spuścizny dziejowej są raczej pozbawione mięsa, jednak jakoś skojarzyły się Dorocie z zamrażarką. Przeszukała więc ją dokładnie, ale bez spodziewanych rezultatów.

Była zła.

Kiedy ona ma to wszystko zrobić?

Przeszukać dom, narysować plan, a dzisiaj wykonać odciski butów i pobrać od tego zapijaczonego obrzydliwca DNA.

Ona i DNA...

Zgłupieli w tej policji dokumentnie.

Ledwie zamknęła zamrażarkę, drgnęła przestraszona, bo usłyszała za sobą szuranie.

Rico!

- Co? - w mało uprzejmy sposób nawiązała rozmowę.

- Jajco - nie pozostał jej dłużny. - Piwo mi podaj. Za tobą, w szafce.

Jeszcze czego! Odsunęła się pospiesznie.

- Proszę bardzo, przed tobą. W szafce. Podaj sobie sam.

Rico warknął wrogo, ale nie zaprotestował. Raczył się piwem już od obiadu i powoli zaczynał chwiać się we własnych butach.

Czemu jęł tak nie znośł?

- Czemu mnie tak nie znośisz? - usłyszała, że zadaje



pytanie. Wcale nie zamierzała zagłębiać się w dyskusje z podpitym facetem. Zwyczajnie się jej wyrwało. Chociaż... Gdyby się jednak pozagłębiać i na przykład zaproponować mu kieliszeczek czegoś mocniejszego, może stałby dla niej mniej opryskliwy? Kto wie, może nawet udałoby się coś z niego wyciągnąć w temacie działalności przestępczej Aldente? No i zdobyłaby przy okazji włos. Podobno włos to najlepsza próbka do badania DNA. Oprócz śliny. O ślinie Dorota brzydziła się nawet myśleć, dlatego tak proste rozwiązanie jak wyjęcie z kosza puszki po piwie nie przyszło jej do głowy.

- Nie nie znoszę - odparł przyparto do muru i chyba po raz pierwszy spojrzął na nią przychylnym wzrokiem. A nawet zaczął nucić. - *Bara bara bara, riki tiki tak...*

- Fałszujesz - podsumowała jego wysiłki. - Zaśpiewałbyś w końcu coś innego. Trzeba poszerzać repertuar.

- *Jeśli masz ochotę, daj mi jakiś znak...* Co chcesz, ta piosenka to sama kwintesencja miłości - podsumował po dłuższym zastanowieniu, a Dorota postawiła na stole dwa piwa. - Co z tego, że plebejska? Wszyscy jesteśmy ze wsi. Albo to... *Ty i ja, ty i ja, szaba da. Cycholina, pomachaj do mnie!*

Rozbawił ją. Na tyle, że musiała powstrzymać swoją zdradziecką rączkę, żeby nie zaczęła przyjaźnie wymachiwać.

- Napijemy się? - zaproponowała.

- Jak nie, jak tak?

- To tak czy nie? - Poczula się zdezorientowana. Rico wodził po jej twarzy obłądnym spojrzeniem, zupełnie jakby się zastanawiał, w które oko ma Dorocie spojrzeć. I której Dorocie, bo zdaje się, że widział potrójnie.

- Mówię, że tak. *Riki tiki tak...* Że nie nie.

- Dobra. To pijemy. - Darowała sobie dalsze dociekania. Za tym pijaczkiem nie trafi.

Otworzyła energicznie puszkę, aż spod blaszki trysnęła piana.

- No to bzyt! - Rico wznosił swój ulubiony toast. - Za twoje gary!

- Za gary! I za kaczkę!

Zamrugał zdziwiony, ale widocznie uznał, że Dorota posiada swoją kolekcję toastów, a toasty, wiadomo, rzecz gustu. Sam był autorem kilku dość nietypowych powiedzonek alkoholycznych, które wygłaszał z prawdziwym zadowoleniem.

- Może być nawet i za wiewiórkę. Piwo z wieczora wlewam do wora. Bzyt!

Gdyby Dorota wiedziała, że Rico chowa w kuchni wódeczkę na czarną godzinę, pewnie aż tak nie paliłaby się do tego wspólnego biesiadowania. Wkrótce okazało się jednak, że doniczka w kącie jest doskonałym pojemnikiem na „Chopina”, o!

- Grzejemy dalej? - Rico z powrotem napełnił schowek ozdobnymi kulkami, przyklepał je i zakołysał zachęcająco butelką.

Cóż miała robić.

- Grzejemy! - zakrzyknęła, starając się wykrzesać z siebie entuzjazm.

- Ja nie wiedziałem, że z ciebie taka równa dziewczyna. To się makaroniarzowi trafiło. Bzyt! - Postawił przed Dorotą wypełnioną po brzegi szklankę. - Za bociany!

- Za bociany... - Przyjrzała się powątpiewająco „kieliszкови”, ale zamknęła oczy i bez szemrania wlała w siebie całą zawartość. Ile się w duchu dostało kompozytorowi, lepiej nie mówić.

- Czemu mówisz „makaroniarzowi”? Myślałam, że macie z Aldente dobre układy.

- Taaa... Każdy się układa, jak mu wygodnie. To teraz za kury!

- Za kury domowe. - Zachichotała, bo nagle toasty zaczęły się jej wydawać bardzo zabawne. - Następne niech będą chomiki. Ewelina wykończyła jednego chomika - zniżyła głos, jakby wyjawiała wielką tajemnicę. Zupełnie nie kojarzyła przy tym, że Rico nie ma pojęcia (tym bardziej teraz, kiedy jest pijany jak bela), o kim mowa. - Jak była mała, spuściła go w reklamówce z czwartego piętra. Na taśmie magnetofonowej. Żeby mu się nie nudziło.

- Z nudów robi się głupoty, fakt. - Rico wzniósł ochoczo

szkłankę. - Za chomika! Przynajmniej się rozerwał.

- Oj, rozerwał się. - Zaniósł się śmiechem. - Skutecznie.

- A ty się nie nudzisz? Gotujesz, sprzątasz, zarządzasz Włochowi kąpiele...

- Hi... hi... Nie. To jest bardzo fasss... fassscynujące zajęcie. Zwłaszcza teraz, kiedy do akcji wkroczyła policja.

Rico znowu zaczął coś nucić. W dodatku udawał, że gra na pianinie. Tak, inspiracje chopinowskie. A może zagrają koncert na cztery ręce?

- To teraz za gęsi! - zaproponował Rico. - I co z tą policją? Bo to ciekawe.

- Za gęsi! To jest nie tylko ciekawe, ale to jest... ciekawe. Czy ja się nie powtarzam?

- Ani trochę. Mów, mów.

- Za łabędzie! Ale może nie nalewaj już do szklanki, bo mi trochę niedobrze.

- Dla ciebie... naparsteczek. Za łabędzie. Bzyt! Jak się nie upiję, to się nie utrzeję - wymamrotał radośnie. - No? Policja... Na tym stanęliśmy. Co z tą policją?

- Jestem tajną agentką. - Dorota puściła do niego oko. - *Riki tiki tak...* Uwierzysz? Ja. Dorota Rzepka. Tajną agentką. Wszystko ci powiem, ale najpierw pokażę ci sztuczkę.

- Ależ proszę cię bardzo.

- Rozbiję tę oto szkłankę - bez żadnego uprzedzenia przejechała ręką swojemu kompanowi po przystrzyżonej czuprynie - o ten włos. Pardon. O ten włos.

- Ała!

- Bądź dzielny, Rico. Szkłankę o włos. Zakład?

- A jak przegram, dokończysz o policji?

- Dokończę nawet, jak wygram.

- Zakład - zgodził się i czekał na ciąg dalszy, choć doskonale znał ten numer.

Dorota po prostu położyła włos na stole i stuknęła o niego szkłanką, która, jak łatwo

przewidzieć, potłukła się w drobny mak. A co tam, blondynka i tak posprząta. W końcu to jej fucha.

- Wygrałaś. No, to bzyt! Jeszcze raz za gęsi!

\*

Stara Biblioteka od dawna Cezarego do siebie przywoływała. Kusiała starodrukami, obiecywała odkrycia niemal tak doniosłe jak ziemia pod murami klasztoru. Tyle że nie wpuszczano tu byle kogo i z byle jakiego powodu. A już zwykli turyści mogli o tej przyjemności w ogóle zapomnieć. Żeby się tu dostać, należało otrzymać specjalną zgodę.

I oto nadarzyła się okazja.

Mógł tam wejść.

Oczywiście, nie sam.

- Nie wiem, czy pan coś znajdzie - towarzyszący mu brat, którzy na co dzień opiekował się księgozbiorem, raczej nie miał złudzeń. - Chyba że posługuje się pan biegle łaciną.

O tym Cezary nie pomyślał.

- Biegle posługuję się jedynie łaciną anatomiczną. Tudzież kuchenną - wyznał smętnie, choć nie stracił dobrego humoru. W końcu Lesiak dokonał dziś ważnego odkrycia. I teraz wystarczyło tylko podążać tym tropem. Miał nadzieje, że te stare, wspaniałe księgi zdradzą mu kilka historycznych szczegółów, ale, zdaje się, zbyt wiele sobie po tej wizycie obiecywał.

- Kuchenną? - Brat docenił dowcip. - To może być poważna przeszkoda. - Potoczył wzrokiem po półkach wypełnionych futerałami, w których spoczywały inkunabuły, starodruki, a nawet zdobione rękopisy i manuskrypty. W liczbie około trzynastu tysięcy.

Znakomita większość spisana w języku, który był w Kościele obowiązujący. - Szczerze mówiąc, ja na pana miejscu poszukałbym czegoś po polsku.

- Polskich książek tu nie ma?

Brat uśmiechnął się z sympatią. Żal w głosie Cezarego był aż nadto słyszalny. Ten młody człowiek stał tu pełen szacunku, patrząc z zachwytem to na złożone grzbiety dzieł, to na intarsjowane dwudziestoma gatunkami drewna stoły.

- Są, oczywiście, że są. Ale ta polszczyzna jest taka... pierwotnie polska. Czasem trudna do zrozumienia. A czego

konkretnie pan szuka?

- Interesuje mnie Bractwo Aniołów Stróżów.

Paulin poprawił w skupieniu okulary. Był niewielkiego wzrostu, schludnie przyczesany. Pomimo habitu, który skrywał sylwetkę, po jego wyważonych ruchach i wyrazie twarzy można się było domyślać, że jest osobą niezwykle dokładną i sumienną. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

- W takim razie polecam dzieła ojca Gołdonowskiego, bo on czuwał nad bractwami. Ale musiałyby pan pojechać do Krakowa, w naszych zbiorach ich nie mamy.

- I bądź tu mądry - westchnął Cezary, spoglądając na bogato zdobiony sufit.

- Mądrość Boża. - Bibliotekarz wskazał nienachalnym gestem w górę, na malowidło stanowiące główny fresk. Przedstawiało dysputę uczonych i ewangelistów, którym w spokoju przyglądała się siedząca na chmurce niewiasta oparta o tarczę z wyobrażeniem Ducha Świętego. Ponad jej głową tłuściutki aniołek przytrzymywał napis: *Sapientia aedificavit sibi domum*.

- Sapientia aee... - Cezary usiłował odczytać na głos.

- Mądrość wybudowała sobie dom - przetłumaczył odruchowo paulin.

- Gdybym był przy kasie, też postawiłbym sobie jakąś chatę, bo moje mieszkanie roz... waliła bomba. Włoska robota - dodał Cezary poufałym szeptem. - Żadnej ryby przedtem mi nie przysłali, ale ja wiem, że to oni. Tutaj, na Jasnej Górze, też byli, bezczelni. Próbowali przekupstwa. Zresztą nieważne - dokończył, widząc, że mina braciszka zaczyna się wydłużać.

- Nie, nie. Z tą bombą, z przekupstwem... Proszę mnie źle nie zrozumieć, bynajmniej nie robię sobie żartów z wiary.

- Spokojnie, synu. Utwierdzeni w wierze nie są podejrzliwi.

- Brat przywołał już normalny wyraz twarzy, choć nagle jakby zeszywniał. - Zresztą Mądrość Boża nakazuje spokój. Nawet w obliczu niebezpieczeństwa. I banialuk. Biblioteka istnieje w tych murach nieprzerwanie od piętnastego wieku. I przetrwała pomimo niejednej bomby. A wracając do

bractwa... - zakonnik odprowadził Cezarego do schodów - proponuję skorzystać z nowej biblioteki, dostępnej dla wszystkich. Przypomniałem sobie, że znajdzie tam pan świetną książkę. Kompedium po prostu. Ojciec Bronisław Matyszczyk, to autor. I teraz tytuł:

Bractwa religijne na Jasnej Górze w okresie Polski przedrozbiorowej. Z tej pracy na pewno wiele się pan dowie. Powodzenia.

\*

Obudziła się na dywaniku.

W łazience.

Dokładnie o północy.

Dywanik był rozmiarów wycieraczki, a mimo to żaden z otrzeźwiających członków Doroty nie dotykał podłogi. Wystarczyło umiejętnie zwinąć się w kulkę. Po kilku głębszych mogłaby pracować w cyrku, na trzeźwo by takiego numeru nie powtórzyła. Próbując do siebie dojść, usiłowała zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

Rico!

Prawda, upiła go!

Ostatnim szczegółem, jaki zapamiętała, było stłuczenie szklanki. Ale po co ją stłukła? Włos! Potrzebowała pretekstu, żeby zdobyć włos. Tylko... Gdzie był teraz?

- Nie wytrzymam ze sobą - oznajmiła głośno i uniosła się na ramieniu.

Nadludzkim wysiłkiem wstała - pomogła jej w tym muszla klozetowa, która trwała nieruchomo i można było na niej śmiało zawisnąć. A że trzymanie pionu za bardzo Dorocie nie wychodziło, zawisała. Na momencik. Momencik jednakże lekko się przeciągnął. Kiedy odzyskała świadomość i ponownie zerknęła na zegarek, dochodziła pierwsza.

Zadzwoiła więc do Jurka Niecko.

- Gdzieś tu miałam włos - wyburczała do słuchawki, nawet się nie przedstawiając - ale się stracił.

- Dorota? - Niecko zapytał w największym zdziwieniu. Telepatia! Usiłował zasnąć, ale myśl o długonogiej

blondynce, która ma najpiękniejsze na świecie oczy, nie dawała mu spokoju.

- Tak, to chyba ja. Chcę do łóżka.

- Do czyjego łóżka? Yyy... Zaraz... Gdzie jesteś?

- Na... łazience. Znaczący, zesłam z dywanu i jestem na ubikacji.

- Zesłaś... Wszystko w porządku?

- W wielkim, ale trochę mi tak... rzygająco.

- Ale jesteś na Świętokrzyskiej?

Rozejrzała się dla pewności, ale brązowe kafelki ze złotym wzorkiem mogły tkwić na ścianach tylko tu.

- Tak - potwierdziła i dotarło do niej, że mimo szczerých chęci raczej nie dokończy tej rozmowy. Z żołądka do przełyku przywędrowała lepka, słodka kula, której należało się szybko pozbyć. Dorota przeszła więc na zwężłe komunikaty: - Miałam wam dać włos. I buty. Nie nawalę. Przyjeżdżaj. Rzucę przez mur. - Kula aż kłuła w gardło, stawała się obrzydliwie śliska.

- Mamooo!

Po kilku dramatycznych chwilach okazało się, że bez pomocy rodzicielki jakoś się obejdzie. A nawet amatorka „Chopina” poczuła się na tyle dobrze, że wzięła kąpiel i powędrowała do kuchni. O tej porze nikogo tu nie zastała, cały dom tonął w ciemnościach. Włączyła światło i rozejrzała się bezradnie.

Jak znaleźć włos w stogu siana?

Na stole go nie było, może więc na podłodze?

Uklękła.

Niezbyt fortunnie, bo jeszcze lekko odurzona nie zwróciła uwagi, że po podłodze walały się okruchy szkła, w które wdepnęła teraz bosymi stopami. Zabolało. Zrozpaczona odruchowo usiadła, żeby przyjrzeć się ranie z bliska, ale poczuła, że jej odziane w lekką sukienkę siedzenie również doznaje uszczerbku. I chyba dopiero wstrząs, jakiego właśnie doznała, otworzył w jej umyśle szufladkę, której istnienia nie podejrzewała. Szufladka była opatrzona napisem: **ODKURZACZ!**

Przecież krwawiąca nie będzie szukać igły, czy raczej włosa,

po całej kuchni. Uruchomi... Nie, nie uruchomi, wszyscy śpią, a jej zależy na dyskrecji.

Otworzy odkurzacz, rozerwie wór na śmieci i znajdzie w nim nie jeden, ale pełno włosów Rica. Przecież jako jedyny był w tym domu blondynem!

Czyż ona nie jest genialna?

Znalezienie odkurzacza trochę potrwało, znalezienie odpowiedniego włosa również, ale najgorzej było z butami. W domu znalazła wiele butów. Biegać z każdą parą do okna i przerzucać przez mur, kiedy z trudem przychodziło jej postawienie choćby kroku? Od czego zmysł praktyczny. Zapakowała wszystkie śmierdziele w swoją osobistą kołdrę i... Że też buty mogą tyle ważyć! - Jurek! - teatralnym szeptem zawołała pod murem, ale bez rezultatu.

Jako środek komunikacji znowu pozostała jej komórka. Wybrała numer i nagle pośród akompaniamentu ujadających psów od strony ulicy dało się słyszeć wycie erki.

Czy Niecko przyjechał radiowozem?!

Dopiero po chwili Dorota zrozumiała, że upiorny dźwięk był po prostu dzwonkiem telefonu, a jego właściciel przedzierał się właśnie przez krzaki i chyba nie był zbyt zadowolony z próby nawiązania kontaktu, bo doleciało ją zdenerwowane:

- Jesteś tam?

- Jestem.

- Następnym razem nie dzwoń do mnie, kiedy się do ciebie potajemnie skradam...

- Dobrze! - odkrzyknęła. - I mów ciszej!

- Powiedz to psom. Przeskakuj! Buty są za ciężkie, nie dam rady.

- To je ściągnij.

- Są w kołdrze - usłyszał Niecko i zastanowił się, cóż to mogło oznaczać. - Poczekaj chwilę. Muszę je przynieść, bo na razie leżą w kuchni.

Czekanie akurat nie wydało mu się najlepszym pomysłem. Psy nie chciały pozamykać pysków, trzeba było szybko załatwić sprawę i wiać, a nie czekać, aż któryś z obudzonych mafiosów pofatyguje się na dół. A Dorota? Co się z nią działo? Dziwnie



brzmiała przez telefon, teraz również nie potrafił się z nią dogadać.

Buty w kołdrze?

Mur jak mur. Nie stanowił żadnej przeszkody, skoro czekała za nim nagroda w postaci powabnej niewiasty. Niecko naprężył mięśnie i znalazł się po drugiej stronie. Ledwie jednak stanął na rozdygotanych kończynach i spojrzał na Dorotę ciągnącą po ziemi jakiś tłumok, zmienił się na twarzy tak, jak gdyby zobaczył ofiarę wyjątkowo perfidnej zbrodni dokonanej siekierą. Ofiara niby żyła, ale jej odrąbana głowa już odpadała od ciała.

- Co ci jest? - Złapał ją przejęty za rękę. - Co oni ci zrobili? Łajdaki!

- A coś mi zrobili? Nie wiem, obudziłam się na dywanie.

- Pogotowie! Połóż się, bo jeszcze coś sobie uszkodzisz. - Zaczął szukać telefonu, ale ze zdenerwowania nie mógł nawet trafić do kieszeni.

Dopiero wtedy Dorota popatrzyła po sobie.

W sączącym się z kuchni halogenowym świetle faktycznie nie wyglądała zbyt świeżo. Skórę miała białą, sukienkę powłóczyłą i do tego obficie utyłaną krwią.

- To z tyłka - próbowała uspokoić komisarza, ale chyba osiągnęła przeciwny efekt. Niemal siłą położył ją na trawie i usiłował przekreślić na bok. - Nic mi nie jest, siadłam na szklance.

- Poleżysz w bezpiecznej pozycji, a ja zorganizuję pomoc.

- Niecko! Nic mi nie jest! Upiłam się tylko. Strzaskałam szklankę i na niej usiadłam.

Nie histeryzuj!

- Szklanka? - Komisarz jakby ochłonął. - Ale włosy masz leż we krwi.

- Włosy! Wiedziałam, że o czymś zapomniałam. Włos Rica, masz. - Wstała i wygrzebała z leżącego obok tłumoka reklamówkę. - Tu sobie poszukasz. Nie miałam do czego schować. A buty, tak jak mówiłam, w kołdrze.

- Twoje włosy. - Niecko na nic nie zważał. Zdrowie Doroty było teraz najważniejsze. - Są we krwi.

- Moje? - Złapała parę pasemek i podeszła do okna. - A rzeczywiście. To z rąk. Którymi dotykałam nóg.

- Zwariuję. - Niecko wreszcie się poddał. Opadł bez sił na ziemię, gdzie podparł ścianę budynku.

- Tylko bez nerwów. Już tłumaczę - pospieszyła z wyjaśnieniami.

Pomysł, żeby upić Rica i w ten sposób zdobyć materiał do badania, nie zachwycił komisarza. A nawet mu się bardzo nie spodobał. Z tego co usłyszał, wnioskował, że wydarzyło się coś zupełnie odwrotnego. To Rico upił Dorotę, a nie ona jego. Ciekawe, czy zrobił to specjalnie.

- O czym rozmawialiście? - zapytał tknięty złym przeczuciem.

- O gęsiach, wiewiórkach... I o łabędziach - Dorota potulnie złożyła raport.

Stwierdził, że decyzja, żeby usiąść, była słuszna. Ta dziewczyna przyprawiała go o

zawrót głowy. I nawet umazana krwią wyglądała prześlicznie. Otulił ją czule swetrem.

- A to? - wskazał na stertę obok.

- Tu zapakowałam buty.

- Po co?

- Jak to po co? Chcieliście buty wszystkich domowników, tak? Chyba sobie tego nie wymyśliłam?

- Buty, owszem. W sensie: ślady. Odbite na papierze.

- Yyy... Trochę mi ten „Chopin” pomieszał w umyśle. Ale włos jest. - Pomachała z niemrawym uśmiechem reklamówką. - Nie jestem pewna, ale... Chyba mi znowu rzygająco.

\*

Cezary przesiedział cały wieczór nad książką o bractwach, a potem wziął się za kolejną pozycję. Sympatyczny pracownik biblioteki (nowej) zaproponował coś, co jak zapewniał, oszczędzi mu szukania materiałów w innych opracowaniach. Twierdza Jasna Góra autorstwa R. H. Bochenka.

I rzeczywiście.

Dzielko o charakterze fortyfikacyjnym, wysoko specjalistyczne, ale za to jaka kopalnia wiedzy! Cezary nie mógł wyjść z po dziwu. Pierwszych kilka rozdziałów przeczytał z wypiekami na twarzy, bo już na wstępie natknął się na daty, które pomogły umiejscowić Bruna w całym tym pasztecie historycznym.

Otóż autor książki podawał, że inicjatorem budowy twierdzy był król Zygmunt III Waza - to on zaprosił do współpracy znanego inżyniera wojskowego i architekta. Jegomość nazywał się Andrea dell'Aqua. Tu Cezarego zatkało. Włoch, znowu Włoch! Makaroniarz sporządził plan budowy zgodnie z obowiązującymi na świecie wzorami fortyfikacyjnymi, i plan był gotowy do roku 1624, bo wtedy prawdopodobnie rozpoczęły się prace budowlane.

Jak do tej pory wszystko się zgadzało.

Ich przypuszczenia okazały się słuszne, Bruno wznosił mury. Dodatkowo potwierdziła się również data powstania Bractwa Aniołów Stróżów. Przeor się nie pomylił. Rok 1625.

Zapewne to wszystko łączyło się w spójną całość, tylko że Cezary wciąż nie dysponował wiedzą, która by tej całości nadawała ogólny sens. W miarę czytania natykał się jednak na coraz to nowych... południowców. A to podobno dlatego, że w tamtejszych czasach Włosi byli mistrzami w sztuce fortyfikacyjnej, która rządziła się surowymi regułami. Kogo więc zatrudniano przy wznoszeniu tak ważnej dla obronności kraju twierdzy?

Rzecz jasna, najlepszych specjalistów.

Od Włochów w historii Jasnej Góry zaczęło się nagle roić. Muratorzy, rzeźbiarze, malarze... Jednym słowem - Włoch Włocha Włochem poganiał.

Może więc mafiosi faktycznie szukają tu jakiegoś ukrytego przed wiekami skarbu?

Cezary coraz bardziej w to wierzył.

Kradzież Bruna zaczynała pasować do tej historii tylko w jednym kontekście: skarb musiał być ukryty w pobliżu stanowiska. W ogrodzie pod murami. Ależ tak! Dlatego złodzieje chcieli się ich pozbyć z terenu klasztoru.

Musiał się opanować, żeby nie zadzwonić z tymi rewelacjami

do Lesiaka, ale mu darował. Dochodziła północ. Profesor prowadził bardzo higieniczny tryb życia i o tej porze spał snem sprawiedliwego.

Cezary czytał więc dalej, choć z emocji zasychało mu w gardle.

Szczególnie zainteresowała go wiadomość, że zaprojektowana w siedemnastym wieku twierdza, owszem, została generalnie pomyślana zgodnie z fortyfikacyjnymi kodeksami, ale... nie była symetryczna. Z tekstu wynikało, że coś się nie zgadzało. Narys twierdzy powinien zamykać się w kwadracie, a mury tworzyły prostokąt.

Dlaczego?

Rozważania geometryczne utknęły w martwym punkcie, bo Cezary doszedł do rozdziału o potopie szwedzkim. I trochę tu zamarudził, ale było warto. Jazda, piechurzy, dragoni, artylerzyści - wszyscy ci żołnierze przelatywali mu przed oczami jak na polu bitwy. Zaprawiony w bojach generał Burchard Müller von der Lühnen i Augustyn Kordecki, skromny zakonnik zgromadzenia paulinów biegły w układaniu modlitw. Ci dwaj stanęli naprzeciw siebie w doniosłej walce. Do Cezarego przemówiły zwłaszcza liczby. Garnizon Jasnej Góry liczył trzystu ludzi, a w korpusie szwedzkim (dziwna nazwa, jeśli wspomnieć, że w oddziałach nie było ani jednego oficera czy żołnierza tej narodowości) znajdowało się ich trzy tysiące dwustu.

I co?

Generał Müller, który nazwał wcześniej klasztor pogardliwie „kurnikiem”, zapłacił za swoją impertynencję. Pewnie zniósł ze złości jajo, ale musiał odstąpić. Nie dał braciszkom rady. Ale wcześniej jego wojska wyrządziły sporo strat, owszem.

W książce znajdował się opis przebiegu działań z podziałem na konkretne dni. I tak Cezary dotarł do fragmentu, który był co najmniej intrygujący:

W celu zahamowania tempa szwedzkich robót oblężniczych na północnym froncie ataku inżynieryjno-artyleryjskiego twierdzy, obrońcy „Jasnej Góry”

przeprowadzają w nocy z 24 na 25 listopada dowodzony przez Piotra Czarnieckiego wypad bojowy. (...) Wypad wyruszył ukrytą furtą znajdującą się w barku prawym bastionu BIV św. Trójcy.

Tajemna furta?

I to gdzie, w bastionie, który był terenem wykopalisk!

Dalej zrobiło się jeszcze ciekawiej.

Bastion św. Trójcy stał się celem szczególnego oblężenia. I to tak intensywnego, że Szwedzi wystawili najpierw w jego kierunku artyleryjską redutę oblężniczą, a potem spróbowali ataku minerskiego. W tym celu sprowadzili górników z kopalń olkuskich, których przemocą skłonili do wykonania podziemnego chodnika. Na szczęście podkop się nie udał. Powód? Lita skała wapienna. Na dobę wykuwano w niej zaledwie trzy metry bieżące.

O tajemnej furcie nie znalazł już ani słowa.

Tekst wił się dalej, ale dotyczył wydarzeń mniej interesujących. W końcu Cezary stracił zapał i odłożył lekturę na kolejny dzień. Poprzedniej nocy prawie w ogóle nie zmrugał okiem. Najpierw chwile spędzone z Julką na uczelni, potem bomba i podróż do Częstochowy. Wypadałoby się w końcu przespać. Poskładał papiery, zamknął książkę i pościelił łóżko. Ale zasypianie w nowym miejscu jakoś mu nie wychodziło. Wizyta mafiosów, którzy próbowali zaskarbić sobie łaski przeora, anioł na szacie Bruna, bractwo, tajemnicza furta...

Zrezygnowany włączył ponownie lampkę i sięgnął po zwykły przewodnik po klasztorze. Nie liczył specjalnie na kolejne rewelacje, chciał obejrzeć zdjęcia, ale traf chciał, że pierwsze zdanie, na jakie się natknął, znowu dotyczyło Włocha:

Istnieje również w archiwach konwentu jasnogórskiego dokument dotyczący fortecy, z datą 4 X 1725 r. Jest to tekst aktu przysięgi złożonej przez Jakuba Antoniego Buzziniego, że nie zdradzi on tajemnicy budowy fortecznej.

Aha!

Mniejsza z tym, kim był ów Buzzini. W przewodniku nie umieszczono takiej informacji. Najważniejsze jednak, że jakaś

tajemnica istniała. Cezary wiedział to od samego początku i wreszcie otrzymał potwierdzenie!

Teraz to już w ogóle nie było mowy o zmrużeniu oka. Poprawił się na poduszkach, próbując ustalić plan dalszego działania. Rano wykopaliska i narada z profesorem, który porzucił wszelkie inne prace i przyjeżdżał teraz do klasztoru niemal codziennie. Po południu uczelnia - zabierze się za porównawczą próbkę DNA. Do lektury uda mu się wrócić najwcześniej wieczorem. Może informacje o Buzzinim znajdzie w książce Bochenka? Bo do Starej Biblioteki nie ma się co pchać. Informacja o bombie raczej nie usposobiła brata bibliotekarza przychylnie. Poza tym facet od przysięgi nie był z pewnością na tyle uprzejmy, żeby ją złożyć w języku polskim, więc szkoda fatygi. A jeśli przysięgę złożył, nie napisał przecież, czego dotyczyła. Jasne jak słońce.

Początkowo Cezary nie zwrócił uwagi, że jedna z desek na korytarzu zaskrzypiała. Buzzini i cała banda Włochów i Szwedów za bardzo zawładnęli jego wyobraźnią. Ale kiedy dźwięk się powtórzył, zaczął nasłuchiwać.

Kto w środku nocy włóczył się po klasztorze?

Zaciekawiony wstał z łóżka i najciszej, jak tylko potrafił, wyjrzał na zewnątrz.

Korytarz wypełniało niemrawe światło dobiegające od strony schodów. Dało się jednak w nim zauważyć czarną postać gmerającą przy zamku drzwi, które, jeśli Cezary dobrze kojarzył, należały do... celi brata Pawła!

Rzecz jasna, nie mógł tego tak zostawić.

Postać wyprostowała się nagle, więc Cezary cofnął się i pokoju, ale tylko po to, żeby dać tamtemu czas. W porządku, pewnie już zdążył wejść do środka. Sam szybko coś na siebie narzucił, a następnie wyszedł na korytarz i zaczął się skradać. Przy schodach zahaczył wzrokiem o gablotę z gaśnicą. To mu uświadomiło, że pakuje się z gołymi rękami do pokoju zakonnika, który najprawdopodobniej nie zszedł z tego świata śmiercią naturalną.

A gdyby się tak w tę gaśnicę zaopatrzyć?

Pomysł nie najgorszy, problem tylko w tym, że najpierw

trzeba by stłuc szybę.

W tym samym momencie Cezary przypomniał sobie relację z walk ze Szwedami.

Bracia zakonnicy bynajmniej nie dysponowali pancerfaustami tudzież pociskami samosterującymi. Ich rynsztunek śmiało można by nazwać skromnym, a on co? Też idzie walczyć w słusznej sprawie. Nie będzie wybrzydzał.

Postanowił działać błyskawicznie.

Dopadł gablotki i nie zważając na hałas, potraktował szybę łokciem.

Trzask z pewnością zaalarmował nie tylko tego w pokoju, ale i pół klasztoru, co wcale nie było takie złe. Przynajmniej będzie miał świadków. Pocieszony tą myślą Cezary natarł na drzwi całym swoim ciężarem. W środku mocno wyteżył wzrok, żeby określić położenie intruza.

Był!

Czaił się pod ścianą jak tygrys.

Pewnie nieźle się wystraszył.

- Stój! Bo strzelam! - zagroził, szukając po omacku jakiegoś mechanizmu, który uruchomiłby przekłętą gaśnicę.

Włamywacz nie zamierzał jednak pokornie czekać, aż zoranie ujęty Prawie się nie rozglądając, wydobyl z szafy coś, co nawet w ciemnościach wyglądało na grabie, i błyskawicznie wycelował nimi w Cezarego.

W powietrzu zaświszczało.

I mimo że Cezary próbował uchylić się przed nadlatującym pociskiem, grabie były jakby zaopatrzone w magnes, bo przywarły dokładnie do jego czaszki. Aż zobaczył gwiazdy. Zaraz potem poczuł pulsujący ból w skroni, który dosłownie powalił go na kolana. Wtedy tamten doskoczył i uderzył go po raz drugi. Cezary w przebłysku świadomości stwierdził, że leży teraz na podłodze, a w jego stronę toczy się coś grzechoczącego. Fiolka z lekarstwami?

Wreszcie udało mu się zasnąć.

Rano wykopaliska i narada z profesorem, po południu uczelnia...

\*

A jeśli ci dwaj nie żartowali?

Jeśli grządka w ogródku na Świętokrzyskiej naprawdę jest nafaszerowana ciałami poprzednich kucharek?

Ewelina usiłowała o tym porozmawiać z siostrą, ale wyczuła w zachowaniu Doroty jakiś fałsz, a wygrywane przez nią melodie знаła aż nadto dobrze. Ktoś tu próbował ją zrobić w bambuko. O, nie, nie.

Nie pozwoli się oszukiwać własnej siostrze.

Gabryś też ją rozczarował. Nie okazał spodziewanego entuzjazmu, kiedy pojął, w jakim celu wydebiła od sąsiadki szpadel typu saperka, a nawet przez długie dwie minuty odwoził Ewelinę od „tego wariackiego pomysłu”. Ostatecznie słusznie stwierdził, że jeśli jego nawiedzona dziewczyna i tak zamierza dokonać czynu przestępczego, lepiej, żeby miała wsparcie logistyczne. Choćby w jego niewysokiej osobie.

Na miejsce podjechali autem, które Gabryś zaparkował jak najbliżej miejsca zdarzenia, przy działkach, żeby w razie czego dysponować środkiem ucieczki. Kiedy już wszystkie psy znudziły się szczekaniem, wyszli na zewnątrz. Noc panoszyła się w tej części miasta inaczej. Bez zwykłego gwaru było tu jakby straszniej. Ciągące się wzdłuż ulicy ogródki przykrywały ciemnością przeciwległy rząd bloków, ale za to napełniały powietrze przyjemnym owocowym zapachem.

- Może sobie jednak darujemy? - Gabryś podjął ostatnią próbę.

- Żartujesz? Ta grządka mną wstrząsa. Mam mieć rysę na psychice? Wykluczone, muszę sprawdzić.

Gabryś dla odmiany pomyślał z melancholią o swojej psychice, która w ciągu ostatnich dwóch lat była maltretowana i rysowana regularnie, ale dał spokój. Po co się skupiać na tym, co złe. Najważniejsze, że trwał przy kobiecie, którą gorąco kochał. A że przypadkiem wspomniana kobieta jest wulkanem energii i zawsze wymyśli coś dziwnego, mówi się trudno.

Zatem do dzieła.

Przedsięwzięcie podobno wcale nie było takie trudne, należało zaledwie pokonać mur, na co Ewelina posiadała już



odpowiedni patent. Po prostu zniknęła na moment w krzakach, skąd wróciła z drabiną.

- A to co? - zapytał zaskoczony.

- To jest pomoc kuchenna. A ty myślisz, że jak tu wchodzi mama z ciocią?

Gabryś co nieco na ten temat słyszał, więc poniechał kolejnych pytań.

Do chwili, kiedy po przeciwnej stronie muru stanął twarzą w twarz z buldogiem. Pies siedział grzecznie pod domem i błyskając ślepiami, przyglądał się, jak dwoje szaleńców zakrada się na jego teren. Którego zapewne zamierzał bronić kłami.

- Ewelina - Gabryś syknął dyskretnie, obawiając się, że bestia zaatakuje nie tylko jego. - Nie schodź! Tu jest pies!

- Jaki pies? To? - Już zeskoczyła i stanęła obok. Parsknęła przy tym śmiechem. - To jest kot, nie pies. On nam nic nie zrobi. Zresztą już jest przekupiony. Najbardziej lubi bigos.

Ciocia mu dała. Chodź - rzuciła i nie oglądając się za siebie, ruszyła przez trawnik.

Polecenie wykonali obaj. I Gabryś, i pies zwany kotem. Jeden popatrywał nieufnie na drugiego, choć żaden nie warczał.

- Czemu on za mną lazi? Nie lubię psów.

- I on to wyczuwa. Polub, to się odczepi - doradziła beztrąsko. - To tu.

Przed nimi znajdował się sporawy kopczyk ziemi, który porastała roślinność. Twarda i kłująca. Gabryś nie odznaczał się zbyt wyczulonym węchem, ale ten zapach wydał mu się szczególnie intensywny. Może dlatego, że pod kwiaty położono specjalny nawóz. Kucharki. Kucharki, które nie potrafiły przyrządzić makaronu al dente.

- Róże? - upewnił się.

- Róże. Kopiemy. - Ewelina podała mu szpadel i stanęła przy ścianie, skąd zamierzała oddawać się obserwacji.

- Ja od początku wiedziałem, że potrzebujesz parobka - Gabryś pozwolił sobie na komentarz, który jednak nie zabrzmiał jak pretensja.

Lubił się z Eweliną przekomarzać. Nawet rozkopując grządkę w cudzym ogrodzie. Dziwne, ale wcale nie czuł się tu źle. Dom

był ładny, ogród zadbane, a róże szalenie wypełniały powietrze słodkawym aromatem. Był i księżyc. Dorodny i regularny jak francuski rogalik. Na dobrą sprawę idealne okoliczności, żeby z Ewelina ustalić pewne szczegóły dotyczące przyszłości.

- W maju matura - zagadał półgłosem.

- Kopiesz?

- Kopię.

- To kop - odparło niewzruszone dziewczę, zapalając na stronie papierosa.

- Co zamierzasz potem? - drążył dalej.

- Potem zamierzam poprawkę z matmy. Bo nie zdam, więc z łaski swojej machaj szpadelkiem i mi nie przypominaj.

Gabryś rozgarniał ziemię z godną pochwałą cierpliwością, ale uznał, że w życiu mężczyzny przychodzą takie chwile, kiedy trzeba tupnąć nogą. Zatem tupnął, czego raczej nie dosłyszano pod ścianą. Więc rzucił narzędziem zbrodni.

- Kop sobie sama.

- Gabryś!

- Jesteś nieznośna. Jak ty mnie traktujesz?

- Gabryś! Obraziłaś się? - Do Eweliny wreszcie dotarło, bo w jej głosie zabrzmiał niepokój. - Ale czemu? Co ja takiego powiedziałam? Przecież wiedziałeś, że będziesz kopał.

Nie czekał, aż jego rozgarnięta dziewczyna skojarzy fakty. Zresztą, już go nie zatrzymywała. Podszedł do muru i zamierzał przeskoczyć na drugą stronę, kiedy do akcji wkroczył pies. Zdrajca pojawił się znikąd, a potem uwiesił się nogawki Gabrysia i ani myślał puścić. Szamotał się więc ze zwierzem dłuższą chwilę, próbował nawet do niego przemawiać. Bez rezultatu. W desperacji rozważał już pokonanie muru z uwieszonym przy nodze buldogiem, kiedy zza rogu wyszła Ewelina. Choć bardziej pasowałoby określenie: wytoczyła się. Nie dostrzegł w niej skruchy, wręcz przeciwnie. Była wniebowzięta, mimo że w swobodnym poruszaniu się przeszkadzała jej... wielka tuba zakończona szpikulcem, którą niosła przełożoną przez ramię.

Gabrysiowi odebrało mowę.

- Powiedz... - wyszeptała konspiracyjnie, nie przestając się uśmiechać. O kłótni już, oczywiście, nie pamiętała. - Czy to jest to, co ja myślę?

Wobec takiego obrotu spraw honor męski był raczej sprawą podrzędną. Gabrys przestał się gniewać.

- Skąd to masz? !

- Wygrzebałam. Z grządki. Tam leżą jeszcze takie dwie. I pełno karabinów. I granaty. Kucharek nie stwierdziłam.

- O matko! - zawył zdruzgotany. - Przecież to jest BAZOOKA!

Podszedł bliżej, co stało się możliwe, ponieważ buldog na widok Eweliny zrobił się nadzwyczaj grzeczny. Potulnie zapiszczał i stanął grzecznie koło jej nogi.

- Bazooka, czyli co? Tym się strzela? - Zrobiła wielkie oczy, bynajmniej nie z przerażenia. Raczej z uciechy.

- Z tego się obraca w puch!

- No, to Dorota ma przekopane. To są jacyś bandyci! Może nawet mafia? Przecież to Włosi.

- Cicho! - Gabrys naraz się skulił i zaczął popatrywać na boki. - Odnieś tę rurę, zakopujemy ją i spadamy. Szybko!

- A w życiu! - zaparła się, choć bazooka była z tych nieco ciężkawych cacek. - Nie oddam!

- Proszę to natychmiast odnieść na miejsce - zagrzmiał jak nauczyciel, co było u niego oznaką największego zdenerwowania.

- Proszę mnie pocałować w tubę. Za nic.

- Ewelina...

- A może ja sobie to życzę zatrzymać? Mają jeszcze dwie, tak łatwo się nie zorientują.

- Nie wszyscy mają poprawkę z matematyki. Są tacy, którzy potrafią liczyć do trzech. Już! Na miejsce!

- Zmusz mnie. - Dmuchnęła w grzywkę.

- Dziewczyno! Po co ci to? - prawie błagał, choć było wiadome, że jest skazany na przegraną. - I gdzie to będziesz trzymać?

- Na balkonie albo u ciebie. Dopóki nie sprzedam. Świstak.pl. Niedługo studniówka, w czym mam pójść? Mama

mi nie da, sama muszę zarobić.

Gabryś poczuł, że jest u kresu sił.

- Przecież ci coś kupię. Zawsze kupuję. Odnieś to.

- Zawsze? Wypominasz mi? - Stęknęła z wysiłku. - Nie będę na niczym garnuszku. Świstak.pl, mówię. Gabryś... - naraz straciła rezon. - Parapet! Popatrz!

Spojrzał we wskazanym kierunku i podjął decyzję. Nie pamiętał szczegółów. Krew na parapecie i ramie okiennej załśniła mu przed oczami w świetle padającym z latarni. Są takie chwile w życiu mężczyzny...

- Uciekamy! - wysapał.

- Ale tam zostawiłam wszystko rozkopane.

- Dobrze. Przełaź! Ja posprzątam.

- Gabi...- zakwiliła, zanim położyła na murze bazookę.

- Co?

- Wiesz, że ja cię bardzo, bardzo?

\*

Opamiętanie przyszło w samochodzie, kiedy roztrzęsiony Gabryś usiłował trafić kluczem do stacyjki. Dopiero wtedy Ewelina pojęła wagę sytuacji.

- Dorota! Tam jest Dorota. A jeśli to jej krew?

Może nie zawsze działała logicznie, ale nie zostawi siostry w domu pełnym bandziorów, i to bandziorów, którzy urządzili sobie pod różami arsenał. Miała tylko nadzieję, że jeszcze nie jest za późno. O dziwo, Gabryś się z nią zgodził.

- Kurczę, faktycznie...

- Idziemy? - Sięgnęła na tylne siedzenie, gdzie odłożyła przed momentem rurę, do której zaczęła już żywić ciepłe uczucia. Taka rura daje zadziwiające poczucie bezpieczeństwa.

- Gdzie?!

- Jak to gdzie? Tam.

Gabryś oparł głowę na kierownicy i nic już nie powiedział. Starał się skoncentrować na liczeniu oddechów. Po dziesiątym usiadł na miejscu i złożył w swoim mniemaniu rozsądną pro pozycję.

- Może zadzwonimy na policję?
- O trzeciej w nocy?
- To nie warzywniak. Pracują całą dobę.
- I co? Wtedy stracę to? - wskazała na bazookę. - To już wolę zadzwonić do cioci.

Poszła na dancing z tym swoim Stefanem, więc na pewno jeszcze nie śpi.

- Ciocia Czesia?! - Gabryś stwierdził, że włosy stają mu dęba, bo wyobraził sobie starszą panią w akcji. Już chyba wolał wejść do domu, gdzie na parapecie majaczyło tak wymowne zaproszenie jak zakrzepłe ślady krwi. - Dobra, wysiadaj! Idziemy. Ja pierwszy.

Pokonanie muru przyszło im z łatwością, mieli już wprawę. Pozostała jeszcze kwestia dostania się do domu, co okazało się wcale nie takie trudne.

- Przez kuchnię. - Ewelina walczyła z oknem, które stawiało pewne opory, ale w końcu ustąpiło.

Czy ta noc się wreszcie skończy?

Gabrysiowi nie pozostało nic innego jak przeżegnać się i wpakować do obcego domu. Czuł się bardzo nieswojo, mimo że w środku panowała cisza. Tylko gdzieś na górze coś skrzypnęło. Ewelina szybko wyciągnęła zapalniczkę i w jej drgającym płomieniu dokonała oględzin pomieszczenia.

Podłoga wyglądała fatalnie.

Zupełnie jakby stoczono na niej walkę na śmierć i życie. Wśród mazów krwi, które znalazły się również na meblach i ścianach, po posadzce wałały się okruchy szkła i kłęby włosów. Tuż obok leżał odkurzacz. Jego otwarta kłapa skojarzyła się Ewelinie z wyprutymi wnętrznościami.

- Nie wiem, co tu się stało, ale ten odkurzacz mnie niniejszym druzgocze.

- Mnie druzgocze cały ten dom. - Gabryś rozejrzał się wkoło. Zdecydowanie nie przepadał za włamaniami. - W Ameryce by nas za to zastrzelili.

Ewelina poprawiła na ramieniu bazookę.

- A w Polsce jak kto chce. Nic się nie przejmuj. Czuwam.

- Może ja to od ciebie wezmę? - zatroszczył się nagle.

- Dziękuję, ale nie. Idziemy, Dorota ma pokój na piętrze.

- Byłaś tam?

- Nie, ale mówiła mi, że powiesiła na drzwiach dzwoneczek, więc trafimy. Nie martw się.

- Dzwoneczek... Jasne, uspokoiłaś mnie. Jak mógłbym się martwić...

W ciemnościach i ciszy nawet chrupanie własnych kości brzmi jak seria z haubicy. Czas również podlega innym prawom. Ewelina i Gabryś doskonale to właśnie rozumieli. Szli bardzo ostrożnie i prawie bezszelestnie, a mimo to wydawało im się, że robią tyle hałasu co cała kompania wojska. Do schodów dotarli po kilku minutach, ale nie mogli pozbyć się wrażenia, że trwało to całe lata. Natomiast wejście po drewnianych stopniach i nieporuszenie przy tym żadnej deski okazało się kolejną ekwilibrystyczną sztuką. Ale dokonali i tego. Wreszcie znaleźli się na górze.

Piętro miało kształt olbrzymiego prostokąta. Na każdej ze ścian znajdowały się bielejące pośród ciemności drzwi. Było ich sporo. Gdyby nie ten głupi pomysł z dzwoneczkiem...

- Jest - wyszeptała Ewelina.

Teraz pozostawało wejść do pokoju tak, żeby brzęczydło nie zaalarmowało śpiących mieszkańców. Ewelina złapała dzwonek, a Gabryś nacisnął klamkę.

Byli w środku.

\*

Dorocie śniło się właśnie coś bardzo przyjemnego, kiedy ktoś usiłował ją tej przyjemności brutalnie pozbawić. Poczowała szarpanie. A może to kolejny ze snów domagał się swojej kolejki? Żadnych koszmarów! Zmieniła bok, ale szarpanie nie ustawało.

- Wstawaj! - usłyszała jak przez mgłę.

- Po co ją budzisz? Przecież śpi.

- A sukienka? Cała we krwi! Może nie śpi, tylko jest nieprzytomna?

- Śpi. Nie drzyj się.

- Dorota, wstawaj!

Kto to?

Głosy wydały się jej znajome.

- Ewelina? - wymamrotała. - To ty?

W ciemnościach, które rozpraszał jakiś płomyk, zobaczyła...

Wycelowaną w nią lufę!

Lufa była rozmiarów rury kanalizacyjnej i Dorota spanikowała. Żadnych koszarów, narkotyków i czołgów. Miała już dzisiaj do czynienia z pistoletem, nie życzy sobie przemocy, tym bardziej w jej własnym śnie.

- To ja. Siostra, żyjesz? - znowu usłyszała.

- Śniesz mi się?

- Nie, przyszłam rozkopać grządkę.

- Czyli mi się śniesz...

- Mieszkasz pod jednym dachem z mafiosami - przemówiła zjawa pod postacią Eweliny i Dorota przykryła się kołdrą po sam czubek głowy. Może w ten sposób się jej pozbędzie.

- Wiem. Idź precz!

- Wiesz?!

- Idź precz. Wynocha z mojego snu! - zawołała płaczliwie i uspokoiła się, bo wydało się jej, że widzi komisarza, choć jednocześnie zastanowiło ją, że Niecko jakby zmałał. Pocziwiec. Zawsze może na niego liczyć. - Jurek...

- Nic jej nie jest - zagrzmiał męski głos.

- A krew?

Zjawa była nieustępliwa. Podniosła kołdrę i zaczęła ją obmacywać. Ohyda. Dorota nadludzkim wysiłkiem skoncentrowała się i z całych sił wierzgnęła nogą. Trafiła w coś twardego, od czego zabolą ją skaleczona stopa.

- O, cholera! Walnęła mi rurę. Można to popsuć? Gabryś, zrób coś. Moja ruuura!

\*

Nocna przygoda Cezarego zakończyła się dla niego szczęśliwie - oprócz dwóch dorodnych siniaków i jednego rozcięcia nie doznał poważniejszych uszkodzeń. Choć ranę trzeba było zszyc, czym zajęto się na ostrym dyżurze. Opatrzony trafił wreszcie do łóżka i przespał w nim równo osiem godzin. Obudził się przed

południem z poczuciem winy. To on się wyleguje w łóżku, a pod murami praca wre. Ledwie zdążył się ubrać, zapukano do jego pokoju.

Policja.

Dwóch panów poprosiło go o rozmowę - w jednym rozpoznał współpracownika Niecka, ale gdzie sam komisarz? Prawda, zapowiedział wczoraj, że zaczyna jakąś nową fuchę, ale Cezary nie wytrzymał i o niego zapytał.

Krępy mężczyzna, który przedstawił się jako Stanisław Dołęga, uśmiechnął się tajemniczo.

- Komisarz Niecko wypełnia ważną misję - wyjaśnił. - A waszą sprawę przejęła policja z Katowic i my jedynie pomagamy w wyjaśnianiu śledztwa, dlatego nie stawiliśmy się w komplecie. Ale komisarz prosił, żebym panu coś przekazał. - Podał mu złożoną reklamówkę.

- Ostrożnie. Podobno jest tam włos.

Składnie zeznań nie potrwało długo. Cezary opowiedział ze szczegółami o incydencie w celi brata Pawła, przekazał policjantom fiolkę po lekarstwach, którą upuścił napastnik, i to wszystko. Panowie sporządzili notatki, uprzejmie się pożegnali i poszli męczyć przeora. Cezary udał się więc do ogrodu.

Już z daleka stwierdził, że znowu musiało się coś wydarzyć. Na stanowisku trwali jedynie profesor i jeden ze studentów, dość spłoszony, ale wiernie wpatrujący się w Lesiaka, który przyjmował wyrazy podziwu z właściwym sobie zadowoleniem.

- Dariuszu, tak naprawdę przecięcie samochodowej opony jest niczym choćby w porównaniu z przecięciem pępowiny - perorował, otaczając studenta ramieniem. - Wystarczy zmienić perspektywę. Spróbujmy - nakłonił młodzieńca, żeby przykucnął. - Co widzisz?

- Nooo, teraz mam na to inne spojrzenie. - Student od razu pojął, w czym rzecz, choć Cezary skrzywił się i z ironią odpowiedział za Dariusza:

- Kupkę humusu. On widzi kupkę humusu.

- Cezarze! - zagrzmiał Lesiak, przenosząc wzrok z kopczyka ziemi na swojego pracownika: - Czym sobie zasłużyliśmy na podobne spłykanie? Przetrąciłeś nam właśnie pointę. My z



nowej perspektywy widzimy, że nie straszne nam cięcia.

- Zgadzam się z panem profesorem - przytaknął potulnie student.

- A nawet widzimy, że musimy odciąć się od cięć i pracować dalej. Ha! Witaj, tak poza tym... Nasz doktor Trębacz, upiorny realista. Z dnia na dzień coraz bliżej grobu! Ta śliwa na czole! Ten opatrunek! - Profesor przestał się bocyć i poklepał Cezarego po plecach.

- Pamiątka po pewnym spotkaniu - rzucił zdawkowo. - Coś was dzisiaj mało. Gdzie reszta?

- A tak. - Lesiak zakreślił się nieporadnie w miejscu, ale wbrew jego życzeniom zza drzew nie wyskoczył żaden z jego podopiecznych. - Zdematerializowali się. Jak się okazało, adepci archeologii są podszyci tchórzem. Z wyjątkiem Dariusza.

Dariusz skromnie zatrzepotał rękami.

- Wczoraj ktoś skradł narzędzia i poprzebijał wszystkim opony - przypomniał rezolutnie, widząc, że doktor Trębacz jest głodny wyjaśnień. - I moi koledzy stwierdzili, że to przez wykopaliska, bo dzisiaj jedna z dziewczyn zauważyła na swoim aucie napis: „Precz z klasztoru!”

- Dasz wiarę, Cezary? Truizm, po prostu truizm. No i nasi studenci wzięli nogi za pas. Pandemia. Nagle poczuli się chorzy i zgodnie zameldowali, że idą do lekarza. Wymyślili zatrucie pokarmowe. Z pomocą przyszła im salmonella, którą to mieli złapać podczas wczorajszej imprezy. A przecież archeologia wymaga poświęceń! - biadolił profesor. - O antropologii już nie wspomnę.

- Precz z klasztoru? - Cezary poprawił opatrunek. - To ja oświadczam, że będę pracował również jako nieboszczyk.

- Tak! I za to cię szanuję, stary druhu. - Lesiak uściśnął mu uroczyście dłoni. - Ale kto cię tak urządził, jeśli mogę spytać?

Historii o nakryciu intruza w pokoju brata Pawła Lesiak wysłuchał w napięciu. Student również, dlatego profesor zlecił mu szybko jakąś pracę i porwał Cezarego na przechadzkę. Nadstawił ramię i powiódł go w stronę szopy, która może i nie tworzyła wyśmienitej scenografii, ale zapewniała odrobinę

intymności.

- A ten napastnik nie miał czasem kinola jak purchawka? - zapytał profesor, kiedy Cezary zakończył opowieść. - Znowu ktoś gra nam na nosie. Jak nic pasowałby tu ogrodnik Zygmunt.

- Nie wiem. Facet był zamaskowany. Po głosie nie mogłem poznać, bo się nie odzywał. Ale... skurkowaniec wiedział, gdzie Paweł trzymał grabie. Jak po sznurku wsadził łapę za szafę. Może to on go zabił? Bo jeszcze ci nie mówiłem, że byłem u zakonnego lekarza. Ten zawał jest mało prawdopodobny. Brat Paweł miał serce jak dzwon.

- Znowu. Znowu zbrodnia! - Profesor wznosił ręce i potrząsał nimi z uczuciem, jednak dach szopy nie rozstąpił się, żeby ukazać niebios. Za to z szafy wyleciał tłusty mol.

- Zbrodnia. Po dzisiejszej nocy raczej nie mam złudzeń. A swoją drogą, ciekawe, czego ten człowiek tam szukał?

- Może przyszedł zatrzeć ślady?

- Może. Miał ze sobą fiolkę z lekarami. Upadła mu i potoczyła się w moją stronę.

- Jednak szkoda, Cezarku, że nie skorzystałeś z tej gaśnicy - wyraził ubolewanie profesor. - Powinieneś przejść jakieś szkolenie, niekoniecznie BHP. Tak, ojciec przełożony ma teraz wiele na głowie. Jak nie trup na wieży i włamanie do celi, to włoska łapówka.

- Ależ ci mafiosi mieli pociesznie skwaszone ryje, kiedy wychodzili z jego gabinetu - rozmarzył się Cezary, wspominając doniosłą chwilę. - Szkoda, że tego nie widziałeś. Myśleli, że ich pieniądze zostaną przyjęte po staropolsku. Chlebem i solą.

- No to im przeor posolił...

- Tak im posolił, że ich wypieprzył - zaśmiał się Cezary, a profesor razem z nim. - Płatni spageciarze w bolonezie ufajdani. Myśleli, że skoro cała Europa przyjmuje, to Polacy będą tacy sami. A my co?

- No, no... Cezarze, nie bądź taki bezkrytyczny. Mnie osobiście zdziwiło, że przeor odesłał Włochów z kwitkiem. Przyznam, że w kontekście szemranych interesów wiele

słyszałem i o naszych braciszkach. - Lesiak popatrzył dookoła, zupełnie jakby spodziewał się, że drewnianym ścianom wyrosną naraz uszy.

- Ale za rękę ich nie złapałeś.

- Biorąc pod uwagę wielość ich rąk i moją pojedynczą profesorską kończynę... To nie, nie złapałem. Zatem może lepiej wróćmy do mafii. Włoskiej, oczywista.

- Nabroili i przyszedli się podlizać - stwierdził Cezary. - I zdziwiłbyś się, ilu ich ziomków pałętało się po Jasnej Górze w ciągu wieków. Kręcili się tu jak po ruskim dworcu.

- Całkiem światowe klimaty - ocenił profesor, po tym jak Cezary zdał mu relację z wczorajszej nocnej lektury. - Ale uzasadnione, skoro w tamtych czasach Włosi brylowali w architekturze i sztuce. Jasna Góra to nie byle jaki kościółek, ale wtedy jedna z ważniejszych twierdz granicznych.

- Ale przyznasz, że to znaczące. Włoch projektantem, Włoch nadzorcą budowy... Plus ten ostatni. Buzzini i jego przysięga. Musieli tu coś schować, nie ma siły - zapalił się Cezary.

- I jeśli wziąć pod uwagę, ile się ostatnio w klasztorze wydarzyło, rzecz musi być bardzo cenna.

- Tak cenna jak Bruno? - Lesiak pociągnął żałośnie nosem na samo wspomnienie. - Albo jak choćby anioł na jego szacie? A właśnie, te anioły nie dają mi spokoju - przypomniał sobie. - Czy w tych klasztornych dziełach znalazłeś coś na temat bractwa? Mów zaraz. Odpytuję cię dzisiaj jak uczniaka, ale mów. Mów.

Cezary nabrał powietrza.

- Bractwo Aniołów Stróżów, jak zdradził przeor, powstało na Jasnej Górze w 1625 roku...

- Dobrze, ale jaki cel przyświecał tym ludziom?

- Zjednoczenie w modlitwie. Kult aniołów stróżów, odpusty, praca nad rozwojem duchowym. - Cezary wzruszył ramionami. - Zresztą mieli wiele okazji do rozwoju, bo co chwilę coś wymyślali. Nabożeństwa, zebrania brackie zwane schadzkami, spowiedź, procesje. Były też święta. Dużo świąt. Święto Filipa i Jakuba, Stanisława, Jana Chrzciciela, Piotra i

Pawła, Michała...

- Może już basta? - przystopował go Lesiak. - Uczyłeś się tego na pamięć?

- Nie, leciałem imionami kumpli z liceum. Akurat się zgrali.

- Chrzciela też tam mieliście? - Profesor przejrzał się odruchowo w szybie, bo właśnie wstał, żeby rozprostować kości. - Na marginesie... Jak oceniasz moje pasemka? Nie za jasne?

- Pasemka? - Cezary na moment poczuł się zdezorientowany. A, właśnie. Urządzali nawet samobiczowanie. Podejrzewam, że pasemkami, to jest pasami rzemiennymi.

- Hm, gdyby tak dyscyplinować naszych studentów... - westchnął tęsknie profesor i usiadł na siedzisku z worków kompostu.

- Do bractwa mógł wstąpić każdy, bez względu na płeć, stan czy wiek. Nawet zanotowałem dla ciebie formułkę przyjęcia, bo wiem, że lubisz takie rzeczy. - Cezary wygrzebał z kieszeni świstek papieru i wręczył go przejętemu koledze, który natychmiast wziął się za lekturę:

*- Aniołom swoim rozkazał co do ciebie. Żeby cię strzegli na wszystkich twoich drogach. Na rękach będą cię nosić. Żebyś swej stopy nie uraził o kamień. Pyszne! Panie, wysłuchaj...*

- Weź to sobie - powiedział pospiesznie, obawiając się, że Lesiak będzie deklamować bez końca. Przepadał za poezją, nawet liturgiczną. - Mogę dalej?

- Zamieniam się w słuch.

- Życzysz sobie, żebym wymienił znakomitości w szeregach bractwa?

- A ilu chłopców liczyła twoja klasa?

- Piętnastu. Znakomitości więc ci daruję. Powiem tylko, że towarzystwo uświetniali królowie, biskupi i ówcześni sławni i bogaci.

- Rozumiem, że członkowie łożyli na swoje zgromadzenie? - domyślił się Lesiak.

- A jak inaczej? Ale polityka pieniężna bractwa nas

interesuje w zupełnie innym sensie. W sensie odzieżowym, bo członkowie potrzebowali pieniędzy chociażby na brackie szaty.

- Stroje, jak miło...

- Uważaj. Podczas uroczystości występowali w białych płóciennych kapach. Na jednym z ramion mógł być wymalowany herb bracki lub monogram.

- Czyżby Bruno był jednym z nich? - zakrzyknął przejęty Lesiak.

\*

W Cafe Milano serwowano całkiem przyzwoite cappuccino i, co najważniejsze, Aldente spotykał tu rodaków. A na kontakcie z ojczyzną bardzo mu zależało. Każdego poranka raczył się więc w kawiarni śniadaniem, na które składał się rogalik i kubek aromatycznej kawy. Biesiadował w ten sposób aż do południa, dopóki w kościele pod wezwaniem Najświętszego Imienia Maryi nie zaczynały bić dzwony.

Wypadek zmienił te zwyczaje. Pokazywać się publicznie, kiedy Rico karmi go jak dziecko? To nie wchodziło w grę. Dzisiaj jednak przyszedł tu uczcić zdjęcie opatrunku ze stłuczonej ręki.

Zwrócono mu wolność!

Prawa dłoń nadal tkwiła w gipsie i mocno ograniczała samodzielność, ale nie był już całkowicie zdany na innych. Cappuccino sączone z filiżanki, którą trzymał własnoręcznie, smakowało wybornie.

Dzień był upalny, słoneczny. Aleje tętniły kolorowym tłumem, który niespiesznie przelewał się deptakiem. Gdyby nie Rico, poranek zapowiadałby się wręcz idealnie. Jego współpracownik nie potrafił jednak przez dłuższy czas usiedzieć w miejscu, co bywało irytujące.

- Słucham, co takiego chciałeś mi powiedzieć? - westchnął męczeńsko Aldente. Rico nieźle go wczoraj wkurzył. Namówił Dorotę do picia. - Tylko się pospiesz, powinienes już być w tartaku.

- Wiem, ale pomyślałem, że to cię zainteresuje. Chodzi o

twoją sprzątaczkę.

- Nie mam żadnej sprzątaczkki. Więc?

- Dorota dogadała się z policją - wypalił Rico i obserwował reakcję swojego rozmówcy.

- Wczoraj się sypnęła.

- Podczas libacji w kuchni?

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Wygadała się, że nas szpieguje. To nie była dobra wiadomość.

Rico nie zawracałby mu głowy głupstwami. Jeśli twierdził, że dziewczyna poszła na współpracę z glinami, z pewnością tak było. Zaklął więc okrutnie, a potem zaczął myśleć. A jeśli powiedzieli przy niej coś niepotrzebnego? Co za pech... Choć Dorota jak nikt zaspokajała jego potrzebę obcowania z pięknem, wiedział, że coś z tym fantem trzeba będzie zrobić. Odpowiadał za swoich ludzi, a tych nie zamierzał narażać dla spódniczki. Zresztą, zawsze można jedną spódniczkę zastąpić drugą.

- Dorota? - powtórzył w zamyśleniu. - Nasza złotowłosa i policja? A fe!

- Miej to na uwadze. Tylko bez rozwiązań ekstremalnych. Zakręć nią jakoś - podpowiadał Rico. - Chociaż chwilowo. Do przyszłego tygodnia zostało niewiele czasu.

- Przecież wiem. Ty dalej zajmuj się przygotowaniami, a ja wezmę Dorotę na siebie. - Aldente z przyjemnością spił piankę z kawy.

Rico zaciągnął się papierosem.

- Nie wiadomo - zachichotał. - Może woli być pod spodem.

\*

Kaczka może doprowadzić młodą i zdrową kobietę do rozstroju nerwowego. A już brak kaczki może spowodować u niej trwałą utratę zdrowia. Do takiego wniosku doszła Dorota, która objechała wszystkie sklepy mięsne w bliższej i dalszej okolicy, co utwierdziło ją w przekonaniu, że kaczki na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej musiały wyzdychać. Wracła więc do domu pokonana i przygnębiona.

Ewelinę dostrzegła przy ogródkach działkowych tylko

dlatego, że siostra ubrała bluzkę z tak wstrząsającą ilością cekinów, że mieszkańcy pobliskich bloków musieli chyba zaciągnąć żaluzje. Podjechała więc kilkanaście metrów dalej i zaparkowała. Ewelina oczywiście wtarabaniła się do środka.

- *Viva Italia!* Cześć, skwaszona - przywitała się, radosna jak szczygiełek.

- Cześć. Co tu robisz?

- Przyjechałam odbyć z tobą ważną rozmowę. O mafii włoskiej, którą ma zaszczyt reprezentować twój szef.

Wiadomość nie przebiła zaginionej kaczkę, ale sprawiła, że Dorocie już wszystko stało się obojętne. Pewnie i tak zostanie dzisiaj zwolniona. Na kolację poda co najwyżej parówki ciejące, bo ludziła się, że chociaż to potrafi przyrządzić. Chciała wiedzieć tylko jedno:

- Kto ci powiedział?

- Ty.

- Nie przypominam sobie.

- Przyszłam w nocy rozkopać grządkę, żeby sprawdzić kucharki - zaczęła szybko Ewelina, żeby jej przed czasem nie przerwano - i znalazłam w ogrodzie worek granatów, dwie wyrzutnie ręczne typu bazooka, dwadzieścia kałasznikowów, piętnaście karabinów snajperskich Air Soft coś tam, coś tam, dziesięć karabinków automatycznych wz. 96 MiniBeryl. I... dalej zapomniałam. Ale Gabryś będzie wiedział, on się zna.

Dorota zatrzepotała rżęsami.

- Jaja sobie robisz?

- Ależ i owszem, że sobie nie robię - zapewniła, poprawiając grzywkę, a cekiny efektownie oświetliły jej twarz, na której nie było już śladu zadowolenia. - Sama się przekonaj. Tylko potem posprzątaj, bo lepiej, żeby nie było widać, że grządkę rozwalaly w sumie trzy osoby. W tym Gabryś i ja. Saperką.

- Ewelina... Mówisz poważnie?

- A czyja wyglądam na osobę niepoważną? Mały, podręczny arsenał broni używany nawozem do róż. To masz w ogródku oprócz buldoga i fontanny. I jeszcze wiesz, że to mafia? Teraz ci powiedzieli czy kiedy przyjmowali cię do

pracy?

- Policja mi powiedziała.

- Po... Policja? - Ewelina mało się nie zakrzuszyła. - Czy nie czasem ten zdrajca Niecko? Ten, który nie życzył sobie mojej pomocy przy tropieniu przestępców?

- On też tam był, kiedy mnie werbowali.

- We... - Oburzenie Eweliny sięgnęło już zenitu. - I nic mi nie powiedziałaś? Mnie? Twojej siostrze?

- Julka uważa, że nie powinnaś się mieszać do takich spraw

- Dorota użyła koronnego argumentu, który okazał się chybiony.

- Pięknie! Wie o tym pół wsi łącznie z panem, wójtem i plebanem, a ja nie zostałam poinformowana. Takie jesteście? A mama i ciocia Czesia? Też należą do spisku?

- Nie wiedzą. I się nie dowiedzą, chyba że ty coś chlapniesz. - Dorocie zrobiło się duszno, mimo że miała na sobie spodenki i przewiewny top. Jak nakłonić kukułkę, żeby nie kukała? - Nie chcę, żeby się martwiły.

Ewelina zacisnęła usta.

- To nie jest zabawa w przestępców - Dorota przemawiała dalej. - Ja się dobrze nie bawię. O szóstej rano szorowałam cały parter. Domestos zniszczył mi tipsy, a tyłek mam cały spuchnięty, bo zdobywałam próbkę DNA. Nie tyłkiem. Podstępem. I aktualnie się zastanawiam, czy za brak kaczkki nie zostaną przykładowo rozstrzelana w salonie. Więc jeśli zamierzasz się obrażać, nie pozostaje mi nic innego, jak wywalić cię z nie mojego samochodu. *Viva Italia!*

\*

Chyba kojarzyli się już przeorowi z kłopotami. Widząc ich w refektarzu, uklonił się, ale pewnie usiadłby przy innym stoliku, gdyby nie interwencja Lesiaka. Był niemal gotowy klękać na posadzce, co przeor widocznie zrozumiał, bo zmienił zdanie i odsunął krzesło.

- Mam prośbę - przeszedł do konkretów, jak tylko się usadowił. - Do pana Cezarego. Proszę nie rozpowiadać w



klasztorze o moim spotkaniu z Włochami. A zwłaszcza o ich...

- Darze - uprzejmie dopowiedział Lesiak.

- Niepotrzebnie o tym panu Cezaremu powiedziałem. A on to puścił dalej. - Przeor spojrzął na sączącego herbatę bruneta z widocznym żalem. - To stwarza niezdrową atmosferę. Rodzi plotki.

Dlatego był nie w sosie!

- Bardzo ojca przepraszam. - Cezary stanął na wysokości zadania. - Wyrwało mi się w bibliotece.

- Mam nadzieję, że w dobrej wierze. Dobrze. Zapomnijmy o tym. - Paulin rozpogodził się i już normalnym tonem zapytał: - A jak samopoczucie po wydarzeniach dzisiejszej nocy?

- Już lepiej, dziękuję.

- Wystarczyła rozmowa z przyjacielem. - Lesiak objął Cezarego czułym spojrzeniem. - A rozmawialiśmy o Bractwie Aniołów Stróżów. I o Włochach. Nie! - zareagował, widząc, że przeor zaczyna się znowu niecierpliwić. - Nie o tych Włochach, ale o tamtych. O budowniczych i artystach włoskiego pochodzenia, którzy z tego świętego miejsca zrobili... to święte miejsce. Czy ojciec może nam powiedzieć, kto to jest Buzzini?

- Jakub Antoni - uzupełnił Cezary.

- Giacomo Antonio - poprawił go przeor. - Tak, to Włoch. Był wykonawcą architektonicznej części prac ołtarza w bazylice. W archiwum naszego konwentu mamy nawet dokument sygnowany jego nazwiskiem. Siedemnasty wiek.

- Czy ojciec podzielił się z nami tajemnicą fortyfikacyjną, o której wspomina Buzzini? - zapytał bezceremonialnie Lesiak i podał paulinowi cukiernicę. - Bo kto jak kto, ale ojciec z pewnością ją zna. Sądzę, że to położyłoby kres tym nieszczęsnym wydarzeniom, jakie się tu ostatnio rozgrywają.

- Nie słodzę, synu. Dziękuję. A co do tajemnicy... - Przeor uśmiechnął się sceptycznie. - Sądzę, że taka przysięga była zasadna, tylko jeśli chodziło o ewentualne zdradzenie szczegółów budowy twierdzy obcym wojskom. Nie

węszyłbym w tym sensacji.

Cezary i Lesiak starali się nie okazywać rozczarowania, ale było ono dla przeora aż nadto widoczne, więc żeby ich pocieszyć, wyznał:

- Podczas mojego wieloletniego pobytu w tych murach zetknąłem się tylko z jednym tajemniczym zdarzeniem. A nawet nie zetknąłem się osobiście, tylko mi o nim opowiedziano. Otóż podczas budowy drogi krzyżowej, a był to rok 1913, zaginęło tu dwóch rzeźbiarzy. To była, zdaje się, czternasta stacja. O, proszę, wasz bastion. Bastion św. Trójcy. Robotnicy podobno przyszli jak zwykle do pracy, stawiali pomnik i nagle jak kamień w wodę. Przepadli. Do dzisiaj ich nie znaleziono.

\*

Cezary mieszkał pod jej dachem zaledwie kilka chwil i chociaż to niemożliwe, Julka zdążyła się do tego przyzwyczaić. A przynajmniej zdążyła się przyzwyczaić do myśli, że mogłaby dzielić swoją powierzchnię życiową z mężczyzną. Ale teraz w całym domu panowała wręcz nieznośna cisza, tak nieznośna, że Julce odechciało się nawet urlopu. Gdyby pracowała, nie musiałyby się zastanawiać, gdzie teraz jest Cezary i co się z nim dzieje. Od wczoraj nie dawał znaku życia.

Tego się obawiała.

Władował się jej do życia i stał się jego częścią.

Tłumaczyła sobie, że zakochanie jest jak katar i po prostu mija, ale nic z tego. Perswazje nie pomogły, więc spróbowała starego sposobu: zabrała się za podlewanie trawnika. Telefon zadzwonił, kiedy walczyła z gumowym węzłem.

- Cześć, mogę mieć do ciebie prośbę? - Dorota zaczęła od pytania, od którego innym razem Julka by ścierpła, ale nie dzisiaj. Dzisiaj podjęła wyzwanie. Nie będzie cały czas grzebać gwoździem w otwartej ranie, czytaj: nie będzie analizować swojej znajomości z Cezarym.

- Możesz mieć niezliczoną liczbę prośb.

- A skołujesz mi kaczkę? Na zaraz. Natychmiast.

- Żywą czy zdechłą? - Julka wychowana w duchu

kulinarnym za bardzo się nie zdziwiła.

- Jestem tak zdesperowana, że może być nawet żywa. Martwych nigdzie nie mogę dostać. Objechałam całe miasto i nic, a kaczkę mieć muszę. Muszę! Jeszcze chwila, a zacznę zaglądać ludziom do ogródka i wołać „taś, taś”.

- Mam kureę, nawet taką dorodną, więc spokojnie możesz udawać, że to kaczka - Julka starała się mówić powoli, żeby opanować śmiech. - Wystarczy ją odpowiednio przyrządzić.

- Ty chyba naprawdę mnie przeceniasz.

- Przecież mama z ciocią ci pomagają.

- Postanowiłam... nauczyć się gotować - Dorota bąknęła niewyraźnie. - Nawet kupiłam książkę kucharską, ale marnie to widzę. Zaczynać naukę od kaczki? To tak jakby mrówce kazać przyrządzić befsztyk ze słonia. Zaczynam w sobie wątpić.

Julka zaniemówiła. Cóż takiego musiało się wydarzyć, że Dorota podjęła decyzję, której wyczekiwała cała rodzina? Ewelina opowiadała jej o wspólnym przyrządzaniu spaghetti i o jakimś incydencie z pistoletem, ale nic nie można było z tego zrozumieć. Liczyła, że Dorota coś wyjaśni, ale nic z tego. Kaczka przebiła wszystko inne.

- Kaczkę! Skołuż mi kaczkę. Proszę, proszę, proszę - zawodziła.

- A ciocię pytałaś?

- Czemu akurat ciocię?

- Ja bym spróbowała. Ona wiele może.

Równo dwie minuty później zadzwoniła Ewelina. Chyba miała podobny problem, tyle że raczej z branży wieprzowej, bo również bez żadnych wstępów oznajmiła:

- Świnia!

- Ty też? Czy ja jestem zakład uboju zwierząt? Aktualnie na stanie mam jedynie korniki.

I tu, prawda, wołałabym je w postaci małych trupów. Ale świni ani jednej. A co, Gabrys sobie zażyczył?

\*

Po rozmowie z przeorem udali się na mały rekonesans.

Zaczęli od Kaplicy Serca Pana Jezusa, zwanej też Kaplicą Aniołów Stróżów, gdzie jeszcze raz przyjrzeni się obrazowi przedstawiającemu archanioła Michała. Lesiak marszczył brwi, przemierzał kaplicę i coś do siebie pomrukiwał, aż swoim ekscentrycznym zachowaniem wypłoszył przyglądającą mu się z obawą staruszkę.

- Czy mnie się wydaje, czy archanioł Michał jest patronem żołnierzy? - Pociągnął Cezarego na ławkę. - Między innymi, bo również pielgrzymi skrywają się pod jego opiekuńczymi skrzydłami.

- Ty, buddysta, wiesz, kim był archanioł Michał? - Cezary wyraził swoje uznanie.

- Buddysta nie znaczy ignorant. Ani fanatyk. Anioły to symbole piękna, czemu miałbym się nimi nie interesować?

- Patron żołnierzy, powiadasz?

- Żołnierzy, a nawet policjantów. W tym Jureczka.

- Czy to może mieć jakieś znaczenie?

- Nie wiem, nie wiem. - Lesiak znowu zaczął się przechadzać. - Próbuję głośno myśleć. Czy to nie zastanawiające? Bractwo Aniołów Stróżów bierze sobie na patrona opiekuna żołnierzy. A w chwilę potem zalewa to święte miejsce potop szwedzki.

- Nie zrobisz z nich chyba templariuszy?

- Próbuję jedynie dowodzić pewnych faktów zgodnie z zasadami niezawodnej nauki, logiki. I właśnie logika każe mi się zastanawiać nad kolejną zagadkową kwestią. Chodzi mianowicie o Buzziniego. Ciekawe, czy zwróciłeś uwagę... Czemu facetowi, który wybudował ołtarz, każe się składać przysięgę dochowania tajemnicy fortyfikacyjnej?

Udało mu się, Lesiak zabił Cezaremu gwoździa. Że też sam na to nie wpadł.

- O, cholera!

- Cezarku, przez szacunek do wiary, jaka by ona nie była, mityguj się - upomniał go. - No, co powiesz? Architekt ołtarza i przysięga fortyfikacyjna. Ha! I przeor wmawia nam, że nie ma żadnej tajemnicy.

- Lesiak, stary draniu! - Cezary zerwał się uradowany z

miejsca.

- Logika, pamiętaj. Logika nas wyzwoli!

- To może powinniśmy obejrzeć ołtarz Buzzinięgo dokładnie? Może tam coś jest? Jakies zejście do podziemi?

- Poczekaj - Lesiak ostudził zapal przyjaciela. - Dokończmy najpierw tu, w siedzibie bractwa. Znajdujemy się na piętrze, tak? O ile się nie mylę, pod spodem jest jakieś pomieszczenie. Sprawdźmy to...

Wyszli na zewnątrz i z powagą należną miejscu dostojnie pokonali schody, choć najchętniej by po nich zbiegli. Tyle że wtedy zwróciliby na siebie uwagę. Na Jasnej Górze było dziś wyjątkowo gwarnie, jak zwykle przed piętnastym sierpnia.

Pod Kaplicą Aniołów Stróżów znajdowało się kolejne miejsce kultu. Nie zauważyli go wcześniej, bo z zewnątrz wyglądało raczej na piwnicę. Leżało poniżej poziomu głównej sali, a prowadziły do niego niewielkie schodki.

- Proszę! - Lesiak stał już przy bogato zdobionych drzwiach wiodących do pomieszczenia. - I wcześniej to zignorowaliśmy. A tu też jest kaplica.

- Kaplica św. Relikwii, XVII wiek - odczytał Cezary i dołączył do Lesiaka.

Niestety musieli obejść się smakiem. Sala była zamknięta i nie zajrzeli do środka, mimo że furtkę wykonano z metalowych prętów. Widok zasłaniała płachta materiału, zza której dolatywało jedynie przejmujące zimno, co w dni takie jak dzisiejszy było nawet przyjemne, acz skutecznie uniemożliwiło im rozpoznanie terenu.

- A panowie czego szukają? - usłyszeli nad sobą głos i odwrócili głowy.

Przy schodach stał strażnik w niebieskiej marynarce i nie wyglądał na kogoś, kto chciałby sobie uciąć historyczną pogawędkę.

- Witamy! Ogromnie się cieszę, że pana spotykam. - Profesor wyprysnął w górę i z radością zagadał do mężczyzny jak do dawno niewidzianego przyjaciela. - Profesor Leon Lesiak, Katedra Antropologii Uniwersytetu Wrocławskiego. A to mój współpracownik, doktor Cezary Trębacz z Katedry

Genetyki Uniwersytetu Śląskiego. Prowadzimy prace pod murami.

Mężczyzna spuścił nieco z tonu, surowe spojrzenie jego oczu złagodniało. O wykopaliskach oczywiście słyszał, raz nawet zaszedł do ogrodu z kolegami, żeby popatrzeć, co się tam wyrabia, ale rozgrzebana ziemia nie stanowiła żadnej atrakcji.

- Kazimierz Pośpiech. Nie z katedry, ale stąd. W katedrze na Krakowskiej też kiedyś pracowałem, ale to nie to, co tu. - Wyprężył się z dumą i zsalutował. - Straż Maryjna.

- Bardzo nam miło - Lesiak nie ustawał w roztaczaniu czaru. - Czy zechce nam pan pomóc w projekcie naukowym?

Mężczyzna roześmiał się zmieszany.

- Ja? W czym ja mogę pomóc?

- Może pan, może. Chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć o tej sali. - Pokazał na kaplicę.

- Tam jest remont. A nawet jak nie ma remontu, tam się nie wpuszcza wiernych. Tylko raz w roku, na Wszystkich Świętych jest odprawiana w kaplicy msza.

- Ależ dlaczego? - profesor włożył w pytanie tyle żalu, że strażnik niemal poczuł się winny.

- Kiedyś urzędowały tu bractwa. To od aniołów i od różańca, a teraz wszystkie ściany są wyłożone cennymi relikwiami. Nie można. To tak jakby wchodzić do cudzego grobu. Długo by wymieniać, jest tu tego kilkaset - strażnik ciągnął zadowolony z zainteresowania, jakie wzbudzały jego słowa. - Relikwie świętego Walentego w postaci ręki, relikwie świętych męczenników Honorata i Kandyda...

- A jeśli dostaniemy zgodę przeora? - zapytał już przytomnie profesor. - Wpuści nas pan wtedy?

- Wtedy, wiadomo.

- Panie Kazimierzu, a kiedy powstała ta kaplica? Wie pan?

- Pewnie, ja o Jasnej Górze wiem dużo. Tyle się tu siedzi, tyle wycieczek oprowadza, że człowiek zawsze coś tam usłyszy i zapamięta. Powstała w 1625 roku, jako jedyna jest wykuta w skale. Zresztą widać, że leży w dole.

Pan Kazimierz stwierdził, że kompletnie nie rozumie uczonych. Najpierw profesor, niby starszy, a dziwnie uczesany

pan, zaczął go z zapamiętaniem ścisnąć, a potem ściskali się nawzajem z tym młodszym. Ucieszeni jak dzieci. Aż zrobiło mu się głupio, bo ludzie zaczęli im się podejrzenie przyglądać.

- Najdroższy strażniku. - Profesor znowu zbliżył się na niebezpieczną odległość, więc pan Kazimierz przeczornie postąpił kilka kroków do tyłu. - Nawet nie wie pan, jak jesteśmy panu wdzięczni!

- Za co?

- Za przełom. Wykuta w skale. W skale! O, niebiosa...

\*

Jak się można było domyślić, przeor na prośbę zareagował nieco nerwowo.

- Ale teraz tam chcecie wejść? W kaplicy prowadzony jest remont. A wy, zdaje się, macie do wykonania prace. Pod murami.

- Ale jaki remont? - Lesiak uśmiechnął się z wdziękiem. - Tam nikogo nie ma.

- Was też nie ma na stanowisku, pozwolę sobie zauważyć. - Paulin starał się być uprzejmy, ale już go trochę poznali. Tłumił rozdrażnienie.

- Tak, nie ma nas, bo jesteśmy tu.

- Panie profesorze, czy pan nie rozumie? - przestał w końcu udawać i przemówił głosem kategorycznym: - Wszędzie was pełno, we wszystko się wtrąacie. Tak dalej być nie może.

Do Kaplicy św. Relikwii was nie wpuszczę i koniec. Bardzo mi przykro. Zajmijcie się tym, co do was należy. I nie sprawiajcie więcej kłopotów.

Lesiak po raz kolejny zaskoczył dziś Cezarego. Po prostu wstał, uklonił się i wyszedł z gabinetu dumny i blady. Nawet nie drgnęła mu przy tym powieka. Obyło się bez przemówień, łkań i rwaniasz. Cezary ruszył w jego ślady, poważnie zaniepokojony.

- Trzeba mieć swoją godność - Lesiak oznajmił na korytarzu. Nie, nie mam mu za złe.

To było do przewidzenia. Od początku zastanawiałem się, jak

długo przeor pozwoli rozkwitać naszemu naukowemu zapalowi.

Cezary również przeczuwał, że sprawy przyjmą podobny obrót. Faktycznie, jako nadzorujący prace archeologiczne mocno dawali się przełożonemu we znaki.

- Ale że ty go nie przekonywałeś, nie namawiałeś i nie urabiałeś poetycko - pozwolił sobie względem kolegi na szczerość - to się dziwię. A nawet trochę się o ciebie martwię.

- Nie jestem idiotą, mój drogi. Myślisz, że Kościół byłby dziś potęgą, gdyby tworzyli go ludzie niedyskretni? Oni mają swoje tajemnice, których nikomu nie zdradzą, bo i z jakiego powodu. Rozumiem. Rozumiem i... Niech chuchają na relikwie, ich prawo. Ale jeśli w tej kaplicy zaczyna się tunel biegnący do naszego stanowiska, a wszystko na to wskazuje...

- Tunel! Tunel! - skandował podekscytowany Cezary.

- To po co kuć w podłodze kaplicy, gdzie wszyscy, łącznie ze strażnikiem Kazimierzem, będą nam patrzeć na ręce?

- W sumie racja. Pomijając szczegół, że nikt nie pozwoliłby nam tam niczego kuć - dodał ze smutkiem.

- Pomijając. Jednak nie upadaj na duchu. - Profesor prowadził go czule przed ołtarz. - Nie zostawimy naszego tunelu samopas, Na pewno coś wymyślimy, Cezarku. Wykopaliska czekają, przeor dobrze mówi. Ale zanim do nich powrócimy, rzućmy jeszcze okiem na dzieło Buzziniego. Może porcja barokowej obfitości poprawi nam humory.

I rzeczywiście. Kiedy Lesiak stanął w bazylice, zaczął rozplýwać się z zadowolenia tak bardzo, że jeszcze chwila, a zostałyby po nim jedynie kałuża. Podobało mu się tu niemal wszystko. Wręcz nie wiedział, gdzie patrzeć, chociaż był w tym miejscu wiele razy. Kręcił głową do góry, na boki, wyciągał przed siebie dłonie i układał je, jakby robił zdjęcie. Podchodził bliżej i znowu się oddalał. Trwało to dobrych kilka minut.

- Popatrz - nachylił się wreszcie poufale nad Cezarym i zbierał się do wygłoszenia wykładu, pokazując na poszczególne fragmenty świątyni. A było co podziwiać. Wnętrze porażało. Nie tylko strzelistością, ale bogactwem



ornamentów. Sklepienie pokrywała dekoracja stiukowa i wielobarwna polichromia, a ołtarz przedstawiający Wniebowzięcie Matki Bożej był dopełnieniem tego monumentalnego dzieła. - Widzisz te jaskrawe i celowe sprzeczności? Realność i pozór, moc i niemoc, pompa i asceza...

- Ascezy w tym nadmiarze jakoś nie widzę - mruknął Cezary, który zaczynał już przestępować z nogi na nogę. Szczerze mówiąc, wolałby wrócić do rozważań o podziemnym korytarzu, bo przecież fakt, że Kaplicę św. Relikwii wykuto w skale, na pewno nie pozostawał bez znaczenia.

- Jak to? A surowy kamień, z którego wykonano ołtarz? Toż to samo sedno wiary, czysta forma, pamięć o początku.

- Lesiak, czyja muszę to znosić? - zdecydował się nie ukrywać prawdy, choć aniołki patrzyły na niego ze wszech stron jakby krytycznie. - Może streść się po prostu. Barok.

Piękne to, nie przeczę, ale nie trzymaj mnie tu przez najbliższe trzy godziny. Amorki, ewangeliści, złoto aż kapie i tak dalej. Przejdźmy do celu tej sympatycznej wycieczki, co?

Profesor zmroził go spojrzeniem.

- Jakiś ty zimny, Cezarze. I jaki bezwzględny.

- Przy tak gorącym chłopie jak ty odrobina racjonalnego chłodku nie zaszkodzi. No, jedźmy z tym Buzzinim, bo łeb mi pęka - ponaglił go, dotykając opatrunku.

- Zatem... jedź z Buzzinim, cokolwiek ma to oznaczać. Chętnie popatrzę - profesor rzucił zły, że nie pozwolono mu w spokoju obcować ze sztuką.

- Pojechałbym, nawet bardzo chętnie, ale popatrz na te tłumy wskazał na spacerujących pielgrzymów. - Przecież nie wyciągnę teraz łomu i nie popukam w ołtarz. Nie kiedy dookoła tylu świadków.

- A zamierzałeś popukać?! - zakrzyknął wzburzony profesor. Nie pojmował. Szacunek dla historii i wartości był dla niego rzeczą najwyższej wagi.

- Ty, taki poeta i estetyk, nie pojmujesz metafory?

- Popukać w ołtarz. Metafora! O, panie Kazimierzu! - zawołał na przechodzącego obok strażnika. - Mogę pana

jeszcze o coś zapytać?

Strażnik nieco się w sobie skurczył, ale dzielnie zawrócił.

- Tak?

- Co przedstawia górna kompozycja rzeźb, tam przy szczycie sklepienia?

- Bóg Ojciec i Syn Boży w promieniach Ducha Świętego. Czyli po prostu Trójca Święta

- wyklepał formułkę pan Kazimierz i czym prędzej czmychnął, bo zorientował się, że profesor znowu zamierza ukołysać go w ramionach.

- Dalej twierdzisz, że to bez sensu? - zagrzemiał Lesiak, popatrując na Cezarego z triumfem. - To jest wskazówka. Buzzini zawarł w swoim dziele wskazówkę! Gdzie należy szukać rozwiązania? W Bastionie św. Trójcy.

Cezary lekko się skrzywił. Logika ma ich podobno wyzwolić.

- Jak się dobrze rozejrzysz, zauważysz, że wszędzie dookoła są same święte trójce, a aniołów pasie się tu tyle, że chyba tylko w Watykanie lata ich więcej. Przesadzasz.

- Metafora! - znowu uniósł się Lesiak. - Anioły się pasą... Puknąć w ołtarz... Idźmy, bo nie zniosę dłużej tej męki.

Zanim dotarli na dziedziniec, podwładny profesora dowiedział się, jaka jest różnica pomiędzy środkiem poetyckim a dobrym smakiem. Tyrada była naszpikowana pytaniami retorycznymi i odwołaniami do etyki tak bardzo, że widok faceta, który kręcił się pod Salą Ojca Kordeckiego z szybą w rękach, niemal Cezarego wzruszył.

Choć na chwilę odsapnąć!

Nawiązać rozmowę, choćby przypadkową, ale z kimś normalnym...

Facet w stroju robotnika również się ożywił. Popatrzył na niego jak na długo wyczekiwanego znajomka i skinął głową:

- Szeffie, pomoże mi pan? Potrzyj pan szybę? Boję się ją zostawić bez opieki, a muszę skoczyć do auta.

- Nie ma sprawy. A za ile pan wróci?

- Chwilunia!

Lesiak w końcu zamilkł i pożegnał się, bynajmniej nie wylewnie. Pod murami od dłuższego czasu czekał złakniony

towarzystwa profesora student. Cezary odetchnął.

Wreszcie upragniona samotność.

Pikanie telefonu zmąciło jednak tak mile zapowiadającą się regenerację psychiczną. Najpierw ocenił, czy kostka brukowa nie zaszkodzi szybie, potem oparł ją o ścianę budynku, nie tracąc z nią jednak kontaktu cielesnego - jedną rękę miał przecież wolną. Dzwoniła Julka.

- Witanko, rudowłosa - rzekł ze smakiem.

- Cześć - odpowiedziała mu jakoś tak ciepło, że bezwiednie zaczął głaskać szklaną powierzchnię i pieszczotliwie kreślić na niej esy-floresy. - Czy mógłbyś mi pomóc?

- Służę. A o jaką pomoc chodzi?

- Komunikacyjną. Dorota potrzebuje kaczki i w związku z tym samochodu. Poprosiła, żebym ją podwiozła, bo Włosi zabrali jej samochód, bo oni się zmieniają...

- Nie ma sprawy - wszedł jej w słowo, kojarząc rzeczoną kaczkę z owalnym przedmiotem znajdującym się pod łóżkiem każdego oddziału urologicznego. Ale dlaczego potrzebowała jej Dorota? I jaki miał z tym związek samochód?

- A w mojej alfie wykończyłam pilota - paplała wesoło Julka. - Wcisnęłam guzik i tak został, i padł, i... To jak?

- Podwiozę was, jasne. Kiedy?

- Z tą kaczką to jest dosyć paląca potrzeba.

- Małe pytanie. Nie żebym nie chciał pomóc, ale czy Dorota musi akurat do kaczki? Bo rozumiem, że kulturalny kibelek odpada. Nie może iść w krzaki? Tam przy murze na przykład, gdzie chowacie drabinę. Nie byłoby dobrze?

\*

Miał seksowną szyję.

I uszy.

Małe jak na faceta, ale dlatego słodkie.

Julka dostała klekotu serca i obu rąk, gdy tylko wsiadła do auta i zobaczyła Cezarego. Na szczęście ciocia Czesia zajęła miejsce z przodu i przez całą drogę opowiadała o swoim narzeczonym. Tak go nazywała. Narzeczony. W słowach cioci

pobrzmiwało tyle dumy i czułości, że Julka poczuła wzbierającą zazdrość. Ale kiedy usłyszała najświeższą nowinę, uśmiech zszedł jej z twarzy zupełnie jak makijaż pod koniec dnia.

Ciocia wyprowadza się ze Sportowej.

Postanowiła zamieszkać w wynajętym mieszkaniu z mężczyzną jej życia. Tymczasowo. Dopóki mężczyzna nie uwije dla nich nowego gniazdka. Stare mieszkanie zamierzał sprzedać- ciocia chciała neutralnego miejsca, żeby oboje czuli się jak u siebie. Pogratulować rozmachu. Niektórzy zaczynają nowe życie nawet około sześćdziesiątki, a Julka co?

Miała już swój dom, fakt.

Tyle że z mężczyzną życia było kiepskawo...

- Z tą kaczką zrozumiałem zupełnie na opak - przyznał się z uśmiechem Cezary.

Śmigał beztrąsko trasą, która wiodła przez zieleniejące pod chmurami pola, i wyglądał na irytująco z siebie zadowolonego.

- Bo cała ta kaczka jest na opak - rzuciła Dorota. - Na szczęście ciocia ma tę swoją drobiową koleżankę. Może jednak nie będzie tak źle.

- Będzie cudownie - burknęła mama wciśnięta na tylnym siedzeniu pomiędzy swoje dwie córki. - Włosi zarażą się kaczą grypą i to będzie ich ostatni posiłek.

Pomysł, żeby z kaczką zwrócić się do cioci, okazał się trafiony. W Olsztynie pod Częstochową mieszkała jej znajoma, która prowadziła gospodarstwo rolne podobno pękające od kaczek i innego ptactwa. Wystarczyło do niej przedzwonić i ustalić szczegóły. A że ciocia dawno swojej kumy nie widziała, zabrała się do Olsztyna razem z Dorotą. Mama ani myślała odpuścić. Już i tak czuła się przegrana w związku z planowanym zameściem siostry.

W sumie nieźle się złożyło i dla Julki. Lepiej patrzeć Cezaremu w kark, niż rozmyślać, gdzie on się z tym karkiem podziewa. Temat przeprowadzek dobiegł końca, mama już się usadowiła i przestała je przyciskać do drzwi, Julka mogła zacząć wreszcie cieszyć się wycieczką.

Lubiła Olsztyn i jego okolice.

Miasteczko z wyrastającym z wapiennych skał zamkiem kojarzyło się jej z wiatrem, relaksem i lodami w rynku, które zawsze były obowiązkowym punktem programu. Jak każda baba w rodzinie przyjeżdżała tu najpierw na wagary, potem na pierwsze randki. Gdyby kamienie umiały mówić, Jura aż huczałaby od plotek, zwłaszcza tych nieprzyzwoitych, bo nie tylko Julka obściskiwiała się pośród ostańców. Widywano tu wiele par, ruiny zamku wywierały wręcz magiczny wpływ na zakochanych. Zwłaszcza latem.

W Olsztynie romantyzm po prostu wisiał w powietrzu i już.

Serce miasteczka stanowił schludny rynek w kształcie prostokąta, na planie którego ustawiono zaledwie kilka, ale za to miłych dla oka budynków. Były tu sklepy, bank, poczta, urząd gminy i fryzjer. Julce najbardziej podobała się ocieniona arkadami kamienica Gminnego Ośrodka Kultury, którą ozdobiono tutejszym wapieniem.

Zaparkowali przy obsadzonym drzewami placu. Cezary jakoś się nie palił, żeby asystować przy wyborze kaczki, Julka również. Ciocia, mama i Dorota poszły więc w stronę Kościelnej, a oni mieli chwilę dla siebie.

- Co robimy? - Brunet wyszedł z auta i otworzył przed nią drzwi.

- Może oprowadzę cię po miasteczku?

- A poza zamkiem jest po czym oprowadzać?

- Kochany! Choćby ulica Kühna. - Pokazała na prawo. - Prowadzi w stronę przepięknych Sokolich Gór, w liceum złąziłam je wzdłuż i wszerz. Bajka, mówię ci. Ale najpierw...

- Ujęła go pod ramię, do którego niemal się przykleiła. - Ruchoma Szopka Olsztyńska. Prowadzi ją pan Jan Wewiór, niesamowita postać. To on zrobił siedmiometrową rzeźbę anioła stróża przy drodze, bo anioł jest patronem miejscowości... Coś się stało?

Cezary zamienił się w bezwolną kukłę. Wpatrywał się to w Julkę, to w zielono-białą chatkę, która przycupnęła przy ulicy, zupełnie jakby pochodziła z innych czasów. Przykryta czerwoną dachówką odznaczała się na tle zwykłych budynków nie tylko kolorystyką, ale i wykończeniem. Drewniane ściany ozdobiono

ornamentami kwiatów tak, że przypominały ludową wycinankę. Pod okapem natomiast wisiały... anioły. Czerwone, zielone, niebieskie. W kropki, w ciapki, do wyboru, do koloru.

- Co mówisz? Co widzę? Co...? I co z tymi aniołami? Czemu anioł patronem? - Cezary bredził jak w gorączce.

Chatka była uroczą, ale żeby wywierała aż takie wrażenie?

- Powinam chyba twoje pytania notować, bo połowy od razu zapomniałam. Marna ze mnie stenotypistka. Możesz powtórzyć jeszcze raz?

- Nie wiem.

Przy wstrząsie najlepiej zająć pacjenta czym innym. Pozwolić mu dojść do siebie. I nie naciskać. Choćby przyczyna wstrząsu była dla terapeuty zagadką.

- W porządku. Pogadasz z panem Wewiorem i wszystkiego się dowiesz. Chodź. Do ciebie to chyba trzeba mieć... anielską cierpliwość.

\*

Gdy tylko kumple z CBS dali Nieckowi cynk, że Aldente prowadzi w Olsztynie tartak i fabrykę mebli, komisarz wiedział, co należy robić. Skoro zostali oficjalnie wyłączeni ze śledztwa, a on nie miał żadnych pilnych spraw do zamknięcia, czemu nie miałyby się rozejrzeć. W trakcie rozglądania wpadł na szalony pomysł (chyba mu się udzielało od Doroty i całej jej rodziny).

Zatrudni się tam.

Choćby jako nierozgarnięty drwal czy stolarz, obojętne.

Hałas było słychać już na początku ulicy. Piły cięży drewno z nieznośnym piskiem, buczały suwnice, a wózki widłowe terkotały jak oszalałe. Dookoła unosił się zapach żywicy i drobny puder drzewny. Po dniu pracy w takich warunkach człowiek sam obraca się w trociny. Niecko ze współczuciem pomyślał o ludziach, którzy mieszkali w pobliżu. Po zastanowieniu minął bramę tartaku i skierował się w stronę sąsiadującej z nim posesji, gdzie na jednym z budynków widniał szyld: CASA ITALIA - MEBLE WŁOSKIE.

Szcześnie mu sprzyjało.

Ledwie przekroczył teren zakładu, przy wiacie natknął się

na dwóch mężczyzn badających z niewesołymi minami wnętrze tira. Volvo - z zadowoleniem stwierdził Niecko i pomyślał o swoim ojcu, mechaniku, który pracował kiedyś w tej firmie. Staruszek często znajdował w synu jedyne rozmówcę i opowiadał mu o hydraulice, maksymalnych momentach obrotowych i innych subtelnościach motoryzacyjnych. Historyjki zastępowały Nieckowi bajki i po kilku latach okazało się, że w temacie naprawy samochodów nie miał sobie równych. Chyba tylko przypadek zdecydował, że został policjantem.

- Dzień dobry, coś nie tak? - zagadał uprzejmie, choć starał się nie sprawiać zbyt inteligentnego wrażenia.

Popatrzyli na niego dość wrogo.

- Wszystko gra - odpowiedział wąsaty i splunął na trawnik.

- Mogę rzucić okiem? Volvo dobra marka, ale swoje wady ma.

- Nie spieszysz czegoś bardziej?

- Zaraz się zobaczy, co tu słychać. - Niecko zakasał rękawy i przystąpił do oględzin.

Po dziesięciu minutach w tirze pogasły wszelkie kontrolne lampki, a wąsaty poklepywał go po ramieniu jak dobrego kumpla. Auto było gotowe do drogi. Barczysty dryblas, który wyszedł z biura, również się zdziwił. I wtedy już tylko wystarczyło nadmienić, że w zasadzie zaszedł tu, żeby poszukać pracy.

Nawet nie przypuszczał, że tak łatwo pójdzie. Już po pół godzinie, kiedy załatwił z sekretarką papierkowe formalności, wręczono mu roboczy kombinezon. Został drugim mechanikiem samochodowym. Pierwszy mechanik popatrywał na niego niezbyt przyjaźnie, ale w końcu przestał się dąsać i nawet zaproponował Nieckowi piwo.

Szybko okazało się, że przyznany mu w umowie o pracę tytuł był tylko umowny. Każdy robił to, co akurat trzeba było zrobić. Rankiem komisarz posprzątał hangary służące za garaże, po południu sortował palety. Wreszcie nie musiał nigdzie pędzić, nikogo przesłuchiwać. Ręce zajął pracą i starając się wyłączyć dobiegające z tartaku dźwięki, porządkował w myślach ostatnie

wydarzenia.

Dorota.

Zadzwoił do niej jeszcze przed przyjazdem do Olsztyna, żeby upewnić się, czy wczoraj sobie poradziła. Po tym, jak wręczyła mu kołdrę wypchaną butami, miał co robić przez pół nocy. Technicy również. Uwijali się jak pszczoły, żeby jak najszybciej mógł odwieźć buty na miejsce. Niestety, trud się nie opłacił, żaden ze śladów nie pasował do tego zabezpieczonego na stanowisku archeologów.

Jeden wielki niefart.

Ze zdjęcia Eweliny, która uwieczniła sprawcę, również za wiele nie odczytali. Twarz była zbyt rozmyta, udało się oszacować jedynie wzrost. Metr siedemdziesiąt. Nie powinno to już komisarza interesować i pewnie cieszyłby się, że za podejrzanymi będą latać z miarką kumple z CBS, gdyby nie Dorota.

Musiał czuwać nad jej bezpieczeństwem.

Dlatego umówił się z nią dzisiaj na nocny spacer. Nocny, nie wieczorny, bo wieczorem Dorota zajmowała się gotowaniem. To dopiero kobieta. Gotuje dla siedmiu facetów! Niecko, łasuch i głodomór, przełknął ślinę na myśl, jakież to cuda muszą wychodzić spod tych smukłych rączek. Aż zaburczało mu w brzuchu, kiedy wyobraził sobie Dorotę w kusym fartuszk, która kroi swojski makaron, szatkuję kapustę czy po prostu sieka cebulkę. Do dzisiaj wspominał kulinarny szok, jakiego doznał na urodzinach mamy swojej oblubienicy. Najadł się wtedy za wszystkie czasy. Jeśli Dorota odziedziczyła po swojej uroczej rodzicielce jeszcze i talent kulinarny, chyba zupełnie straci dla niej głowę. Proszę, każda jego myśl biegła w jednym kierunku, a przecież zamierzał skupić się na pracy. Musi wziąć się w garść.

Praca!

W klasztorze znowu zrobiło się wesoło.

Rankiem zadzwonił Dołęga i zdał mu telefoniczną relację. Według ich przypuszczeń doktor Trębacz miał nocne spotkanie z mordercą brata Pawła. Ta upuszczona na podłogę fiołka z resztką środków nasercowych... Zabójca ją tam podrzucił. W



sumie zrobił im grzeczność, bo to tylko przyspieszyło zgodę na ekshumację, która miała się odbyć najprawdopodobniej jutro.

Jutro.

Jutro zaprosi Dorotę do kina.

Z tym postanowieniem komisarz przerzucił energicznie kilka palet na stworzony przez siebie stos i od niechcenia zerknął za ogrodzenie, bo od jakiegoś czasu dobiegało stamtąd przenikliwe kwakanie, które przebijało się nawet przez tartaczne piły.

Zerknął i został tak z otwartą buzią, aż do ust zaczął mu wpadać pył.

Fabryka przylegała jednym z boków do sporego gospodarstwa, na które składał się niewielki dom i plac obsadzony jabłonią, śliwami i iglakami. Kiedy patrzył tam ostatnio, widział tylko stadko kaczek i indyków przechadzających się z godnością po obejściu. Teraz ptactwo rozpierzchło się w panice między drzewami, a w wirujących wszędzie piórach widział uwijające się kobiety.

Wyglądało to na regularną obławę.

Ptaki darły się w niebogłosy, kobiety również, przy czym drób wygrywał. Jego strategię Niecko określiłby jako celowe rozproszenie, natomiast strategia kobiet była żadna. Latały jak szalone z rozpostartymi ramionami i co chwilę rzucały się w coraz to nowym kierunku.

- Weźcie Klementynę! - wołała rumiana staruszka. - Ona jest najgorsza!

- Myślisz, że rozpoznajemy je po dziobach?! - krzyknęła zażywna kobieta w słomkowym kapeluszu i Niecko założyłby się, że skądś znał ten głos. - Która z tych gadzin to Klementyna?

Wyteżył wzrok, bo cała akcja rozgrywała się pod słońce, ale żeby coś zobaczyć, musiał zmienić punkt obserwacyjny. Przeszedł na koniec ogrodzenia i ponownie zastygł w bezruchu. Z emocji.

- Czeška, niech twoja siostra mnie nie obraża! Z łaski swojej.

- Przecież od gadzin wyzywam kaczki, nie ciebie - broniła

się ta w kapeluszu.

- Ja nie chcę najgorszej! - doleciało płaczliwie spod choinki i Niecko wciągnął powietrze.

Przed chwilą rozpoznał panią Halinę, mamę Doroty, i to na pewno nie było przewidzenie. Czy ta dziewczyna pod świerkiem, którą szpeciła ohydna kraciasta chustka, zresztą poplamiona i spadająca na rozmazane oczy, czy ta dziewczyna to była jego Dorotka?

Dorotka o zaczerwienionej z wysiłku twarzy?

Dorotka, która nad górną wargą miała biały zaschnięty ślad po wypitym mleku?

- Właśnie najgorsza jest najlepsza - tłumaczyła starowinka.

- Wszędzie jej pełno, wszędzie wsadza dziób. Czyli że zdrowa.

- Jak tak, niech będzie. Ale która to?

- Ta ślicznotka z łatką.

- Taś, taś, taś. - Dorotka rzuciła się w ślad za Klementyną, nie zważając, że w tej pogoni rozdeptuje kacze kupki. Ptaki zaczęły się bowiem opróżniać w locie ze strachu i z prędkością światła zamieniły szmaragdowy trawnik w cuchnące pole minowe. - Bierzcie tę z łata! - rozdarła się do pozostałych łowczyń i Niecko po raz kolejny w przeciągu kilku minut poczuł się ogłuszony.

Usłyszał bowiem prawdziwy głos swojej wybranki.

Bez seksownych modulacji.

Bez wibrujących przyciszeń i mruczeń obliczonych na owinięcie osobników płci męskiej wokół palca.

I nagle rozbawiony stwierdził, że chyba woli właśnie tak. Może nie oczekiwałyby, że ktoś z samego rana będzie go w ten sposób wołał na śniadanie, ale w naturalnym wydaniu, bez dopracowanego makijażu i wymuskanego stroju Dorota była nadal na swój sposób śliczna. Mało tego, była zabawna.

W tej samej chwili Niecko przestał się Doroty bać.

Zrozumiał, że ma do czynienia nie z plastikową pięknnością, ale z kimś żywym i... sympatycznym.

Przyczajony za stertą drewna czekał. Kaczuszką wśród rozpaczliwych kwakań została w końcu zagoniona w kozi róg i ku radości pań pojmana. Wtedy pojawił się kolejny problem.

- Masz, zabij. - Pani Halina oddała gospodyni jej własność, zupełnie jakby pozbywała się tykającej, czy raczej kwaczącej bomby.

- O, nie, moja droga. Ja Klementyny nie zabiję - zaparła się starowinka, wkładając kaczkę w objęcia Doroty, która tak się przestraszyła, że niemal wypuściła ptaka z powrotem na wolność. Do tego jednak nie doszło, bo pani Halina nie straciła zimnej krwi. Stanowczym gestem odebrała od córki Klementynę i odeszła na bok, gdzie zaczęła kaczkę po cichu strofować.

- To jak je zjadasz? - chciała wiedzieć ta nazwana wcześniej Cześka.

- Ja ich nie zjadam. Ja nimi handluję.

Niecko przysłuchiwał się dalszym pertraktacjom, kiedy od strony biura nadszedł... Rico! Komisarz widział jego zdjęcie w aktach, ale i tak dał się zaskoczyć. Mógł się spodziewać, że go tu spotka, ale rozstrojony oglądając scenę popełnił błąd. Wyszedł zza kupy drewna, i to w tej samej chwili, kiedy Rica zauważyła Dorota.

Stali tak, popatrując na siebie we trójkę.

Dorota, Rico i on - komisarz w roli mechanika.

- I nareszcie wszystko się zgadza. Sprzątaczką w stroju sprzątaczk! - zaśmiał się blondyn, kiedy w zrobionej na ludowo babie za płótem rozpoznał pielęgniarkę swojego szefa.

Dorota nie zdążyła zareagować na obelgę, bo Klementyna podjęła ostatnią próbę ucieczki i rozkwakała się, ile sił w dziobie. Wtedy wiejska piękność uzmysłowiła sobie, że oto spotyka kogoś, kto bez skrupułów pozbawi kaczki życia. Nie poświęcając uwagi Nieckowi, za co był jej wdzięczny, przemówiła od razu do blondyna:

- Czy mógłbyś kogoś zabić?

Rico zatrzymał na niej czujne spojrzenie.

- Ja? Czy ja wyglądam na mordercę?

- A gdybym cię bardzo, ale to bardzo poprosiła?

Dorotę ledwie było słyhać, gdyż Klementyna rozdarła się na cały Olsztyn - musiała chyba przeczuwać, że zbliża się jej

koniec. Pozostałe kaczkę, zachęczone wystąpieniem swojej koleżanki i ciągle jeszcze oburzone niedawnym zamachem na ich suwerenność, zaczęły się do niej przyłączać.

- Czy ktoś mógłby tego ptaka uciszyć? - Rico nerwowo zakaszłał.

- Ktoś mógłby, nawet na to liczę. Wracając do twojego pytania... Nie, Rico, nie wyglądasz na mordercę. Przypominasz raczej nieszkodliwego bandziora. Ta wredna gęba, ten dziki wzrok... - Dorota szukała kolejnych komplementów i naprawdę chciała powiedzieć coś miłego, ale Rico zaczął się kręcić przy ogrodzeniu jak lew w klatce. Kwakanie najwyraźniej doprowadzało go do szału.

- Spokojnie! - próbowała przekrzyknąć kaczkę, co nie było łatwe. - Nie chciałam cię urazić. Tak naprawdę włosy na żel są ostatnio modne. Nie tylko wśród dresiarzy! A ta szrama na czole...

Nie dokończyła.

Raz, nikt nie zwracał na nią uwagi, dwa: Klementyna zdołała się w końcu uwolnić, co nie uszło uwadze Rica. Z błyskiem w oku wyciągnął zza spodni najprawdziwszy pistolet i rozwalił kaczuszkę na miejscu. Pif, paf.

\*

Jan Wewiór, znany Julce już z wcześniejszych wizyt w tutejszej izbie twórczej, był energicznym mężczyzną z serdecznym uśmiechem płaczącym się pod przyprószonym siwizną wąsem. Niezmiernie ucieszył się z faktu, że jego anioły zainteresowały kogoś aż tak żywo, czemu dał wyraz, ściskając Cezaremu dłoń. Głos miał donośny, ciepły i wręcz stworzony do opowiadania historii, co potwierdzał wiszący na ścianie dyplom Mistrza Mowy Polskiej.

Zaprosił ich do środka.

Znaleźli się w maleńkim, ale barwnym przedsionku, który prowadził do pokoju stanowiącego szopkę. Cezary dosłownie pożerał wzrokiem znajdujące się tu święte postacie, obrazy i pstrokate ozdoby. Z największym zafascynowaniem przyglądał się jednak struganym w surowym drewnie aniołom.

Gospodarz zniknął na chwilę za wiszącą po prawej stronie kotarą, ale szybko do nich dołączył:

- No, gotowe. Zaraz będzie pokaz. Pyta pan, skąd tu tyle aniołów? Bo anioły, to są, proszę pana, opiekunowie tej ziemi. Od setek lat! Już w osiemnastym wieku założono w Olsztynie Bractwo Aniołów Stróżów... Pan wybaczy - troskliwie przyjrzał się Cezaremu - ale dobrze się pan czuje? Dziwnie pan wygląda.

- Bractwo tutaj?! - Cezary odzyskał wreszcie głos, wzrok miał jednak nadal rozbiegany. Pocierał z przejęcia brodę i wpatrywał się w gospodarza, jakby nie wierzył własnym uszom. - Pracuję na Jasnej Górze i tam też zetknąłem się z bractwem. Ten temat bardzo mnie interesuje. Bardzo. Z przyczyn zawodowych... Bractwo tutaj! - kręcąc głową, powtórzył raz jeszcze i posłał Julce porozumiewawcze spojrzenie.

Czego porozumienie dotyczyło, Julka nawet się nie domyślała, ale czekała cierpliwie. W końcu zostaną sami i już nie będzie delikatna. Chce wiedzieć, o co z tymi aniołami chodzi.

- To w takim razie świetnie pan trafił - ucieszył się pan We wiór, który był osobą dyskretną i dlatego nie zamierzał o nic pytać, choć w jego bystrych oczach dało się zauważyć zaciekawienie. - Bractwo założyli tutaj właśnie jasnogórscy paulini.

- A w którym roku?

- Dokładnej daty nie znam, ale coś panu dam - podjął nagle decyzję i znowu skrył się za zasłoną. Wrócił, trzymając granatową książkę wielkości szkolnego zeszytu.

- Dzieje Olsztyna koło Częstochowy od najdawniejszych czasów księdza Musialika. - Złożył ją uroczyście na ręce Cezarego, z czego wywnioskowali, że właśnie przekazano im coś cennego.

- Skoro interesuje się pan aniołami zawodowo, proszę... Książka wydana staraniem gminy z okazji jubileuszu Olsztyna. Znajdzie pan tam niejedną ciekawostkę. O bractwie również. A jak pójdziecie państwo do naszego

kościół, zobaczycie ołtarz Aniołów Stróżów. Chociaż nie - coś sobie przypomniał - ołtarz jest teraz restaurowany. Ale kościół zwiedzić warto.

Cezary zaczął kwiczeć Z radości, choć dla osoby postronnej wyglądało to na atak epilepsji. Chcąc więc rozluźnić atmosferę, pan Wewiór zaprosił gości do obejrzenia swojego dzieła, ruchomej szopki, na którą składało się ponad dwieście pięćdziesiąt postaci. Tworzył je przez lata i z pogratulowania godną cierpliwością przyklejał na właściwe miejsca anielskie skrzydełka, czapki, cegły tworzące śląskie miasteczka.

Ci dwoje ładnie razem wyglądali.

Smolisty brunet i filigranowy rudzielec.

A gdyby tak zrobić na ich wzór figurki?

Zapalił światło i taktownie się wycofał, bo zdaje się, że mieli sobie coś do powiedzenia. Pośród turkotania mechanizmu słyszał pojedyncze słowa szeptane przez mężczyznę:

- Bruno miał na szacie... taki sam... W Kaplicy Aniołów i... Lesiak i ja uważamy, że... Rozumiesz? I teraz tu... przypadek? Musimy się dowiedzieć...

Kiedy skończyli szemrać, rzucili okiem na szopkę i już chcieli uciekać, ale pan Wewiór nie zamierzał ich tak szybko puścić.

- Jak to? A lochy? - zapytał z udawanym oburzeniem.

- Są tu lochy? - mężczyzna z miejsca się zainteresował. Poprowadził parę przez podwórko, gdzie próbował opowiadać o stojącej tu miniaturze kościoła Mariackiego i kapliczce św. Idziego, ale młodzi tak rwali się do lochów, że dał spokój.

- Tam - wskazał na róg posesji. - Tam jest zejście do piwnicy. Idźcie, otwarte.

Pognali we wskazanym kierunku, nie oglądając się za siebie.

- Ostrożnie, bo tam ciemno! - zawołał i przyspieszył krok. Wraz z otwarciem drzwi od ziemi doleciał przejmujący chłód i zapach stęchlizny. Już poczuli zimno, bo mężczyzna z troską obejmował dziewczynę. Bidulka zaczęła dygotać, ale po raz pierwszy, odkąd ją pan Wewiór zobaczył, stała uśmiechnięta i szczęśliwa.

Młodość...

Włączył oświetlenie i podszedł do wnęki, gdzie uruchomił sprzęt. To była kolejna atrakcja jego zagrody. W piwnicznych mrokach urządził inscenizację obrony Olsztyna, którego makieta znajdowała się na przeciwległej ścianie.

Ale jak tu rozmawiać z zakochanymi?

Brunet stracił naraz dotychczasowe zainteresowanie historią, z czym pewnie miały związek ciemności. Obejmował rudowłosą coraz mocniej i chociaż pan Wewiór najchętniej wyjaśniłby im, skąd wzięła się postać przykutego do ściany wojewody Maćka Borkowica, poprzestał na przeciągłym chrząknięciu, po czym po prostu wyłączył płytę ze słuchowiskiem i wyszedł na zewnątrz.

Zdążył obejść podwórko, kiedy tamci wreszcie nacieszyli się intymnością i stanęli na schodach. Ruda poprawiała włosy, brunet odzyskał prężność w torsie.

- Jak się podobało?

- Baaardzo - zapewnił. - A te lochy? To jakaś taka regionalna atrakcja?

- Jak najbardziej regionalna. Stanowiły część zamkowych zabudowań. Ale miałem też takich gości, którzy pytali, czy to nie jest czasem wejście do tego sławnego tunelu pomiędzy Olsztynem a Jasną Górą.

Znowu to samo.

Tors bruneta się zapadł, a on sam rozdziawił usta. Naprawdę nie wyglądał zbyt rezolutnie, a mimo to ruda wpatrywała się w niego jak w obrazek.

- Może pan powtórzyć?

- Tunel pomiędzy Olsztynem a Jasną Górą. Nie słyszał pan? Tu wszyscy słyszeli. Ale nie, mój loch jest zwykłym turystycznym loszkiem. Tamtego wejścia jeszcze nikt nie znalazł. I wątpię, żeby to nastąpiło. Taka legenda. Ponoć w każdej legendzie jest ziarnko prawdy, ale mnie się wydaje, że taki tunel po prostu nie istnieje.

\*

Siedzieli na ławce i jedli lody.

A raczej Julka jadła, Cezary machał swoją porcją i buzia mu

się nie zamykała. Najpierw opowiedział jej ze szczegółami przebieg historycznego dochodzenia, które prowadził z profesorem, później zaczął zgłaszać pretensje w kwestii tunelu.

- Też o tym wiedziałaś?

- O przejściu? No pewnie, każdy w Częstochowie o nim wie.

- To czemu nic nie powiedziałaś?

- A skąd miałam wiedzieć o Brunie i o całym tym bractwie? Wiem też, że w Stalowej Woli na dziedzińcu jest dwunastometrowa studnia. I że samica odyńca lubi marchewkę. Chyba. I co? Mam ci mówić o wszystkim, co wiem?

Cezary skrzywił się i poszukał wzrokiem kosza. Chyba nie był amatorem lodów.

- Odkąd zrobiłaś się taka napastliwa?

- Ja? Ja napastuję?! To ty w lochu... Czemu się śmiejesz? - Również straciła apetyt. Cezary uwielbiał wprawiać ją w zakłopotanie.

- Mówiłem o czym innym, ale kontynuuj. Śmiało.

- Już wolę o Olsztynie i Jasnej Górze.

- To jest równie interesujące, maleńka, jak napastowanie. Ale mów. Opowiedz mi o podziemnym przejściu.

- Nikt tego nie udowodnił, ale po okolicy krąży legenda, według której klasztor ma połączenie z tutejszym zamkiem. Tunel wykuto podobno w celach obronnych. - Julka wytarła usta i wystawiła twarz do słońca. Magia Olsztyna zaczęła działać. Już kilka razy przyłapała się na tym, że jej myśli podejrzenie często wędrują ku zakamarkom pomiędzy ostańcami, więc faktycznie lepiej przywołać się do porządku.

- Ale badania archeologiczne potwierdziły, że pod zamkiem ciągną się korytarze. Kilometrami.

- To czemu Wewiór uważa, że przejście nie istnieje?

- Tu wszędzie są skały. Może dlatego. Trzeba by kuć.

- I proszę! Dlatego przy Brunie znaleźliśmy narzędzia górnicze.

- Myślisz?

- Jestem pewien.

- Ale co mają z tym wspólnego anioły? - dopytywała się



Julka.

- Wygląda na to, że bractwo znalazło tajemnicę tunelu i jej strzegło. Może to nawet oni wykonali przejście. Kaplica św. Relikwii wykuta w skale. Bractwo na Jasnej Górze, bractwo w Olsztynie, to wszystko układa się w jedną całość.

- A to wasze stanowisko pod murami? Bo skoro wejście do tunelu jest, jak twierdzisz, w Kaplicy św. Relikwii, to czemu ktoś was chce przegonić z ogrodu?

- Nie ktoś, tylko Włosi - sprostował Cezary.

- Czy Włosi, to się okaże, jak porównasz papierosa z włosom Ricca - zauważyła sceptycznie. - Ten papieros to jedyna poszlaka, a budujesz na niej całą teorię. Na niepotwierdzonej poszlace. I czego niby twoi Włosi chcieliby od tunelu?

- Coś tam ukryli. I to coś o ogromnej wartości... Jedno wejście jest wewnątrz klasztoru, drugie na zewnątrz - Cezary zapatrzył się w natchnieniu Julce w oczy i wyrzucał z siebie słowa jak w transie. - To ma sens, prawda? Musi być na zewnątrz, żeby do tunelu wjeżdżały wozy. Znaleziony przez nas wóz! Popatrz, jak wszystko pasuje! - krzyknął uradowany.

- Niby pasuje. - Przełknęła ślinę, ale nie odwracała spojrzenia. Cezary miał oczy czarne jak węgle, które jarzyły się teraz wewnętrznym światłem.

- Jedźmy! - nieoczekiwanie przerwał łączność i już stał przy ławce gotowy do drogi.

Znowu za nim nie nadążała. Było miło, siedzieli na olsztyńskim rynku, za nimi bielił się zamek... Gdzie on chciał jechać?

- Przecież czekamy na Dorotę i kaczkę.

- Cholera, zapomniałem. - Usiadł z powrotem, chociaż aż go nosiło. - Lesiak mnie zabije. Studenci nam zwiali, jesteśmy sami we trójkę, a ja urwałem się tylko na chwilę. Nie, Lesiak mnie nie zabije - zreflektował się nagle. - Lesiak mnie ozłoci. Takie wiadomości!

Z Cezarym człowiek nie mógł się rozkoszować pięknem chwili.

Ciągle trzeba było być zwartym i gotowym na wymyślanie ripost równie błyskotliwych jak jego słowotoki. Poza tym, kiedy pogodził się z faktem, że na razie byli tu uziemieni, stracił dobry humor. Już nie podśpiewywał, myślami był na Jasnej Górze. Oprzytomniał dopiero, kiedy dotarli do kościoła. Mieszkający obok proboszcz nie kwapił się zbyt do grzebania w dokumentach, na pytanie o bractwo odesłał ich do archiwum w Częstochowie. Normalka.

Poszli więc na spacer po zamkowym wzgórzu. Cezary popatrywał tęsknie na skałki, za którymi można by się schować i z ukrycia podziwiać jurajski krajobraz, ale szybko okazało się, że jego tęsknota dotyczyła skałek, ale jako obiektów wspinaczkowych. Dorwał nawet jakiś dwóch facetów owiniętych linami i równo przez godzinę prowadził z nimi ożywioną wymianę zdań na temat wiązań i takich tam arcyciekawych spraw. Julka usiadła więc na trawie i nie chcąc wyjść na zrzędliwą babę, zaczęła się opalać. Cóż, nie zawsze dwoje ludzi ma identyczne potrzeby.

Kiedy zadzwoniła Dorota, nawet się ucieszyła.

- Rico zastrzelił kaczkę - usłyszała i automatycznie powtórzyła za siostrą:

- Rico zastrzelił kaczkę.

- Przecież mówię.

- Ja też nie śpiewam. O co chodzi, tłumacz sensowniej, bo nie rozumiem. Rico tutaj?

- Przy domu pani Marii, koleżanki cioci, jest jakiś zakład z drewnem i Rico tam przyszedł. I zastrzelił Klementynę.

Dorota westchnęła przejmująco i Julka zaczęła traktować jej słowa poważnie.

Przestraszyła się nie na żarty.

- Co to znaczy: zastrzelił? - próbowała rozeznaczyć sytuację, na razie bez paniki, choć historia, którą właśnie układała w głowie, raczej nie kończyła się szczęśliwie.

- Zastrzelił. Wyciągnął ze spodni wielką giwerę z tłumikiem i zastrzelił. Tak po prostu. Broń pewnie wziął z

grządkki. Pod różami jest tego pełno.

- Słyszałam, Ewelina mi mówiła. Po tym, jak wyzwala mnie od świń. A z kaczką...

- Kaczka już jest nawet upieczona. Ciocia. Ja nie mogę się uczyć gotować po takich przeżyciach. I mam na głowie chustkę, cud, że mnie nie zmusiły do założenia gumiaków.

- Czemu chustkę?

- Bo jak się łapie kaczki, lepiej zdjąć sukienkę od Gucciego.

- Przecież miałaś spodnie.

- Julka, do kaczek trzeba się przebrać i tyle. Mówiłam metaforycznie. Więc, proszę cię, przyjdź tu ze swoją torebką, w której trzymasz kosmetyczkę, bo z taką twarzą nigdzie się nie ruszę. Wystarczy, że Niecko mnie widział.

- Niecko też łapał kaczki? - dowiadywała się coraz to bardziej zadziwiających rzeczy.

Chyba że Dorota dostała pomieszania zmysłów.

- Podejrzewam, że Niecko łapie przestępców - zaryzykowała stwierdzenie jej siostra. - Jako mechanik. Jest chyba incognito, więc udałam, że go nie znam. Wieczorem z nim porozmawiam.

Julka westchnęła.

- Tak mną zakręciłaś, że wychodzi mi, że kaczka zastrzeliła Rica, a ciocia zrobiła z niego pieczeń. Którą pożarł Niecko.

- Nieważne. Przyjdź tu z torebką. Nie przypominam kobiety, czuję się jak żyzna ziemia. Ratunku!

\*

Cezarego powstrzymała przed wdarciem się na teren fabryki jedynie świadomość, że mają tam już swojego człowieka. Komisarza. Przynajmniej tak twierdziła Dorota. Usiłował dyskretnie zerkać za ogrodzenie, ale Niecka nie wypatrzył. Piły mechaniczne dały za to taki koncert, że zniechęcony hałasem wrócił do domu pani Marii. Dorota malowała się w łazience, Julka jej towarzyszyła.

- Tu nie da się wytrzymać - stwierdził oczywisty fakt.

- Może mleka? - pani Maria podsunęła mu pod nos kankę.

- Nabiał jest dobry na potencję - zachęciła pani Halina i

obie z siostrą zarechotały. Do wybuchu wesołości nie dołączyła jedynie gospodyni.

- I tak jest codziennie - żaliła się. - Kury od tego hałasu wariowały, dlatego musiałam się przerwycić na kaczki.

- Taaak, kaczki są bardzo zrównoważone - zachichotała ciocia Czesia.

- Do kogo należy ten zakład? - Cezary konsekwentnie ignorował komentarze pań, bo postanowił wykorzystać czas na zebranie informacji operacyjnych. Jeśli w jednym miejscu spotkali się i Rico, i Niecko przebrany za mechanika, z pewnością zanosilo się na kolejną awanturę.

- Do starego Bogudzkiego. Ale to podobno tylko dla niepoznaki. Ludzie gadają, że tak naprawdę to interes jego syna, Ryśka, i jakiegoś Włocha. Ale tego Włocha nikt tu nie widział.

Cezary z emocji chlapanął sobie mleka i pytał dalej.

- Od dawna są pani sąsiadami?

- Rok temu postawili. Najpierw fabrykę. Ziemię za marne grosze kupili, bo nikt jej nie chciał.

- Takiej ładnej ziemi nikt nie chciał? - Cezary wyjrzał za okno.

- Jaka tam ona ładna, sam piach. Dlatego te kaczki mnie ratują, bo u mnie też nie lepiej. Działkę sprzedałam i poszła pod tartak. I postawili wszystko w miesiąc, wyobraża sobie pan? Chociaż same ostańce tu były i ludzie mówili, że ta ziemia to jest zła.

- Co to znaczy: zła?

- Przeklęta.

Ciocia z panią Haliną spojrzały po sobie z pobłażaniem.

- Tak, przeklęta - pani Maria gotowa była przysiąc. - Jeszcze przed wojną coś tam dudniło, psy się zbiegały i wyły. I nic nie chciało rosnąć, tylko ostre krzaki. Co ktoś posadził, to marniało. Stało odłogiem, odkąd pamiętam.

- A oni się nie bali? - Cezary skinął w stronę tartaku. - Skoro to takie nawiedzone miejsce?

- Jak kto ma pieniądze, to się nie boi - zawyrokowała pani Maria z przekonaniem. - Tyle dziennie wywożą ciężarówek,

że pewnie się kąpią w złocie, to co się mają bać? Ale Bogudzkich tu nie lubią. Nieżyczliwi. I skąpi. Rysiek tyle w Italii siedział, a ojciec na tacę rzuca w niedzielę dwa złote. Wstyd! Co się mają bać? Złego licha nie weźmie.

\*

Kaczka upieczona w jabłkach z ogródka pani Marii zachwyciła czterech Włochów.

Trzej musieli obejść się smakiem. Jedna Klementyna to było stanowczo za mało jak na siedmiu chłopą, co Dorota zrozumiała, dopiero kiedy spojrzała na ogorzałe i rozżalone oblicza swoich współmieszkańców. Dobił ją Rico, który z satysfakcją stwierdził, że to żaden problem.

- Po prostu skocz do kuchni i przygotuj coś na szybko.

- Może risotto? - zasugerował z zachęcającym uśmiechem Aldente. - Risotto to jest wspaniała potrawa. Jak myślisz, Rico, ryż nadawałby się na kolację dla dwudziestu osób? Jeszcze ci nie mówiliśmy, bella, ale mamy dla ciebie zadanie. W przyszłym tygodniu urządzamy rodzinne spotkanie. Wszyscy będą zaszczytzeni, jeśli coś ugotujesz. To nie musi być makaron - dodał szybko i wytarł usta.

- Dwadzieścia osób? - powtórzyła jak w transie.

- Dwadzieścia, razem z nami. We Włoszech to norma. Czasem siada nas do stołu jeszcze więcej - rozmarzył się i wtedy Dorocie znowu przed oczami stanęły drabina, ciocia Czesia, wiejska chustka i lufa pistoletu przy skroni. Naraz stwierdziła, że wszystko jej jedno. Niech ją nawet zamordują, dłużej tego nie znieśie.

Wybuchła przejmującym płaczem.

- Ja nie umiem gotować! - wyznała wśród łkań. - To nie ja wszystko gotuję, pomaga mi mamaaa. I ciociaaa. Ja chciałam się nauczyć... - zapewniła. Na dowód swoich słów zerwała się z miejsca i wyciągnęła z szuflady Rodziny Soprano książkę kucharską, którą następnie rzuciła z rozpaczą pomiędzy kacze kości. - Tylko was jest za duuużo! Nie chcę gotować, nie będę! Żadnej fa... fa...

- *Mydelko Faaa...* - zanucił przewrotnie Rico, ale zaraz

zamilkł pod groźnym spojrzeniem Aldente.

- Familijnej kolacji nie będzie - dokończyła. - Ja składam wymówienie.

- Zaraz, po co nerwy? - Aldente rzucił się ją uspokajać. - Nie chcesz gotować, w porządku. Kogoś wynajmiemy. Choćby twoją mamę i ciocię.

Dorota otarła łzy. Spodziewała się nieco innej reakcji. Męskiej złości, pretensji, posepnych spojrzeń. Wyznała właśnie, że ich oszukała, że nie gotowała wszystkich tych pyszności, a oni co? Siedzieli przy stole spłoszeni i wyglądali tak, jakby chcieli jej wręczyć na pocieszenie diamentową kulię.

- Nie... nie jesteś zły?

Pogłaskał ją po policzku (kochany!) i gorąco zapewnił:

- Ani trochę. Ja też ci coś wyznam. Ale nie będziesz się gniewała? Również coś przed tobą ukryłem.

Dorocie zrobiło się gorąco. Jej wybuch, jak spadający ze skały kamyk, wywołał lawinę, bo Aldente zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie:

- Jestem zwykłym przestępcą. Członkiem mafii. Ci panowie - potoczył wzrokiem po głodnych Włochach - również. Możesz śmiało nami gardzić. Robiliśmy w życiu wiele złych rzeczy, jednak nikogo świadomie nie skrzywdziliśmy. Teraz już wiesz wszystko. Jeśli chcesz nas opuścić, zrozumiemy.

Rozstroiło ją to kompletnie.

Opuścić ich? Wyrzec się wolności i wrócić na Sportową, gdzie mogła liczyć tylko na przemoc i szykany? I to teraz, kiedy nie musi już udawać, że do gotowania ma dwie lewe ręce?

Za nic.

Szczerłość Aldente ujęła ją tak bardzo, że kiedy czarujący Włoch zaprosił ją do swojego pokoju na kieliszek wina, poszła tam ochoczo i pewnie zostałaby do rana, gdyby nie doznane obrażenia. Naprawdę trudno seksownie świecić tyłkiem, kiedy tyłek nie doszedł jeszcze do siebie po spotkaniu ze szklanką.

Poza tym w chaszczach czekał na nią Niecko.

Musiała z nim porozmawiać.

Po tym jak Rico wysłał niewinną kaczuszkę na tamten świat, używając do tego najnowocześniejszego modelu broni, Niecko pogratulował oprawcy oka i wrócił do swoich zajęć, choć aż go skręcało, żeby zareagować. Zaciśnął jednak zęby, przepracował dniówkę i wrócił do Częstochowy.

Wieczorem dostał mailem kopię sekcji Rożka - nieoficjalnie, bo oryginał poszedł do Katowic. Od tego się zaczęło. O tym, co będzie w rozpoznaniu, komisarz wiedział wcześniej od Staszka, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś tu się nie zgadza.

Pomógł mu to zrozumieć dopiero chuderławny facecik, który wślizgnął się na komisariat tuż przed dwudziestą. Przedstawił się jako Józef Smolik i chciał złożyć zeznania, ale mógł na tę czynność poświęcić jedynie dziewięćdziesiąt minut. Zapytany o przyczynę rozliczeń czasowych wyznał, że zjawił się tu w tajemnicy przed żoną, która ogląda właśnie komedię romantyczną. Smolika przyjął Dołęga i jak tylko usłyszał, z czym tamten przychodzi, na wszelki wypadek zadzwonił po Niecka, którego pojawiające się i znikające zwłoki mogły zainteresować. Jego kolega wręcz przepadał za takimi historiami, a że spędził dziś pracowity dzień w zakładzie produkcji mebli, niech ma coś na deser. Może się odpręży.

Pan Smolik dokładnie opowiedział o całym zdarzeniu, jękając się i krygując tylko na wstępie. Kiedy zapewnili go, że za otwarcie grobu własnego syna nie zostanie pociągnięty do odpowiedzialności, rozluźnił się i opowieść popłynęła już bardziej składnie. Potem zaczęli zadawać mu pytania, aż w kieszeni pana Smolika uruchomił się alarm.

- Ustawiłem sobie przypomnienie w komórce - bąknął na usprawiedliwienie i wstał, miętosząc w dłoniach chusteczkę. W krótkich spodenkach odkrywających patykowate nóżki wyglądał na przedszkolaka, choć pewnie dobiegał sześćdziesiątki. - Dziękuję. Cieszę się, że komuś o tym powiedziałem. I że to nie przestępstwo. Bardzo mnie to męczyło.

- Najważniejsze, że ciało syna się znalazło - rzucił pokrzepiająco Dołęga.

- Tak, i to nienaruszone, że tak powiem. Chociaż...

- Tak?

- Jestem pewny, że zegarek zakładałem synowi na lewą rękę, bo był praworęczny. A jak ci chuligani go oddali, zegarek był na drugiej ręce. Tak jak u mańkuta.

Niecko, który spędził wiele godzin na świeżym powietrzu, myślał dzisiaj wyjątkowo trzeźwo. Słowa pana Smolika uruchomiły w jego głowie mnóstwo skojarzeń. Rożek i gustowny zegarek właśnie na prawej ręce, pan Stefan, który niby nie widział syna pięć lat, a rozpoznał go w zwłokach o zdeformowanej twarzy. Mieszkanie, w którym spłonęło wszystko, w tym również zdjęcia zmarłego, niedziałające kamery na jasnogórskiej wieży i wreszcie... Teraz komisarzowi przypomniało się, że kiedy odpinał myszkę z klawiatury w biurze Rożka, znajdowała się z lewej strony komputera! Dlaczego więc sekcja wykazała co innego: mężczyzna praworęczny?

Jak to możliwe, że wcześniej nie połączył elementów układanki?

Rożka wcale nie zamordowano.

Artur Rożek z pewnością żył i miał się dobrze.

I nie męczyły go wyrzuty sumienia, że chcąc upozorować swoją śmierć, zbezczescił czyjeś zwłoki.

Mówi się trudno.

Oprócz grobu brata Pawła jutro otworzą jeszcze dwa inne.

Rożka i młodego Smolika.

- Obawiam się, że żona będzie musiała na pana poczekać. - Niecko zatrzymał żegnającego się już w drzwiach mężczyznę.

- Czy ten zegarek to nie był czasem srebrny Tissot?

W celi myśli układają się inaczej.

\*

Do takiego wniosku doszedł Cezary, kiedy analizował dzisiejszy dzień. Był już spokojniejszy, chociaż dokonane odkrycia napełniały go dumą. Tak jak przypuszczał, Lesiak wysłuchał zdobytych przez niego informacji łapczywie i ze szczęścia niemal powyrywał sobie pasemka. Cezary uznał jednak, że swoją energię spożytkuje inaczej, i usiłował



dodzwonić się do komisarza. Bezskutecznie. Pojechał więc z włosem Rica na uczelnię i został tam do nocy.

Z Julką, rzecz jasna.

Postępy naukowe poczynił tego wieczora raczej nikłe - nadrobi wszystko w weekend - natomiast postępy w znajomości z rudzielcem, owszem, zauważył. Zachęcający wstęp w lochach co prawda nie miał swojego dalszego ciągu, nie mówiąc już o punkcie kulminacyjnym i epilogu, ale Julka traktowała Cezarego jakby inaczej. Była czuła, nie: czujna, jak do tej pory. I nawet udało im się przeprowadzić rozmowę dotyczącą przekonań religijnych, nie wywołując przy okazji kłótni. Zwarcie nastąpiło dopiero, kiedy poruszył temat mafii.

- Jaka jest twoim zdaniem różnica pomiędzy mafią a rządem? - zadał jej podchwytliwe pytanie.

- Mafia to przestępcy, rząd to sprawiedliwość.

- Tak? A mnie się wydaje, że różnica jest żadna. Chociaż nie, mafia działa w ukryciu, a rząd jawnie. Jakaś różnica jednak jest.

Kłóciła się z nim zaciekle całą drogę powrotną.

Idealistka.

Ale taką ją właśnie lubił.

Niestety, po dotarciu do Częstochowy nie spędzili ze sobą więcej czasu, bo było już późno, a Julka musiała przygotować się do pracy. On też miał co robić. Po powrocie do klasztoru odświeżył się i zasiadł do lektury. Dzieło Bochenka i książeczka przywieziona z Olsztyna.

Tytuł nowego rozdziału nie brzmiał może zbyt porywająco: Krzysztof Mieroszewski fundamenta nowej warowni zakłada, ale Cezaremu szybko odechciało się spać. Czytane fragmenty jak nie potwierdzały istnienie wejścia do legendarnego tunelu w ich bastionie.

Otóż Mieroszewski był wybitnym inżynierem fortyfikacyjnym, któremu powierzono odbudowanie twierdzy po tym, jak Szwedzi zrobili z niej durszlak. Przebudowę Bastionu św. Trójcy nadzorował osobiście i od niego właśnie zaczął.

I co się okazało?

Spartolił robotę.

Cezary z ogniem w oczach czytał, jak to Jan III Sobieski, wizytujący Jasną Górę w roku 1676, objechał konno klasztorne wzgórze i zatrzymawszy się w Bastionie św. Trójcy, pokręcił z niezadowolaniem nosem. Miał powiedzieć:

Chociaż Indzienier nie wielką zrobił pomyłkę w wymiarze tej baszty, nie mniej dokończcie jej czym prędzej tak jak rozpoczęliście, na korektę bowiem tej roboty trzeba by wielkich kosztów.

Mioszowski naruszył zasady fortyfikacyjne obowiązujące nie tylko w Polsce, ale i w Europie i sprawił budowlę tak, że jedna z jej części była za długa, inna natomiast za krótka. Czy podobny błąd mógł się przydarzyć tak wybitnemu specjaliście?

Cezary wątpił.

Jego zdaniem było to wymuszone usytuowaniem tunelu.

Jakby na potwierdzenie swojej teorii znalazł wzmiankę o budowniczym również w Dziejach Olsztyna. Wyczytał tam, że po potopie szwedzkim Mioszowski przeprowadzał na zamku jakieś bliżej nieokreślone prace.

Jakie „bliżej nieokreślone prace”?

Facet po prostu sprawdzał, czy wejście do tunelu nie zostało odsłonięte.

Cezary już prawie kończył lekturę, kiedy zaburczała komórka, sygnalizując, że otrzymał wiadomość. Może to Julka? Może również nie śpi? Skoro tak, spróbuje ją namówić na nocny spacer. Dzisiaj stanowczo za szybko się rozstali.

Sięgnął po telefon, ale na wyświetlaczu pokazał się jakiś obcy numer. Poczul piknięcie zawodu.

Pod salą Kordeckiego za piętnaście minut. Chcę porozmawiać o śmierci Pawła.

Czyli jednak spacer go nie minie.

Ale kto mógł mu proponować spotkanie?

Złodziej Bruna i morderca czy raczej ktoś, kto był tylko świadkiem i chciał pomóc? Kimkolwiek był nadawca SMS- a, doskonale wiedział, że dotarcie z celi na dziedziniec zajmuje kwadrans.

Cezary pokręcił się pięć minut przed Salą, ale nikogo tam

nie zastał. W oknach było ciemno, jaskrawym światłem mieniła się tylko wieża. Na bruku plątały się cienie, od czasu do czasu wiatr zagwizdał w szparze drzwi i Cezary założyłby się, że słyszy również szum drzew z ogrodu. Klasztor przypominał nocą raczej wilgotną średniowieczną budowlę z kart powieści Umberto Eco niż gwarną Jasną Górę znaną z pocztówek i folderów.

Już myślał, że zrobiono mu głupi żart, kiedy skrzypnęła klasztorna brama i w żółtawym świetle latarni zobaczył... przeora. Ojciec przełożony, opatulony w szlafrok i najwyraźniej wyrwany z głębokiego snu, był równie zaskoczony.

- Pan Trębacz? Co pan tu robi?

- Można powiedzieć, że kontempluję - Cezary ratował się wykrętem, bo przecież nie wyzna przeorowi, że umówił się tutaj...

No właśnie, z kim się tutaj umówił?

Paulin popatrzył na niego dosyć dziwnie, ale nie rozwinął tematu. Zabrzęczał kluczami i zbliżył się do drzwi strzegących wejścia do Skarbcza Pamięci Narodu w Bastionie św. Rocha.

- Ktoś tu się kręcił? - zapytał, lustrując dziedziniec. Cezarego tknęło, ale chyba zbyt późno.

- Nikogo nie widziałem. Czemu ojciec pyta?

- Nieważne. Niech pan idzie kontemplować do celi. Niby mamy sierpień, ale coś zaczyna być chłodno. Ja tu wszystko posprawdzam.

Po co zaproponowano mu spotkanie, skoro nikt się na nim nie pojawił? Cezary odwrócił się na pięcie i już maszerował w stronę bramy, kiedy zatrzymał go stłumiony okrzyk przeora:

- Trębacz!

Zawrócił. Przeor kołysał się ogłupiały przed wejściem do Sali. Za nim pobłyskiwał lakier na klasztornej karocy, która zdobiła przedsiónek.

- Drzwi są otwarte! Słuchaj no... - przemówił groźnie do Cezarego. - O co tutaj chodzi? Czy ty czasem nie kontemplowałeś tego zamka?

Rico zapukał do drzwi Aldente, gdy tylko upewnił się, że szef już wstał i krząta się po pokoju.

- Niespodzianka - oznajmił od progu i zrzucił sportową torbę z ramienia wprost na zabytkowe biurko.

- Nie możesz gdzie indziej? - Aldente zbliżył się, żeby zabrać to coś ze swojego ulubionego mebla. Ale czego wymagać od pospolitego pijaczka, który ma zły gust i to zarówno jeśli chodziło o wino, jak i o sztuki piękne.

Za to na mokrej robocie znał się jak nikt inny.

- Zobacz, co przyniosłem - zachęcił go uradowany. Aldente zajrzał.

I z zachwytu usiadł na krześle.

Nie, to nie były podróbki kupione na pchlim targu!

Torbę wypełniały przedmioty, jakich nie powstydziliby się Museo Nazionale Romano. Aldente aż bał się je wziąć do ręki. Z torby sterczała na zewnątrz bogato zdobiona ornamentami pochwa szabli. W jej wzorach tkwiły najprawdziwsze turkusy wielości orzechów laskowych. Jeszcze lepiej prezentowała się... buława? Tak, to musiała być buława. Masywna rękojeść wysadzana kamieniami przytrzymała główkę, jak nic podobną do kalafiora. I znowu turkusy. I kolejna szabla, tym razem sama klinga. Na dnie torby spoczywało jeszcze coś przypominającego skrzydła. Aldente wydobył je ostrożnie. Materiał ozdabiały srebrne pióra, misterność ich żłobień zachwycała.

- Skąd? Skąd to masz? - wychrypiął w stronę Rica, który jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy z zadowolenia.

- Niezłe fanty, co?

- Pytam, skąd to masz? !

Blondyn zorientował się wreszcie, że podniesiony głos Aldente nie oznacza aprobaty. Nie pojmował.

- Co ty?

- Tylko nie mów, że ukradłeś z Jasnej Góry!

- Jak to: nie mów? Chciałeś mieć archeologów z głowy? - Wskazał na torbę. - To masz! Myślisz, że kto za to odpowie? Przecież nie my. Wrobiłem doktora. Kości nie zadziały, więc...

- Jakie kości? - zapytał zimno Aldente.

- Szkielet. Podobno wielkie odkrycie naukowe, więc zrobiłem im kawał. Są za blisko z tymi swoimi wykopkami. Miałem się tych ludzi pozbyć, przecież mówiłeś.

- Pozbyć. A nie wzbudzać sensację na całe miasto! I nie tylko na miasto. - Zaczynał wpadać w furję. Z kim mu przyszło pracować! Przecież wieści o Jasnej Górze szły na cały świat. Jeśli rodzina się dowie... - Pozbyć! Wypadek samochodowy, podpalenie, udar mózgu... Coś subtelnego!

- Subtelnie to już jednego trupa w klasztorze załatwiłem. Ile jeszcze tych subtelności! - Rico również się zdenerwował.

- A przeora teraz szlag trafi, za tę jego pseudogościnnność. Nie pamiętasz, jak nas potraktował?

- Mówiłem, że sam zajmę się przeorem. Że mam pomysł. Mówiłem?

- Mówiłeś. - Rico znowu chciał wyrazić zdanie o zamiarach szefa, ale ugryzł się w język.

Niech Aldente nadal bierze go za głupka, tym lepiej.

Może nawet i Rico był głupkiem, ale uważał, że pewnych zasad trzeba przestrzegać. Nawet w dokonywaniu przestępstw. To, co planował Włoch, wcale mu się nie podobało.

I nie zamierzał się temu beczynn timer przyglądać.

- Przecież oddam te cacka w odpowiednim czasie - mruknął, zapinając torbę, ale Aldente już go nie słuchał.

Wściekły wyszedł z pokoju.

\*

Cezary stwierdził, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi, kiedy ten upiorny sezon wykopaliskowy wreszcie się skończy, będzie rozłożenie łóżka i wyspanie się za wszystkie czasy. To mu przypomniało, że za bardzo już łóżka nie posiadał, a tym bardziej nie miał go gdzie rozkładać. Remont mieszkania potrwa kilka miesięcy, a tyle czasu tkwić w celi? I to w sytuacji, kiedy atmosfera wokół jego osoby zaczynała po dzisiejszej nocy cokolwiek gęstnieć? Przeora wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest niezadowolony. I chociaż Cezary dysponował dowodem w postaci SMS- a, to jednak patrzono na niego podejrzliwie.

Sytuację jeszcze pewnie pogorszy wiadomość, którą poufnie przekazał mu Niecko.

Spotkali się w południe na pierogach. Cezary od rana intensywnie pracował, chociaż była sobota. Grzebanie w ziemi okazało się jednak najlepszym sposobem na chandrę. Wolał nie jeść w refektarzu, już i tak miał wrazenie, że nawet pielgrzymi patrzą na niego krzywo. Jadalnia wypełniona braćmi, którzy w milczeniu biorą do rąk nóż i widelec i ślą potępiające spojrzenia? Trzeba się ulitować nad własnym żołądkiem, taka przyjemność na pewno skończyłaby się niestrawnością.

Co innego pierożki z mięsiwem spożywane w towarzystwie Jurka Niecko.

- Nie jest dobrze... - zawyrokował komisarz.

- Tyle to ja też wiem.

- Nie jest dobrze dla ciebie - wypowiedział, nie patrząc mu w oczy, i Cezary zrozumiał, że sprawa jest poważna.

Ze Skarbcza Pamięci Narodu zrabowano cztery wartościowe przedmioty: pałasz króla Stefana Batorego, buławę hetmana Marcina Kalinowskiego, szablę Żółkiewskiego i srebrne okucia skrzydeł, znak Jana III Sobieskiego pod Wiedniem. Każdy z przedmiotów miał wartość muzealną, bezcenną. Sprawca dostał się do bastionu przez garaż, stamtąd poszło mu już łatwo. System alarmowy nie zadziałał. I tak jak podczas zrzucenia z wieży zwłok, kamery były tej nocy „popsute”.

- Ale ten SMS mnie uniewinnia? Popatrz, treść była tak obiecująca, że nabrałem się jak dziecko.

- Hm - komisarz chrząknął i nabił największego z pierogów na widelec. - Ten SMS sprawia, że twoja wina nie jest oczywista. Tak bym to ujął.

- A sprawdziliście numer?

- Tak, ale nie rób sobie nadziei. Użyto go tylko jednorazowo. Nie, źle mówię. Do przeora też wysłano wiadomość z tego samego telefonu. Jego zwabiono donosem, że w bastionie dzieje się coś podejrzanego... Na dodatek przysłała ekspertyza daktyloskopijna - dodał niepewnie.

- Już? Tak szybko?

- Zmieniło się kierownictwo, więc tempo też się zmieniło.

- Ale po co pobierali moje odciski? - Cezary zaczął się niepokoić.

- Pobierali od każdego mieszkańca klasztoru. I bardzo się z tego cieszą, bo na szybko gabloty znaleźli twoje... twoje linie papilarne.

Cezary odsunął talerz. - Moje odciski?!... Tak!

- Przyznajesz się? - nieprzyjemnie zdziwił się komisarz.

- Skąd! Wiem, czemu moje. Jasne! Facet z szybą. A ja chciałem być uprzejmy! - wznosił z niedowierzaniem okrzyki.

- Wy tłumaczysz mi, o co chodzi?

- Wczoraj szedłem z Lesiakiem... Mam świadka! - zastrzegł od razu. - Więc wczoraj szedłem z Lesiakiem i pod Salą Kordeckiego stał facet z szybą. Myślałem, że to jakiś klasztorny pracownik. Poprosił, żebym na chwilę ją potrzymał, bo on musi skoczyć do auta. Akurat! Przecież on tam na mnie czekał. Czaił się, żeby mnie zrobić! I co ty na to? - zwrócił się do komisarza, który wprawdzie słuchał uważnie, ale pozostał spokojny.

- Dobrze, że masz świadka. Ale nadal jesteś podejrzanym - bezlitośnie stwierdził fakt. - Będziesz wzywany, przesłuchiwany i tak dalej. Ja ci wierzę, i oczywiście wydam o tobie jak najbardziej pozytywną opinię, ale może być nieprzyjemnie.

- Przesłuchania? Jeszcze tego mi brakuje...

- Na fiołce po lekarstwach, którą znalazłeś w celi brata Pawła, też są twoje odciski. I tylko twoje - kontynuował Niecko.

- Bo Paweł zażywał lekarstwa w rękawiczkach - mruknął z przekąsem Cezary.

- Wiem, że to bez sensu, ale ciągle się w tej sprawie przewijasz.

- Bo chcę pomóc!

- I tak nie dadzą ci spokoju - zapewnił Niecko, który orientował się w metodach pracy swoich kolegów. - Pewnie niedługo zadzwonią.

Słyszając te słowa, Cezary szybko wydobyl z kieszeni komórkę i z satysfakcją ją wyłączył.

- Niech dzwonią. Ja muszę dzisiaj skończyć DNA Rica. Prześlę ci wyniki mailem. Ciekawe, co wtedy powiedzą. Mam na myśli Włochów. Bo przedstawiciele prawa i tak mnie nie docenią.

- Ja cię doceniam i jestem pewien, że prawda wyjdzie na jaw. - Komisarz się wyprężył i spojrzał na Cezarego z takim oddaniem, że Cezary aż się roześmiał. - Mówię ci. Może nawet wyjdzie na jaw szybciej, niż sądzisz.

- Coś wiesz?

- Coś tam wiem - odpowiedział niejasno Niecko.

- Ale nie powiesz?

- Tak będzie dla ciebie lepiej - zdecydował i wrócił do pierogów.

- Czy to ma związek z twoim nowym wcieleniem w fabryce mebli w Olsztynie?

Komisarz lekko się zakłopotał.

- Możliwe.

- Pojechałem tam z Dorotą - zawiadomił Cezary, ale widząc spojrzenie Niecka, dodał: - I z Julką. Pohandlujemy? Ja ci powiem, czemu Włosi kręcą się na Jasnej Górze, ty mi zdradzisz, po co robisz za pracownika w fabryce.

Niecko kalkulował chwilę, czy mu się taka transakcja opłaca, po czym nad ostatnim z pierogów przybił umowę uściskiem dłoni, a następnie nadstawił uszu.

Dołęga zadzwonił, kiedy Niecko pałaszował dokładkę. Po historii, której właśnie wysłuchał, poczuł chęć na pierogi z jagodami. Cezary pomknął już do Katowic, komisarz mógł więc rozmawiać swobodnie.

- Co tam?

- Grabarz, który chował młodego Smolika, zwiął - zameldował Staszek. - Ale za to wróciła sąsiadka Rożka. Właśnie u niej byłem, chociaż nie wiem, po co to robię, skoro to już nie nasza sprawa.

- Boja cię o to proszę. Po to. I co? Pokazałeś jej zdjęcie pana Stefana?

- Rozpoznała go. To on nosił z Rożkiem paczki kilka dni przed śmiercią... To jest, przed tym przedstawieniem. Jurek,



tak a propos, czemu ten cały Stefan chodzi jeszcze na wolności?

- Temu, że opuścił swoje miejsce zamieszkania - odpowiedział ponuro komisarz. - I nikt nie ma pojęcia, gdzie się podział. Tylko dlatego, Stasiu, ten stary kawalarz nie ogląda świata zza krat. Muszę kończyć - uciął, spoglądając na ulicę, którą do pierogami zmierzała właśnie Dorota.

Lubił na nią patrzeć, zanim ona dostrzegła jego. To były jedyne chwile, kiedy nie musiał ukrywać podziwu. A dzisiaj znowu było co podziwiać. Dorodna dziewczyna przywdziała na siebie tak kolorowe i kuse wdzianko, że zachwycał się nią nie tylko on, ale i cała Aleja Najświętszej Maryi Panny. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo dosłownie promieniała.

Na powitanie usmarowała mu błyszczkiem policzek i usiadła na krześle nieco bokiem, tak, że widok miał... niecodzienny. Szkoda tylko, że musiał jej popsuć humor.

- Rozmawiałem dzisiaj z nadinspektorem. Tym, który cię...

- Szantażował - dokończyła za niego, nie przestając ukazywać w olśniewającym uśmiechu zębów.

- Ma dla ciebie kolejne zadanie.

- Znowu? Przecież dopiero co skończyliśmy z butami.

- Tak... skończyliśmy. - Wspomniał niedawną nocną gimnastykę. - A jak twoje rany?

- Na ciele czy na duszy? Cha, cha. Na ciele powoli się goją, a na duszy... Aldente przyznał się, że jest mafiosem. Uwierzysz? - zaśmiała się z triumfem. - Otworzył się przede mną. Można nawet powiedzieć, że... Yyy... Że się obnażył. - Poprawiła włosy, co Niecko wolałby zinterpretować inaczej, ale kokieteria Doroty i jej wyśmienity nastrój mówiły same za siebie.

Pomiędzy nią a Włochem chyba do czegoś doszło. Ależ to go łupnęło, zupełnie jakby dostał między oczy. Dorota tymczasem nadawała swoje.

- Ty wiesz, że to wcale nie jest zły człowiek? Zapewniał, że nikogo nie skrzywdził.

Niecko nie znał na pamięć nazwisk, ale gdyby zajrzał do listu gończego Aldente, Dorota spokojnie zdażyłaby zjeść porcję

pierogów, a on dalej wymieniałby zabitych przez jej południowego amanta. - I taka szczerłość przez niego przemawiała... Nie wiem, czy ta wasza akcja ma sens.

- A broń pod różami? - przypomniał o tym, co mu zdradziła podczas wczorajszego spaceru.

- Zakopana. Czyli że jej nie używa.

- To może chciałabyś oczyścić Aldente z zarzutów? - podsunął niby usłudzie. Dobrze, skoro już wzniosła temu bubkowi pomnik, trzeba ją podejść od innej strony.

- Oczyścić? Pewnie, że tak!

- Wspaniale. W takim razie dzisiaj w nocy wyniesiesz z domu laptopa swojego... szefa. To potrwa zaledwie kilka minut. Zgramy dane na miejscu, nawet się nie spostrzeże.

Dorota przestała się uśmiechać.

- Jak to sobie wyobrażasz?

- Bardzo prosto. Wystarczy, że...

\*

Niby było wspaniale.

Stefan podawał jej kakao do łóżka, nie skąpił, nie oglądał do późna w nocy telewizji i nie miał wystających z uszu włosów, które upodabniałyby go do starego szczura. Potrafił docenić dobrą kuchnię, a Czesławę wielbił, bo, jak mawiał, nie wiadomo, ile jeszcze mu na to wielbienie zostało czasu.

Idylla trwała, dopóki Czesława nie podpatrzyła, że Stefan co rusz kupuje startery do komórki. Najtańsze co prawda, więc ich wspólny budżet na tym nie cierpiał, ale co to u licha miało znaczyć?

Czyżby ją zdradzał?

Już?

Na samym początku?

Żeby chociaż była kobietą migrenowo unikającą bliskości czy erotycznie do niczego niezdatną. Żadne takie, jurna z niej baba, która aż paliła się, żeby nadrobić wieloletnie zaległości (jej byłemu mężowi trzymanie za rączkę starczało za cały akt!), więc dopóki Stefan nie zacznie błagać o respirator, nie daruje mu choćby jednej nocy.

Zaczęła Stefana szpiegować.

W ten sposób stała się świadkiem zadziwiającej rozmowy.

- Kiedy wracasz? - pytał z uczuciem jej nowy towarzysz życia wcisnięty pomiędzy szafę a kosz na bieliznę. Pocieszne! Czyżby myślał, że jest aż tak głucha? - Już wróciłeś? - Tu Czesława zastanowiła się jednak, czy nie szwankuje jej słuch. Stefan powiedział: „wróciłeś” czy „wróciłaś”? - Czytałeś gazety? Więc wiesz... Tak, na pewno. Szabla Żółkiewskiego też. Jak to, gdzie byłem? Na zwolnieniu jestem od poniedziałku, mówiłem ci. Nie mogłem! To by było podejrzane!... Nie wiem... Nie ma mnie w mieszkaniu, bo się wyprowadziłem. Mieszkanie sprzedaję, bo chcę kupić większe. Nie będę mieszkał z kobietą w ciasnej kawalerce. Tak, dobrze słyszysz. Poznałem kobietę. Najwspanialszą pod słońcem i chcę dożyć z nią swoich dni... Oczywiście, że poznasz. Jak się wszystko uspokoi.

Stefan, jej ukochany Stefan nie miał romansu, ale... popadł chyba w jakiś konflikt z prawem.

Co tam konflikt z prawem.

Najwspanialsza pod słońcem.

Była najwspanialsza pod słońcem!

Oczywiście powyższe wyrazy uznania nie przeszkodziły jej w wyrażeniu swojej opinii. Stanęła przed Stefanem i podparła się pod boki.

- A teraz, stary spryciarzu, wszystko mi wyśpiewasz. - Pomachała perswazyjnie wałkiem do ciasta, bo zanim ruszyła na przespiegi, robiła makaron. Domowy, tak jak lubił. - Bo inaczej marny twój los.

\*

Julka czuła się dzisiaj wyśmienicie.

Sprawy z Cezarym zaczynały się powoli układać, zawodowo również przebudziła się z letargu. Już sobie poodpoczywała, z radością przyjęła więc telefon Piotrusia, który przed tygodniem wyprosił u niej terapię, i zgodziła się na pierwsze spotkanie właśnie dzisiaj. Składało się doskonale, bo w Katowicach był również Cezary - nadrabiał zaległości w laboratorium. Może

więc wrócą razem?

Piotruś wynajmował mieszkanie na osiedlu Tysiąclecia, na ulicy Piastów, zaraz przy rzeźbie żyrafy, gdzie dotarła z pomocą nawigacji. Zapukała do drzwi i kiedy jej tylko otworzył, stało się jasne, że jest z nim bardzo źle.

Przed wszystkim schudł i zmizerniał tak, że wyglądał jak zupełnie inny człowiek. A nawet nie jak człowiek, ale jak jego cień. Już nie nazwałaby go niedźwiedziem - poprzednio miał nawet lekką nadwagę, dzisiaj był zapadnięty w sobie i wymemłany. Wzrok mu przygasł, ruszał się jak mucha w smole, bez przekonania i energii.

Jak nic depresja.

Powinna się nim była zająć od razu, to nie: marzyła o urlopie.

A teraz bez leków na pewno się nie obejdzie.

Zadzwoiła do znajomego psychiatry, umówiła wizytę. Potem wzięła Piotrusia w obroty. Rozmawiała z nim trzy bite godziny, a następnie zabrała go na drugi spacer do parku chorzowskiego, który zakończył się wspólnymi zakupami w pobliskim pawilonie. Około dwudziestej pierwszej, po przyrządzeniu ciepłej kolacji, doszła do wniosku, że może wracać. Niebezpieczeństwo zażegnane. Jutro przyjedzie tu znowu.

Wyszła z bloku i stojąc przy swojej ukochanej alfie romeo, szukała w torebce telefonu, żeby dać znać Cezaremu. Nie słyszała niczego. Żadnych kroków. Po prostu tuż przed nią zmaterializowała się olbrzymia czarna postać, która trzymała w ręku kij bejsbolowy.

I tym kijem złowieszczco popukała w maskę jej auta.

- Puk, puk. Można?

To kobieta!

Julka została uwięziona pomiędzy samochodami i przyparta do muru przez gigantyczną kobietę. Ona, niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i dwumetrowe monstrum, które ważyło tyle co dorodny waleń. Przez głowę Julki przegalopowały dziesiątki artykułów naukowych traktujących o zaburzeniach osobowości u ludzi otyłych. Plus wyniki badań

wykazujące, że kobiety przestępczynie są o wiele bardziej okrutne w porównaniu ze swoimi kolegami po fachu.

Zrobić coś nieprzewidywalnego!

Coś, co babę zaskoczy.

A potem zmykać co sił w nogach, choćby i bez alfy.

Baba zadała tymczasem dziwne pytanie:

- Czemu, mała lafiryndo, włóczysz się za moim Arturem, co? Wiesz, że on ma narzeczoną?

Coś nieprzewidywalnego...

Julka otrząsnęła się po pierwszym szoku i starając się, żeby jej uśmiech nie wypadł w świetle latarni zbyt plastikowo, wyciągnęła przed siebie dłoń:

- Julianna Rzepka. Psychoterapeutka.

Baba jakby się zawiesiła. Wykorzystała więc ten moment, klapnęła tyłkiem na maskę swojej alfy i przyjaźnie zaproponowała:

- Może po prostu wyjaśnimy wszystko jak ludzie, a nie jak kibice?

Udało się!

Baba sapnęła i rzuciła kij na chodnik, czemu towarzyszył nieprzyjemny dźwięk. Julka drgnęła. Udało się? Chyba wręcz przeciwnie. Zgoda, kobieta nie rozłupie jej czaszki. Zwyczajnie ją udusi. Już wyciąga rękę, już sięga do gardła!

- Malwina - zabrzmiało i Julka stwierdziła, że wymienione imię z czymś się jej kojarzy.

I że nie panuje nad wyobraźnią.

Baba wyciągnęła rękę, żeby się z nią przywitać. Wątpliwy stał się także przestępczy charakter tego spotkania, bo z oczu kobiety zaczęły płynąć potokami łzy.

- Widziałam was - pociągnęła żałośnie nosem. - W parku. Potem robiliście razem zakupy, niech pani nie kłamie.

- Owszem, byłam na spacerze, robiłam zakupy, ale nie z żadnym Arturem, tylko z moim klientem, Piotrem Milowskim.

- Tak się pani przedstawił?

- Zaraz, czegoś tu nie rozumiem. Wiem, pójdziemy do niego razem i wtedy się pani przekona, że to zwykła pomyłka.

- To on się przekona! Ja już nie mogę, tyle czasu w ukryciu. I jeszcze spotyka się z jakimiś...

- Małymi lafiryndami. To co, idziemy?

Naprawdę była przekonana, że kiedy Piotruś otworzy im drzwi, to on będzie oczekiwał wyjaśnień.

Nic bardziej mylnego.

Jej klient przestraszył się, jakby zobaczył śmierć, z czego należało wnioskować, że albo kwalifikuje się, żeby niezwłocznie zapakować go w kaftan bezpieczeństwa i odwieźć na oddział, albo... ci dwoje się znali. A że baba, która przedstawiła się jako Malwina, zabrała ze sobą kij i na widok Piotrusia zaczęła nim sugestywnie wymachiwać, Julka uznała, że sprawa dojrzała do wyjaśnień.

- Pani Malwina siada na wersalce i oddaje mi narzędzie zbrodni. I to już! - krzyknęła jak generał, wchodząc do pokoju.

- Piotruś wychodzi z szafy. Ja siadam na fotelu i słucham. Kto to jest Artur?

Piotruś oswobodził się z ubrań i wystawił nos ze swojego ukrycia. Kiedy upewnił się, że Malwina wykonała polecenie, przysiadł na krześle po prawicy Julki i z miną pobitego psa oświadczył:

- To ja. Ja jestem Artur. Artur Rożek.

Oświadczenie bynajmniej Julki nie wzruszyło.

- Dowód poproszę.

Piotruś zwany Arturem czy raczej Artur zwany Piotrusiem ruszył truchtem do przedpokoju, skąd wrócił z pudełkiem po butach. Wyciągnął z niego dokument i posłusznie podał Julce, starając się nie patrzeć na babę, która rozgniała wersalkę.

- Zgadza się - potwierdziła Julka, po tym jak obejrzała dowód z każdej strony. - To znaczy, nie zgadza się. Po co udajesz kogoś innego? Depresja to też wyglup?

- Julianno, ja ci wszystko wyjaśnię - zapewnił wzburzony Artur vel Piotruś, który wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozpłakać. - I tobie, kochanie, też wyjaśnię, kim jest ta pani, ale o tym za chwilę. Zacznę od tego, że jestem, a raczej byłem księgowym włoskiej mafii...

\*

Aldente załatwiał jakąś ważną sprawę i zapowiedział, żeby nie czekać na niego z kolacją, bo w związku z przyjazdem rodziny ma mnóstwo spraw, Rico też zniknął gdzieś bez śladu. Dwóch Włochów jak zwykle siedziało w pokoju na górze, a trzech oglądali w salonie mecz i Dorota mogłaby odtańczyć przed nimi nago choćby kankana z efektowną odsłoną macicy, i tak by to nic nie dało. Na świecie istniała w tej chwili jedynie ich drużyna, czego dowodziły pełne pasji komentarze, jakie wykrzykiwali na cały dom.

Zawiadomiła więc nadinspektora, który czał się gdzieś w pobliżu ze swoimi ludźmi, i przystąpiła do akcji. Po cichu przemknęła do pokoju Aldente i wyniosła laptopa przez okno. Policjanci już czekali za murem. Chwycili łup i bezszelestnie rozmyli się w ciemnościach, za to przy nodze Doroty pojawił się znajomy buldog, który dotrzymywał jej towarzystwa, dopóki po drugiej stronie znowu nie zachrobotало. Wtedy bez słowa odebrała komputer i wróciła do pokoju. Ledwie odłożyła go na miejsce, drzwi powolutku się uchyliły.

- Chodź - zawibrował ponętny szept Aldente.

Włoch? Tutaj? Przecież nie słyszała na podjeździe żadnego samochodu. Powiedział „chodź”. Wiedział, że tu była! Ta zachęta w jego głosie brzmiała co najmniej obiecująco. Pewnie myślał, że na niego czeka, skoro poprzedniej nocy im nie wyszło. Że też własny tyłek odmówił jej współpracy... Już chciała rzucić się ukochanemu na szyję, kiedy w drzwiach, oprócz sylwetki Aldente, zobaczyła kogoś jeszcze. I nie był to Rico czy któryś z Włochów.

To była kobieta.

Obrzydliwie zgrabna, co Dorota stwierdziła, patrząc na nią zza zasłony. Zdążyła się skryć, zanim jej podły szef zapalił przy łóżku świece i zaczął się do tej flądry dobierać!

- Tu nam nikt nie przeszkodzi, bella, tylko musimy być cicho - wyszeptał czule i pocałował tamtą w ucho.

Dorota tyle się zastanawiała, jak by to było, gdyby ona i on, a teraz mogła sobie pooglądać umizgi w wykonaniu Aldente,

zupełnie jakby oglądała jakiś erotyczny... Nie, pornograficzny film. Te mlaski, te jęki! Dalej było na tyle nieapetycznie, że zamknęła oczy i zatkała uszy. Dopiero kiedy dobiegły ją spazmatyczne stękania, zyskała pewność, że w tak absorbującym momencie nie zostanie zauważona przez żadne z kochanków.

Na czworakach przemknęła do okna i uciekła.

Wśród dyszeń Włocha i popiskiwania blondyny podjęła jednak decyzję.

Już ona makaroniarzowi pokaże.

Nie doceniła Aldente. Ten włoski amant, uczony od chłopca na bezwzględne go żołnierza, odznaczał się wyjątkowym słuchem. Ćwiczony latami refleks nie zawiódł i tym razem. Nawet w tak ważkiej chwili wyczuł w pomieszczeniu jakiś ruch. Kiedy odwrócił głowę, zobaczył swoją pielęgniarkę, która z wdziękiem czmycha przez okno pokoju.

Niedobrze.

Chciała mu zrobić niespodziankę i czekała tu wiernie, żeby dokończyć wczorajsze słodkie tête-à-tête, a on co?

On konwersował z...

Zaraz, jak jej na imię?

\*

Zanim Piotruś vel Artur Rożek na dobre rozpoczął swoje zwierzenia, Julka skojarzyła, że oto przy jej boku siedzi facet, który rzekomo pofrunął z jasnogórskiej wieży. Uprosiła go więc, żeby zgodził się na czyjąś wizytę, i zadzwoniła do Cezarego.

Cezary pojawił się w mieszkanku na Piastów po niecałej pół godzinie i nawet nie przedstawiając się domownikom, wykrzyczał do Julki:

- Jest! Ruda, mamy go! Jest zgodność. Mamy Rica!

Na dźwięk znanego imienia Artur porzucił swe obawy i prawie usiadł swojej narzeczonej na kolanie.

- Rico? - powtórzył przestraszony.

Dopiero wtedy Cezary zwrócił na niego uwagę.

- Pan zna Rica? - zapytał faceta przyklejonego do



olbrzymiej kobiety.

- Cezary, pozwól, że ci kogoś przedstawię - włączyła się przejęta Julka. - Tylko może najpierw usiądź. To jest pan Artur Rożek.

- Co za zbieżność nazwisk - zauważył Cezary i rozsiadł się wygodnie w fotelu, oczekując pewnie kawy i ciasteczek.

- To nie jest zbieżność - uściśliła Julka, a facet pokiwał gorliwie głową. - To jest ten Artur Rożek. Trup z wieży.

Cezary przyjrzał się uważnie każdemu z nich, jakby chciał się upewnić, że ci dorośli ludzie nie zaprosili go do obcego mieszkania, żeby zabawić się jego kosztem. Julka uprzedzała przez telefon, że ma jakąś nowinę, ale nie zdradziła nic więcej. A jak do tej pory nie przejawiała skłonności do robienia głupich kawałów.

- Księgowy mafii włoskiej - wskazała na rzekomego trupa, zupełnie jakby zapowiadała króla, który miał wkroczyć między lud.

- Ja... upozorowałem własną śmierć - wydukał księgowy i Cezary, podobnie jak komisarz podczas rozmowy z panem Smolikiem, w jednej chwili zrozumiał wszelkie „zbiegi okoliczności”, które od samego początku towarzyszyły rozgrywającym się wydarzeniom.

- Nowiutki garnitur! - krzyknął olśniony. - I staranne pismo w liście samobójcy. Nagłe zastępstwo na wieży i tak dalej, i tak dalej...

- Przyznaję, to nie był majstersztyk, ale mieliśmy mało czasu.

- Mieliśmy?

- Ja i mój ojciec. Stefan Bobowiec.

- Że kto? - Julka myślała, że źle słyszy.

- Stefan Bobowiec.

- To narzeczony mojej cici!

- Świat jest mały, jak to mówią. Cieszę się. - Artur posłał Julce roztargniony uśmiech, bo wcale nie było mu wesoło. - Proszę pozdrowić cicię. Na czym skończyłem?

- Na tym, że mieliście mało czasu - przypomniał Cezary, zerkając na rudą, która trawiła właśnie nowinę.

- Tak. Mieliśmy mało czasu. Musiałem zniknąć, i to jak najszybciej, bo Aldente dąży do tego, żeby wrócić do Włoch. Oczywiście wyznaczy na swoje miejsce zastępcę, biznes w Polsce za dobrze się rozwija, żeby go zamykać, ale zaproponował mi, że albo wrócę z nim, albo... Zasugerował, że mnie zabije. A zaczęło się tak niewinnie...

- Przepęstwo? Niewinnie? - zapytał podejrzliwe Cezary, a Malwina skarciła go spojrzeniem.

- Tak. Wyjechałem do Włoch zarobkowo, znałem trochę włoski, więc znalazłem dobrą pracę. W Pomigliano d'Arco, w fabryce samochodów pod Neapolem. Tam poznałem Aldente. Miał jakiś problem z wyliczeniami, pomogłem mu. Na początku nie wiedziałem, co liczę, ale świetnie mi płacił, więc nie zadawałem pytań. Zorientowałem się, kiedy już nie było odwrotu. Byłem w to zamieszany tak samo jak on. Do Polski przyjechaliśmy razem.

Cezary poprawił się w fotelu.

- Czemu razem? I czemu do Częstochowy?

- Aldente pokłócił się z rodziną. Nie wiem, o co, starałem się nie utrzymywać z nim zbyt bliskich kontaktów, więc mi się nie zwierzał. Sprawa była poważna, musiał uciekać, bo inaczej przypłaciłby to życiem. Częstochowa była idealnym miastem. Raz, ja i Rico znaleźmy te rejony, dwa, Aldente mógł stąd prowadzić interesy, bo obecność Włochów nikogo tu nie dziwi. Święte miasto, Jasna Góra, turyści, pielgrzymi...

- A właśnie, Jasna Góra - nawiązał Cezary. - Wie pan, co oni takiego ukryli w klasztorze?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - rozczarował go Artur.

- Interesy prowadzą głównie z Olsztyna, chociaż tak naprawdę należy do nich wiele zakładów w Polsce, i to z różnych branż. Samochody, składy budowlane, zakłady odzieżowe, nieruchomości... Byłem głównym księgowym. Ja, biedny chłopak z Częstochowy. Żeby odsunąć od siebie podejrzania, podjąłem oficjalną pracę. Jako przykrywkę. Poznałem Malwinę, ale spotykaliśmy się w tajemnicy. Nie chciałem, żeby ktokolwiek o niej wiedział, a zwłaszcza oni. - Tu księgowy pogłaskał swoją narzeczoną po ramieniu. -

Kiedy się mszczą, nie przebierają w środkach. Nie ma znaczenia, czy mordują kobietę, czy mężczyznę. Nie dla kamorry. O ojcu też nie wiedzą, bo szczęśliwie nosimy inne nazwiska. Dlatego mógł mi pomóc. Postanowiłem zerwać z tamtym życiem, a jedynym sposobem było sfingowanie własnej śmierci. Musiałem się jednak zabezpieczyć. Nagrałem wszystkie obciążające ich dokumenty na pendrive'a i włożyłem go do szabli Żółkiewskiego, a właściwie do jej obudowy, bo w środku nie ma miecza. Przykleiłem go od wewnątrz taśmą.

- Co?! - Cezary złapał się za głowę. - Czemu tam? Nie mógł pan wymyślić jakiegoś mniej oryginalnego miejsca? Na przykład czapki Benedykta XVI? Przecież to jest teraz w ich łapach!

Księgowy pobladł.

- Wiem. Ale mój ojciec pracuje w Bastionie św. Rocha, to miejsce wydało mi się najbezpieczniejsze. Moje mieszkanie odpadało, a ojciec siedzi na Jasnej Górze codziennie.

- Dobrze, proszę mówić dalej. - Cezary uspokoił się, widząc, że jego rozmówca czuje się winny.

- Ukryłem materiały i czekałem na właściwe zwłoki.

Julka chrząknęła, ale Artur niezrażony ciągnął dalej:

- Oczywiście zamierzaliśmy je oddać, co też się stało. W międzyczasie postarałem się o nowe dokumenty i szukałem mieszkania. Wiedziałem, że najlepiej będzie zmienić miasto i to na takie, gdzie jest wielu mieszkańców. Stąd Katowice i to osiedle. W końcu grabarz, któremu zapłaciłem, dał nam znać, że przywieziono ciało chłopaka w moim wieku i o moim kolorze włosów. Zginął w wypadku motocyklowym i miał zniekształconą twarz. Wiedziałem, że taka okazja się nie powtórzy. Wynieśliśmy z mojego mieszkania najważniejsze rzeczy i podłożyliśmy ogień. Spłonęły zdjęcia, dokumenty; wszystko, co mnie identyfikowało. W pracy wytarłem nawet biurko, żeby policja nie dysponowała moimi odciskami palców. Ale postarałem się, żeby w mieszkaniu ocalał komputer, na którym robiłem obliczenia. Przypuszczałem, że ludzie Aldente po niego przyjdą, a chciałem, żeby czuli się

bezpieczni. Potem wykradliśmy ciało.

- Śmy? - Julka uniosła brwi. - Czyli narzeczony mojej cioci również brał w tym udział?

- Sam nie dałbym rady - ze skruczą potwierdził księgowy.

- A oszukiwać mnie dałeś radę?

- To nie tak, ja naprawdę odchodziłem od zmysłów. Pomyślałem, że to niezłe rozwiązanie. Znajdę psychologa, rozpocznę terapię. Owszem, nieco cię wykorzystałem i bardzo przepraszam.

- Wykorzystałeś? - podchwycił zaniepokojony Cezary, Malwina również spojrzała na narzeczonego pytająco.

- Julka miała być moim alibi. Dlatego tak nalegałem, a nawet podarowałem jej samochód, który kupiłem już na nowe nazwisko.

- Dobrze - ucieła. - I tak będę nim jeździć. Co z tym wykorzystaniem mojej osoby?

- Policja łagodniej traktuje osoby, które się leczą, a ja po tych wszystkich przejściach naprawdę nadawałem się do wariatkowa. Zgodziłaś się, żebyśmy rozpoczęli spotkania po tygodniu, więc miałem jeszcze czas, żeby pojechać do Włoch.

- Po co? - zadał pytanie Cezary, a Malwina przytuliła się do księgowego i z podziwem wypowiedziała:

- Mój bohater.

- Wariat! - Cezary w kwestii bohaterstwa miał swoje zdanie i wyraził je, choć nie było to z jego strony zbyt taktowne.

- Zrobiłem wydruki faktur i dokumentów i pojechałem przekazać je szefom mafii. Bo Aldente od lat ich oszukuje. Zgadzam się. Wariat. Nie wiem, jak udało mi się wrócić. Nie ma mowy, żeby człowiek z ulicy, a nie mogłem się przecież przedstawić, dostał się do jakiegokolwiek bossa. Pojawiłem się w kilku miejscach i zadałem kilka niewygodnych pytań. Zaczęli mnie szukać. W ostatniej chwili kupiłem bilet i wróciłem. Dzisiaj rano. O kradzieży w bastionie dowiedziałem się już w pociągu. Z gazet.

- Ale Jasna Góra? - Julka skrzywiła się z niesmakiem, kiedy opowieść dobiegła już końca. - Trup z wieży? Nie lepszy byłby jakiś wieżowiec?

- Chodziło o spektakularne miejsce, takie, żeby Włosi na pewno dowiedzieli się o samobójstwie.

- Z tym wyjazdem... - Cezary wstał, żeby rozprostować kości. - Są przecież inne sposoby. Czemu nie rozesłałeś tych kompromitujących dokumentów mailem? Mniej zachodu, mniej ryzyka.

- Nie mam adresu *capo di tutti capi*. - Księgowy wzruszył na taką sugestię ramionami.

- Ja też nie mam. Ale tak sobie myślę, że skoro całe Włochy do nich należą, to wystarczy iść do kafejki, pogrzebać w Internecie i porożsyłać listy do największych przedsiębiorstw w kraju. Zakład, że któryś dojdzie w końcu do bossa? Ktoś uprzejmy mu na pewno przekaże.

Księgowy dosłownie urósł w oczach. Porażony nową myślą rozpromienił się i ucałował siarczyście narzeczoną. Chciał nawet uściskać Julkę, ale ta skryła się za Cezarym. Artur był sympatyczny, dał jej wspaniałą samochód, ale te kradzieże zwłok, pranie brudnych pieniędzy... Niech lepiej ściska kogo innego.

Odważyła się jednak zadać proste pytanie:

- Wszystko ładnie, pięknie, ale kiedy opowiesz swoją historię policji? Znamy sympatycznego komisarza, który ci pomoże. Jerzy Niecko. Nie znosi Włochów. Głównie dlatego, że jeden z nich chce mu sprzątnąć Dorotę, moją siostrę. Sprzątnąć, w sensie: uwieść, oczywiście, a nie zamordować.

\*

Aldente wiedział, że jeśli Dorota ma jeszcze przez jakiś czas siedzieć cicho i z nim współpracować, nieprzyjemne wrażenie powinno zostać zatarte.

I to nie było czym.

Po nocnej wpadce zwykle „przepraszam” mogło zabrzmieć jak: wybaczyć, że podzieliłem się z kimś innym swoim nasieniem, ale sytuacja była podbramkowa.

Żadna kobieta tego nie kupi. „To nie jest tak, jak myślisz” również jakby się zużyło. Ale oświadczyły w niedzielny poranek?

I to zaaranżowane niebanalnie? Romantyczny gest i pełna skrucha? To powinno zadziałać. Powędrował więc do ogrodu z kilkoma paczkami spaghetti. Z okna Doroty rozpościerał się widok na wypielęgnowany trawnik, który stanowił doskonałe tło dla jego sercowych poczynań. Wykonanie makaronowego napisu: KOCHAM I SZALEJĘ. WYJDŹ ZA MNIE zabrało mu ponad pół godziny, ale ułożyć takie чудо jedną ręką wcale nie jest łatwo. Przez następny kwadrans instalował na zewnątrz głośniki. Kiedy już wszystko było gotowe, odpalił płytę z nagraniami Boccellego i czekał.

Dorota wyszła na balkon dumna i... wściekła.

- Chcę spać! - wrzasnęła. Obróciła się na pięcie i już celowała w niego pogardliwym spojrzeniem, kiedy przypadkowo zerknęła na napis.

I omal nie fiknęła przez balustradę. Wpatrywała się w trawnik jeszcze przez chwilę, po czym zniknęła w pokoju. Po kilku minutach była już w ogrodzie, a w jej oczach błyskał to niepokój, to... uczucie?

- Traktuj to jak najbardziej poważnie, chociaż... - udawał, że z sobą walczy. - Muszę coś wyznać. Chciałem cię wygnać ze swojego serca, broniłem się, wczoraj w nocy próbowałem nawet o tobie zapomnieć w ramionach innej kobiety, ale nie umiem. Boję się tego uczucia, ale... Zakochałem się w tobie, bella. Na śmierć i życie.

\*

Dorota przez cały tydzień chodziła jak błędna.

Takiej decyzji jak zamążpójście nie podejmuje się pod wpływem chwili, zamierzała więc poważnie przemyśleć złożoną jej propozycję. Stało na tym, że da odpowiedź po rodzinnym zjeździe, na którym zresztą miała zostać oficjalnie przedstawiona.

Od dnia oświadczyn Aldente ze wszystkich sił starał się jej przychylić nieba. Zabierał ją na kolacje, zapraszał do kina, a dzień przed imprezą porwał do Warszawy, gdzie Dorota, ho, ho, zaszalała w sklepach. I nie było to centrum handlowe, ale ekskluzywne salony mody damskiej. Rozpusty dopełniła

trzygodzinna wizyta u kosmetyczki, która wymasowała ją od czubka głowy po opuszki palców. Aldente załatwiał w tym czasie swoje sprawy, więc spędziła ten dzień, nie martwiąc się, że obok znudzony facet wymachuje transparentem z napisem: DOŚĆ!

Czy jej Włoch nie był wymarzonym materiałem na męża?

Wiodłaby dostatnie życie, bez trosk i zmartwień. I wcale nie musiałyby się uczyć gotować. Po prostu zatrudniłby kucharkę. I sprzątaczkę. Ona zajęłaby się tym, co potrafiła najlepiej: pielęgnacją własnej osoby albo czytaniem książek. Byłaby zadbana i gustownie ubrana. Mogłaby siedzieć na tarasie z ulubioną lekturą w ręku i cieszyć się, że w końcu ziściło się jej marzenie: własna garderoba zapełniona strojami.

Ale czy Aldente aby chce mieć dzieci?

Dorota chciała.

Byłaby idealną matką. Taką, która by nie wrzeszczała i która pozwoliłaby swoim maleństwom kąpać się trzy razy dziennie. A najlepiej: postawiłaby w ogrodzie gigantyczny basen i tapląłaby się tam z nimi, dopóki nie odpadłyby jej tipsy - przecież byłoby ją stać, żeby następnego dnia zrobić nowe.

Tak, miniony tydzień przeleciał nie wiedzieć kiedy.

Gdy ona podbijała stolicę, oficjalnie zatrudnione w charakterze kucharek mama z ciotką robiły zgoła inne sprawunki niż koronkowa bielizna czy suknia koktajlowa: wybierały bakłażany, pomidory, papryki i sery. Wszystko wedle sporządzonej wcześniej listy potraw, nad którą toczyły nieustające boje przez dwa dni. Ponieważ już nie musiały się ukrywać, ich żywe dialogi słychać było nawet w garażu. Włosi z jakichś powodów ostatnio również nie mogli dojść do porozumienia, więc kiedy zarówno na dole, jak i na górze robiło się głośno, Dorota znikła w ogrodzie, gdzie sumiennie pracowała na swą opaleniznę. Z pierwszego piętra dobiegały ją okraszone przekleństwami słowa typu: „lojalność” i „rodzina”, z parteru: „carpaccio” oraz „pasta” (równie często padały także określenia „stara wariatka” czy „durna marmuzela”). Spokojniej robiło się dopiero wieczorem, kiedy do domu wracał

Aldente. Włosi milkli, ciocia z mamą opuszczały kuchenne pole bitwy.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Piętnastego sierpnia, w sobotę, kiedy całe miasto obchodziło uroczyste święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, zamieszanie w domu na Świętokrzyskiej sięgnęło szczytu.

Dorota nie mogła przestać się denerwować.

Niedługo pozna przecież rodziców Aldente.

Czy synowa z Polski przypadnie im do gustu?

Musiała się uspokoić. Ogród jako miejsce relaksu odpadał - Ronaldo kosił w nim zawzięcie trawnik, kawa z Niekiem na mieście również nie wydawała się najlepszym rozwiązaniem. Centrum z powodu święta i całej masy pielgrzymów nie było co prawda sparaliżowane, ale poruszanie się po nim autem wymagało pokładów cierpliwości, których Dorota dzisiaj w sobie nie odnotowała. Cała w nerwach dotarła więc do kuchni i rzuciła się w wir ostatnich przygotowań. To znaczy: stanęła dyskretnie z boku, przyglądając się, jak postępuje praca. Włosi również przygotowywali się do urozystości, choć ich przygotowania owiane były tajemnicą. Ciągłe gdzieś biegali, dzwonili i na siebie warczeli. Podejrzenie często kręcili się również w okolicach grządki z różami.

- Co oni są tacy zdenerwowani? Przecież to my dbamy o wszystko - cmoknęła z dezaprobatą ciocia. - Latają jak stado kotów z pęcherzem.

- A propos pęcherza - zagadała niby beztrąsko mama. - Jak się miewa szanowny staruszek, czyli twój narzeczony?

Oblicze cioci natychmiast pokryło się czerwonymi plamami, więc Dorota uznała za stosowne interweniować.

- Wiecie co? - wpadła na pewien pomysł. - Na górze siedzi taki jeden. Samotny i głodny. Może by go tu ściągnąć i nakarmić?

Zamknięty na piętrze pokój kusił Dorotę nawet teraz, kiedy upewniła się co do intencji swojego oblubieńca. Kusił i pozostawał jedyną niewyjaśnioną między nimi kwestią. Chciała się tam dostać. Choćby na chwilę. I choćby tylko po to, żeby



udowodnić Nieckowi, że jego podejrzenia są zwykłym wymysłem. Za drzwiami prowadzącymi na poddasze nie stoją lodówki wypełnione ludzkimi członkami, tak jak by tego chciała policja.

W sumie i tak nie miała co robić, a czas wydawał się na rekonesans odpowiedni, bo Aldente w otoczeniu swojej świty wyjechał po rodzinę. Na górze siedział tylko jeden jedyny grubasek. Który uwielbiał grzanki z serem mozzarella i oliwkami. Ciocia wstawiła więc kilka kawałków pieczywa do mikrofalówki i wkrótce po domu rozszedł się upojny zapach masła i oregano. Żeby grubaska jeszcze bardziej zmotywować, Dorota wzięła do ręki kromkę i podjadając małymi kęsami (by przypadkiem nie rozmazać szminki), zapukała do pokoju.

Włoch spojrział na nią jak na kobietę pozbawioną serca.

- Jesteś proszony na dół. - Zachęcająco pokazała na schody i mlasnęła. - Co za pyszności! Od jutra zaczynam się odchudzać, ale dzisiaj jeszcze sobie odpuszczę.

- Na dół? - Przełknął ślinę i nie przestawał słać grzance łakomych spojrzeń. - Ale ja nie mogę.

- Za karę tu siedzisz czy co?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Tam dwie starsze panie czekają, aż pomożesz im odkorkować butelki. Byłbyś tak miły? - Skinęła na drzwi. - Przy okazji przegryziesz sobie kanapeczkę. No, już! Szybko.

Udało się!

Grubasek podumał chwilę na progu, ale widocznie uznał, że jemu również należy się coś od życia, bo poczekał, aż Dorota zniknie w swoim pokoju, i wtedy na palcach pospieszył do kuchni.

Dorota tylko na to czekała.

Z uchem przyklejonym do ściany wsłuchiwała się w dźwięki na schodach, a kiedy skrzywienie ustało, przemierzyła korytarz, pokonała podest i dopadła drzwi. Wstrzymując powietrze, wślizgnęła się po cichu do środka i objęła wzrokiem pomieszczenie. Tego się nie spodziewała.

Strażnicza wieża - to było jej pierwsze skojarzenie.

Światło wpadało tu przez galerię obiegających pokój okien, z których roztaczał się widok na najbliższą okolicę. Największe wrażenie robiły jednak monitory komputerów umieszczone na pulpicie ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian. Każdy wyświetlał co innego. Kuchnię, salon, łazienki, pokoje Włochów, ogród. Brakowało jedynie gabinetu Aldente i jej sypialenki, w której mieściła się dotąd garderoba, więc pewnie z tego powodu została w tym szpiegowskim systemie pominięta. I całe szczęście. Jej prywatność nie ucierpiała, a Aldente nie mógł widzieć, jak zakrada się po jego laptopa.

Jednak mimo to zaczęła się bać.

Cztery kamery przekazywały widok na przylegające do Świętokrzyskiej ulice!

Skoro dysponowali monitoringiem, jak nic obserwowali stąd wszystkie ich tajemne akcje i podchody. Po co skoki przez mur, wymachy drabiną i akrobatyka okienna? Po co cały ten stres? Ależ tak, Aldente nie zdziwił się, kiedy wyznała mu, że nie potrafi gotować, bo od początku o tym wiedział. A złośliwiec Rico wysuwał coraz to nowe żądania kulinarne.

Perfidni !

Z prawdziwym obrzydzeniem popatrzyła na sofę ustawioną przodem do monitorów. Tu pewnie panowie Włosi siadali i przy kieliszku wina oglądali odcinki serialu „Dziwne przypadki pielęgniarki Dorotki”.

Z wściekłości walnęła pięścią w listwę zaopatrzoną w jakieś pokrętła i guziczki, aż jeden z nich zaświecił się na czerwono i ze stojących na parapecie głośników popłynęła rozmowa:

- Ewelina... Mówisz poważnie?

- A czy ja wyglądam na osobę niepoważną? Mały, podręczny arsenał używany nawozem do róż. To masz w ogródku oprócz buldoga i fontanny. I jeszcze wiesz, że to mafia? Teraz ci powiedzieli czy kiedy przyjmowali cię do pracy?

- Policja mi powiedziała.

- Po... Policja? Czy nie czasem ten zdrajca Niecko? Ten, który nie życzył sobie mojej pomocy przy tropieniu przestępców?

- On też tam był, kiedy mnie werbowali.

Dorota zbladła i wyłączyła urządzenie. Tyle jej wystarczyło.

Przez długą, długą chwilę nie mogła jednak zebrać myśli. Nie uwierzyłyby w to, gdyby nie słyszała nagrania na własne uszy. To ona i Ewelina. Rozmawiały w aucie! Czy podsłuchy były w tym domu wszędzie?

W takim razie ona już jest trupem.

Trupem w najdroższej sukience, jaką kiedykolwiek nosiła.

W innej sytuacji zastanowiłaby się, co robi, ale teraz była tak wstrząśnięta, że kiedy na biurku zadzwonił telefon, odruchowo podniosła słuchawkę. Dzwoniła jej niedoszła teściowa. Miała tak ciepły głos, że Dorota odruchowo nawiązała z nią rozmowę.

Po włosku.

- Dzień dobry, pani syn właśnie po was wyjechał... Dalsze słowa utknęły jej w gardle, bo za plecami usłyszała jakiś dźwięk. Odwróciła się. W drzwiach stał... Aldente.

\*

Cezary zabrał z mieszkania tylko kilka rzeczy, dlatego pakowanie nie zajęło mu wiele czasu. Na wierzchu torby położył książkę Bochenka, którą zdążył już przeczytać w całości. Teraz miał mnóstwo czasu na studiowanie dziejów klasztoru, ponieważ przedwczoraj został zwolniony. Kiedy prasa rozpisła się, że zamieszany w kradzież eksponatów doktor Trębacz nadal pracuje na Jasnej Górze, rektor uniwersytetu zasugerował, że albo Cezary sam zrezygnuje, albo otrzyma wypowiedzenie.

Nie zrezygnował, nie widział powodu, żeby ulegać medialnej presji.

I oto trzymał w ręku dokument, w którym się z nim żegnano.

Przeor nie wypowiedział mu celi, ale raczej unikał jego towarzystwa, co Cezary właściwie zrozumiał i dumiał właśnie, czy nie uśmiechnie się jednak do Lesiaka i nie spędzi kilku miesięcy we Wrocławiu.

W tym momencie zadzwoniła Julka.

- Cześć, słuchaj, odwiedził mnie właśnie ksiądz - oznajmiła podekscytowana.

- Jakiś specjalny ten ksiądz? Biskup na przykład?

- Nie, zwykły znajomy. Zwyczajnie się lubimy i był w

pobliżu, więc zajrzał. I wiesz, co mi powiedział? Wikary w kościele św. Zygmunta to jego dobry kolega!

Tu już się Cezary zainteresował. Bochenek pisał, że ich bastion wziął swoją nazwę od Kaplicy św. Trójcy znajdującej się właśnie w tej parafii. Nie mogli zignorować takiej informacji, tym bardziej, że kościół był najstarszą parafią w mieście, nazywaną z tego względu kościołem matką. Zajrzeli tam z Julką po wyprawie do Olsztyna, ale kiedy proboszcz dowiedział się, że szukają wiadomości na temat Bractwa Aniołów Stróżów, odesłał ich na Jasną Górę. Od drzwi do drzwi, zupełnie jak w urzędzie. A tu masz, zaprzyjaźniony wikary! Czyżby teraz zanosilo się na przełom?

- I co z tym kolegą? - Cezary chciał wiedzieć więcej.

- To pasjonat. O parafii wie wszystko, właśnie rozmawialiśmy z nim przez telefon. I teraz uważaj. Powiedział mi, że paulini zarządzali tym kościołem administracyjnie i przebudowywali go od roku 1625.

- Nie!

- Tak. Budową zarządzał między innymi ojciec Gołdonowski, który opiekował się na Jasnej Górze naszym bractwem. Nawet napisał dla niego jakiś katechizm czy coś takiego.

- Czytałem o Gołdonowskim, ważna postać - potwierdził. - To świetnie!

- Tak myślałam, że cię to zainteresuje.

- Nawet więcej niż zainteresuje. Jakby popatrzeć na mapę... - zawiesił znacząco głos i czekał, aż Julka za niego dokończy.

- Nawet nie trzeba patrzeć na mapę. Kościół stoi na wprost Jasnej Góry, dokładnie na końcu Alei.

- Ale jak spojrzysz na mapę, maleńka, zobaczysz, że kościół leży po drodze do Olsztyna - przemawiał czule, ale stanowczo. - Nie uważasz, że jest prawdopodobne, że tunel prowadzi najpierw do kościoła św. Zygmunta, a stamtąd odbija na wschód? Klasztor i kościół miały jednego zarządcę, ta przebudowa, i to w roku, w którym założono bractwo, nazwa bastionu... Słuchaj, spotkajmy się tam -

zapropował, popatrując na stojącą przy drzwiach torbę. - Dzisiaj jest święto, kościół będzie otwarty.

Umówili się równo za godzinę, Cezary miał więc dość czasu, żeby podziękować przeorowi za gościnę i pożegnać się z niektórymi z braci. Pomimo dystansu, z jakim ojciec przełożony uściślał mu dłoń, Cezary opuszczał te święte mury z żalem. Spędził w nich zaledwie trzy tygodnie, ale z pewnością były to trzy najciekawsze tygodnie tego roku.

Byłby dotarł na spotkanie z Julką nieco przygnębiony, ale wlokąc się do auta, usłyszał za sobą radosny głos, który mógł należeć tylko do Lesiaka:

- Cezary, stary druhu! Ja przybywam, a ty wybywasz? Hola! Nie zostawia się przyjaciół w biedzie. Dowiedziałem się, że cię wylali, i oto jestem. Cały twój! Razem pokonamy każdą przeciwność losu.

\*

Sobota od samego rana zapowiadała się dla Rica fatalnie.

Wiedział, że musi być trzeźwy, co powtarzał sobie jak mantrę przez cały dzień aż do teraz, kiedy natknął się w kuchni na skrzynki z winem. Wina zażywał w ostateczności, tylko w charakterze płynu zastępczego, ale i tak nim targnęło. Zmusił się jednak, żeby odwrócić wzrok, bo Aldente zlecił mu zadanie.

Ostatnie zadanie - powtórzył w myślach i ta świadomość dodała mu sił.

Miał wywieźć baby do Olsztyna i tam się ich pozbyć.

Cóż...

- Zabierz im telefony - rozkazał Aldente, kontrolując wzrokiem kuchnię.

Baby siedziały na ławie pod ścianą jak kury na grzędzie. Jedna obok drugiej, ciasno do siebie przytulone i wylękłe. Starej kwoce, która zawsze najgłośniej gdała, aż zjechały ze strachu podkolanka - wisiały smętnie sflaczałe ponad obrzydliwymi ortopedycznymi kapciami. Dorota słała rozżalone spojrzenia w stronę Włocha i ronila łyżki przypominające wielkością piklowane cebulki, a jej matka patrzyła przerażona na chłopaków, którzy trzymali je na

muszce. Cud! Żadna się nie odzywała, żadna nie krzyczała? Wspaniały widok. Prawie tak wspaniały jak stół w salonie, który, pięknie udekorowany i zastawiony, czekał, aż zasiądą za nim goście.

- I pospiesz się, bo Ronaldo już widzi ich samochody. Są na Rocha. Do garażu! Wyjedźcie, kiedy zaparkują i wejdą do domu.

Rodzinny zjazd.

Doskonale.

Na myśl o Olsztynie Rico poczuł zadowolenie. Kiedy zacznie się krwawa jatka, on będzie daleko.

Aldente wyglądał na mniej zadowolonego. Nic dziwnego. Nie wszystko szło tak, jak to sobie rozpieszczony synalek mafiosa zaplanował. Najpierw okazało się, że goście nie czekali w umówionym miejscu, ale utknęli w korku po drodze z Warszawy. Potem sprawa z Dorotą. Wsypała się na własne życzenie. Weszła do warowni i odebrała telefon. Podobno mówiła po włosku, i to ze świetnym akcentem. Tylko że kto miał posprzątać po Aldente?

On.

Dla tego smarkacza trzy baby oznaczały trzy strzały, ale choć Rico był degeneratem, miał swój kodeks honorowy. Jeśli tykał bab, to nie na wojnie i nie pistoletem. Inne środki, jak najbardziej. Nie zamierzał ich przecież puścić wolno, bo jeszcze narobiłyby przedwcześnie rabanu, ale chciał załatwić sprawę po swojemu. Posiedzą kwoki w zamknięciu, a potem ktoś je znajdzie, bez obaw.

Z największą satysfakcją zakleił zakładniczkom usta taśmą izolacyjną, choć była to czynność przyjemna tylko w odniesieniu do Doroty. Potem zawiązał im oczy, skrępował ręce i pogonił do samochodu, gdzie baby zaległy na tylnym siedzeniu niczym sardynki w puszcze. Przy tej okazji dostrzegł, że ta w spodniach ma jego buty! Odebrałby je od razu, ale nie było czasu. Jeszcze się rozliczą, bez obaw.

Włączył swoją ulubioną składankę przyśpiewek remizowych, zaburczał gaźnikiem i wyjechał z garażu. Za bramą zasalutował rosyjskim ochroniarzom i nie przejmując się faktem, że Białe

miś niesie się gromko po całej okolicy, pomknął w kierunku Olsztyna.

Zabrał vana, dlatego w okolicach Skrajnicy pozwolił sobie odbić w las.

Żeby pasażerom nie jechało się czasem zbyt wygodnie.

\*

Aldente nie potrafił określić, od kiedy jego ludzie przestali mu patrzeć w oczy.

Niby wykonywali polecenia, ale skończyły się wspólne wieczory przy telewizorze i pogaduszki o kobietach. Nagle każdy z nich zaczął być zajęty. W związku z przyjazdem rodziny on również miał mnóstwo spraw na głowie, więc nawet mu to odpowiadało. Poza tym pochłaniało go pilnowanie Doroty, której najwyraźniej wydawało się, że jest co najmniej hrabiną lub dziedziczką częstochowskiego tronu. Musiał organizować romantyczne eskapady i wręczać prezenty, musiał szeptać czule słówka (w tym był akurat dobry, ale nawet on potrzebował odpoczynku) i nieustannie dawać jej do zrozumienia, że jest wyjątkowa. Jednego nie potrafił jednak absolutnie znieść: chciała nim rządzić.

Kobieta chciała rządzić mężczyzną!

Podobny absurd był w jego kraju nie do pomyślenia. Jediną osobą płci odmiennej, która mogła mieć władzę w domu, była matka.

Jak sobie z tak wyzwolonymi babami radzili Polacy? Małe akty terroru w postaci fochów Doroty znosił dzielnie, pocieszając się, że to już niedługo. Zagryzał usta, chociaż najchętniej walnąłby pięścią w stół i odesłał tę rozpuszczoną dziewczuchę do stu diabłów.

I wreszcie nadeszła sobota. Jego wielki dzień.

Dzisiaj rodzina przekona się, że Aldente ma łeb na karku. Że potrafi kierować organizacją poza krajem, i to tak, że jego zyski przekraczają wpływy innych bossów. A koło zatacza coraz szersze kręgi: Niemcy, Czechy, Rosja.

Kiedy skończył z Dorotą, odetchnął. Mrugała rzęsami, odstawiała histerie, ale podobne występy już go nie wzruszały.

Finito z tą parodią miłości. I od razu zaczął jaśniej myśleć. Wtedy się zorientował.

Jego ludzie nie patrzyli mu w oczy.

Było jeszcze gorzej. Rosjanie siedzieli po jednej stronie stołu naburmuszeni i źli, chociaż starał się ich przyjąć jak najlepiej i nawet zatrudnił tłumacza, a członkowie jego klanu po drugiej. Oni również popatrywali na niego wrogo i... w pewnej chwili Aldente dostrzegł nić porozumienia, która nawiązała się pomiędzy Ronaldo a Domenico - nowym pełnomocnikiem klanu przybyłym dzisiaj z Włoch. Zbyt często wymieniali spojrzenia jak na ludzi, którzy dopiero się poznali. Co się tutaj dzieje?!

Nie spuszczać nikogo z oczu, powitał zebranych i dał sygnał do rozpoczęcia uczyty. Rozmowy o interesach zostawi na później, kiedy wino i jedzenie rozwiążą im języki. A teraz sprawdzi sobie to i owo.

- Cosmimo, Carlo. - Skinął w stronę swoich ludzi. - Przygotujcie próbki - zarządził, a kiedy zniknęli za drzwiami, przeprosił towarzystwo i pobiegł do wartowni.

Pozostało jeszcze pozbyć się 'O Mago, który pełnił dyżur. Jeśli wysłałby go na dół, mógł uprzedzić tamtych. Aldente nie zamierzał ryzykować, nawet jeśli okazałoby się, że coś sobie uroił. Wyciągnął pistolet i już patrzył, jak tłuste ciało kompana, z którym dzielił szkolną ławę, dogorywa na posadzce. Teraz mógł włączyć kamerę i posłuchać rozmowy tych, którym do niedawna ufał.

- Aldente się nie domyśla? - Cosimo rzucił niepewnie do Carla, odbierając od niego woreczki wypełnione białym proszkiem.

- Żartujesz?

- Kiedy zaczynamy?

- Domenico da znak, na razie czekamy. Po co mają iść na tamten świat z pustymi żołądkami?

Tyle mu wystarczyło.

Został zdradzony.

I to podwójnie.

Honor honorem, ale nie było innego wyjścia. Nie czekając



na dalszy przebieg zdarzeń, Aldente przemknął się do kuchni, a stamtąd przez okno do ogrodu, gdzie pokonał mur. Uciekał jak tchórz, ale pocieszał się, że jeszcze przyjdzie czas zapłaty. Sam nie dałby im wszystkim rady. Klnąc pod nosem, znalazł się na terenie ogródków działkowych, gdzie na razie był bezpieczny. Teraz musi pomyśleć o zmianie wyglądu. Rozejrzał się. Jedna z działek wyglądała na pustą, ale na sznurku, który zawieszono pomiędzy dwiema gruszami, powiewały ubrania. Nie był to co prawda Giorgio Armani, raczej kolekcja typu kapota z płota, ale cóż. Przebrał się i z zadowoleniem stwierdził, że nie wygląda już jak elegancki Włoch, ale jak zwykły opalony... pielgrzym? I o to chodzi.

Najważniejsze, żeby jak najszybciej dotrzeć do kościoła św. Zygmunta. Na Jasnej Górze było dziś zbyt wielu ludzi.

Kiedy usłyszał grzechocące w oddali strzały, splunął i zapalił papierosa.

\*

Niczego by nie znaleźli, gdyby nie pewien stary ksiądz.

Widząc, że rudowłosa kobieta i dwaj dość oryginalnie wyglądający mężczyźni krążą niestrudzenie po świątyni i zaglądną w każdy kąt, uśmiechnął się dobrotliwie i zagadał:

- Szukacie w naszym kościele korzeni swojej wiary?

Starszy, z włosami nastroszonymi jak u jeżozwiera, cały się rozpromienił, podobnie kobieta, za to muskularny brunet wbił ręce w kieszenie i nie wyglądał na zbyt ucieszonego spotkaniem.

- Bywaj pochwalony, Boski namiestniku w sutannie! - zawołał jeżozwierz i z całych sił uściśnął mu dłoń, po czym dokonał prezentacji: - Julka, nasza muza, Leon Lesiak i Cezary Trębacz, wszyscy poszukujący Boga. Dobrze powiedziane. Kto nie szuka? Kto się nie zastanawia, prawda, Cezarku?

Brunet chwilę walczył, ale również się uśmiechnął i mimochodem wydzielił starszemu porządnego kukuśnia, co nie uszło uwadze bystrego duchownego.

- Ja mam dobry wzrok. - Ksiądz uniósł niby groźnie palec.

- Kości może mniej, uszy też już się nasłuchały - pokazał na solidny, drewniany konfesjonał przycupnięty za filarem - ale wzrok jeszcze mi działa.

- Lesiak opowiada czasem takie rzeczy, że lepiej go hamować - powiedział na swoje usprawiedliwienie młodzieniec, lecz jakby się zmieszał, co ksiądz odnotował z niejakim zadowoleniem. Kto jest zdolny do refleksji, nie błądzi.

- Hamuje to się samochodem, mój kochany - zauważył. - Człowieka nie da się jednak zatrzymać. I całe szczęście.

- A ksiądz długo już tak w tym konfesjonale służy? - zainteresowała się uprzejmie rudowłosa. - Ile to lat?

- Niedługo będzie dwadzieścia. - Ksiądz wypiął zasuszone popiersie. - Służba.

Właściwe słowo. Siedzę na stanowisku, chociaż wiatr wieje, chociaż mróz w... tyłek szczypie - pozwolił sobie na żart, ale szybko wyjaśnił: - Mamy tu, rzecz jasna, ogrzewanie, ale ten konfesjonał jest wyjątkowy. - Podreptał powoli w stronę swojego miejsca pracy. - Mówimy na niego „lodowy tron”. Zawdzięczam mu przeziębione nerki.

Cała trójka miała teraz takie miny, jakby słuchała opowieści Łukasza ewangelisty. Nawet brunet porzucił swój dystans i podszedł do konfesjonału, okazując mu nabożną cześć. Ksiądz rozpoczął więc opowieść:

- To jedyny oryginalny konfesjonał, jeszcze z siedemnastego wieku. Kiedy próbowano go wymienić na nowy, zaparł się i ani drgnął. Śmiejemy się, że spowiadają się w nim najbardziej zatwardziali grzesznicy.

- Proszę księdza, czy mogę na chwilę do niego wejść? - brunet wyglądał na mocno przejętego.

- Odmówić tak gorącej prośbie? Ludzie nie interesują się już starociami, pędzą przed siebie w jakimś szale, nie oglądając się na przeszłość, z której mogliby się przecież wiele nauczyć. Ksiądz niemal się wzruszył.

- A wchodzić nawet we trójkę.

Jakby tylko na to czekali.

Władowali się do konfesjonału, chociaż ledwie się w nim

zmieścili. Coś tam zazgrzytało, zaskrzypiało i po kilku minutach w kościele zaległa cisza przerywana jedynie gwarem dolatującym z Alei.

- Podoba się? - zakrzyknął ksiądz, ale nikt mu nie odpowiedział. Zastukał w stare drewno, ale kiedy i na taką sugestię nie doczekał się odzewu, odsunął kotarę zasłaniającą siedzisko.

Czy przed chwilą weszli tam dwaj sympatyczni mężczyźni i uroczą dziewczyna, czy miał przewidzenia? Mówił prawdę. Oczy służyły mu dotąd bez zarzutu, nawet czytał bez pomocy okularów, co w tym wieku prawie się nie zdarzało.

Jak więc wytłumaczyć fakt, że „lodowy tron” ział pustką?

\*

Wszystkie trzy myślały chyba o tym samym: Rico powinien im do kompletu zatkać uszy. Za pierwszym razem było nawet dość zabawnie - mama z ciocią, jako bywalczyńce wiejskich wesel, przetańczyły przy podobnych kawałkach niejedną noc - ale puszczenie wciąż tej samej płyty i to na tyle głośno, że wibracje powodowały smyranie w nosie, to już było za dużo. Białe miś i majteczki w kropeczki sprawiły, że wszystkie trzy zaczęły łaknąć choćby Beethovena.

Potem nastąpiły wstrząsy. Rico pewnie celowo wybrał wyjątkowo wyboistą drogę. Ciocia Czesia, która skarżyła się na bóle kręgosłupa, stękała teraz przy każdym gwałtownym ruchu. W dodatku jechały chyba jakimś busem albo inną kolubryną, bo miejsca było tu dużo i rzucało nimi tak, że obijały się o kanty i siedzenia. Cała ta przyjemność trwała pewnie kilkanaście minut, ale tyle wystarczyło, żeby wątroba cioci zmieniła położenie. Nic więc dziwnego, że gdy slalom po kamieniach wreszcie się skończył, odetchnęła z ulgą. Nie na długo. Zaraz otrzymała niespodziewane kopnięcie w bok. Przestraszyła się, ale poczuła perfumy siostrzenicy, a potem bose stopy Doroty powędrowały do jej więzów. Jak to dobrze, że na przyjazd teściów ubrała sukienkę, a do niej klapki. W sandałach taka ekwilibrystyka nie byłaby możliwa. Teraz Dorota usiłowała poluzować pęki stopą i nawet nieźle jej to szło. Wysportowana

dziewczynka!

W ciocię wstąpiła nadzieja.

Kiedy samochód zaczął zwalniać, mogła już poruszać rękami. Inna sprawa, że Rico czuł się tak pewnie, że przy krępowaniu zbytnio się nie starał, więc miały ułatwione zadanie.

Ale co to? Od jakiegoś czasu przez biesiadne dźwięki muzyki zaczął przebijać jakiś metaliczny cienki rzegot. Już coś podobnego słyszała. Zaraz, czy Rico nie przywiózł ich czasem do tartaku? Tak! Piły rzeziły w zupełnie tak samo, jak przy poprzedniej wizycie w Olsztynie, gdy przyjechały tu po kaczkę.

Ale czemu do tartaku?

Chyba ten obleśniak nie zamierza ich pociąć na kawałki?

Ciocia wstrzymała powietrze.

Obleśniak tymczasem zaparkował - pewnie w garażu, bo piły stały się jakby ciut mniej słyszalne - i rzucił do tyłu mało uprzejme w treści pytanie:

- I jak się macie, balerony? Podobala się przejażdżka?

Następnie zaczął je gdzieś po kolei przeprowadzać. Kiedy szarpnął ciocią, ta poszła posłusznie, w obawie, że inaczej upadnie. Wytężyła za to słuch. Coś zachrobotало, zaszurało jak odsuwana krata i ciocia poczuła na rozgrzanej skórze zimny powiew powietrza.

Prowadził je do piwnicy?

Zgniją w jakiejś zimnej norze?

O, nie!

Jak tylko trzasnęły głucho drzwi i Rico zostawił ją samą, ciocia zaczęła szarpać się tak rozpaczliwie, że sznurki w końcu puściły. Nie zdążyła zdjąć opaski z oczu, bo znowu rozległo się szuranie i kroki, więc schowała za siebie ręce i czekała, chociaż najchętniej rzuciłaby się na tego bandziora od razu. Z zawiązanymi oczami. Nie przestawała jednak intensywnie myśleć. Rico przyprowadził jeszcze jedną z nich, więc znowu wróci. Miała trochę czasu, żeby się rozejrzeć i coś postanowić.

- Właż! - usłyszała ruch i z boku dobiegł ją jęk Haliny. Chyba niczego jej nie zrobił?

Może i nie była dla siostry zazwyczaj miła, ale szczerze ją kochała i jeśli ktoś spróbowałby Halinę skrzywdzić,

poruszyłyby w jej obronie całą kulę ziemską. Musiała działać.

Gdy tylko usłyszała łomot zamykanych drzwi, ściągnęła opaskę. Niewiele to pomogło - w piwnicy panowały tak nieprzeniknione ciemności, że nie widziała nawet czubka własnego nosa. Instynktownie ruszyła do siostry, ale szybko stwierdziła, że nie zdąży jej uwolnić, zanim tamten wróci.

Najważniejsze to znaleźć przedmiot, którym walnie Rica w łeb.

Próbowała szukać czegoś po omacku na podłodze, ale pod dłońmi wyczuwała tylko zimną ziemię.

Jakiś ciężki przedmiot...

I nagle wpadła na genialną myśl.

- Halinka, jestem - szepnęła, żeby siostra przestała się bać.  
- Mam wolne ręce. Ściągnę ci buta, dobrze? Muszę tego patałacha czymś ogłuszyć, a twoim buciorem można zabić słonia. Nie... - dodała, słysząc rozpaczliwe pojękiwania. Pewnie Halina chciała, żeby uwolnić jej usta. - Potem. Jeszcze zaczęłabyś się drzeć. Poczekaj tu, tylko bądź cicho. Zaraz wrócę. Cicho!

Rico coś długo się nie pojawiał.

Dorotka widocznie domyśliła się, że ciotka potrzebuje kilku chwil na zorganizowanie pomocy, i stawiała w aucie opór. Żeby tylko nie przesadziła. Rico był przecież niebezpieczny.

Teraz trzeba jak najszybciej dotrzeć do drzwi. Pomieszczenie, do którego trafiły, było zwykłą lepianką z ziemią zamiast podłogi, ale błądząc po omacku przy ścianie, ciocia wyczuła pod nogami chodnik. Pobiegła więc przed siebie i choć bardziej przypominało to trucht niż szalony pęd, zdążyła. Dopadła drzwi i skryła się, zanim wszedł Rico i wreszcie włączył światło. Minął ją, prowadząc szarpiącą się Dorotę i...

Później nie pamiętała już szczegółów.

Chyba z takim samym obrzydzeniem posługiwała się łapką na muchy.

Wzięła solidny rozmach i walnęła Rica w czerep z całych swych menopauzalnych sił.

Niecko wzmógł czujność.

Można nawet powiedzieć, że jego czujność rosła wprost proporcjonalnie do zachwyków Doroty nad osobą Aldente. Komisarz wił się z doznawanej w środku przykrości, ale wysłuchiwał tych peanów z uśmiechem na ustach. Przyjaciel. Chyba na kogoś takiego awansował. Dobrze i to. Dorota sama do niego dzwoniła i zapraszała do kawiarni na ploteczki. Od bluzeczek, falbanek i kokardek na liście dokonanych zakupów czasami kręciło mu się w głowie (Dorota lubiła szczegółowo omawiać zakupione rzeczy), ale kiedy wyłączył fonię, mógł się rozkoszować wizją. A na jej usta w kształcie różowego serca mógł patrzeć w nieskończoność.

Ostatnio zarejestrował jednak zdarzenia, które poważnie go zaniepokoiły.

Oczywiście dom na Świętokrzyskiej obserwowano przez całą dobę, podobnie jak tartak i zakład w Olsztynie, ale relacje z tego, co się działo w środku, były jak najbardziej pożądane. Jego znajomość z Dorotą wzbudziła więc w kolegach z CBS operacyjny entuzjizm. Przy okazji oczywiście pozwalali sobie na dwuznaczne komentarze, ale kto by się tym przejmował. Najważniejsze, że był blisko kobiety, którą uwielbiał. I nie musiał się z tym kryć.

Uwielbiana kobieta, zupełnie mimochodem, zdradziła mu dość interesujące szczegóły. Mianowicie Aldente znikał regularnie z domu, a jego ludzie zaczęli się kłócić, czego wcześniej nie robili. Najbardziej sensacyjna była jednak wiadomość o „zjeździe rodzinnym”. Ku radości kolegów dowiedział się o tym w czwartek, dwa dni zupełnie im wystarczyły.

Dorota w swojej naiwności uwierzyła w rodzinne spotkanie, przeżywała nawet fakt, że pozna rodziców swojego wybranka. Wczorajszy dzień spędziła w Warszawie na upiększaniu, podczas gdy Włoch zdążył w tym czasie zaliczyć lokalny burdel, po czym, cały wesolutki, odebrał z lotniska dwie delegacje „pielgrzymów”. Jedna składała się z Rosjan, druga z Włochów.

Zdaje się, że zanosilo się na jakąś fuzję.

Dzisiaj na Świętokrzyskiej zaobserwowali wzmożony ruch,

oddział trwał więc w gotowości na Wręczyckiej. Bazę obserwacyjną założyli na budowie, dokładnie na wprost okien domu Aldente, tak że pierwszy strzał, który padł przy stole, Niecko widział osobiście. Nie przestawał drżeć na myśl, że Dorota znajduje się w samym centrum wydarzeń, i gotów był tam pędzić choćby zaraz. Skorzystałby z zamieszania i ją wyprowadził. Wręcz odchodził od zmysłów i już się zbierał do działania, ale wtedy przyszedł meldunek. W samochodzie, który właśnie opuścił posesję, jeden z wywiadowców zobaczył kobiety. Sztuk trzy. Leżały związane na tylnym siedzeniu.

Niecko nie czekał.

Wsiadł w samochód i pognął w kierunku Olsztyna.

\*

Rico padł na twarz.

Nie ruszał się, ale żeby zyskać pewność, że jest rzetelnie unieszkodliwiony, ciocia Czesia przyłożyła mu buciorem po raz kolejny i po raz kolejny, aż Dorota zaczęła protestująco stękać i popiskiwać. Dopiero wtedy starsza pani wzięła głęboki wdech, bo uzmysłowiła sobie, że właśnie pastwi się nad człowiekiem. Nad świnia, ale jednak rodzaju ludzkiego.

- Żyje? - płaczliwie zapytała Dorota, gdy tylko ciocia pomogła jej pozbyć się więzów i taśmy z ust. Wsłuchiwała się w napięciu w oddech blondyna. - Żyje!

- Tak myślałam. Butem, niestety, trudno zabić - sapnęła zawiedziona ciocia. - Chyba że wystawałby z niego gwóźdź. - Na wszelki wypadek obejrzała podeszwę, po czym zarządziła:

- Bierz za nogę i wlecmy to truchło.

- Gdzie?

- Do twojej matki. Tam! - Wskazała kierunek i wręczyła siostrzenicy narzędzie zbrodni.

- Uroczu tutaj, nie ma co. - Idąc, rozglądała się wkoło.

Sklepienie tworzyły nieregularne kamienie ułożone w łuk, ale ściany wyglądały dla odmiany jak wygładzona woda jurajska skała i ciocia lekko się wzdrygnęła. Nie lubiła wilgoci. Za tunelami chyba również nie przepadała, a ten ciągnął się bez końca zakolami hen w dal i nie przestawał ziać zatęchłym

powietrzem, od którego wibrowały na suficie strzępiaste pajęczyny. Całe szczęście, że korytarz był w miarę oświetlony i wyłożony kostką. Na dodatek przy skalnej ścianie, tuż przy drzwiach wejściowych, stał wózek, taki sam, jakimi jeździ się po marketach.

Pojazd wzbudził zainteresowanie Doroty.

- Może go zawieziemy? - zasugerowała. Klapki na wysokim obcasie niezbyt nadawały się do tego, żeby dźwigać w nich nieprzytomnego faceta.

- Po tej wycieczce wertepami, jaką on nam urządził? Nigdy! - ciocia wzniosła wojenny okrzyk i złapała Rica za nogę. - Włeczemy dziada po chodniku, i to już!

Na dźwięk znajomych głosów zza rogu wyszła mama. Widok cioranego po ziemi Rica szalenie ją ucieszył. Prawie podskoczyła z radości. Kiedy uwolniły jej ręce, rzuciła się cioci w ramiona. Potem przyszła kolej na Dorotę. Dawno się tak nie ścisnęła. Choćby dla tej chwili warto tu było utknąć.

- Co robimy z tym padalcem? - ciocia przeszła do konkretów, kiedy upewniła się, że wszystkie są całe i zdrowe.

- Najlepiej go związać. Żeby nie uciekł, jak się ocknie - doradziła mama.

- Ale czym?

Dorota ruszyła na ten sygnał w głąb pomieszczenia stanowiącego jakby przylegającą do korytarza podziemną pieczarę. Mimo że ciemności rozpraszała poświata z korytarza, spróbowała znaleźć włącznik światła, ale na próżno. Dziwne. O krok od symboli nowoczesności czas jakby się zatrzymał. Sala przypominała jadalnię. I to dość ubogą. Za główne meblowanie służyły tu zbutwiałe drewniane ławy i kilka równie wiekowych stołów. Na kredensie pod ścianą piętrzyły się przeróżne naczynia: kamionkowe kubki, podobne do powykrzywianych kapeluszy cynowe talerze, dzbany, gliniane garnce i cebrzyki. Wszystkie pokryte grubą warstwą kurzu, który Dorota w kilku miejscach wytarła.

- Jak myślicie, to jest stołówka? - spytała zafascynowana, mimo że zaczynało jej już być zimno. - W piwnicy? Nie rozumiem.



Ciocia podeszła do półki, pod którą w równym rzędzie stały beczki. Zaglądała po kolei do każdej i przełamując obrzydzenie, nachyliła się nad ostatnią.

- To czarne i świejące to chyba sól, ale nie zamierzam próbować.

- A ja owszem - wystartowała mama i polizała palec, którym wcześniej potarła śliską bryłę. - Sól - potwierdziła. - W tych beczkach pewnie trzymali jakieś zapasy.

- Trzymali? To znaczy, kto trzymał? - chciała wiedzieć Dorota, której jakoś przestało się tu podobać. Na beczkach zauważyła ślady... zębów! Czyżby szczury? Nagle poczuła przemożną chęć, żeby znaleźć się na świeżym powietrzu.

- A skąd mam wiedzieć, kto trzymał. Oni. O, tu wisi krzyż. - Mama podeszła do przeciwległego kąta i odruchowo się przeżegnała. - Najważniejsze, że byli pobożni. Co się tak gapicie? - Wskazała na Rica. - Wiążemy tego gagatka i uciekamy.

Czas wydawał się najwyższy, bo gagatek wydał z siebie gardłowy odgłos. Pokręcił bezwładnie głową i znowu zacharczał. Istniała obawa, że zaraz się przebudzi. Co wtedy?

- Opróżnij kieszenie! - ciocia rzuciła swojej siostrze komendę. Sama była w spódnicy, na Dorotę też nie liczyła, ale Halina musiała coś w tych portkach mieć, uwielbiała chomikować.

- Po co kieszenie, może spróbujemy sznurówkami? - Siostra przestąpiła z nogi na nogę. Żołnierskie buciory już raz zostały wykorzystane, może przydadzą się i teraz? I pomyśleć, że chciała je sprzedać.

- Dawaj! - Ciocia skoczyła energicznie do Rica, opanowując chęć, żeby przetransportować drania do sali za włosy, a mama usiadła na ławie i zaczęła rozsznurowywać buty. Nagle znieruchomiała. Usiłowała dojrzeć, co majaczy pomiędzy krzesłami, ale w półmroku wzrok ją zawodził.

- Dorota, coś jest pod stołem. Zajrzysz?

Tym czymś okazała się zwykła sportowa torba. Wystawał z niej podłużny chropowaty przedmiot, za który Dorota energicznie chwyciła i wyciągnęła spod stołu... buławę?

- To jest prawdziwe? - wyszeptała z przejęciem.

Buława była wykonana z taką starannością, że nie było mowy o podróbce. Delikatnie odbijała światło, a wtopione w nią kamienie przypominały oblane błękitnym lukrem orzechy.

- To jest kradzione - uściśliła mama, łapiąc powietrze. - Nie czytasz gazet? Na Jasnej Górze było włamanie.

Ciocia upewniła się, że Rico nie dochodzi do siebie, i również dopadła znaleziska.

- O Je... jku! - krzyknęła przejęta. - To jest to, co ukradli ze Skarbcza Pamięci? - Ona, w przeciwieństwie do siostrzenicy, doskonale orientowała się w bieżących wydarzeniach. - Patrzcie! Tu są jeszcze szable i jakieś skrzydła. Piękne!

Podczas gdy mama z ciocią cmokały nad przedmiotami, Dorota ostrożnie wyłożyła je na stół i wróciła do penetrowania torby. Na dnie coś zaszeleściło.

- Jest jakaś reklamówka - zawołała, badając rękami jej zawartość. - A w środku dużo tego i różne kształty. Jedno wielkie i okrągłe. I zimne.

- Co to, „Familiada”? Ty nas, dziecko, nie denerwuj stopniowaniem napięcia, tylko wyciągaj! - zażyczyła sobie ciocia podekscytowana dotychczasowymi znaleziskami.

Mają już szablę, berło, może przyszedł czas na koronę?

Po chwili wszystkie trzy uznały, że pomieszczenie jest duszne, korytarz przerażający, a świeże powietrze i słońce są człowiekowi niezbędne do życia.

W reklamówce znalazły bowiem stos obrzydliwe poczerńiałych kości, pośród których najmniej efektownie wyglądała czaszka: w uśmiechu prezentowała mocno nadpsute zęby, a zachowane na ciemieniu włosy wyglądały jak futro zdechłego kota.

\*

Ewelina żaliła się właśnie Gabrysiowi, że została odsunięta na margines wydarzeń rodzinnych, kiedy zadzwoniła komórka.

- Ja mam jedno zasadnicze pytanie - powiedziała na samym wstępie, nie dopuszczając cioci do głosu. Ciocia Czesia potrafiła się rozgadać jeszcze bardziej niż ona sama i

jeśli nie przerwano jej na początku rozmowy, później było to już niewykonalne. - Dorota mówiła mi, że Aldente zatrudnił was do obsługi imprezy. A gdzie ja w tym wszystkim? Ja według was nie potrafię gotować? To po co wysłałyście mnie do gastronomika?

- Zamilcz, kochana. - Ciocia znowu to zrobiła. Znowu próbowała jej rozkazywać, jęcza.

- Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić. Jestem pełnoletnia.

- Siedzimy uwięzione w jakimś podziemnym korytarzu, lochu, cholera wie w czym - usłyszała i wtedy rzeczywiście zamilkła. - Ja, twoja matka, Dorota i szkielet. W Olsztynie.

- U pani Marii?

- U jakiej pani Marii? Aaa, nie. Jesteśmy w podziemiach tartaku. Drzwi otwierają się tylko z zewnątrz, z garażu, bo wjechaliśmy autem. Zabrali nam telefony, dzwonię z komórki Rica, ale nie znam numeru do tego waszego Niecka, a Dorota nie pamięta.

- To dzwońcie na 997!

- Zajęte...

Połączenie zostało w tym momencie przerwane i Ewelinie zrobiło się z przerażenia zimno.

Rico, mafia!

I szkielet?

Jaki szkielet?

Próbowała oddzwaniać, ale numer nie odpowiadał.

Mama, ciocia i Dorota samotne i opuszczone siedzą uwięzione w jakimś lochu?!

Ewelina poczuła przypływ uczuć tak wielki, że nie bacząc na to, iż ma na sobie jedynie skarpetki i bieliznę, skoczyła do drzwi, wołając:

- Gabryś, bierzemy bazookę i jedziemy do Olsztyna! Szybko!

\*

Szli już tak od półtorej godziny.

Podziemny wiaterek dmuchał im w twarz, a Lesiak odmierzał

czas i dbał, żeby trzymali stałe tempo, co wcale nie było łatwe, bo po drodze natykali się na różne ciekawostki. Tuż przy zejściu zafascynowała ich wykonana z bursztynu stacja drogi krzyżowej, która ciągnęła się w równych odstępach wzdłuż całej podziemnej trasy. Profesor ochrzcił tunel jurajskim szlakiem bursztynowym i nie przestawał zachwycać się dokładnością rzeźbień - wszystko rzetelnie fotografował, bo jako naukowiec zawsze nosił przy sobie aparat. Zachwyty nie byłyby w tym mroku możliwe, gdyby nie odkryli, że ponad ich głowami znajdują się lampy. W podziemiach poprowadzono prąd! Znalezienie włącznika nie nastreczało trudności, bo przytwierdzone hakami kable biegły po skalnych ścianach. Gdy światło gasło, wystarczyło dotknąć pstryczka, a kolejny odcinek jasności starczał na przeszło kwadrans wędrówki.

Po prawej stronie korytarza biegł kanał pełen lodowatej wody, która szemrała i płynęła wartkim strumieniem niczym podziemna rzeczka. Julka od razu jej spróbowała i stwierdziła, że jest wyśmienita w smaku. Mniej więcej po godzinie marszu korytarz rozwidlał się i kończył wielką grotą, gdzie rzeczka wpadała do czegoś, co można by nazwać basenem, choć Lesiakowi widok skojarzył się raczej z filiżanką parzonej kawy. Woda przybierała tu kolor doskonałej czerni i wypełniała jaskinię aż po wapienne brzegi. Posługując się fleszem w aparacie, podziwiali stalaktyty, które tworzyły pod sklepieniem fantastyczne wzory.

- Jakie sobki z tych Włochów - stwierdził Lesiak i dał sygnał, żeby się wycofali. Dotarli tu bez butów, bo korytarz wypełniała woda, i zaczynało mu być przeraźliwie zimno. - Takie krasowe piękności zostawili dla siebie. A tu jest przeurokliwie.

- Myślisz, że klasztor udostępni ten korytarz dla zwiedzających? - wątpił Cezary. - Albo ta informacja w ogóle nie wyjdzie na zewnątrz, albo braciszczkowie będą się zasłaniać remontami, które potrważą lata, i ludzie w końcu zapomną. Potem korytarz niby się zawali i tak dalej. Nikt tego nie zobaczy, tak że cieszymy się. Jesteśmy wybrańcami.

- W końcu to dzieło powstawało w tajemnicy - zauważyła

Julka. - I to przez wiele lat. Przyznaj obiektywnie, że mają prawo.

Cezary kręcił nosem, ale słowa rudej nie były pozbawione racji.

- Przyznaję i nie marudź.

- A jeszcze wyobraź sobie, że korytarz zapełnia się poszukiwaczami skarbów i innymi szaleńcami - uzupełnił profesor.

- Od razu przestałoby tu być tak świeżo i niepokalanie.

- Niepokalanie? A chodnik, a prąd? Ładne niepokalanie. Ciekawe, gdzie tą niepokalaną trasą dojdziemy.

- Jak to gdzie? - Profesor z ulgą powitał suchy ład. Starannie wytarł stopy chusteczką higieniczną i założył buty. - Mówiłeś, że do Olsztyna.

- Do Olsztyna, owszem, ale czy wyjście jest w zamku? Może powinniśmy na wszelki wypadek kogoś zawiadomić? Choćby komisarza.

- Choćby to nam padł zasięg - powiadomił rzeczowo profesor i znieruchomiał. - Posłuchajcie - wyszeptał konspiracyjnie - czy to nie czyjeś kroki?

Cezary i Julka również zamarli i przez dłuższą chwilę wsłuchiwali się w ciszę, którą przerywały jedynie szemrania wody i podmuchy powietrza. Nie, niczego nie słyszeli, ale Lesiak miał na pewno więcej niż pięć zmysłów. A już zmysł artysty był u niego rozwinięty szczególnie. Ten zmysł powodował, że Lesiak czuł więcej, widział więcej i jak się okazuje, słyszał więcej. Bynajmniej nie należało tego lekceważyć - zwłaszcza kiedy szło się podziemnym korytarzem i nie było wiadomo, jak się ta podróż skończy.

- Nie słyszę żadnych kroków - zaprzeczył cicho Cezary. - To nie echo?

- Echo? - oburzył się profesor. - Myślisz, że nie umiem rozróżnić pogłosu od rzeczywistego źródła dźwięku?

- Rzeczywiście to z ciebie oratoryjny bałwan. Zawracamy?

- Chodźmy tam - Lesiak wskazał na niewielką pieczarę w skale, która pewnie służyła za składowisko rupieci, bo widzieli wystające z niej kartony i kable. - Tam się schowamy

i poczekamy.

Jama ziała zapachem stęchłej ziemi i czegoś jeszcze. I jak na nos Cezarego - ta bardziej okrutna nuta smrodu miała związek ze światem organicznym.

- U, towarzystwo zdechłych szcurów nam nie przeszkadza? - rzucił do swoich kompanów, ale starając się nie robić zbyt wiele hałasu, zaczął przedstawiać pudła. - Właźcie.

- Faktycznie, śmierdzi niemożliwie. - Lesiak był wyjątkowo wymagający, jeśli chodziło o higienę i doznania zapachowe. A dzisiaj przybył do Częstochowy w nowej koszuli, której raczej nie chciał przyozdabiać pajęczym wzorkiem. - Ty pierwszy, Cezarze. Potem dama, ja zakończę ten korowód. I ogarnij tam trochę. Ubij kilka pajaków, czy coś...

- Lesiak, ty mnie notorycznie wykorzystujesz.

- A kto z nas dwóch ma instynkt mordercy, he? Kto jest bardziej bezlitosny i okrutny?

- Dobra, dobra... - Cezary ukląkł i wszedł do jamy na czworaka, a smród zdążył go już przyprawić o mdłości. - Ciebie jeszcze nie zabiłem, więc gdzie ten instynkt? Znalazłem... kuszę! - doleciało po chwili z jamy. - I luczyno. Tu dalej też jest śmietnik, ale taki pierwotny.

I tu... O, w mordę, tu są dwa trupy!

\*

Gabryś uświadomił sobie, że żarty się skończyły.

Odebrał Ewelinie telefon i nie zważając na drobny szczegół, że jego dziewczyna myszkuje po obcym garażu z bazooką na ramieniu, zadzwonił na policję. Składał właśnie obszerny meldunek, jak to zakradli się na teren tartaku w Olsztynie, kiedy obejrzał się i zobaczył, że wielka półka na narzędzia odjeżdża z gwizdem w bok, a w ścianie pojawiają się masywne drzwi. Ledwie zakończył rozmowę, Ewelina już je otwierała i niecierpliwie na niego machała. Za nią majaczyła oświetlona rozmytym światłem jakaś skalna pieczara.

- Jak to zrobiłaś? - zapytał, a zamykane drzwi rąbnęły o

futrynę z takim hukiem, że oboje drgnęli. Jednocześnie z oddali dobiegły ich krzyki:

- Nie zamykać drzwi! Nie zamykać!

- Mamo! - Ewelina rozpoznała głosy i już biegła po schodach. W korytarzu zobaczyła swoją rodzicielkę i ciotkę Czesię, obie mocno zmartwione. Dorota wlokła się smętnie na tyłach pochołu i rozcierała zziębnięte ramiona.

Powitanie zdecydowanie wypadło mało radośnie.

- Co zrobiłaś? ! - matka nakrzyczała na nią na samym wstępie.

- Jak my teraz wyjdziemy? Drzwi otwierają się tylko z zewnątrz!

Niestety, pani Halina miała rację, co Ewelina zaraz sprawdziła. Drzwi nie pozwoliły się nawet uchylić - napierali na nie wszyscy razem, nadaremnie. Pani Halina i Dorota stały w tym czasie z boku i ochoczo ścisnęły bazookę, którą chwilowo otrzymały na przechowanie. Najwyraźniej były nią zafascynowane.

- Może powinniśmy narobić hałasu? Walić w drzwi? Kopać? - zaproponowała Ewelina.

- Albo użyć tego - wskazała z dumą na swój egzemplarz ręcznej wyrzutni pocisków.

- I zawiadomić tamtych w tartaku? - Pomysł nie spodobał się ciotce. - Rozwaliłabyś nie tylko drzwi, ale pół korytarza. Wykluczone. A w ogóle skąd to masz, moja panno? Bo rozumiem, że to nie atrapa?

- Zadzwoiłem na policję - pospieszył z odsieczą Gabryś. - Niedługo nas znajdą, naprawdę wystarczy cierpliwie czekać - pocieszał gorliwie, ale ciotka nie należała do osób, które biernie oczekują na rozwój wydarzeń. Na szczęście porzuciła temat broni palnej, zeszła ze schodów i popatrzyła w dal.

- Odkąd tu jestem, zastanawiam się nad jednym - powiedziała w zamyśleniu. - Czy to nie jest czasem korytarz, który prowadzi na Jasną Górę?

- Z tartaku? - zapytała mama, a Dorota skrzywiła się na stronie, jakby tknięta jakimś przecuciem.

- Przyjedzie policja i co? Na pewno nie pozwolą nam

sprawdzić - ciągnęła z błyskiem w oku ciocia, a Gabrysiowi zaschło w gardle. Znał starszą panią dosyć dobrze i już wiedział, na co się zanosi.

- Nie powinniśmy stąd odchodzić - perswadował. - Tam może być niebezpiecznie.

- Prąd jest? Jest. Po chodniku mógłbyś jechać nawet wózkiem inwalidzkim. Jakie niebezpiecznie? - Ciocia spojrzała na niego jak na wyjątkowo obrzydliwego nietoperza i Gabryś postanowił się już nie odzywać. Znalazł się w podziemiach z czterema babami, z których każda potrafiłaby pertraktować z diabłem, i to tak, że wysłannik piekieł prędzej zjadłby własny ogon, niż ugrał coś dla siebie.

- Bierzemy torbę z rekwizytami i idziemy - pani Halina podchwyciła pomysł siostry i z nikim już nie dyskutując, ruszyła w głąb korytarza. - Czeška dobrze mówi. Na pewno nam nie pozwolą sprawdzić.

- Z jakimi rekwizytami? - Ewelina poszła za mamą i Gabryś nie miał większego wyboru.

Powlókł się za nimi, ale nie wszedł do sali, w której właśnie zniknęły. Już w progu dobiegły go bowiem dochodzące z podłogi jęki. Nachylił się i oświetlił zapalniczką kąt za drzwiami.

Lekko się zdziwił.

Pod ścianą na wpół leżał, na wpół siedział człowiek. Nigdy wcześniej faceta nie widział i choć z gęby wyglądał dość wrednie, zrobiło mu się go żal. Skrępowany nie przypominał wprawdzie omotanej sznurkiem szynki, ale jego nogi i ręce śmiało mogły robić za serdelki. W ustach miał coś sraczkowatego i zmierzwionego (oryginalny knebel), a po policzkach spływały mu łzy.

- Kto to i za co tak cierpi? - zapytał poruszony męską solidarnością. Czy on również skończy podobnie, jeśli nadal będzie się przeciwstawiał Ewelinie?

- Tamten? - Ciocia przerzuciła niedbale torbę przez ramię i podeszła do stojącego niedaleko wózka widłowego. - Rico, kumpel Włochów. Cierpi? Niech cierpi, gad podły, zimny zbir jeden. To on nas tu zamknął.



- A co on ma w buzi?

Ciocia pokazała w odpowiedzi swoją nogę obutą w ortopedycznego buta. Stopa była bosa i poprzecinana nabrzmiałymi żyłami, w przeciwieństwie do tej drugiej, którą zakrywała cielista podkolanówka.

Zniesmaczony Gabryś poniechał dalszych pytań, zresztą ciocia zaprosiła ich do wózka i zaprezentowała wnętrze torby. I wtedy usłyszeli kroki, a z korytarza poniosło się tubalne:

- A kogóż to moje oczy widzą? !

- Julka! I Cezary! Profesor! - Ewelina pobiegła do tamtych, ciocia z panią Haliną również i Gabrysiowi ulżyło. Może teraz damy zrezygnują ze swoich turystycznych planów i nie będą go nigdzie ciągać?

Do zwiedzania podziemi nie doszło jednak z zupełnie innego powodu.

Kiedy tamci już wyjaśnili, skąd się tu wzięli, ciocia zaprezentowała torbę i reklamówkę, w której grzechotały kości. I wtedy nastąpiło coś, co Gabryś określiliby jako małe trzęsienie podziemi. Mężczyźni wznosili radosne okrzyki, ten starszy zaczął cmokać ciocię po rękach, młodszy obściskał Julkę, a Ewelina skakała dookoła, od cioci przez mamę po Dorotę. Na koniec dotarła i do niego.

- Gabryś! Cezary znalazł Bruna! Rozumiesz?

Gabryś nie rozumiał.

A już najmniej pojmował to, co rozgrywało się tam, w oddali. W korytarzu.

Najpierw zobaczył człowieka. Wybiegł z za zakrętu i dysząc, dopadł drzwi prowadzących do jakiegoś pomieszczenia. Wpadł tam i po chwili pokazał się znowu. W rękach trzymał karabin. Potem pojawili się tamci. Nacierali zwartą masą, niespiesznie. Widać było ich skupione ruchy i wycelowane przed siebie pistolety.

- To Aldente! - krzyknęła Dorota, patrząc na trzymającego się ściany uciekiniera, kiedy po korytarzu rozszedł się nagle grzechot strzałów.

Po chwili pociski odskakiwały już od skały jak ćmy od lampy, a przejście wypełniły świsty i zapach spalenizny.

- Do środka! - rozkazał Cezary i popchnął ich gromadkę w stronę sali ze stołami, ale Dorota nie zamierzała słuchać. Podczas gdy cała reszta pomknęła do pieczary, ta szalona blondynka dorwała bazookę i już pakowała się do wózka. Jej zacięta mina mówiła, że tak łatwo się nie podda.

- Cholerni mafiosi i ty, Aldente, oszuście... Wynocha z mojego miasta. Wszyscy. Spierdalamencie! - krzyknęła w furii i usiłowała uruchomić pojazd jedną ręką.

Gabryś porozumiał się wzrokiem z Cezarym. Myśleli pewnie o tym samym. Zatrzymać tę wariatkę, choćby ogłuszyć ją bazooką, ale za wszelką cenę wywlec z korytarza, gdzie groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nie zdążyli się ruszyć z miejsca, kiedy drzwi na piętrze odskoczyły i schody wypełniły się policjantami. Przyczajeni, zamaskowani i uzbrojeni po zęby wypełnili przejście i skutecznie zajęli się bandytami.

W samą porę!

Kilku z nich ściągnęło Dorotę z wózka niczym wielkiego przebierającego nogami pajaka i odebrało jej narzędzie zagłady, reszta metodycznie załaza strzałami nieprzyjaciela.

Gabryś poczuł tak wielką ulgę, że postanowił wielbić polską policję na wieki wieków. Amen.

\*

Od zdarzeń w podziemiach minęło sporo czasu, ale dopiero dzisiaj Jurek Niecko znalazł trochę wolnego czasu i mógł się wybrać z Cezarym na piwo. Do tej pory pochłaniało go dopinanie śledztwa i remont mieszkania - zaproponował Dorocie, która znalazła się bez dachu nad głową, że może się do niego wprowadzić, więc odświeżył na jej cześć stare kąty. Odwdzięczała mu się za to co rano jajecznicą (jak na razie była to jedyna potrawa, którą potrafiła przyrządzić, ale smakowała naprawdę wybornie) i, odpukać, mieszkało im się razem bardzo zgodnie. Na tyle zgodnie, że Niecko zaczął marzyć, że tak już zostanie na zawsze.

- I co? Śledztwo zamknięte? - zaczął Cezary, rozsiadając się wygodnie w krześle.

Jak na ironię, wybrali na spotkanie włoski lokal Baraonda, który dysponował sporym ogródkiem z widokiem na Aleje.

- Prawie.

- Wiecie już, czemu wygonili Aldente z kraju?

Niecko upił trochę piwa.

- A wy wiecie, o co chodziło z tym tunelem? - zrewanżował się pytaniem.

- Oficjalnie już w klasztorze nie pracuję, chociaż mnie przeproszono i przywrócono do łask. Ale powiedziałem rektorowi, żeby sobie darował. Idę pracować do policji.

- Żartujesz? - Niecko odstawił szklanekę.

- Nie żartuję. Od października zostanę przyjęty do pracy w laboratorium kryminalistyki. Przecież potrzebujecie genetyków.

Komisarz zaśmiał się szczerze rozbawiony i pogratulował Cezaremu.

- Teraz to jesteś prawie jak kumpel po fachu. Już ci wszystko opowiadam, a potem ty zdradzisz mi nieco szczegółów. Historycznych, bo biuro prasowe Jasnej Góry odmówiło w tej sprawie komentarza.

- Jakżeby inaczej - Cezary nie okazał zdziwienia. - Dobra, ty zaczynasz. Co z Aldente i jego wygnaniem?

- Słyszałeś o niejakim Riccardo Raviano?

- Jakiś włoski rzezimieszek?

- Włoski, owszem, ale nie rzezimieszek. Pisarz dokumentalista. Wniknął do kamorry, odkrył mechanizm jej działania i potem wszystko opisał. Odważny gość, praktycznie wydał na siebie wyrok śmierci. Otóż Aldente był jego dobrym kumpem i w sumie dzięki niemu pisarzowi udało się tyle dowiedzieć. Oczywiście Aldente nie wiedział, z kim się przyjaźni, ale kiedy sprawa się ryła, nikogo to nie obchodziło. Zaczęły się aresztowania, rodzina domagała się krwi. Ojciec, chcąc ratować syna, musiał go gdzieś oddelegować. Częstochowa była dobra z wielu względów.

- Tak, księgowy o tym wspomniał.

- Ale nie wspominał o pewnej mapie. - Niecko ucieszył się, że wie więcej. - Dorota ją widziała, ale nie sądziła, że to

ważne. Mapa przedstawiała plan budowy twierdzy wykonany przez Włocha. Andrea de U'Aqua, bo tak się nazywał jej autor, sporządził dokument w roku 1624. Zanim przekazaliśmy mapę klasztorowi, obejrzał ją nasz biegły.

- Szczęściarz.

- Naniesiono na niej podziemny tunel. Innym atramentem. Nie wiadomo, kto to zrobił. Czy autor, czy ktoś inny. Ta mapa była w rodzinie Aldente od wieków, przynajmniej tak utrzymuje Rico. Zeznał, że ktoś z krewnych jego szefa pracował przy budowie fortyfikacji i tę mapę po prostu ukradł. Odtąd stanowiła skarb przekazywany z pokolenia na pokolenie. I ojciec zlecił Aldente znalezienie wejścia do podziemi.

- Ale po co? - Cezary ciągle nie mógł tego zrozumieć.

- Przecież taki korytarz daje mnóstwo możliwości! - zakrzyknął Niecko. - Można się niepostrzeżenie przemieszczać, a w podziemiach można urządzić choćby laboratorium.

- Ale chyba nie kryminalistyczne? Komisarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Lepsze. Amfetamina. Jedna z najczystszych na świecie. Oczywiście produkowali ją zatrudnieni tam Polacy. Za salą jadalną było kolejne pomieszczenie, z sekretnymi drzwiami. Skala tego przedsięwzięcia poraża mnie do dzisiaj. - Niecko westchnął upojony sukcesem policji. - Ale wrócę może do początku. Włosi przekupili dwóch zakonników, którzy pracowali w ogrodzie.

- Pawła i Zygmunta.

- Tak. Na mapie zaznaczono dokładnie każde z trzech wejść, podobno wystarczyło tylko znaleźć mechanizm. Znajdowały się one w czternastej stacji drogi krzyżowej, w Kaplicy św. Relikwii i w kościele.

- Byliśmy tak blisko! - Cezary nie mógł zboleć porażki.

- Nawet za blisko, wejście znajdowało się w rzeźbie przedstawiającej złożenie Jezusa do grobu, czyli tuż przy wykopaliskach. Dlatego spotykały was, nazwijmy to delikatnie, pewne niepowodzenia. Rico zdarł z Zygmunta

habit, który pomagał mu niepostrzeżenie wnikać do klasztoru, i zaczęło się. Kradzież narzędzi, włamanie do Skarbcza Pamięci i tak dalej.

Wszystko to było obliczone na sprowadzenie na ekipę kłopotów i pozbycie się was spod murów.

- Pracowałem przy tej rzeźbie każdego dnia - Cezary nie przestawał biadolić. - I nawet za bardzo nie mogę tam wrócić. Chyba że... - Przyszedł mu na myśl Lesiak.

- Lepiej daruj sobie wszelkie wizyty incognito. - Niecko od razu domyślił się, w czym rzecz. - Stacja została odgradzona od wykopalisk.

- Przeor?

- Owszem. Zakonnicy odkryli mechanizm w rzeźbie i doszli do Olsztyna. Po drodze natknęli się na zwłoki dwóch mężczyzn i wtedy brat Paweł po raz pierwszy się wystraszył. Wiedział, jakie znaczenie ma ten tunel, i naocznie przekonał się, że za odkrycie tej tajemnicy można zapłacić życiem.

- Te trupy, które znalazłem? Czy to byli ci dwaj robotnicy, którzy stawiali drogę krzyżową? Przeor opowiadał, że zaginęli podczas budowy i nigdy nie znaleziono ich ciał. Jakby się dobrze zastanowić, to wyjaśnia też, dlaczego mieszkańcy Olsztyna słyszeli przed laty w pobliżu tartaku jakieś zawodzenia, które podobno wydobywały się spod ziemi.

- To już twoja działka. - Niecko wolał się nie wypowiadać w temacie zjawisk nadprzyrodzonych. - W każdym razie ich ciała badają specjaliści.

- Wiem, czemu umarli - Cezary mógł się wreszcie odwdziżyć komisarzowi informacją. - Z tego samego powodu, dla którego Ewelina, Dorota i cała reszta bandy nie mogła otworzyć drzwi. To nieprawda, że otwierają się tylko z zewnątrz. Dla kogoś, kto nie wie, gdzie szukać otwarcia, tunel staje się pułapką.

- Oni początkowo też nie wiedzieli - Niecko miał na myśli Pawła i Zygmunta - dlatego na wszelki wypadek zablokowali wejście kamieniem. Dopiero potem rozgryźli zagadkę zamków.

- I co z tym Pawłem? Zaczął pękać?

- Tak mówi Zygmunt, któremu Paweł się zwierzał. Zanim zupełnie zwątpił w swoją misję, bo to nie był zły chłopak, tylko strasznie biedny i każdy grosz zarobiony u Włochów oddawał matce, dowiedział się jeszcze, że przeor wie o istnieniu tunelu, tyle że nie ma pojęcia, gdzie się on znajduje. Podobno któryś z poprzedników ojca przełożonego nie przekazał tajemnicy, bo niespodziewanie zmarł.

- Włosi mieli wolną rękę? - zapytał Cezary.

- Tak, wiedzieli, że mogą korzystać z tunelu, bo jest nieużywany.

- A ja myślałem, że ukryli w nim coś cennego.

- Ha! - komisarz zakrzyknął z satysfakcją. - Wiesz, ile ta amfetamina jest warta?

- Lepiej mi nie mów. - Cezary zajrzał do swojej szklanki i stwierdził, że kończy mu się piwo. A na następne już nie miał. - Cena ucziwości - mruknął do siebie po cichu.

- Rico i Aldente kupili działkę, postawili na niej tartak i zakład produkcji mebli i wzięli się za remont podziemi. Sam widziałeś. Chodnik, prąd, wózki widłowe, bo przecież z Częstochowy do Olsztyna jest trochę kilometrów... A zamek? - nagle przypomniał sobie Niecko.

- Co: zamek?

- Przecież Jasna Góra miała być połączona z zamkiem w Olsztynie.

- Według wstępnych obliczeń korytarz prowadzący do zamku został zalany - wyjaśnił Cezary, który rozmawiał już o tym z Lesiakiem. - Tunel pomyślano tak, żeby kończył się nie tylko w zamku, ale i w grodzie u jego stóp, czyli tam, gdzie Włosi postawili tartak. Wcześniej wejście do podziemi zabezpieczała skała, której się oczywiście pozbyli... Ale co z bratem Pawłem? Nie dokończyłeś.

- A tak... Pawłowi przestała się w końcu podobać współpraca z Włochami - komisarz podjął opowieść. - Zaczął przebąkiwać o odejściu, dlatego Rico poprosił Zygmunta, który doskonale zna się na roślinach, żeby przyrządził wyciąg z jemioly.

- Jemiola powoduje kłopoty z sercem? - upewnił się Cezary.

- Podawana regularnie i w nieodpowiednich dawkach może człowieka wykończyć. Dlatego Rico dbał, żeby Paweł dostawał wyciąg regularnie. Częstował go na spotkaniach niby alkoholem, a widywali się bardzo często.

- Kolejny ze skłonnościami do picia?

- Raczej ofiara braku umiejętności asertywnej odmowy- wysunął przypuszczenie Niecko i widząc, że Cezary spija piankę z brzegów szklanki, zamówił następną kolejkę. - Podobno Paweł łatwo ulegał wpływom.

- A fiołka po lekarstwach?

- Zygmunt dostał polecenie, żeby ją podrzucić.

- Tylko głupio pomyśleli, bo nie było na niej odcisków palców właściciela.

- Gdyby nie ty, pewnie byśmy tego w ogóle nie sprawdzali - uczciwie przyznał komisarz. - Zainteresują cię pewnie wyniki ekshumacji?

- Ba! Ekshumacji? Ale kogo?

- U brata Pawła jemiolę jak najbardziej potwierdzono, ale ciekawiej było przy otwarciu kolejnych dwóch grobów. Artura Rożka i Adama Smolika.

- U Rożka pustki, a Rożkiem okazał się ten, jak mu tam, Smolik? - domyślił się Cezary.

- Ale skąd dorwaliście Smolika?

- Tajemnice ciążą - powiedział zagadkowo komisarz. - Ludzie uwielbiają je zdradzać, bo w samotności nie mogą się nimi cieszyć. Są też takie tajemnice, które przerażają, niepokoją i wtedy tym bardziej trzeba je komuś powierzyć.

- Ktoś się zgłosił?

- Tak. Ale to zostawmy. Jesteśmy przy zakonnikach... Paweł zmarł, lekarz stwierdził zawał, nie było sprawy. W klasztorze interesów mafii i tunelu pilnował tylko Zygmunt. W podziemiach kwitła produkcja amfetaminy, którą faszrowano blaty i okucia mebli. Proszek prasowano, wierzchnią warstwę pokrywano odpowiednią substancją. Przykrywka idealna. Nie do wykrycia przez wyczulone na

zapach narkotyków psy. Aldente bardzo źle znosił wygnanie, dlatego postanowił zapracować na powrót, i to powrót nie byle jaki, bo w pełni blasku i chwały... Cezary, czy ja nie jestem głodny? - zapytał nagle Niecko, kątem oka zerkając na kelnera, który niósł parujący talerz spaghetti.

- Jurek, nie rób mi świństwa i nie przerywaj w takim momencie. Zwłaszcza ten blask i chwała świetne. Normalnie jakbym rozmawiał z Lesiakiem.

- Nie wiem, czy dziękować za komplement, bo raczej brzmi jak przytyk. Hm, niech tam... - Odprowadził kelnera tęsknym wzrokiem. - Dorota obiecała na kolację pyszną pastę. Czyli chyba makaron z sosem.

- Przecież ona nie potrafi gotować.

- Tak bym tego nie ujął. - Niecko jakby się spiął. - Zaprosiliśmy jej mamę i ciocię, one to przyrządzą. Dorota będzie pomagać.

- Chyba że tak. A co z tym powrotem w pełni chwały? O, blask mi się stracił.

- Już mówię. Aldente wymyślił, że stworzy amfetaminowy szlak handlowy. Na partnerów wybrał mafię rosyjską. Mniej więcej wtedy Rożek, któremu powrót do Włoch z wielu względów nie odpowiadał, nieudolnie upozorował swoje samobójstwo. Zaczęły się kłopoty, bo jednocześnie w paradę weszliście Włochom wy ze swoimi wykopaliskami. Aldente na dodatek stwierdził, że zanim zacznie kręcić z Częstochowy światowymi interesami, dobrze byłoby przypunktować u władz klasztoru. Niestety, został tam źle przyjęty.

- Oj, źle... - Cezary zatarł dłonie.

- W odwecie uknuł więc pewien plan, który, tu się zdziwisz, nie spodobał się dla odmiany jego współnikowi, Ryszardowi Bogudzkiemu, zwanemu z włoska Rico. Ten plan zakładał handel informacjami. Aldente postanowił pozakładać na Jasnej Górze podsłuchy i sprzedawać uzyskane w ten sposób informacje, a wiesz równie dobrze jak ja, że są ludzie, którym zależy, żeby znać pewne szczegóły. W klasztorze spotykają się wielkie znakomitości, toczą się tam różne rozmowy.

- To cwaniak! Ale przecież Włosi są religijni. Chciał



podnieść rękę na Kościół? - Ta okoliczność wydała się Cezaremu dość dziwna. Papież, Watykan... Aldente musiał być jakimś odmieńcem.

- Jak widać, nie wszyscy Włosi chcą być bliżej Boga. - Komisarz wzruszył ramionami i pogłaskał się po żołądku, z którego zaczęły dochodzić nieprzyjemne gulgotania. - Ale za to polskość odezwała się w Ryszardzie B. To również niezbyt wierzący typek, jednak klasztor stanowi dla niego świętość. Olsztyn, z którego pochodzi, jest religijnym miasteczkiem, i podejrzewam, że wychowanie w rodzinie katolickiej zrobiło swoje. Po prostu nie potrafił podnieść ręki na Jasną Górę i koniec.

- Pokręcony gość. Okraść klasztor potrafił, ale do handlu informacjami nie dopuścił?

- Kradł na co dzień, więc to chyba nie stanowiło dla niego większego problemu, ale zdradzić Jasną Górę... Słuchaj dalej, bo Rico tak naprawdę pomógł nam bardziej, niż przypuszczasz. W tunelu ścigali Aldente nie Rosjanie, ale Włosi. Rico najpierw spróbował dać przeorowi nauczkę i okradł Skarb Pamięci Narodu, a kiedy to nie powstrzymało Aldente, który nadal upierał się przy swoim planie, skontaktował się z Rosjanami. Nakłamał, że kamorra chce doprowadzić do spotkania, na którym Włosi zamierzają ich zabić. Jednocześnie doniósł rodzinie, że Aldente zbratał się przeciwko niej z Rosjanami, czego dowodem miały być kanty, których jego szef dopuszczał się od wielu lat. Świetnie się złożyło, bo nagle do wszystkich liczących się na włoskim rynku przedsiębiorców przysły dość zagadkowe maile z Polski. Faktury, z których jasno wynikało, o ile wzbogacił się Aldente, a o ile zubożała mafia.

Cezary zarechotał. Po drugim piwie zaczął niemal czuć do Rica sympatię. A już kiedy przypomniał sobie, jak brutalnie potraktowała go w podziemiach ciocia Czesia, gotów był iść do sądu i błagać o jego uniewinnienie. Gdyby to nie poskutkowało, zasugerowałby, że po kneblu z ciocinej podkolanówki Rico powinien co najmniej otrzymać osobną celę.

- Intryga jak z gangsterskiego filmu - rzucił z uznaniem.

- Na spotkaniu doszło do strzelaniny, którą wygrali Włosi - Niecko zignorował jego komentarz. Zdaje się, że chciał jak najszybciej skończyć i biec do swojej Doroty. - Byli doskonale przygotowani i było ich więcej. Kumple Aldente wiedzieli wcześniej, co się święci. Postawiono im ultimatum. Albo życie z rodziną, albo śmierć z Aldente. Resztę już znasz. Wszyscy siedzą. Z wyjątkiem martwego Aldente i kilku innych, którzy nie chcieli się w tunelu poddać.

- Rozumiem, że moje wyniki DNA się przydały?

- Bardzo. A nawet znalazły się buty, w których Rico zdewastował stanowisko. Nawiasem mówiąc, przywłaszczyła je sobie pani Halina, mama Doroty. Potem użyła ich ciocia Czesia, żeby unieszkodliwić Rica.

- A Rożek? Niedoszły klient Julki?

- Czeką na proces, ale zastosują wobec niego jakieś specjalne środki łagodzące. W końcu jednak przysłużył się sprawie. Wiesz, że to on porożysłał maile do Włoch?

- Coś tam wiem - niejasno potwierdził Cezary. - Może mu ktoś mądrze doradził?

- Facet w ogóle jest do rzeczy. Wziął na siebie winę ojca. Zaprzeczył, że ktokolwiek pomagał mu w upozorowaniu śmierci. Tak że ciocia Czesia może się spokojnie cieszyć narzeczonym - zaśmiał się komisarz. - Zresztą ten Rożek wcale nie narzeka. Twierdzi, że za kratkami odzyskał wolność.

- To ciekawe. Ale wiesz - Cezary wspomniał czas spędzony w klasztornej celi - ja mu wierzę. Trochę czasu za klauzurą poszerza horyzont.

- Lesiak mówi, że dużo czytałeś.

- O bractwie. I o samej Jasnej Górze.

- To teraz ty mów. - Niecko skinął na kelnera i kiedy upewnił się, że Cezary nie wraca samochodem, zamówił po raz kolejny to samo, choć najchętniej uczciłby zakończenie sprawy pucharem lodów. Na tę słabość pozwalał sobie jednak tylko w towarzystwie Dołęgi, a teraz również i w obecności Doroty.

- O Brunie już dawno słyszałeś. Podejrzewamy, że należał do bractwa. Z pewnością uczestniczył przy kopaniu chodnika, ale nie wiemy, czemu zginął. Chyba na skutek jakiegoś wypadku, większość to jednak domysły. Tyle że domysły Lesiaka, a on jest w tym dobry, więc bardzo prawdopodobne, że tak właśnie było.

- Z tym podziemnym przejściem nie rozumiem jednego - przyznał się Niecko. - Przecież klasztor stoi na skale. Jak go więc wykopali? Przecież to niemożliwe.

- Lesiakowi dała do myślenia rzeczka, która biegnie wzdłuż tunelu. Ściany z jednej strony również go zastanowiły: są gładkie, jakby rzeźbiła je woda, dlatego uważamy, że tunel, przynajmniej częściowo, powstał naturalnie. Później go poszerzono, a kiedy podłoże stało się już podatne, nadano mu kierunek.

- Zauważyłem, że tunel biegnie zakolami. A czasem w górę i w dół.

- Dokładnie. I chyba go odkryto po tym, jak postawiono fundamenty twierdzy - to by tłumaczyło, dlaczego szkic podziemi wykonano na mapie innym atramentem. I dlaczego później znany polski fortyfikator, Krzysztof Mieroszewski, popełnił podczas budowy dość istotny błąd. Po prostu próbował dostosować nowy narys budowli tak, żeby znajdowała się jak najbliżej wejścia do podziemnego korytarza. Wtedy przecież wokół murów nie stały rzeźby drogi krzyżowej. Też musieli w jakiś sposób maskować wejście - może podobnie jak w Olsztynie? Skałą? Nie wiadomo.

- A co z wejściem wewnątrz klasztoru? Tego już chyba zjawiskami krasowymi nie tłumaczycie? - upewnił się Niecko.

- Nie. Korytarz pod Kaplicą św. Relikwii jest w całości wykuty ludzką ręką. Ale nie ma się co dziwić. Wchodzenie do tunelu poza murami było dla zakonników kłopotliwe, musieli myśleć praktycznie. Po prostu wykuli w skale kaplicę i poprowadzili korytarz, który w pewnym momencie dotarł do tego powstałego w bastionie.

- Lesiak to dopiero ma naukową intuicję - powiedział z uznaniem komisarz.

- Lesiak w swojej naukowej intuicji roi sobie nawet, że Szwedzi podczas potopu dowiedzieli się w jakiś sposób, że paulini uzupełniają zapasy pożywienia i broni dzięki podziemnemu przejściu, i dlatego sprowadzili górników, żeby pomogli im ten tunel odnaleźć. Stąd próba ataku minerskiego.

- To dopiero...

- Tak... Naukowa intuicja Lesiaka jest wielka. Nie przeczę. Do dzisiaj mi wypomina archanioła Michała i formułkę przyjęcia do bractwa, co podobno zignorowałem. - Cezary parsknął śmiechem, a Niecko wyraził szczerze zdziwienie:

- To znaczy?

- Upierał się, że archanioł Michał, jako patron żołnierzy, nieprzypadkowo stoi na ołtarzu w Kaplicy Aniołów Stróżów. I miał rację, stary drań. Tak samo z tym wierszykiem recytowanym podczas przyjmowania do bractwa, gdzie jest mowa o drodze i kamieniach. Jak nic sugestia. Podziemne przejście.

- A te sale w tunelu, które odchodziły od korytarza?

- Bracia zaplanowali tunel bardzo dokładnie - Cezary objaśniał z zadowoleniem, zupełnie jakby on sam wykonał plan podziemi. - Mieli tam wozownię i miejsce do karmienia koni, miniarsenał, jadalnię, gdzie trzymali na wszelki wypadek zapasy, dwie komnaty sypialne i oczywiście kaplicę. Wszystkie te pomieszczenia pozostały na szczęście w nienaruszonym stanie. Z tego co wiem, Włosi wykorzystali na laboratorium tylko jedną pieczarę, tak że profesor Lesiak już tam działa. Z wrażenia podobno przestał jeść i spać.

- Tak, profesor to ciekawa osobowość.

- Na szczęście nie muszę z tą osobowością mieszkać - ucieszył się nie wiedząc czemu Cezary, co przypomniało komisarzowi, że pora wracać do domu.

Ciocia Czesia nie lubiła późnialskich.

A z kim jak z kim, ale z ciocią Czesią Niecko nie zamierzał zadzierać.

\*

Chociaż Cezary ostatnio praktycznie się z Julka nie rozstawał i okazywał jej swoje uczucie na wiele różnych sposobów, postanowił zdobyć się na romantyczny gest.

W tym celu zadłużył się u Niecka na parę groszy, nabył butelkę szampana i dwa kubki do mycia zębów (nie sprzedawali ich inaczej jak tylko w komplecie ze szczoteczkami) i zaprosił swą rudowłosą oblubienicę na nocny spacer po parku Staszica. Kobiety podobno uwielbiają takie atrakcje, a jemu też zrobiło się miło, bo Julka obdzieliła go w podziękowaniu tak słodkim buziakiem, że niemal od razu był gotowy zaciągnąć ją w najbliższe krzaki.

- Już sobie wszystko ze swoim przyjacielem policjantem wyjaśniłeś? - zapytała i zwinnie wcisnęła mu się pod ramię.

- Tak jakby. Ale przyjaciel policjant spieszył się na kolację z twoją siostrą, twoją mamą i twoją ciocią, więc nie miał zbyt wiele czasu. I to mi pomogło zrozumieć, że jestem niezwykle szczęśliwym człowiekiem. Potrafisz gotować i nie potrzebujesz nikogo do pomocy, co niniejszym chcę uczcić. - Wyciągnął z reklamówki kubki, obdarł je brutalnie z folii i uroczyście odkorkował butelkę.

- Za nas, maleńka! - zawołał radośnie, przyciągając Julkę do siebie. - Za krzaki i za altankę!

30 grudnia 2010.

**MIŁOŚĆ, SZKIELET I SPAGHETTI** to komedia kryminalna o rządach mafii włoskiej w Częstochowie, którą przepędzily z miasta... baby.

Jedna z bohaterek zatrudnia się w domu włoskiego biznesmena jako pielęgniarka, ale okazuje się, że będzie musiała także gotować: dla niego i sześciu pracowników szefa z żołądkami jak spadochrony.

Problem w tym, że Dorota potrafi przyrządzić jedynie herbatę.

Ale przecież wystarczy zamknąć kuchnię, podgłośnić radio i wpuścić przez okno swoje siostry, mamę i ciocię – znakomite kucharki. Szkoda tylko, że mają tak podle charaktery.

Jednocześnie z jasnogórskiej wieży spada trup, a pod murami klasztoru grupa naukowców odkopuje wiekowy szkielet człowieka. Te nieodległe w czasie wydarzenia coś łączy, a trop prowadzi do...

Włochów. Dorota – jako tajna agentka – dostarcza policji potrzebnych informacji, co powoduje wiele zabawnych zdarzeń i doprowadza do ujęcia przestępców oraz wyjaśnienia tajemnicy podziemnego przejścia pomiędzy Jasną Górą a pobliskim zamkiem.



**MARTA OBUCH**, autorka komedii kryminalnych, poetka, fotograf. Debiutowała w 2007 r. powieścią *Precz z brunetami!*. Następnie wyszły *Odrobina fałszerstwa* (2008) i *Diabelska ewolucja* (2009). Pisarka ukończyła szkołę wojskową, polonistykę i fotografię; pracowała również jako dziennikarka. Ceni sobie humor Joanny Chmielewskiej, dlatego poszła w jej ślady. Twórczość Marty Obuch znalazła wielu czytelników ze względu na lekką fabułę i postacie, które wplątują się w najrozmaitsze afery kryminalne. Mieszka w Katowicach, gdzie pisze i prowadzi własną firmę fotograficzną.

CENA: 29,90 zł

